



ANTOLOGIA AUTORÓW WYDAWNICTWA SQN

FANTASTYCZNIE NIEOBLICZALNI

JAKUB ĆWIEK, KAROLINA FEDYK, PIOTR GÓRSKI, ANETA JADOWSKA, MARIA KRASOWSKA, JACEK ŁUKAWSKI,
MARTA MALINOWSKA, JAKUB MAŁECKI, TOMASZ MARCHEWKA, ALEKSANDRA RADLAK, MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOS

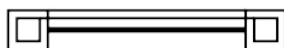
SQN
imaginatio

ANTOLOGIA AUTORÓW WYDAWNICTWA SQN

FANTASTYCZNIE NIEOBLICZALNI



Jakub Ówiek
Karolina Fedyk
Piotr Górski
Aneta Jadowska
Maria Krasowska
Jacek Łukawski
Marta Malinowska
Jakub Małeck
Tomasz Marchewka
Aleksandra Radlak
Magdalena Świerczek-Gryboś



KRAKÓW 2018

Fantastycznie nieobliczalni. Antologia opowiadań autorów SQN. Tom 1

Copyright © by Jakub Ćwiek; Karolina Fedyk; Piotr Górski; Aneta Jadowska; Maria Krasowska; Jacek Łukawski; Marta Malinowska; Jakub Małecki; Tomasz Marchewka; Aleksandra Radlak; Magdalena Świerczek-Gryboś 2018

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2018

Redakcja – Paweł Wielopolski, Michał Cetnarowski (Off the record)

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik

Grafika na okładce – intuier / Fotolia.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2018

ISBN PDF: 978-83-8129-333-4


ISBN EPUB: 978-83-8129-332-7

ISBN MOBI: 978-83-8129-331-0


 wsqn.pl


 WydawnictwoSQN

 wydawnictwosqn

 SQNPublishing

 WydawnictwoSQN

 E-booki

 Zrównoważona gospodarka leśna

 Panta rhei

Spis treści

Michał Cetnarowski Wstęp
Noże
Złość bogów
Kołysanki ziem jałowych
Utracone światy Niño Sandovala
Szalone święta Danny'ego Moona
Ostatni lot Phenix
Siedemdziesiąt jebanych gramów
Nietypowe sprawy Dariusza Omena Przygoda XIII
Krew i błoto
Niemożliwe
Off the record

MICHAŁ CETNAROWSKI WSTĘP

Jeszcze do wczoraj stanowiły sól fantastyki. Każdy z czytelników miał swoje żelazne *top ten*, w którym znajdowali się nie tylko autorzy ulubieni, ale często także celebryci jednego tytułu, meteory, które zapłonęły na niebie jedną historią i poszerzyły czytelniczy horyzont, żeby potem zrobić miejsce dla innych. Jak bowiem rzadko kiedy tu liczył się sam tekst i siła jego rażenia, liczona w megatonach wrażeń na przeczytany akapit; „nazwisko”, „gatunek”, „moda” pełniły rolę służebną i wcale nie kluczową. Tu od początku liczyła się literatura.

Dlatego opowiadania, bo o nich mowa, pisali bardzo często autorzy-amatorzy, członkowie fandomu bez wsparcia marketingowych boosterów popularności, tak istotnych na rynku powieści – często udowadniając starym wyjadaczom, że nowy szeryf pojawił się w mieście. To zresztą nie przypadek, że za krótkie fantastyczne formy biorą się najczęściej autorzy młodzi, na początku swojej literackiej drogi – nie tylko „złaknieni sławy”, ale po prostu najbardziej odważni, najbardziej bezczelni, wciąż mający supermoc niezauważania upływającego czasu; kipiący pomysłami, które żał zamykać w klatce tysiącstronicowej sagi.

Czy dziś ta pionierska, prowokująca, wywrotowa rola fantastycznych opowiadań uległa zmianie?

*

O tym, jakie perełki można znaleźć wśród krótkich form literackich, przekona się każdy, kto na szybko spróbuje sporządzić katalog najlepszych i najważniejszych opowiadań, jakie kiedykolwiek czytał. Tytuły bowiem szybko mnożą się i pączkują, jedne historie wyskakują przed inne, żeby zaraz posunąć się na podium i zrobić miejsce kolejnym opowieściom, które nas sponiewierały. Tak powstałe „listy subiektywnych arcydzieł”, zapewne wyraźniej niż w przypadku powieści, będą jeszcze bardziej zróżnicowane, a rozstrzał tytułów szerszy, bo większa jest pula startowa, z której dobieramy teksty.

Niemniej z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że jeśli ktoś zaczynał przygodę z fantastyką w latach 90. XX wieku i na początku nowego tysiąclecia, na jego liście będą przewijały się nazwiska Lema, Sapkowskiego, Dukaja, Brzezińskiej... Sam na pewno musiałbym umieścić tam *Iacte* i *Szkołę Dukaja* (i tysiąc jego innych tekstów), *Trochę*

poświęcenia AS-a, które najczęściej walczy w podobnych zestawieniach z *Mniejszym złem* (a po latach dodałbym *Wieczny ogień*); na pewno musiałyby się tam znaleźć któryś z Pirxów Lema, może minimalistyczny, horrorowo-klaustrofobiczny *Patrol*, może *Albatros*, *Wypadek* albo *Odruch warunkowy* (a najlepiej wszystkie); do tego *Pięknie jest w dolinie Ziemkiewicza*, *Krew i deszcz Żerdzińskiego*, *Wody głębokie jak niebo Brzezińskiej*, *Spokojne, słoneczne miejsce łęgowe Huberatha*, którym rażno sekundowałyby autorzy młodszy stażem – Kuba Nowak z *Karnawalem*, Czarek Zbierzchowski i *Pięćdziesiąt przypadków Quentina*, Robert M. Wegner ze *Szkarłatem na płaszczu...* A to dopiero początek. Wspominałem, że piekielnie trudno stworzyć taką „krótką listę”? Albo bardzo łatwo – tylko że wtedy szybko zamienia się w opasły katalog.

A to tylko autorzy polscy – z zagraniczną pierwszą ligą sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Harlan Ellison, Ray Bradbury, Ursula LeGuin, Stephen King, Ted Chiang, Kelly Link, J.L. Borges, Philip. K. Dick, Angela Carter... Nazwiska wirują jak w kalejdoskopie, a przecież nie ma wśród nich jeszcze głównonurtowych majstrów krótkiej formy, takich jak Hemingway, Munro czy Carver. Podobny zawrót głowy świadczy o jednym: wyróżniających się tekstów są tu rzeczywiście dziesiątki, jeśli nie setki, a o każdym dałoby się długo mówić, długo się o niego spierać, długo i bezskutecznie wybierać „ten jedyny”. Lista wydaje się wprawdzie skończona, ale jednak nieograniczona, a lektura każdego z opowiadań, które by się na niej znalazły, od jednego strzału wprawia w ruch całe barwne, pociągające, straszne, rozpadające się lub dopiero powstające literackie światy.

Trudno o bardziej wysokoenergetyczne paliwo dla wyobraźni.

*

Co dzisiaj zostało z estymy, którą przez lata cieszyły się fantastyczne opowiadania?

Liczyby, które stoją za wydawaniem książek, zdają się w tej sprawie bezwzględne: antologie sprzedają się słabiej niż powieści; powieści samodzielne, które opowiadają skończoną historię, przegrywają z cyklami; spośród cykli najlepiej sprawdzają się te, które operują najbardziej rozpoznawalnymi motywami, wątkami, sceneriami. Niewidzialna ręka rynku potrafi bezwzględnie ścisnąć za... no, sami wiecie, co potrafi. Debiut nieznanego autora, który próbuje dziś swoich sił ze zbiorem opowiadań, wygląda w tej sytuacji jak skok z samolotu bez spadochronu,

za to z parasolką i tomem z przygodami Mary Poppins pod pachą. Co nie znaczy, że podobne rzeczy się nie zdarzają; rzecz w tym, że taka inwestycja zwraca się wydawcy często przez lata.

Sytuacji nie polepsza kryzys na rynku czasopism, naturalnej platformy do prezentacji opowiadań – liczba podobnych magazynów nie tylko w Polsce drastycznie spadła w ostatnich latach, a działalność autorów i redakcji przeniosła się do sieci. To jednak, co sprawdza się w publicystyce – w której cyfrowe medium pozwala szybciej reagować na nowości i wydarzenia – niekoniecznie musi pomagać prozie. Owszem, opowiadań ukazuje się dziś multum, ale okno startowe, kiedy mają okazję powalczyć o uwagę czytelnika, zamyka się w ciągu kilku godzin, w najlepszym przypadku dni, kiedy pojawią się w sieci; po tym czasie tekst znika z radaru, przykryty kolejną warstwą następnych opowiadań, i po schrödingerowsku wisi w sieci zarówno ogólnodostępny, jak i na wieczność serwera ukryty pod linkiem, w który nikt nie klika. Jest zatem aż tak źle?

A gdzie tam – wydaje się, że z roku na rok obserwujemy partyzancki, ale coraz wyraźniejszy renesans opowiadań.

*

Dyskusje dotyczące aktualnej roli opowiadań coraz częściej pojawiają się w spisie paneli ogólnopolskich konwentów. Bombardowani zalewem nowych autorów, tytułów i propozycji czytelnicy sami przypomnieli sobie o krótkich formach prozatorskich, traktując je jako swoisty tester przed sięgnięciem po powieściową realizację talentu danego twórcy. Autorzy – pobudzeni tym quasi-reklamowym wymiarem przedsięwzięcia – też się przebudzili i na powrót spojrzeli łaskawiej w stronę opowiadań; to, co przez chwilę wydawało się „nieekonomiczną stratą czasu” (który można było wykorzystać na napisanie proporcjonalnego fragmentu powieści), okazuje się cenną inwestycją w rozpoznawalność na rynku i skuteczną próbą dotarcia do nowych odbiorców. O takich przyziemnych sprawach jak ćwiczenie pióra, stymulowanie gruczołu z pomysłami i przewietrzanie twórczego emploi nie wspominając.

Wszystkie te cechy legły także u podstaw tego, że powstałi *Fantastycznie nieobliczalni*.

*

Antologię tworzy jedenaście tekstów. Łączy je to, że w ten sposób prezentowani są autorzy, których powieści wydawało albo w niedługim

czasie wyda wydawnictwo SQN. Starzy wyjadacze spotykają się tutaj z debiutantami i prawie-debiutantami (lub, jak w przypadku Piotra Górskiego – znanego już w latach 90. zeszłego wieku z emocjonalnych, bezpardonowych opowiadań dark future, po których zamilkł na dwie dekady – „debiutantami po przejściach”), a rozstrzał tematyczny i scenograficzny prezentowanych historii pokazuje przekrój tego, jak wygląda współczesna fantastyka.

Marta Malinowska w *Nożach* – nietypowym fantasy – pokazuje życie objazdowej trupy cyrkowej, która przemierza targany konfliktami neverland, szerzej opisany w jej debiutanckiej powieści *Iluzja*, która wkrótce ukaże się w druku. *Złość bogów* wspomnianego już Górskiego to także fantasy, i to jaka. W tekście, którego rozwinięciem jest powieściowa *Reguła zakonu*, autor zabiera czytelnika do bardzo oryginalnego i nie mniej ponurego świata fantasy i udowadnia, że w tej, zdawałoby się, najbardziej ogranej konwencji wciąż można powiedzieć coś świeżego i przejmującego. To chyba jedno z najbardziej sugestywnych opowiadań w tej antologii i jeden z moich faworytów do podium. *Kołysanki ziem jałowych* Karoliny Fedyk to też dark fantasy, choć już nie tak ponure, w którym magiczny świat zostaje przełamany postapokaliptycznym sznytem.

Jakub Małecki w kapitalnych *Utraconych światach Niño Sandovala* opisuje dramat bohatera, do którego życia przenikają duchy z filipińskich wierzeń. *Szalone święta Danny’ego Moona* Marii Kraskowskiej to prequel ze świata *Bandy niematerialnych szaleńców* i propozycja skierowana głównie do czytelnika young adult. Aneta Jadowska w klimatycznym horrorze *Ostatni lot Phenix* przypomina, że cyrki mają w sobie coś diabolicznego, i to niezależnie od tego, jak traktuje się występujące tam zwierzęta. (Sama koncepcja, że facet wymalowany upiornym makijażem kłowna może kogoś rozbawić, pochodzi doprawdy nie z tego świata). Jakub Ćwiek prezentuje kingowską z ducha historię zawodnika MMA, w której przekonuje się, że zbijanie wagi przed walką to dosłownie nieziemsko poważna sprawa. Z fantastyką z przymrużeniem oka pogrywa także Jacek Łukawski, znany dotychczas z serii *Kraina Martwej Ziemi*. Jego *Nietypowe sprawy Dariusza Omena* to tekst, w którym klimat znany z przygód Jakuba Wędrowycza miesza się z historią rodem z *Facetów w czerni* – i zapowiedź nowej książki, utrzymanej w podobnej tonacji.

Krew i błoto Aleksandry Radlak znów zaprasza do świata debiutanckiej powieści: historia elfickich terrorystów walczących w zniszczonym wojną świecie będzie miała swoje uzupełnienie w *Cynobrowych polach*. *Niemożliwe* Magdaleny Świerczek-Gryboś to również spin-off – tym

razem z *Openmindera*, naładowanego pomysłami SF, w którym przyszłość po globalnym konflikcie determinuje chemiczna kastracja popędów na kształt Lemowej betryzacji. Na zakończenie Tomek Marchewka wykonuje zgrabną wolnę i odchodzi od steampunkującego świata znanego z *Wszyscy patrzyli, nikt nie widział*, w *Off the Record* opisując walki meków w cyberpunkowym świecie spleenu i high-techu. Scenografia nie dziwi, jeśli uświadomimy sobie, że autor jest jednym ze scenarzystów piszących *Cyberpunka 2077* dla CD PROJEKT RED.

Sporo tego? Pomieszanie z poplątaniem? Jedne teksty podejną Wam mniej, a inne bardziej – i nie da się pewnie sporządzić dwóch takich samych protokołów odczytania. No jasne.

Dlatego właśnie antologie są takie fajne.

*

Opowiadania od zawsze były dla autorów poligonem: warsztatu, talentu, wyobraźni. Biedni czytelnicy – i pisarze – tej z epok, która zapomni tę prostą prawdę.

Michał Cetnarowski,
redaktor „Nowej Fantastyki” i Storytel.pl,
pisarz uhonorowany nagrodą im. Janusza A. Zajdla



MARTA MALINOWSKA



Z wykształcenia jest antropolożką kultury. Debiutowała w 2006 roku opowiadaniem *Życzenia* w „Czasie Fantastyki”, od tamtej pory publikuje dość regularnie. Kilka z jej opowiadań (*Jad*, „Nowa Fantastyka” 10/2012; *Noże*, „Nowa Fantastyka” 2/2016 i *Egzaminy*, „Nowa Fantastyka” 9/2018), dzieje się w uniwersum *Iluzji*, powieści, która niedługo zostanie wydana nakładem SQN Imaginatio.

NOŻE

Płomienie strzeliły w górę w czterech rogach sceny, wydobywając z ciemności dwie sylwetki.

Skóra i miedź, lśniące oczy, nieruchome, napięte jak struny i czarne jak heban ciała.

Młoda kobieta w stroju, który więcej odkrywał, niż zakrywał – ale też było co odkrywać – i półnagi mężczyzna. Ciemne, kędzierzawe włosy związali w wysokie kity. Dziewczyna uzbrojona była w dwa długie sztylety, jej przeciwnik w miecz.

Stali bez ruchu, póki ogień nie przygasł, a kiedy było widać już tylko zarysy postaci, wyszarpnęli broń z pochew i rzucili się na siebie.

W powietrze wzbijała się chmura piachu i trocin. Mężczyzna wygiął się do tyłu, o włos unikając ciosu młodej wojowniczką, wyprostował gwałtownie i zamachnął się mieczem, ale dziewczyna zgarbiła się błyskawicznie, umykając przed ostrzem. Tylko na to czekał. Wskoczył jej na plecy, wybił się, zawirował w powietrzu, wylądował lekko, przebiegł kilka kroków i znów skoczył, tym razem po to, by wczepić się w wysoki podest. Kilka uderzeń serca później był na jego szczycie, ale wtedy dziewczyna leciała już w jego stronę, uczepiona jednej ze zwisających z rusztowania lin, używanych wcześniej przez akrobatów. Wojownik chciał przeciąć sznur, ale jego przeciwniczka szarpnęła się tak, że nie sięgnął, choć nie mogła widzieć, co zamierza mężczyzna.

Obserwujący to wszystko zza kulis Ief, dyrektor cyrku, skrzywił się – to nie było to.

Mogliby równie dobrze nie mieć broni, huścić się na trapezach i chodzić po linie, wszyscy byliby szczęśliwi. Problem polegał na tym, że Vera i Paz nie byli akrobatami, byli siffango, legendarnymi artystami walki i w związku z tym nikt nie był szczęśliwy – ani oni, ani publiczność, ani sam Ief. Mężczyzna marzył w tym momencie tylko o tym, by ryknąć „Stać”, wejść na scenę, objechać Verę od góry do dołu, a potem strzelić jej w pusty łeb – najlepiej więcej niż raz. Po takiej krytyce dziewczyna zawsze się budziła, wtedy były emocje, było niebezpieczeństwo i była walka! I to jaka!

Na pewno bardziej emocjonująca niż to, co działo się teraz na arenie. Słuchając skąpych oklasków, Ief po raz kolejny pomyślał ponuro, że jeśli nic się nie zmieni, to nie dotrważą do następnego sezonu.

Siffango zakończyli pojedynek, czy też, jak nazwałby to Ief, „żałosną

farsę”, akrobaci znów splunęli ogniem. Koniec. Czas iść się kłaniać. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, energicznym krokiem wyszedł na arenę i schwycił Verę za nadgarstek tak mocno, jakby chciał go zmiążdżyć. Zerknęła na niego wściekle, ale dopóki nie zniknęli widowni z oczu, nic nie mogła zrobić. Za kulisami pozwolił jej się wyszarpnąć – była tak zaskoczona, że straciła równowagę, co wykorzystał, wypychając ją na obstawiony wozami dziedziniec za namiotem.

– Co to było?! – rzucił.

Oczy dziewczyny zwęziły się w szparki. Zmierzający do wozu Paz obdarzył ich w przelocie markotnym spojrzeniem.

– O co ci znowu chodzi?!

Trzepnął ją w pusty łeb, dokładnie tak, jak zamierzał. Wiedziała przecież. Wiedział, że wiedziała.

Dziewczyna zacisnęła pięści, ledwie powstrzymując się, by mu nie oddać.

– Co, źle było? Jak było źle, to mogłeś powiedzieć wcześniej, po to masz próby! Było wszystko, co miało być, tak?!

– Ty naprawdę nie myślisz. Nie potrafisz pojąć, co się do ciebie mówi.

– Nic nie spieprzyłam, Ief. Jeśli coś ci się nie podobało, to twój problem! – Odwróciła się gwałtownie. – Idę się przebrać.

Mężczyzna złapał ją za ramię i obrócił w swoją stronę.

– Spieprzyłaś wszystko, Vera. I to jest twój problem, bo ci za to płacę, mój problem, bo ja na tobie zarabiam. I problem całego cholernego zespołu, bo teraz ty robisz najważniejszy numer.

Strząsnęła z ramienia jego dłoń.

– Daj mi spokój!

– Dam ci spokój, gówniaro. Zobaczysz, jak dam ci spokój, niech tylko znajdę inną siffango.

Szczęki dziewczyny zadrgały.

– No to będziesz miał chyba problem, nie? O, Aga! – Odwróciła się do przechodzącej nieopodal jasnoskórej akrobatki. – Aga, słuchaj, powiedz mi, gdzie znajdziemy inną siff...

Kobieta przewróciła oczami.

– Znowu? Nie mieszajcie mnie do tego, naprawdę – powiedziała znudzonym tonem, próbując wyminąć kłócącą się dwójkę.

Vera chwyciła ją za łokieć.

– Och, będę mieszać. Będę mieszać wszystkich, bo Ief właśnie powiedział mi, że to jest problem całego cholernego zespołu!

Akrobatka westchnęła.

– Dobrze – stwierdziła, wrywając rękę z chwytu dziewczyny. – Masz

rację, nie znajdziemy nowej siffango, bo nikt nie zechce opuścić swojego zespołu, twoja siostra jest w ciąży, rodzice nie dadzą rady występować tak jak kiedyś, a Paz sam nie zrobi numeru. Z tego wniosek, szefie, że musimy radzić sobie z Verą. A z tego wniosek, Vera, że najpewniej za dwa miesiące będziemy wszyscy zdychać z głodu. Byłaś dzisiaj fatalna, lepiej byłoby, gdybyś została przy akrobatyce. Dobranoc. – Uśmiechnęła się uprzejmie i ruszyła w swoją stronę, niezatrzymywana przez skamieniałą Verę.

– Dobranoc, Aga – rzucił za nią Ief i przeniósł wzrok na młodą siffango. – Dobranoc, Vera.

Dziewczyna bez słowa odwróciła się do niego plecami i odbiegła.

*

Poczuła się nieco lepiej, kiedy wypadła spomiędzy wozów, a jeszcze lepiej, gdy znalazła się między drzewami, w kojącej ciemności przetykanej plamami księżycowego światła, tak różnego od tego irytującego, migotliwego, żółtego blasku ognia. Powietrze było chłodne – wiał wiatr znad jeziora – ale tym razem to nie wystarczyło, żeby ją uspokoić. Wciąż gotowała się z wściekłości, złość pulsowała w piersiach i w płucach, w mięśniach, w zębach, kościach. Wszystko to chciało coś robić, szarpać, gryźć, kopać, krzyczeć, więc krzyknęła. Raz, drugi. Uderzyła pięścią w pień pobliskiego drzewa, potem znowu i znowu, ale to było za mało.

Popędziła przed siebie. Nie zwolniła, kiedy wreszcie wypadła spomiędzy drzew, nie zwolniła, gdy ziemia już-już miała urwać się jej pod stopami, na samej krawędzi klifu, po prostu wybiła się z całej siły i – wrzeszcząc – pomknęła głową w dół, prosto w taflę jeziora.

Talion, perła Schan, jeszcze przez moment mienił się srebrzyście w blasku księżyca, nieporuszony. Potem dziewczyna rozpruła gładką powierzchnię, wbijając się w nią jak nóż, i znikła.

Wynurzyła się dopiero po dłuższej chwili, równie gwałtownie jak się zanurzyła. Od razu ruszyła w stronę przeciwległego brzegu, rozrywając taflę jeziora ostrymi, pełnymi furii ruchami.

Wokół niej wszystko się kotłowało, bryzgi piany strzelały wysoko w powietrze, woda bielila się i burzyła, tworząc za Verą krótki ślad przypominający ogon komety. Poza tym niewielkim, wzburzonym fragmentem jezioro pozostawało jednak spokojne i niewzruszone.

*

Kiedy Vera, ociekając wodą, wyszła na brzeg, po jej wściekłości nie było

już śladu – zostało tylko wyczerpanie. Z błogim uśmiechem nabrała w płuca nocnego powietrza. Potem ruszyła powoli w górę wąską ścieżką pnącą się na szczyt osuwiska, wyzymając po drodze włosy.

Skupiona na oddechu, krokach i łomotaniu serca, dopiero w połowie drogi zdała sobie sprawę, że słyszy jakieś krzyki. Poderwała głowę, przygarbiła się i rozejrzała czujnie. Miała wrażenie, że dźwięki dochodzą z drugiej strony klifu. Przyspieszyła trochę, potem – nie zważając już na zmęczenie – pobiegła na górę. Znalazłszy się na krawędzi urwiska, dojrzała walczących. Przypadła do ziemi, położyła się na brzuchu i splótła dłonie pod brodą, obserwując rozgrywającą się na dole scenę.

Czterech mężczyzn, trzech na jednego, stojącego pod ścianą. Dyszał tak, że słyszała go aż na górze.

Och, na żywioły, jak szybko się poruszali. Jak brzydko.

Z góry widziała głównie ich szerokie plecy i pochylone głowy. Przykurczone ramiona, pięści na wysokości twarzy. Ciosy – krótkie, konkretne, brutalne, tak silne, że słyszała dźwięk pięści uderzających w ciało – przypominały jej błyskawice na burzowym niebie, tak samo trudno było je dostrzec. I ci mężczyźni, potężni, ciemni, ciężcy jak niosące wodę chmury. Nawet dźwięki wydawali jak burza, rzadkie, warkliwe pomruki. Vera, zupełnie tak samo jak zawsze w czasie burzy, była zachwycona. Serce waliło jej jak młotem, oddech przyspieszył, wbite w walczących oczy błyszcząły.

Nagle któryś krzyknął głośniejsz, bardziej wściekle – dostał w zęby od tego spod ściany. Zachwiał się, a osaczony mężczyzna wykorzystał to błyskawicznie. Przemknął obok jak cień, wydostając się spomiędzy atakujących, światło księżyca zatańczyło na spoconym grzbiecie, mięśnie zagrały pod skórą, kiedy obrócił się, by chwycić czaszkę przeciwnika. Zacisnął na niej dłonie i trzasnął o kamienną ścianę. Z gardła ofiary dobył się mokry, chrapliwy charkot.

– Chuju! – ryknął ktoś.

Przez chwilę mężczyźni kotłowali się i Vera nie wiedziała, która ręka, która czaszka, które plecy są czyje. A potem coś błysnęło i przez głowę przemknęła jej idiotyczna myśl, że to naprawdę piorun.

Tylko że to był nóż. Bardzo szybko znikł, wbity po rękojeść w plecy jednego z walczących, tego, który był sam.

– Skurwysyny – szepnęła Vera.

Nawet nie zorientowała się, że zdążyła zacisnąć pięści i przycisnąć je do brody, że podniosła się na łokciach i wychyliła za krawędź urwiska, żeby lepiej widzieć.

– Skurwysyny... – powtórzyła z niedowierzaniem.

Mężczyźni dowlekli tego z rozbitą głową do wyciągniętej na brzeg łódki i zabrali się za spychanie jej na wodę.

– Skurwysyny! – tym razem Vera krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

Z tej strony klif schodził w dół prawie pionowo i to „prawie” wystarczyło wychowanej w cyrku dziewczynie. Niewiele myśląc, zaczęła z rumorem zsuwać się i zbiegać na brzeg, wzbijając tumany pyłu. W pewnym momencie po prostu odbiła się od skalnej ściany i wylądowała na plaży, tuż obok zranionego mężczyzny. Schyliła się, chwyciła w biegu jakiś kamień i pomknęła w stronę jeziora – prawie nagi, rozwścieczony demon o poznaczonej białymi smugami rozmazanego scenicznego makijażu twarzy. Nic dziwnego, że wiosłowali szybko.

– Tchórze! – krzyknęła z wściekłością, miotając zaimprovizowany pocisk w ich stronę. – Śmierzące tchórze!

*

– Ścierwa...!

Nie to Sore spodziewał się usłyszeć po śmierci. Mimo wszystko.

– Szuje...!

Może słusznie. Bo chyba wciąż żył. Jeszcze.

Trudno mu było zorientować się, skąd dochodzi dźwięk. Jeszcze trudniej obrócić głowę w tamtą stronę. Zakaszlał gwałtownie.

Miał wrażenie, że postać stoi w wodzie, ale nie był pewien, świat skrył się za mgłą i z każdą chwilą przesłaniało go coraz więcej coraz większych, wirujących, czarnych plam. Zresztą nie to, gdzie w tym momencie stał ten człowiek, było ważne. Ważne, że był. I wrzeszczał. Do odpływającej łódki.

Podczas gdy Sore się wykrwawiał.

Nabrał powietrza – niewystarczająco ostrożnie, spróbował powstrzymać kolejny atak kaszlu, ale mu się nie udało.

Jeszcze raz. Z obawą przełknął ślinę. Musiał, przez wyschnięte gardło nie dałby rady nic wykrztusić. A potem podjął ostatni – był tego pewien, wiedział, że na nic więcej nie będzie go stać – wysiłek.

Nie spieszył się, mówił wolno i wyraźnie. Spokojnie. Sprawa była zbyt istotna, by się z nią spieszyć.

– Przestań krzyczeć. I pomóż mi.

Potem, tak jak się spodziewał, zapadła ciemność. I cisza. Obie przyjął z ulgą.

*

Wracał do rzeczywistości powoli. Najpierw jakieś splątane, niewyraźne sny, krew na rzęsach, dłonie o zbyt dużej liczbie powyginanych palców, dźwięki nie wiadomo skąd, ruch i uczucie, które nie powinno mu towarzyszyć, coś przesuwającego się po nagim przeciw ramieniu.

Wolałby się nie budzić, więc przez chwilę leżał, nie otwierając oczu. Słyszał jakieś rozmowy, których sensu nawet nie starał się uchwycić, stukanie, chyba młotka, śmiechy, rzenie koni, szczęk żelaza, przenikliwe dźwięki jakiejś piszczałki. Z tego osobliwego gwaru wyczulone ucho mężczyzny wyłowiło nagle dźwięk niemożliwy do pomylenia z żadnym innym, dźwięk noża, wbijającego się... chyba w drewno. Stanowcze, głucho stuknięcie.

Otworzył oczy.

Na podłodze malował się ostry, wyraźny prostokąt słonecznego światła, wpadającego do pomieszczenia przez otwarte drzwi. światła, wpadający przez drzwi pomieszczenia, był ostry i wyraźny. Samo zaś pomieszczenie – niewiarygodnie małe, wąskie i długie, czerwono-zielone. Poza drugim posłaniem i wypełnioną jakimś żelastwem pogiętą misą, stojącą na sporej skrzyni pod przeciwległą ścianą, nie było w nim nic.

Sore ocenił, że znajduje się w jakimś wozie. Sore dojrzał jasnoskórą dziewczynę, która siedziała przy wejściu, zszywając jakąś jadowicie niebieską, błyszczącą miejscami szmatę.

A więc obozowisko cyrkowe. Mógł trafić gorzej.

Poruszył się ostrożnie. Pamiętał już, co się stało, zanim stracił przytomność, więc przygotował się na ból, ale niepotrzebnie. Albo pamięć płatała mu figle, albo znaleźli jakiegoś Przewodnika, żeby go poskładał. A skoro tak, to mógł spróbować usiąść... A potem wstać i podejść do drzwi.

Staął w nich na chwilę, opierając się barkiem o futrynę i mrużąc oczy. Przysłonił je dłonią i uważnie zlustrował otoczenie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Kolorowe wozy stały bezładnie pośród drzew, a pomiędzy nimi panował chaos. Jakiś mężczyzna próbował zmusić ogromnego, wyleniałego tygrysa do przeskoczenia przez utrzymaną w górze obręcz – zwierzę wyraźnie nie miało na to ochoty. Pomiedzy pniami rozpięto linę, po której powoli, ostrożnie, z rękami wyciągniętymi na boki przechodziła najwyżej dziesięcioletnia dziewczynka. Ktoś żonglował zgaszonymi pochodniami. Nad rozpalonym mniej więcej na środku obozu ogniskiem coś gotowano.

Dźwięki piszczałki zdawały się coraz żywsze. Jakaś para kłóciła się

w drugim końcu obozowiska, a biała dziewczyna, zszywająca sukienkę na progu wozu, patrzyła prosto na niego.

– Vera! – zawołała, odwracając głowę, nim zdołał podchwycić jej spojrzenie. – Twój kochaś się obudził!

Nóż śmignął w powietrzu, nim ktokolwiek zdążył zareagować, i wbił się we framugę, nie dalej niż o szerokość dłoni od twarzy jasnowłosej dziewczyny.

– To nie jest mój kochaś! – odezwał się ktoś wściekłym głosem, który Sore pamiętał. Ciężko zapomnieć coś takiego.

Blondynka zerwała się na równe nogi.

– Oszalałaś?!

– Mówiłam ci, żebyś przestała go tak nazywać.

Dziewczyna wyłoniła się zza niebiesko-żółtego wozu. Nie widział jej twarzy, była bokiem do niego i burza czarnych, kędzierzawych włosów skutecznie utrudniała obserwację, ale to nie na twarz Sore patrzył, kiedy chciał się czegoś dowiedzieć o człowieku. Nie zwracał również większej uwagi na sylwetkę, choć w tym wypadku odnotował, że jest całkiem ponętna: szerokie biodra, ciężkie, kojarzące się z dojrzałymi owocami piersi i długie nogi. Rzeczą, na którą Sore zawsze zwracał uwagę, był sposób poruszania się. Vera zmierzała w stronę noża miękki, sprężystym krokiem, z wdziękiem i pewnością osoby całkowicie świadomej swojego ciała i jego możliwości.

– Mogłaś mnie zabić! – zawołała jasnoskóra kobieta z wściekłością.

– Raczej nie. Rzucam już całkiem nieźle, najwyżej rozharatałabym ci buzię.

– Jesteś skończoną idiotką – stwierdziła, schylając się po upuszczony kostium.

Vera postąpiła krok w jej stronę.

– Sama jesteś idiotka!

Kobieta podniosła sukienkę i strzepnęła, przyglądając się jej ze zmarszczonymi brwiami, po czym spojrzała na Verę ze znudzoną miną.

– Chyba miałaś się czymś zająć, prawda? To coś, przypominam, obudziło się, stoi w drzwiach waszego wozu. Ta scena na pewno zrobiła na nim duże wrażenie, ale jeśli jeszcze ją przeciągniesz, będzie nudna.

Wtedy zobaczył jej twarz. Nigdy nie widział tak pałających oczu. Cała reszta właściwie straciła na znaczeniu – dziewczyna mogła mieć jakieś tam rysy twarzy, włosy, ręce, nogi, ale ostatecznie liczyły się tylko te gorejące wściekłością, ciemne oczy. To one nadawały ton wszystkiemu innemu.

– Jestem... – zaczęła agresywnie i urwała, nabierając powietrza, chyba

po to, by się uspokoić. – Vera. Uratowałam ci skórę.

– Sore – przedstawił się. – Dziękuję.

Uśmiechnęła się, odrzucając błyszczące kędziory do tyłu.

– Nie ma sprawy. Chodź, zapoznam cię z ludźmi, skoro już wstałeś. No i Ief pewnie będzie chciał z tobą gadać.

Ief w istocie chciał z nim gadać – głównie o kwocie, jaką cyrk wyłożył na Przewodnika, który wybawił Sorego od niechybnej śmierci, i o tym, że oczywiście nie jest w stanie powstrzymać najemnika od oddalenia się, kiedy tylko dotrą do jakiejś ludzkiej siedziby, ale elementarna przyzwoitość – o zwyczaju nie wspominając – wymagałaby, żeby Sore został, żeby odpracować dług. Chyba że miał zamiar ściągnąć na cyrk kłopoty. W takim wypadku elementarna przyzwoitość nakazywałaby co innego.

Sore nie musiał się szczególnie wysilać, żeby zrozumieć pytanie zakamuflowane w tej ostatniej uwadze, i z czystym sumieniem zapewnił rozmówcę, że nie, nic się nie będzie za nim ciągnęło, to był zwykły anonimowy rabunek.

Został więc w cyrku, jakkolwiek to nie przyzwoitość – o zwyczaju nie wspominając – była głównym powodem.

*

Każdy ruch wywodziła ze splątanych w misterne, zmienne konstrukcje nadgarstków i dłoni. Każdy zatoczony ramionami łuk, każdy obrót, wyrzut i skok. Tam, w centrum, wszystko było delikatne i precyzyjne.

Tylko tam, i tylko dlatego, że nie musiała o tym myśleć.

Choć u podstaw jej ruchów leżała ażurowa plecionka drobnych kości i ścięgien, ostateczny efekt miał niewiele wspólnego z delikatnością. Spocona, ciemna skóra, napięte mięśnie, rozkołysane biodra i piersi, lśniące włosy, sprawiające wrażenie, jakby każde ze skręconych w sprężyny pasm żyło własnym życiem, czarne, jarzące się odbitym blaskiem płomieni oczy. Huk ognia, furkot długiej, rozciętej spódnicy.

Płonące sznury wirowały wokół dziewczyny, posłuszne jej woli rysowały w powietrzu świetliste kręgi, iskry z ogniska, przy którym tańczyła, strzelały w górę, bębniarze gubili rytm, Ralf piskliwie fałszował na fujarce, ktoś inny zarzynał skrzypce, Aga całowała się z którymś z akrobatów, Paz wpatrywał się ponuro w ogień, matka Very śpiewała coś ochryple, ktoś kogoś szukał, a dziewczyna tańczyła, nie gubiła kroku, bosymi stopami wybijała na twardym podłożu rytm, błyskała wyszczerzonymi zębami i zahipnotyzowanym, hipnotyzującym wzrokiem

wpatrywała się w ogień.

I w Sorego.

Mogła go zlokalizować po błysku noża, którym bawił się odruchowo, podrzucając i obracając ostrze między palcami, ale siedział za daleko, by mogła dojrzeć twarz.

A jednak za każdym razem, kiedy Verze udało się oderwać spojrzenie od płomieni, oczy dziewczyny zdawały się przewiercać ciemność i patrzeć wprost na niego. W miarę jak tańczyła, działo się to coraz częściej i trwało coraz dłużej. Jej ciało obracało się i prężyło w blasku ognia, plecy wyginały się w łuk, by po chwili zwiotczeć i zgarbić się, ramiona gwałtownie wystrzeliwały w górę i opadały, dłonie spletały się, stopy wyrysowywały w piasku półkola, ale oczy pozostawały wbite w człowieka opartego plecami o pozostające tuż poza zasięgiem światła drzewo, zmęczonego mężczyznę, między palcami którego wirowało ostrze noża.

Kiedy ogień zgasł po raz trzeci, schował broń, podniósł się i podszedł do dziewczyny. I tak nie miała już paliwa, by nasączyć liny – choć to akurat odkryła dopiero wtedy, gdy za nią stanął. Tak przynajmniej wnioskował z gniewnego przekleństwa, które wymamrotała pod nosem, nachylając się nad stojącą na ziemi butelką, tuż przed tym, jak położył rękę na nagim, spoconym ramieniu. Zamarła na chwilę, a potem wyprostowała się powoli i obróciła z szerokim uśmiechem.

– No wreszcie – wydyszała.

*

Verze było za tym pierwszym razem strasznie niewygodnie. Jakiś korzeń wbijał się jej w plecy, trawa była mokra i ostra, coś ugryzło ją w łydkę i ogólnie wcale nie było tak wspaniale, jak myślała, że będzie. W zasadzie pod koniec zrobiło się trochę głupio, chociaż rozbieranie było całkiem przyjemne, te ręce, jego i jej, tu i tam, myślała, że oszaleje, ale w taki dobry sposób. No i całował, całował naprawdę dobrze, tylko ten korzeń i bąbel na nodze.

Poza tym bolało trochę, no ale to nie było coś, co by przeszkadzało wychowanej w cyrku dziewczynie, i do tego siffango.

Och, kogo obchodził korzeń? Albo łydka? Chociaż paprało się to ugryzienie chyba przez dwa tygodnie. Obudziła się potem o świcie, zziębnięta, naga, trochę skacowana, popatrzyła na leżącego obok mężczyznę, też nagusieńkiego, czarnoskórego, całego z mięśni, i poczuła radość. Ale nie jak zawsze, nie w kręgosłupie i w płucach, nie lekką, uderzającą do głowy, żeby zaraz wyparować. Ta była głębiej, niżej,

w trzewiach, rozlała się najpierw na boki, dopiero potem leniwie ruszyła dalej, jak płynna stal wypełniająca formę. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuła spokój, jak ręce na barkach: tutaj. Teraz. Jest dobrze.

Miała go. Miała mężczyznę, którego pragnęła, a on miał ją.

Potrzebowała mniej więcej godziny, żeby zorientować się, co się z tym wiąże.

Usiadła, przerażona, złapała go za ramię i potrząsnęła.

– Musisz mi coś obiecać – oświadczyła stanowczo, kiedy udało mu się zogniskować na niej wzrok.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Kobiety.

– Sore!

Coś w jej głosie sprawiło, że spoważniał.

– Dobrze. Co takiego?

– Nie będziesz oglądał naszych treningów.

Mężczyzna popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nigdy dotąd nie widział ćwiczących siffango, zwykle oddalali się w las, potrzebowali sporo przestrzeni, więcej niż mogło zaoferować obozowisko.

– Dobrze.

– I moje rekwizyty. Moja broń. Nie dotykaj ich, nigdy. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Zamilkł na moment, rozważając następne słowa. – Chcesz, żebym przysiągł?

Wzdrygnęła się, otworzyła szerzej oczy. Przysięga żywiołów to była naprawdę poważna sprawa, śmiertelnie poważna. A jednak zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie. Wystarczy mi twoje słowo.

Sore uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

– To dobrze.

I przez jakiś czas wydawało się, że jest dobrze. Spokój, który Vera poczuła wtedy o świcie, zniknął wprawdzie – ale coś po sobie zostawił, i to coś rosło powoli, niezauważalnie zmieniając wszystko, czym była i co robiła, dodając do tego jakiś nowy wymiar, tło, dzięki któremu to wszystko było prawdziwsze i pełniejsze. Jakby wreszcie stawała się tym, kim zawsze miała być, kimś, o kim zapomniała po drodze.

Trwało to mniej więcej dwa miesiące. A po tych dwóch miesiącach przyszła do niego tak, jak jej się to czasem zdarzało, nic nie mówiąc. Vera często nie musiała nic mówić, wystarczyło rzucić okiem, by wiedzieć, że

jest głęboko nieszczęśliwa. Siedział akurat przed wozem, chyba coś naprawiał, nie pamiętał potem. Wzięła go za rękę, zaciągnęła do środka. Położyli się na posłaniu, ona z głową na jego piersi.

Długo nic nie mówiła. Zaciskała usta, czasem przewracała się na plecy, czasem na brzuch, czasem nawet siadała, kilka razy niemal wstała, ale przez cały czas dotykała Sorego, nie chcąc zrywać kontaktu.

Na samym początku, kiedy robiła takie rzeczy, próbował się odzywać. Co ci się dzieje, Vera, czego ci trzeba? Tylko potrząsała głową, tak że sprężyste loki latały na wszystkie strony. Nie wiedziała.

Czasem płakała z bezsilności i tłukła pięściami w posłanie. Czasem w niego i musiał ją wtedy powstrzymać, łapać jej ręce w powietrzu, i całe szczęście, że biła wtedy na oślep, bo inaczej mógłby sobie nie poradzić. Była przecież siffango i była dobra. Może nie w występach, to przyznawał z bólem, ale wszędzie poza areną była dobra.

I lubiła to, kochała, widział to po niej.

Widział, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, którzy również widzieli i dziwili się humorom Very. On nie dziwił się wcale. Miłość to nie była łatwa i przyjemna sprawa. Coś o tym wiedział, w końcu kochał tę szamoczącą się bez sensu, niewiedzącą, czego chce, sfrustrowaną wariatkę.

I martwił się o nią, kiedy się tak szarpała i płakała. Tak naprawdę nigdy nie przestał pytać, czego jej brakuje, co jest nie tak. Po prostu już nie robił tego na głos, bo nie było sensu.

– Będę miała mniej czasu – wymamrotała w końcu.

Skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Nie powiedział, że dobrze, ani że w porządku, gdyby powiedział, wściekłaby się i wypadła z wozu. Miałaby zresztą rację, bo „dobrze” ani „w porządku” najwyraźniej nie było.

– W stolicy mamy wyjść w piątkę. Ja, mama, tata, Atia i Paz. Wiesz... To nie był nasz najlepszy sezon.

– Tak słyszałem.

– Właściwie to był fatalny.

– To też słyszałem.

Pokręciła głową, zagryzając wargi i patrząc w sufit.

– Zawsze o tym marzyłam – powiedziała gorzko. – Żeby wreszcie wejść na scenę i zacząć walczyć. Przez cały czas się wściekałam, że robię tylko akrobacje, że wciąż ćwiczę z atrapami. I co? Dostałam, co chciałam, Atia zaszła, zaczęłam występować i wszystko spieprzyłam. Jak spieprzę jeszcze to... My się nigdy nie odkujemy, jak nie odpalimy teraz czegoś wielkiego. Nigdy.

– To będzie wielkie – odparł Sore z niezachwianą pewnością, bo taka była przecież jego rola.

– Myślisz?

Skinął głową.

– Znam cię, Vera. Masz duszę wojownika, wiem coś o tym, i ciało wojownika, o tym też co nieco wiem. Może po prostu nie jesteś stworzona do pojedynków, przecież zawsze występujesz z jednym partnerem. Kiedy ludzi jest więcej, energia jest zupełnie inna. Myślę, że kiedy będziecie walczyć w piątkę, wszyscy razem, łatwiej będzie ci się odnaleźć.

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.

– Sore... och, Sore – wyszeptwała, a potem wybuchła płaczem.

Następnego dnia został sam.

Nie rzuciła go, nic z tych rzeczy. Po prostu większość czasu spędzała teraz z rodziną, nawet w podróży, a kiedy tylko się zatrzymywali, cała piątka znikła na trening, ciężko było nawet powiedzieć, kiedy i jak. Dziewczyna pojawiała się właściwie tylko w nocy, i Soremu pozostawało odczytywać sytuację z jej nastrojów – co nie było trudne.

Bywała radosna. Czasem wracała, prawie tańcząc, rozpromieniona, szeroko uśmiechnięta, zmęczona, ale szczęśliwa, jak to się mówi, i kazała się całować, bo inaczej wszystko mu opowie, a przecież nie może.

Częściej wracała przygnębiona, wściekła i smutna – głównie wściekła, Vera wszystkie złe uczucia przekuwała w gniew – i wtedy też kazała się całować, bo inaczej wszystko mu opowie, a przecież nie może. Później, kiedy myślała, że Sore już śpi, szlochała z dłońmi przyciśniętymi do ust, czasem wymykała się z wozu, żeby biegać i tłuc pięściami powietrze.

Była wtedy zachwycająca i ukryty w mroku Sore nie potrafił zrozumieć, dlaczego walka na arenie idzie jej o tyle gorzej. To nie było przecież tak, że Vera nie lubiła, jak się na nią zwracało uwagę, jak się ją podziwiała. Przeciwnie, uwielbiała się popisywać, była w tym jak dziecko.

Nie miał jednak wątpliwości, gdzie leży źródło problemów – tam, gdzie zakazała mu chodzić, na co nie wolno mu było patrzeć. Ale nie miał zamiaru łamać danego jej słowa. Dlatego zrobił to, co robi większość mężczyzn, którzy nie wiedzą, jak sobie poradzić z kobietą. Postanowił dać jej prezent.

Vera kochała kwiaty, spośród kwiatów najbardziej kochała lilie, a spośród lili najbardziej kochała te, które zostawiono, żeby rosły w spokoju zamiast je zrywać – chyba że akurat miała kaprys włożyć sobie jakąś za ucho. Sore bardzo lubił takie kaprysy. Któregoś razu, zanim zaczęli się kochać, ostrożnie wyplątał kwiat z ciemnej gęstwiny jej włosów i zachował. Była trochę zdziwiona, bo żadne z nich nie miało

skłonności do tego typu niepraktycznych gestów. Nie mieli w nich też wprawy, więc wcale się nie zdziwiła, kiedy ozdoba zaginęła.

Tylko że nie zaginęła, Sore wziął z niej po prostu to, czego potrzebował, a resztę wyrzucił.

Kilka tygodni później zatrzymali się w wiosce nieopodal klifu, przy którym prawie zginął. Oboje lubili to miejsce, więc ją tam zabrał. Był wieczór, słońce zachodziło, więc las, piasek, ich twarze, wszystko nabrało pomarańczowo-żółtego odcienia. Sore sięgnął do sakwy, którą zabrał ze sobą, i wyciągnął z niej skórzane zawiniątko.

– Mam coś dla ciebie – oświadczył, podając dziewczynie przedmiot. – Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Dawanie Verze prezentów było cudowną czynnością, bo rozpromieniała się dokładnie tak samo, jak się wściekała – cała, w jednej chwili i do ostatniego kawałka. Rozpromieniła się więc i rozwinęła pakunek.

Lilie miały smukłe liście przypominające ostrza, a ponieważ o wiele łatwiej było pokazać kowalowi kształt, o który chodziło, niż go opisać, noże ofiarowane dziewczynie w prezencie miały smukłe ostrza przypominające liście lilii. Ciemne, wypolerowane na błysk diogorskie żelazo zdawało się chwytać promienie słońca w pułapkę, kumulować gdzieś w środku, w niewidzialnym rdzeniu, łodydze. Miało się wrażenie, że broń wibruje od wewnętrznej energii, zupełnie jak jej właścicielka. Rękojeści z twardego drewna owinięto rzemieniem dla lepszego chwytu, tak drewno, jak skóra mocno pachniały olejem. Na pochwach wytłoczono lilie.

Jednym słowem, noże były piękne.

Wypadły jej z rąk, kiedy przycisnęła dłonie do ust. Popatrzyła na broń. Na Sorego. Znów na nie. Znów na niego. I wiedział, że coś jest nie tak. Że gdzieś popełnił błąd. Naprawiłby go, naprawiłby, gdyby dała mu szansę.

Ale nie dała. Odwróciła się i odbiegła.

Chwyciło go nagle, ścisnęło za gardło – zawód, smutek i żal, w takim zestawieniu, jakie można poczuć tylko wtedy, kiedy zrani się kogoś czymś, co miało mu sprawić radość.

Niżej, w przeponie, pod mostkiem, żarzyła się wściekłość.

Talion lśnił w promieniach zachodzącego słońca, drzewa szumiały cicho na wietrze, świat trwał bezlitośnie niewzruszony, a mężczyzna próbował przyswoić myśl, że to koniec. Że dłużej nie może tak być, a ponieważ nie może być inaczej, to nie będzie w ogóle.

Schylił się błyskawicznie – dawno nie poruszał się tak szybko, dawno nie musiał, dawno nie walczył – podniósł lilie, obrócił się i cisnął pierwszą z nich przed siebie, prosto w wodę.

Ktoś wykręcił mu rękę z drugim ostrzem, odepchnął gwałtownie do tyłu, tak że niemal przewrócił się na piach. Zauważył tylko chmurę czarnych włosów, a potem, kiedy złapał równowagę, sylwetkę Very, kiedy wbijała się w wodę.

Długo nie wypływała, na tyle długo, że Sore poczuł budzącą się w nim panikę. Nim jednak zdążył zrobić coś głupiego, siffango wynurzyła się gwałtownie. W kilka chwil była przy brzegu. Kiedy wbiegała po stromej ścieżce pnącej się po zboczu klifu, zauważył, że nim rzuciła się w wodę, upuściła coś.

Swoje sceniczne noże.

Nie tknął ich.

– Coś ty zrobił?! – zawołała, stając przed nim, zdyszana, ociekająca wodą, w przemoczonym ubraniu. – Jak mogłeś?!

– Są twoje. Jeśli ich nie chcesz, nie ma sensu, żeby w ogóle były.

– Nie chcę? – jęknęła. – Sore, ja... są wspaniałe. One... to jest... naj... – Potrząsnęła głową. – Tylko że muszę ci coś pokazać.

Nigdy jeszcze nie widział jej tak nieszczęśliwej i tak przerażonej, ale nigdy też nie widział na jej twarzy takiej determinacji. Odwróciła się, schyliła, podniosła z ziemi noże, te, których nie wolno mu było dotykać, i wyciągnęła w jego stronę.

– Śmiało – wydusiła. – Weź je.

Wziął. Były lekkie.

Były drewniane.

Spojrzał na nią pytająco, ale nie miała szans zauważyć tego spojrzenia. Stała przed nim ze wzrokiem wbitym w ziemię, ze łzami spływającymi po policzkach, zawstydzona do granic możliwości. Cofnęła się o krok.

– Dlatego nie chciałam, żebyś ich dotykał. Nie chciałam, żebyś wiedział. Nie chciałam po prostu... żebyś mnie zostawił. Przepraszam. Nie wyrzucaj lilii, są piękne, są dla kogoś innego niż ja, ale są piękne.

Znów się cofnęła.

– Przepraszam.

Sore poznał Verę na tyle, że zdążył chwycić ją za ramię, zanim się odwróciła i znów uciekła.

– Są dla ciebie. Drewniane też zrobimy. I nie zostawię cię.

– Nie?

– Nie. Ale mam prośbę.

Patrzyła na niego z obawą, i słusznie.

– Naucz mnie. Chcę z tobą występować.

Wyrwała się gwałtownie, wykrzyczała, że Sore nic nie rozumie i zostawiła go. Żadnej innej reakcji się nie spodziewał. Zebrał dwa

komplety noży i ruszył w stronę obozowiska, spokojny, pewny, że Vera się zgodzi. Złamie jej to serce, ale się zgodzi.

Swego czasu Sore w bardzo bolesny sposób nauczył się, że źle zrosnięte rzeczy trzeba łamać na nowo i dopiero potem składać. Zadziałało na jego piszczel, powinno zadziałać i naserce.

*

Pokaz dobiegł końca. Piątka siffango stanęła na środku areny. Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległy się entuzjastyczne oklaski. Pięcioro siffango w jednym numerze to było coś, czego jeszcze nie widziano, nawet w stolicy.

Mimo to Ief patrzył na scenę z miną zaciętą i ponurą. Publiczność była zadowolona, ale to nie była ekstaza, która mogła uratować cyrk, sprawić, by jego przyjazd został w każdym miejscu Schan uznany za święto. Ludzie rozejdą się zadowoleni, porozmawiają z jednym czy drugim o tym, co widzieli, i zapomną. Albo gorzej, zorientują się, że poza piątką siffango w tym pokazie nie było nic szczególnie ciekawego.

Ief wiedział, kogo za to winić. Wszyscy wiedzieli.

Nie było sensu. Skończyło się, po wyjeździe ze stolicy trzeba będzie rozdzielić pieniądze, rozpuścić trupę i tyle. Poradzą sobie. Byli profesjonalistami, po prostu gwóźdź programu nie grał. Może zejda się kiedyś bez niej. A może nie. Raczej nie.

Głupia, leniwa suka. Ief czuł gniew, swój i całej trupy, wszystkich ludzi, którzy stali za nim, czekając na znak, żeby wyjść i się ukłonić. Gniew, żal i nienawiść.

Wystarczyła iskra, żeby emocje wyrwały się spod kontroli, Ief nie wiedział, co to było. Rozległ się krzyk. Coś w coś uderzyło.

Ktoś przemknął obok Iefa, cień o wyszczerzonych zębach, płonących żądzą mordu oczach.

Sore. Sore, którego Vera porzuciła miesiąc wcześniej, a który mimo to został w cyrku, bo się przywiązał. Sore, z którym nawet nie rozmawiała, na którego nawet się nie darła, i który cierpiał z tego powodu katusze.

Oklaski urwały się, publika wstrzymała oddech, kiedy mężczyzna z rykiem wpadł w równy szereg siffango i przerwał go, przewracając Verę na ziemię. Przetoczyli się po arenie, równocześnie poderwali na nogi.

Mężczyzna wyciągnął miecz, powietrze zaświszczało, kiedy zakręcił nim młynka. Rzucił jej coś pod nogi. Noże. Oboje odwrócili głowy w stronę rodziny Very, właśnie otrząsającej się z zaskoczenia.

– Won – polecili.

Ief nie miał pojęcia, kto dał znak, by akrobaci splunęli ogniem. Podejrzewał Agę.

Nikt nie potrafił potem opisać tego, co działo się na arenie. Było dwoje ludzi, to na pewno, dwa ciała, trzy ostrza. Były mordercze ciosy, chybiające o włos. Był blask ognia, igrający na broni, która poruszała się tak szybko, że miało się wrażenie, że Vera i Sore walczą wśród iskier. Były bliźniacze odruchy, jak wtedy gdy minęli się w identycznych obrotach, plecy w plecy, lśniąca od potu skóra ocierająca się o lśniąca od potu skórę.

Był moment, w którym Vera rozpaczliwie walczyła o życie, próbując zwiększyć dystans, zdobyć choć skrawek przestrzeni. W końcu uciekła na podest, ale i tam dopadł ją w mgnieniu oka. Przez chwilę walczyli w zwarciu i dziewczyna była czystą furią. Tym razem to Sore musiał ratować się ucieczką, chwycił linę i odbił się od podestu, by przelecieć na następny.

Vera, niewiele myśląc, cofnęła się, wzięła rozbieg i skoczyła w jego stronę. Ief krzyknął. Nie było chyba w cyrku człowieka, który by nie krzyknął, poza Verą i Sorem.

Mężczyzna złapał siffango w locie i przyciągnął do siebie. Oplotła go w pasie nogami, odchyliła się ze śmiechem, rozłożyła ręce, wypuściła broń. Noże wbiły się w piach.

Opuścili się na ziemię, ukłonili, pocałowali.

A przeklinający na czym świat stoi Ief dostał wreszcie oklaski, o które mu chodziło.

*

Tym razem nie wydawało się, że jest dobrze. Tym razem po prostu dobrze było. Przez pewien czas. Na tyle długi, że szło się przyzwyczaić, więc przyzwyczaili się, oczywiście.

Występowali tylko we dwoje, a Vera zabroniła całemu cyrkowi z Iefem na czele oglądać ich treningi, tak jak zabroniła kiedyś Soremu. Nie tylko dlatego, że każdy dotyk balansował na granicy ciosu i namiętnej pieśzcoty, nie tylko dlatego, że ta granica robiła się coraz bardziej rozmyta, że zawsze w końcu znikala i lądowali nadzy na ziemi. Aż dziwne, że zdążyli objechać całe Schan, nim Vera zaszła w ciążę. Była wniebowzięta, Sore podobnie, Ief trochę mniej – niepokoił się, że zyski spadną, okazało się jednak, że niepotrzebnie. Ludziom nie chodziło już o pokaz Very i Sorego – chodziło o Verę i Sorego, walczących kochanków, otoczonych romantyczną legendą, której dziecko mogło tylko

pomóc. Trupa zarabiała więc tyle samo, co wcześniej, czasem nawet więcej, a publice wystarczało, że ich ulubieńcy wyszli się ukłonić.

Ulubieńcom bezczynność szybko zaczęła doskwierać, Vera była nieznośna, ale – ogólnie rzecz biorąc – było naprawdę dobrze. Spokojnie i normalnie. Tara urodziła się zdrowa, śliczna i czarna jak noc.

Razem z jej narodzinami zaczęły się jednak ponure pogłoski. O diogorskich maszynach nad górami. O wojskach w przełęczach. O żelaznym kruku, który wylądował w komnacie sypialnej króla z listem w dziobie, listem, który w uprzejmy, iście północny sposób informował, że królestwo Diogorii wolałoby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi poddanych po obu stronach, więc proponuje, by jego wysokość król Schan złożył hołd lenny, gdyż w przeciwnym wypadku armia będzie, niestety, zmuszona wkroczyć.

O Przewodnikach gubiących się w transach swoich Widzących i wpadających w obłąd.

A po pogłoskach faktycznie przyszła wojna.

Początkowo Ief niezbyt się tym przejmował. Diogoria była wprawdzie, o ile wiedział, potężnym mocarstwem, ale nie stosowali tam przecież magii. Diogorczyki pozbawili się jej sami przed wiekami i szef trupy wątpił, by mieli szanse z Południem, dysponującym czarodziejami, czarodziejkami, Widzącymi i Przewodnikami.

Robił błąd, który robi większość ludzi – zakładał, że wojna będzie krótka i przejdzie bokiem, zupełnie jakby nie wiedział, że kiedy już pojawi się w okolicy, wojna nigdy nie jest wystarczająco krótka i wystarczająco z boku.

Jeździli dalej. Byli może najsławniejszą trupą w Schan, ale to nie znaczyło, że mogli spocząć na laurach, wręcz przeciwnie. Zresztą, armie znajdowały się daleko, a oni nie po to mieli koła w wozach, żeby stać w miejscu.

Zdarzały się wprawdzie ograniczenia, ale nic, z czym nie dałoby się żyć. Ot, tu nie można dojechać, tu się nie opłaca, bo nikt nic nie ma, tu ktoś, kto zawsze dostarczał im prosiaka z gospodarstwa, poszedł na wojnę.

Nic, czego nie dałoby się zignorować.

*

Znów była wściekła. Atakowała z dziką furją, na którą nie zasłużył, i wyprowadzała albo śmiertelnie groźne, albo bardzo łatwe do uniknięcia ciosy. A w którymś momencie, gdy wytracił jej broń, rzuciła się na niego z pięściami. Bywało to czasem ciekawe, ale nie wtedy, kiedy tłukła nimi

na oślep.

– Puszczaj! – krzyknęła, gdy chwycił ją za nadgarstki i uniósł ręce w powietrze.

– Vera. Co się dzieje?

Zacisnęła usta, potrząsnęła głową z zaciętą miną.

– Puszczaj, powiedziałam. Dzieckiem się muszę zająć. Nakarmić ją trzeba.

Dziecko spało smacznie w rozwieszonej w rozsądnej odległości chuście i absolutnie nie było trzeba go karmić. Właściwie zbliżanie się do niego było najgorszym pomysłem, na który można było wpaść, bo momenty przed zaśnięciem i po przebudzeniu to były te chwile, w których Tara najbardziej przypominała matkę. Oboje wiedzieli o tym bardzo dobrze, toteż Sore tylko popatrzył na żonę wymownie. Szarpnęła się i wyrwała z jego chwytu.

– Daj mi spokój. Wiesz, jak kończy się gadanie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Awantury będziesz robić, tak czy inaczej. Wolę, jak wiem, skąd się biorą.

Przez chwilę mierzyła go gniewnym spojrzeniem.

– Słyszałeś, że nie jedziemy do Tzuli?

Skinął głową.

– Słyszałem.

– I nie rusza cię to? Zawsze tam jeździliśmy!

Pokręcił głową.

– Może nie zdążyłem się przyzwyczaić.

– Przez tyle czasu?! – zawołała.

Odetchnęła z irytacją, a potem mówiła już spokojniej, z jakąś dziwną tęsknotą:

– Ja tam pojechałam pierwszy raz, jak byłam tak mała jak Tara. Nie pamiętam, oczywiście, mama mi mówiła. Ale potem to uwielbiałam. To świetne miejsce dla dzieciaków, są tam takie skały...

– Teraz jest tam przede wszystkim Diogoria.

– No właśnie! – zdenerwowała się znów. – Jest tam, a my tam nie jedziemy! Jak tchórze!

– Jak rozsądni ludzie. Tam jest niebezpiecznie.

– Życie jest niebezpieczne! To znaczy, że mamy je oddać?!

– Staramy się właśnie nie oddawać.

– I to jest według ciebie nieoddawanie?! Tu nie wolno, tam nie wolno, tu trudniej, wszystko się rozpada, nie widzisz tego? Robią z nami, co chcą, a my im pozwalamy!

Urwała, odeszła parę kroków, walnęła pięścią w drzewo. Sore milczał – również dlatego, że doskonale ją rozumiał. Mówiła to, co on czuł. Miała rację.

Mieli też rodzinę. Dziecko w chuście i cały cyrk.

– Walczyłeś kiedyś z Diogorczykiem? – zapytała w końcu, odwracając się do niego. Spojrzenie wciąż miała gniewne, ale mówiła spokojniej. – To prawda, co o nich mówią?

Pokiwał głową.

– Chyba tak. Choć zdarzyło mi się tylko raz. Był banitą.

– I jak walczył?

– Pięknie. Więcej uwagi poświęcał wzorom, jakie wyrysowywał w piachu stopami, niż temu, żeby zrobić mi krzywdę albo się bronić.

– Czyli łatwo poszło? – Vera sprawiała wrażenie nieco rozczarowanej.

Uśmiechnął się.

– Ani trochę.

– Jak to?

– Był dobry. Coś faktycznie jest w tej ich walce. Ciężko to wyczuć, ciężko się połapać, jakby mówili innym językiem.

– Ale pokonałeś go?

– Stoję przecież przed tobą.

– Jak?

Wzruszył ramionami.

– Staralem się być skuteczny. Mówiłem ci, to jedyny sposób.

Prychnęła gniewnie.

– Ale co on robił? No pokaż!

Sore westchnął cicho, ale był zadowolony. Odszukanie w pamięci pięknego wzoru, jaki pozostawiał za sobą w piasku diogorski banita, nie zajęło mu wiele czasu, pokazał go więc Verze i resztę treningu spędzili, rozważając jego funkcjonalność i widowiskowość. Powtarzali to potem od czasu do czasu i dobrze to wpłynęło na ich pokazy, choć Soremu trudno byłoby opisać zmianę, która zaszła. Wiedział tylko, że harmonia była lepsza niż wcześniej, owacje gorętsze, a oczy publiki błyszcząły bardziej.

Gdyby zapytał Iefa, dowiedziałyby się, o co chodziło. Mężczyzna powiedziałby mu o tym, co oboje z Verą mieli teraz w ruchach, o żarliwości, z jaką się szarpali, i o rozczarowaniu, które nadchodziło, kiedy walka dobiegała końca i kłaniali się – zakochani, groźni i przypominający zwierzęta, którym nie udało się wyrwać z klatki. Rozczarowaniu, które zostawało w sercu na długo, tkwiło tam jak zadra, drzazga, która potem kielkowała w tęsknotę i gniew.

*

Nikt nie mógł przecież mieć wątpliwości, gdzie tak naprawdę chcieli być siffango, do czego się rwali i z kim chcieli walczyć.

Nim wybuchła wojna, Ief sądził, że Vera i Sore już stali się legendą. Dopiero kilka miesięcy po tym, jak armie starły się po raz pierwszy, zorientował się, że nie miał racji. Wcześniej byli, owszem, popularni. Ale legendarni stawali się dopiero teraz. Kiedy przestali walczyć tak, że ludzie na koniec byli zachwyceni, i zaczęli robić to tak, że gdy wychodzili się kłaniać, publiczność była nieszczęśliwa.

Sore nie zapytał jednak, nie dowiedział się więc, że nie chodziło o żadne diogorskie znaki, a o to, czego ani on, ani Vera nie potrafili wyrazić inaczej niż w ruchu, przyspieszonym biciu serca, szumie krwi w uszach i jej posmaku na języku. W życiu.

O to, co wybuchło wtedy, gdy w Nadklifiu trafili wreszcie na Diogorczyków.

To była najmniejsza miejscowość, w jakiej występowali. Od pewnego czasu nie przejmowali się już wioskami, zatrzymując się głównie w miastach i miasteczkach, ale musieliby być szaleni, żeby omijać Nadklifie. Nie chodziło tylko o wartość sentymentalną, związaną z tym, że nieopodal znaleźli Sorego, choć to ona sprawiała, że mieszkańcy szaleli na ich punkcie. Żaden szanujący się cyrk nie omijał Nadklifia dlatego, że osada leżała na przecięciu dwóch głównych traktów Schan.

Życie wioski koncentrowało się wokół czterech karczm, w których zawsze byli goście. Jeśli coś się tam zdarzyło, całe Schan dowiadywało się o tym w ciągu kilku tygodni. A jeśli coś zdarzyło się gdzie indziej, w ciągu kilku tygodni dowiadywało się o tym Nadklifie.

Żołnierze zatrzymali ich właściwie tuż przed wioską. To było dziwne uczucie – wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak zawsze, słońce świeciło, drzewa szumiały, chata starej Nary stała tam, gdzie zwykle, ze swoim garbatym, porośniętym mchem dachem, tylko że na trakcie stało dwoje Diogorczyków, białych i smukłych, w ciemnych pancerzach przyozdobionych błękitnym symbolem włóczni. I pytali, jaki interes mają Ief i jego „kompani” w wiosce. Szef cyrku był w takim szoku, że na początku rozmawiał z nimi jak z normalnymi ludźmi, nie jak z żołnierzami najeźdźcy.

– Co to, nie widać? Cyrkiem jesteśmy, pani. Planowaliśmy dać przedstawienie, ale to chyba nie czas. Dajcie przejechać.

Kobieta, do której się zwracał, posągowa piękność o czarnych włosach, przeniosła wzrok na jednego ze swoich towarzyszy, potężnie

zbudowanego żołnierza o przystojnej twarzy.

– Hornak, idź po kapitana – poleciała. – I powiedz, że wędrowny cyrk prosi o pozwolenie na przejazd.

Mężczyzna pochylił się w płytkim ukłonie i odszedł. Póki nie wrócił, na trakcie panowała ciężka, niezręczna cisza.

Kapitan Diogorczyków okazał się siwiejącym, żylastym mężczyzną o zmęczonych, ale bystrych szarych oczach. Zmierzył cały tabor uważnym spojrzeniem.

– Cyrk? – powiedział, przeniósłszy wzrok na Iefa.

– Tak, panie.

Skinął głową.

– Dobrze. Zobaczmy.

– Słucham?

– Rozłóżcie się, wieczorem obejrzymy wasz pokaz. Słyszałem wiele dobrego o schzańskich cyrkach, a moim ludziom przyda się odpoczynek.

Rozłożyli się więc, nie mieli przecież wyboru, a rozkładając się, usłyszeli co nieco o tym, co zaszło w wiosce.

Diogorczyków było trzydzieścioro. Wystarczająco mało, żeby wieśniacy uznali, że można sobie z nimi poradzić za pomocą wideł i kos, wystarczająco dużo, żeby przekonać ich, że jednak nie. Nie padło wiele trupów – pięciu bardziej krewkich mężczyzn i wójt, który nie chciał poddać wioski. Poza tym ludzi nie tknęli, zabrali trochę zapasów i zajęli karczmy, żeby przenocować. Następnego dnia mieli zamiar wyruszyć z powrotem do głównego trzonu armii.

Zachowywali się bardzo po ludzku, jeśli się nad tym zastanowić, nikt jednak nie chciał się zastanawiać. Były ofiary, było obce wojsko, była wściekłość, żal, rozgoryczenie, smutek i poczucie bezsilności, była złość na najeźdźców, że nie zachowują się gorzej, że próbują działać tak, jakby widzieli w mieszkańcach wioski normalnych ludzi, była złość na tę złość, tak głupią i daleką od wszelkiego rozsądku, jak to tylko możliwe.

Verę nosiło od samego patrzenia.

To było jej Nadklifie, zajęte przez Diogorczyków, w którym próbowano jej rozkazywać, w którym nie było już tego głupiego, grubego wójta, bo na koniec okazał się odważniejszy niż ona i ktokolwiek w cyrku, stanął naprzeciwko wroga, zawałczył z nim i zginął. Nadklifie, w którym mieli dać spektakl, jakby nic się nie wydarzyło.

To był ich najlepszy spektakl. To był prawdopodobnie najlepszy spektakl, jaki dał ktokolwiek kiedykolwiek.

Diogorczycy byli rozsądni, byli ludzcy, ale byli również obcy i nieobliczalni. Kiedy występujesz dla najeźdźcy dlatego, że tak ci rozkazał, starasz się, żeby wszystko było idealne, bo kto wie, co mu się nie spodoba i co wtedy zrobi.

Akrobaci i żonglerzy jeszcze nigdy nie działali z taką precyzją, treserzy bestii nawet ruchy mieli podobne do zwierząt, którymi się opiekowali. Rodzice Very, jej siostra i szwagier dali perfekcyjnie rozegrany pokaz. Wszystko znalazło się na swoim miejscu – emocje, niebezpieczeństwo, doskonale wyćwiczone ciała. Akrobacje i ciosy pojawiały się tak gęsto i szybko, że ciężko było się zdecydować, na co akurat patrzeć. Publika, zarówno nadklifianie, jak i Diogorczycy, oniemiała, Ief poczuł wtedy zupełnie niestosowną satysfakcję.

Nie trwała długo, bo nadszedł czas na ostatni numer. Na gwiazdy, legendy. Verę i Sorego.

W większości wypadków ich pokaz był doskonały ze względu na strach. Ale nie tamtym razem.

Płomienie wystrzeliły w górę w czterech rogach sceny, wydobywając z mroku dwie sylwetki. Skóra doskonale dopasowanych kostiumów i miedź zdobień. Ciała czarne jak noc i napięte jak struny. Dwie pary lśniących oczu, spoglądających na Diogorczyków z zacieklą nienawiścią.

Na mgnienie oka wszystko zamarło, nikt nie oddychał, Ief przysięgłby, że nie biło żadne serce.

A później scena wybuchła.

Najpierw chmurami piachu i trocin, kiedy dwie sylwetki splątały się w walce, by zaraz rozdzielić się gwałtownie. Siffango odskoczyli od siebie, prawie wpadając w widownię, równocześnie chwycili umocowane na brzegach areny pochodnie. Zawirowały w powietrzu, ciśnięte do ogromnej czary.

I scena wybuchła po raz drugi, ogniem. Vera i Sore krążyli wokół niego, nie spuszczać z siebie wzroku, przygarbieni, broń w ich dłoniach wyglądała, jakby sama rwała się do walki, jakby wstrzymywali ją siłą, ale ich ciała też były bronią, też się rwały, i nagle po prostu pozwolili im się prowadzić.

Sami byli jak płomienie. Nie walczyli w blasku ognia, byli ogniem, niemożliwi do określenia, wciąż w ruchu, a jednocześnie tak bardzo obecni. Powietrze pełne było dymu, piachu, płonących w powietrzu trocin, cienie kładły się na nim jak na ziemi i po kilku chwilach nikt już nie wiedział, co jest ciałem, a co cieniem właśnie. Wszystko było walką, żarem, emocją, metalicznym szczękiem broni, choć przecież Ief wiedział, że Vera i Sore używają drewnianych atrap.

Wszystko było też na pokaz, specjalnie dla Diogorczyków, tak, jak sobie zażyczyli.

„Patrzcie” – mówili Vera i Sore.

„Patrzcie uważnie”.

„To dla was. Moglibyśmy zrobić to wam”.

„Chcielibyśmy zrobić to wam”.

Nikt nie klaskał, kiedy płomienie w czarze przygasły i siffango zakończyli pokaz.

Nikt nie klaskał, kiedy dołączyła do nich reszta trupy, by się uklonić. Prostując się, cyrkowcy mieli wrażenie, że cisza stała się materialna i stawia im opór, gęsta, ciężka od zachwyty i napięcia.

Kolczuga kapitana Diogorczyków zadzwoniła cicho, gdy się podnosił. Nikt nie zatrzymał go, kiedy wchodził na scenę. Vera chciała zaprotestować, ale Ief ścisnął ją za rękę tak mocno, że syknęła z bólu.

– Pokaz – zaczął mężczyzna, kiedy już znalazł się wystarczająco blisko – był zachwycający. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Jestem pełen uznania, wszyscy jesteście. To, co się teraz stanie – zamilkł na krótką chwilę, chcąc chyba podkreślić, że naprawdę się stanie – będzie wyrazem tego uznania. Mam nadzieję, że kiedy emocje opadną, zrozumiecie. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby przeciwko nam stawali tak wyszkoleni i zaciekli wojownicy. Oczywiście – przeniósł spojrzenie na Iefa – wypłacimy odpowiednią rekompensatę. Hornak.

Diogorczyk, ten potężny, o kocich ruchach zabójcy, podniósł się i podszedł do nich.

– Stosownie byłoby, gdybyście stoczyli pojedynek, ale nie chcę ryzykować. Zabij tę dwójkę.

Ciężko opisać dźwięk, który przeszedł przez publikę, ale z pewnością został on ucięty przez ten, który doszedł od oddziału Diogorczyków – szczęk wyciąganej z pochew broni.

Spośród cyrkowców odezwał się tylko jeden. Vera, oczywiście. Wrzasnęła i zginęłaby niechybnie, rzucając się na kapitana, gdyby nie chwycili jej z jednej strony Sore, z drugiej ojciec, który zasłonił do tego usta dziewczyny – krzyczała dalej, ale wrzaski były stłumione.

– Mają dziecko – wycodził Ief przez zaciśnięte zęby.

Kapitan uniósł dłoń, wstrzymując żołnierza, przeniósł wzrok na mężczyznę.

– Małe?

– Niecały rok.

Kapitan skinął głową.

– Dobrze. – Odwrócił się do Hornaka. – Zostaw dziewczynę. Nie

stanowi zagrożenia, będzie zajęta przez najbliższe lata.

Stali. Jeszcze przez mgnienie oka tacy, jakimi stworzyli się na czas spektaklu. A w następnej chwili obróciła wszystko w perzynę. Całą ich pracę, pracę wszystkich cyrkowców, którzy ich poprzedzali, wszystkich siffango, wojowników sławnych na cały świat.

Czy to ważne, jak się wyrwała? To była Vera, przecież nie miała sobie równych, całe Schan o tym wiedziało. Bardzo młoda kobieta, której świat miał zostać roztrzaskany na kawałki przez Diogorczyków, klęczała w pyle przed żołnierzem, który miał władzę nad życiem jej męża. Obejmowała go za nogi, patrząc nań ze łzami w oczach.

– Nie! Proszę, proszę, panie! – Nie miała nic wspólnego z demonem walki, nic wspólnego z nieustraszoną wojowniczką tęskniącą za podrzynaniem gardeł wrogów.

I nagle wszyscy stali się śmieszni, wszyscy stali się jakąś oderwaną od świata kpina, kłamstwem, błyszczącym cackiem ze straganu wędrownego kupca.

– Proszę, to nieprawda, to pokaz, nie walka, spójrzcie, spójrzcie!

Ief poruszył wargami. Być może nawet powiedział „nie” – ale za cicho. Zgroza robi z człowiekiem straszne rzeczy.

Więc być może powiedział, ale nie zatrzymał jej i mógł tylko patrzeć, jak odwraca się gwałtownie. Wychyla. Wyrywa nóż siostry z pochwy przy jej pasie.

– Zobaczcie, dotknijcie! – zawołała, usiłując wepchnąć Diogorczykowi rekwizyt w dłonie. – Drewno! To wszystko kłamstwo, proszę, proszę, zostawcie go, proszę!

Kapitan pochylił się, choć nie musiał, sięgnąłby bez tego. Wziął nóż. Przez chwilę patrzył na niego uważnie, a potem obrócił się lekko. Dzięki temu wszyscy widzieli, jak przedmiot łamie się w rękach Diogorczyka z suchym trzaskiem.

– Ach. – W jego głosie były pogarda i rozczarowanie. Jedno i drugie mistrzowsko odegrane dla publiki. Ief boleśnie zdawał sobie z tego sprawę.

– Przepraszam. Najwyraźniej źle was oceniłem.

Okazanie triumfu nie było odegrane dla publiczności. Te słowa były przeznaczone tylko dla uszu Iefa. Szef cyrku uświadomił sobie, że kapitan od początku wiedział o mistyfikacji.

Kapitan gestem pokazał Hornakowi, by schował broń. Odwrócił się do Sorego.

– Podnieś ją. Nikogo nie zabijemy.

Skinął swoim ludziom głowę.

– Rozejść się.

Zrobili to w ciszy. Najpierw żołnierze, potem wieśniacy, na końcu cyrkowcy.

*

Zwijali się w dziwnym odrętwieniu, nie poświęcając żadnej uwagi temu, co robili, nie rozmawiając, wykonując rutynowe czynności dlatego po prostu, że były znajome, że trzeba je było wykonać bez względu na wszystko, co się stało. Dlatego że oddalały moment, w którym miało się okazać, że to wszystko jest bez sensu, a świat jest nowy i obcy. A oni muszą zmierzyć się z faktem, że działa i wygląda tak samo, mimo że przecież się rozpadł, że Vera go zniszczyła.

To nie tak, że jej nie rozumieli. To było najgorsze. Rozumieli. I sami nie wiedzieli – nienawidzić? Nie nienawidzić? Postąpiliby inaczej na jej miejscu? Nie postąpiliby?

Nie wiedzieli.

Nie było jej w obozie, kiedy schodzili ze sceny, wciąż płakała w ramionach Sorego, nie mogąc ustać na nogach. Potem już nikt ich nie widział, w każdym razie przez jakiś czas – kilka godzin nieznośnego, ale w miarę bezpiecznego zawieszenia, potrzebne do poskładania kostiumów, złożenia rusztowań i zapakowania ich na wozy, zwinięcia lin i reszty sprzętu.

Nikt nie widział, jak wrócili do obozu i znaleźli się w jego centrum, tuż za plecami Iefa. Wrócili jednak, znaleźli się i odezwali. To znaczy – odezwała się Vera. Głos miała spokojny jak nigdy, choć nadal zachrypnięty od płaczu.

– Odejdziemy.

To była prawda. Kiedy mężczyzna się odwrócił, zobaczył to od razu. Było w nich coś gotowego do drogi.

– Oszalałaś – odparł Ief. – Oszaleliście oboje.

– Tak będzie najlepiej. Zwłaszcza po dzisiejszym.

Dzisiejszym. Zabrała mu świat, zniszczyła go, a teraz chciała dokończyć dzieła, opuścić cyrk. Suka. Suka bez serca. I przecież...

– Macie dziecko, na żywioły!

Trafiło, nie mogło nie trafić. Vera skrzywiła się, jakby znów miała się rozpłakać, odwróciła na moment wzrok, ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał normalnie.

– Atia się nią zajmie. Obiecała mi.

Ief odszukał wzrokiem siostrę Very.

– Co?!

– Powiedziała – wyjąkała zdezorientowana Atia – że jeśli coś się stanie...

– Stało się – odparł Sore.

– Przecież się nas boją – odezwała się znów Vera. – Sami tak powiedzieli. Nie rozumiecie? Musimy to zrobić.

– Powiedzieli – zgodził się Ief – a ty im potem bardzo widowiskowo wyjaśniłaś, że są w błędzie. – Potrząsnął głową. – Vera, twój mąż przynajmniej kiedyś był wojownikiem, ale ty? Jesteś cyrkówką, nie wojowniczką, robisz fikołki z drewnianymi kijkami!

– Drewnianymi?

Coś błysnęło, tyle zdołał zauważyć, i nagle w ziemię u jego stóp wbił się nóż, sceniczna lilia Very, a sama dziewczyna stała przed nim z lewą ręką uniesioną na wysokość twarzy. Wnętrze dłoni było rozcięte, krew spływała po przedramieniu, ściekała z łokcia i wsiąkała w ziemię.

Schylił się po broń, powoli, jak we śnie. Wyrwał ją z ziemi.

Żelazo. Diogorska stal.

– Masz swoje drewno – rzuciła. – Masz swoje oszustwo.

– Długo? – wychrypiał.

– Od początku, od zawsze. Od stolicy. Co ty w ogóle myślałeś, Ief? Przecież go kocham.

– Ćwiczyliście...

– Walkę – dokończył za niego Sore.

Dlatego tak dobrze im szło. Żadne z nich nigdy nie nadawało się do gry. Nie rozumieli jej.

*

Vera nigdy nikomu nie opowiadała o pożegnaniu z cyrkiem. Było krótkie, nieznośnie ckliwe i bardzo prawdziwe. Słowa nie potrafiły dotknąć prawdziwych rzeczy, więc nie mówiła. O tym, jak mocno się ściskali, o tym, że siedziała nad śpiącą twardo jak nigdy Tarą, szepcząc, że do niej wróci, na pewno wróci i wszystkiego ją nauczy, niech tylko Diogoria ucieknie za swoje pieprzone góry, mama musi coś naprawić, żeby było tak jak powinno być, i wróci. O tym, że znów płakała. Nie mówiła. Ci, którzy tam byli, wiedzieli. Sore wiedział. Nikogo więcej to nie dotyczyło i nie obchodziło, nie powinno obchodzić.

Nielicznym wybranym powiedziała o tym, co stało się, kiedy zostawili za sobą obóz. Jej dłoń wciąż krwawiła, Sore ujął ją i przycisnął usta do rany. Wyrwała mu rękę i pocałowała w wymazane krwią usta.

Każdemu, kto chciał słuchać, i takim, którzy nie chcieli też, opowiadała natomiast, i nie tylko ona, że tamtej nocy pierwszy raz zabiła człowieka. I drugiego, i trzeciego, piątego. Że płomienie strzeliły w górę w czterech krańcach wsi, bo płonęły karczmy, w których spali Diogorczycy, że dym był gęsty i czarny, jego słupy pięły się w niebo jak pnie drzew, a żołnierze dusili się i płonęli. Jeśli zaś udawało im się wydostać – walczyła z nimi, wreszcie walczyła, i wreszcie umierali lub uciekali.

I wreszcie wszystko było naprawdę.

JUŻ NIEDŁUGO UKAŻE SIĘ:

ILUZJA

DWIE KULTURY, INTRYGI,
TAJEMNICE I KONFLIKT

Przeprowadzony setki lat temu rytuał podzielił świat na dwa kręgi kulturowe – Południowe Królestwa i Diogorię. Na południu, w zróżnicowanych, niejednokrotnie skłóconych królestwach, kobiety zostają Widzącymi, a mężczyźni – ich Przewodnikami, którzy pomagają im w wizjonerskich transach. W Diogorii, krainie skomplikowanych maszyn, honoru i opanowania, nie ma osób obdarzonych talentem magicznym. Diogoria prowadzi podbój południa i gdy nadarzy się okazja wykorzystania Widzącej, by odnieść zwycięstwo. Intrygi i tajemnice nieustannie towarzyszą bohaterom, których losy są w rękach innych, a oni sami walczą o własną tożsamość i odzyskanie kontroli nad swoim życiem.

FANTASTYCZNY DEBIUT POWIEŚCIOWY MARTY
MALINOWSKIEJ!



PIOTR GÓRSKI



Urodził się w 1971 roku w Morągu, mieszka w Trójmieście. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim oraz podyplomowo bankowość i finanse. Publikował opowiadania w „Nowej Fantastyce” i „Feniksie” (m.in. *Horda*, *Melomani*, *Niepomszczeni*), niektóre z nich znalazły się potem w antologiach. W 2017 roku nakładem wydawnictwa HarperCollins ukazała się debiutancka powieść kryminalna Górskiego – *Kruk* – a rok później jej kontynuacja, *Gorszy*. W 2019 roku nakładem SQN Imaginatio ukaze się jego pierwsza powieść fantasy, *Reguła zakonu*.

ZŁOŚĆ BOGÓW

Tanida dostał się do miasta żebraczym przejściem. Przygarbieni starcy, roztaczający wokół siebie woń zółci i stęchlizny, wołali o sztukę srebra od przemycanej głowy. Tanida prowadził ze sobą tylko to dziecko i zapłacił cztery srebrniki. Cztery, bo Król Żebraczy, szczerząc zepsute zęby, obwieścił, że Tanida ma trzy głowy.

– Jesteś głupcem, toż to banda donosicieli – powiedział mu potem Prun.

Prun robił wrażenie. Prezentował się doskonale w bladym płaszczu z wytrawionych skór wołowych i z długimi, lekko tylko posiwiałymi włosami. W rozpięciu bluzy na piersi lśniły złote łańcuchy. U boku tkwiła posrebrzana pochwa z mieczem. Tanida nie pamiętał Pruna z mieczem.

– Wolę ich niż szpiegów przy głównej bramie.

– Nie zorientowali się, kim jesteś? – Prun rozejrzał się, jakby upewniał się, że nikt ich nie obserwuje. Przymurze wydawało się nie kryć tajemnic. Stała tam tylko dziewczynka, która przybyła z Tanidą.

– W końcu dotarło to do ich dziadowskich łbów, ale dałem sobie radę.

Nie zamierzał wyjaśniać, jak to załatwił, a Prun nie zapytał. Zamiast tego ostrożnie taksował go wzrokiem. Tanida zdawał sobie sprawę, jak wygląda. Twarz miał obrzmiałą od piwa, pojawiło się na niej wiele blizn, których nie było, gdy w pośpiechu opuszczał miasto przed laty. Ubranie miał stare, obszarpane, pozbyłby się go natychmiast, gdyby los się uśmiechnął i mógł je zastąpić innym. Za cały majątek służył mu miecz, ale nie ten, z którym wyjeżdżał. Tamten miecz, z rękojeścią z marmurkowej kości, przehandlował za noc z kobietą, o której mówiono, że jest wróżką. Nie była. Nie była nawet ładna, o czym Tanida przekonał się, gdy wytrzeźwiał.

Prun znalazł im kryjówkę: norę na zapleczu walącej się karczmy, której właściciel nie zadawał pytań. Karczmarz nie budził zaufania, Tanida wahałby się dać temu człowiekowi miedziaka do potrzymania, takiej twarzy nie widział od wieków. Zgodził się tam zostać, bo choć Prun był słaby i swego czasu trzeba było go nieustannie bronić przed kłopotami, na ludziach znał się lepiej od Tanidy. Organizował przedstawienia w małym teatrze przy murze, pracował z aktorami. Zadawał się z takimi, którzy bez przerwy udają.

Usiedli przy dębowym stole w izbie na piętrze, gdzie znajdowały się dwa łóżka. Na jednym położyło się dziecko. Dziewczynka zasnęła, odwrócona do ściany. Wyglądała tak bezbronne, że Tanida zacisnął zęby

i zwinął w pięść lewą dłoń, porysowaną żyłami i pozbawioną małego palca.

– TanPer wie o mnie? – spytał.

– Podjął już kroki.

– To nic. Nie zabawię długo.

– Po co wróciłeś?

– Spotkać się z Lassa. Jeśli wciąż tu mieszka.

– Oszalałeś. – Prun zaśmiał się cicho, chrapliwie. – Ona dawno o tobie zapomniała.

Tanida skinął głową. Możliwe, że była to prawda. Możliwe, że oszalał.

– Nie szkodzi – odparł.

Prun długo na niego patrzył, nie mówiąc nic. Tanida rozumiał, co znaczy ten wzrok. Gdy Lassa zobaczy go takiego... Nagle poczuł wstyd. Wstyd przeszedł we wściekłość, bo nie po to odszukał Pruna, by ten go osądzał.

– Lassa robi karierę – rzekł Prun i odwrócił wzrok. – Różnie się teraz o niej mówi.

– Potrzebuję Lassy, której świetnie się wiedzie.

– Ona... – Prun zawahał się. Zapadła cisza, w której dawał się słyszeć regularny oddech dziecka.

– W porządku – powiedział Tanida. – Myślisz, że czego się spodziewałem? Proszę cię, byś zorganizował spotkanie.

– Mieszka w pięknym domu z ogrodami, przy alei starych drzew. Jej rezydencja nazywa się Welfener.

Tanida drgnął.

– Dziwisz się? – Prun uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie. – Niespodzianka. Po tym jak zostawiłeś ją bez niczego.

Prun, kiedyś przygarbiony, nerwowy, gestykujący przy każdym słowie, teraz siedział prosto, z dłońmi spoczywającymi jak martwe na blacie stołu. To było zupełnie niepodobne do człowieka, którego pamiętał Tanida. Świat się zmienił. Ludzie się zmienili.

– Co robiłeś, gdy uciekłeś? – spytał Prun.

– Błąkałem się tu i tam.

– A ona? – Ledwo dostrzegalnym gestem Prun wskazał śpiące dziecko. – Kim ona jest?

– Nazywa się Sae. To długa historia.

– Gdzieś się śpieszysz?

– Nie ufam temu miejscu. Nie chcę tu siedzieć i gadać. Chcę zobaczyć się z Lassa, zanim znowu ucieknę... albo zanim mnie tu pochowają.

– TanPer raczej nakarmi tobą swoje psy – powiedział Prun, wstając.

Miał oszczędne ruchy i głos, który potrafił stracić wszelki wyraz. – Księżę Nadarten spotyka się dziś ze mną w sprawie teatru. Po drodze wstąpię do Lassy.

*

Sukno było przyjemne w dotyku i miało barwę tak intensywnej czerwieni, że Lassa nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Kupiec zauważył ten uśmiech i okazał zadowolenie.

– Wezmę trzy bele, jeśli obniżysz cenę o czterdzieści procent – zaproponowała, aby zetrzeć mu to zadowolenie z twarzy.

Sama się zdziwiła, jak łatwo przychodziło jej składanie tak absurdalnych ofert. Organizowane przez nią dwa ostatnie bale nie odniosły sukcesu i dostała za nie znacznie mniej srebra, niż oczekiwała. Jej finanse trzeszczały w szwach.

Kupiec, który przypominał tłustego wieprza prowadzonego na rzeź, sapnął. Przyjęła go w niedużym, mocno nagrzanym pokoju. Było mu gorąco, wciąż się pocił.

– Weź pięć bel, pani, a ja obniżę cenę o pięć procent – powiedział.

– Nedorzeczność.

Kupiec rozłożył ręce. Wsunął pomiędzy palce brzeg materiału i potarł, żeby zobaczyła jakość splotu. Ale ona nie patrzyła. Wszedł służący i – kłaniając się – powiedział:

– Masz gościa, pani. Sag Prun.

– Niech poczeka – rzekła Lassa, czując, jak cała sztywnieje.

– Prosi, abys przyjęła go natychmiast, pani. – Służący zawahał się, a potem dodał: – O ile takie zachowanie można uznać za prośbę.

– Niech poczeka – powtórzyła.

Służący wszedł. Lassa nerwowo poruszyła się na krześle, bo zrobiło jej się nagle niewygodnie. Bała się wizyty Pruna. Wiedziała, kim stał się ten człowiek, nie chciała mieć z nim nic wspólnego i domyślała się, po co przyszedł akurat dzisiaj. Plotki rozprzestrzeniały się szybko.

– To nie tylko niezwykle piękny, ale także nad wyraz trwały materiał – odezwał się kupiec, starając się zwrócić na siebie jej uwagę.

– Przyjdź później.

– Oczywiście mogę obniżyć cenę do pewnego stopnia. Może nie aż tak bardzo, na pewno nie aż tak bardzo, ale ...

– Jutro. Wróć jutro i zaczniemy od nowa.

Kupiec otarł spoconą twarz i krzyknął na chłopca czekającego za drzwiami. Czeladnik sprawnie zwinął płótno, a potem obaj skierowali się

do wyjścia. Kupiec giął się w ukłonach, a chłopiec ugiął pod ciężarem dużych bel.

– Aikini – zawołała Lassa, a gdy służący wrócił, rozkazała: – Poproś saga.

Prun wszedł do pokoju ostrożnie, jakby spodziewał się tu jedynie nieprzyjemności. Lassa nie wstała z miejsca. Starła się przybrać wyraz twarzy, który choć częściowo maskowałby jej uczucia. Dziś jednak twarz jej nie słuchała.

– Dawno się nie widzieliśmy – powiedziała szybko i zwilżyła językiem wyschłe wargi.

Chciała coś dodać, ale nie pozwolił. Szczupły, z włosami do ramion, w jasnym płaszczu sprawiał wrażenie człowieka delikatnego. Może nawet wciąż taki był w głębi serca.

– To żadna przyjemność dla żadnego z nas. On chce cię spotkać.

– Kto?

– Nie udawaj. Musisz wiedzieć. Wszyscy wiedzą. Pewien głupiec nawet mnie śledzi. Sądzi pewnie, że dzięki temu trafi na jego ślad.

– Tak – westchnęła, podnosząc dłoń wymalowaną w kwiatowe wzory według najnowszej miejskiej mody. Musnęła usta krwiście czerwonymi paznokciami.

– Odradzałem mu to spotkanie.

– Czego chce Tanida?

– Nie powiedział. Jeśli odmówisz, ja zrozumieję. On chyba nie.

Lassa pokiwała głową. Wykrzywiła usta.

– Stare dzieje. Tyle wspomnień, a wszystkie niewiele warte. Nie powinien był wracać.

Czuła na sobie wzrok Pruna. Przestał ją odwiedzać trzy lata temu, zaraz po ucieczce Tanidy, kiedy z własnej woli wniknęła w krąg wpływów TanPera. Z daleka obserwowała, jak ludzie, z którymi wieczorami upijała się winem, powoli niszczą osamotnionego właściciela teatru i spychają w skrajną nędzę. Żałowała go, ale tylko wtedy, gdy o nim myślała, a myślała rzadko. Czasem jedynie brakowało jej jego żartów i afektowanych póz, którymi rozbawiał ją i Tanidę do łez. Żałosny komediant. Aż zaczęły docierać do niej pogłoski i przestała żałować. A potem stało się jasne, że to nie tylko pogłoski, i dziękowała bogom, że nie ma nic wspólnego z Prunem. Może dlatego, że ucieczka Tanidy zepchnęła ich oboje w tę samą otchłań. Nawet jeśli ona udawała, że nie spada tam wraz z nim.

– Czemu tak patrzysz? – spytała.

– Zastanawiam się, czy można ci ufać.

– Nigdy nie wolno mi ufać – rzekła, a jej głos stał się głęboki, bo mówiła prawdę. – Niech przyjdzie wieczorem. Odprawię służbę, zostawię tylko kilkoro zaufanych.

– Powiem mu. – Ostrożnie skinął głową. – A ty przyjmij ode mnie ostrzeżenie. On tu wejdzie i potem wyjdzie... cały i zdrowy, Lasso.

– Bardzo rozsądne – powiedziała i nagle obudziła się w niej złość. – A ty, jakie masz wobec niego plany? Czy wie, że już nie jesteś tym, za kogo cię ma? Wie, kim się stałeś?

– A kim się stałem?

Kiedy Prun opuszczał Welfener, człowiek, który go śledził, odkleił się od ściany jednej z kamienic. Wyglądał na woźnicę, może na pomocnika kowala, ale nie był żadnym z nich. Nieco dalej Prun kątem oka dostrzegł starego Mastifa, jak przechodzi przez ulicę.

Prun zamierzał teraz zająć się tym śledzącym go człowiekiem. Wiedział, kto to, i wiedział, że jest zadufany. Obwisła twarz, okolona kręconymi włosami, sądziła, że jest sprytna. Prun zwabił tę twarz i pociągnie za sobą. Wejdą w północne dzielnice, gdzie ulice są wąskie i puste, a krzyk więźniów w nich jak kamień rzucony w szlam. Tam stary Mastif robi, co należy. Może trzeba będzie mu pomóc, ale Prun nie sądził, że sam ubrudzi ręce.

*

Dziewczynka bawiła się małą lalką wykonaną ze szmat i sznurka. Lalka przedstawiała starą kobietę o zielonych włosach, poskręcanych niczym gałęzie drzewa. Była wytarta, brudna i dziewczynka miała ją ze sobą już wtedy, gdy Tanida ją poznała. Sae odgrywała z lalką jakieś scenki, których znaczenie znane było tylko jej, bo swoim zwyczajem szeptała i nie mógł dosłyszeć słów. Tanida nauczył się, że w taki sposób się bawi i choć wolałby, aby dokazywała i krzyczała jak inne dzieci, zaakceptował to.

Widząc, jak Sae się uśmiecha i marszczy kartoflowaty noseć, śmiał się na głos, bo cieszyła go jej radość, a ona zerkała na niego i uśmiechała się trochę swobodniej. Jego głos nienaturalnie dźwięczał między kamiennymi ścianami izby, której sufit pomazano byczą krwią, poczerniałą od upływu czasu. To nie było miejsce dla dziewczynki. A on nie był właściwym opiekunem. Pewnie dlatego uśmiechała się tak rzadko.

Najważniejsze, że Lassa wciąż mieszkała w mieście. To rozwiązało problem, żywił taką nadzieję. Miał wreszcie trochę szczęścia. Lassa mogła dawno wyjechać, wrócić do domu, do rodziców, których pogrzyżała w rozpacz, odchodząc z Tanidą. Gdyby wyjechała, podjąłby ryzyko na

próżno.

Ale była tu i mieszkała w rezydencji. Skąd rezydencja? Zostawiał ją w mieszkaniu, które wynajmował od TanPera, bez pracy, bez przyszłości. Miała tylko urodę. Co za głupiec z niego. Miała urodę i spryt, a więc miała wszystko. Czy stąd ta rezydencja? Nie chciał pytać Pruna, bo może wcale nie chciał znać odpowiedzi.

Za drzwiami ktoś zaszurał, a potem rozległo się pukanie. Tanida wstał z krzesła. Jego miecz leżał rzucony na łóżko, podniósł go teraz, nie wyjmując z pochwy.

– Kto tam?

– Amarcha. Służąca. – Usłyszeli nieprzyjemny, nosowy głos. – Przyniosłam zupę dla małej.

– Po co to? – Tanida wyszarpnął miecz z pochwy, a drugą rękę chciał oprzeć o sztylcie. Nie miał go. Sprzedał, aby dostać cztery sztuki srebra dla żebraków.

Nie prosił o zupę. Ruchem brody dał znak dziewczynce, aby cofnęła się do kąta.

– Moricius kazał przynieść.

Moricius był właścicielem tego pięknego przybytku. To ten człowiek, któremu ufał Prun. Tylko że Tanida wciąż nie potrafił zaufać Moriciusowi do końca.

– Wejdz, ale powoli – rozkazał.

Drzwi otwierały się stopniowo. Dostrzegł twarz kobiety. Służąca nieśmiało weszła do środka i zatrzymała się na widok miecza. W rękach trzymała miskę, z której parowało. Po izbie rozszedł się zapach gotowanego mięsa.

– Zupa – bąknęła.

Tanida zrobił dwa kroki w tył. Amarcha postawiła cynową miskę na stole, położyła obok niej łyżkę z drewna lipowego i nie spuszczać wzroku z ostrza, cofnęła się do drzwi. Zamknęła je za sobą i Tanida słyszał, jak szybko zbiega po schodach.

Wyjrzał za drzwi, ale nikogo tam nie było.

– Jesteś głodna? – spytał dziewczynki.

Skinęła głową i usiadła przy stole. Wzięła łyżkę.

– Zaczekaj.

Niepokoił się. Nikt nie miał powodu truć dziecka. Mimo to wolał sprawdzić.

Powiesił miecz na oparciu krzesła. Otworzył skórzaną sakiewkę, wyjął brunatną korę, odłamał skrawek i wrzucił do zupy. Patrzyli, jak kora powoli się rozpuszcza.

– Jedz.

Sae jadła łąpczywie. Usiadł naprzeciw niej i patrzył. Rękawy szarej lnianej bluzy, co do której baba na targu w Santradze przekonała go, że to najpraktyczniejszy ubiór dla dziecka w podróży, niemal wpadały do miski. Tanida też był głodny. Moricius, skoro był taki wspaniałomyślny, mógł dać jeść także jemu. Zupa pachniała baraniną i warzywami.

Dziewczynka opróżniła talerz do połowy. Potem odsunęła go od siebie i wyciągnęła łyżkę w stronę Tanidy.

– Nie – odparł. – Zupa jest dla ciebie.

Sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała. Wciąż trzymała wyciągniętą łyżkę.

– Jedz. Musisz jeść. Ostatnio mało jadłaś.

Dziewczynka włożyła łyżkę do miski i odepchnęła ją od siebie tak daleko, jak daleko sięgały ręce. Jej twarz się zamknęła. Nie pozostał na niej ślad uśmiechu. Niewiele znał to dziecko, ale tego grymasu zdążył się już nauczyć. Dziewczynka nie miała zamiaru tknąć zupy.

Przed drzwiami znów rozległo się szuranie. Tanida zwrócił głowę w stronę wejścia, a jego ręka ruszyła na poszukiwanie rękojeści miecza.

– Przyniosłam pieczeń dla ciebie, panie. – Usłyszeli głos Amarchy. – Mogę wejść?

Postawiła na stole parujący półmisek z dużą porcją jagnięcego udźca nacieranego czosnkiem, otoczonego wianuszkami z kaszy. Na widok opróżnionej do połowy miski Amarcha spojrzała pytająco.

Sae szybkim ruchem przysunęła do siebie naczynie i pośpiesznie zaczęła opróżniać miskę do końca.

*

Prun wrócił późnym popołudniem. Dziewczynka siedziała przy stole, bawiąc się zielonowłosą lalką. Po przyjściu Pruna przeniosła się na łóżko.

– Dostaliście coś do jedzenia?

– Moricius zatroszczył się o nas – rzekł Tanida. – Widziałeś Lassę?

– Spotkacie się u niej wieczorem, zaprowadzę cię.

Tanida wyszczerzył w uśmiechu zęby. Dwóch nie miał. Stracił je rok wcześniej w knajpie portowej. Nie pamiętał, o co poszło i kto go tak urządził. Pamiętał czerwone latarnie. Człowiek, którego wygnano z miejsca, do którego należy, pakuje się w tarapaty bez powodu.

– Będziesz mnie chronił?

– Właśnie.

– Zawsze to ja chroniłem ciebie – powiedział Tanida w zadumie.

Rozmawiali, ale on nie myślał o tym, o czym mówili. Nurtowało go coś innego.

– Co to za kariera, którą robi Lassa?

– Organizuje bale. Dla księcia, sagów, kupców i dla każdego z mieszczan, którego na to stać.

Tanida pamiętał, jak Lassa kochała bale. Uwielbiała, kiedy ją na nie zabierał, w czasach gdy całe ich życie było jednym wielkim festynem. Kiedy należał do drużyny wojów TanPera. Chodzili na bale, bawili się do nieprzytomności, a po powrocie kochali. Lassa uważała, że to jest prawdziwe życie. Piękna i pełna temperamentu mówiła, że kocha go do szaleństwa i nie wyobraża sobie życia bez niego. On też jej tak mówił. Czasem, kiedy był w nastroju do kłamstw.

– To chyba uczciwe zajęcie.

– Wiesz, co to oznacza. Obraca się pośród ludzi, którzy wydali na ciebie wyrok.

– Wyrok wydał na mnie jeden człowiek. Inni, cóż, tylko go poparli. Poproszę Lassę o przysługę.

– A ona ci ją wyświadczy?

– Czemu nie?

– Czego od niej chcesz?

Tanida westchnął.

– Inny jesteś. Kiedyś taktowny i elegancki pan Prun. Wciąż jesteś elegancki. Dużo bardziej elegancki, powiedziałbym. Ale czy wciąż taktowny?

– Chcę wiedzieć, w co się pakuję.

– W nic, co mogłoby kogokolwiek zdenerwować.

– Chodzi o to dziecko? – Prun wskazał na dziewczynkę. – Skąd ją masz?

– Nie mam jej. Staram się nią opiekować.

– Aha – powiedział Prun i zmrużył oczy.

– Zabrałem ją z Woon Dart. Nie miała nikogo, kogo by obchodziła.

– Tak po prostu ją zabrałeś? Z Woon Dart? Nie zabiera się dzieci z Woon Dart. Kupiłeś ją.

– Nie.

– W Woon Dart handlują dziećmi jak cukrem. Znajdują dla nich tysiące zastosowań. Tam sieroty nie biegają po ulicach. Jak kupiłeś, sprzedaj. Zapłacę. Mogę zapłacić.

Tanida skinął głową. Dziewczynka ciągnęła lalkę za włosy i zdawała się nie zwracać uwagi na fakt, że o niej mówią.

– Nie biegają.

– Ile za nią dałeś?

Tanida zaplótł dłonie na stole. Miał wielkie dłonie o poczerniałych paznokciach. Nachylił się do Pruna.

– Tam był taki zongler – rzekł. – Nazywał się Kamhou. Dawny żołnierz, jak wielu innych. Ale on był pułkownikiem. Widziałeś kiedyś pułkownika wypruwającego sobie flaki na pokaz? Ma takie same jak zamiatacz gówna. Jak ty i ja. Ale to był pułkownik egzekutorów z wojen przeciw Hung. Wielki człowiek, swego czasu wyrzynał całe osady pełne kobiet i dzieci. I jego flaki były bohaterskie, sławne i pułkownikowskie, więc ludzie płacili mu więcej niż innym, aby oglądać. Nie tak wiele jednak, jak by chciał. Dlatego kupił na targu dziewczynkę. Miała pięć lat i musiała asystować mu w pokazach. Tak mi opowiedziano tę historię. Po dwóch miesiącach nie mdlała już na widok krwi. Po pół roku potrafiła uśmiechać się w czasie przedstawienia. Na początku trzeciego roku musiała ciąć się obok niego. Wtedy widziałem ją pierwszy raz. Ludziom się podobało. Mnie nie.

– Nie chcę twoich historii – powiedział Prun, odchylając się na krześle. – Nie takich.

– Jak pokaz się skończył, poszedłem za tym Kamhou. Nie mam pojęcia, jak oni chodzą sobie tak po prostu po tym wszystkim, co wyprawiają ze swoim ciałem. Ale on szedł, a ja szedłem za nim. Ją musiał nieść, bo sama iść nie mogła. Kamhou mieszkał w takiej luksusowej willi, na którą mnie nigdy nie będzie stać.

– Więc nie kupiłeś jej, tylko ukradłeś.

– To był człowiek bez serca.

– Nie ścigał cię?

– Był bez serca, bo kilka dni później wyjąłem mu je przez gardło. Powiedz jeszcze raz, że chcesz kupić to dziecko, a wyjmę serce tobie.

Twarz Pruna stała się matowa.

– Tego akurat nie zrobisz – rzekł cicho.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Pierwszy przerwał je Prun.

– Rozumiem. Mała nie jest na sprzedaż. Mogłeś powiedzieć... po prostu to powiedzieć, zamiast gadać o zonglerach wnętrzości. Jak mówiłem, nie chcę twoich historii. Nigdy nie poprawiały mi humoru.

Spojrzał na dziewczynkę i napotkał jej wzrok. Oczy Sae wydały mu się martwe. Dziewczynka zaciskała usta.

– Gdy wyjdziemy, małą możesz tu zostawić.

– Moricius to z pewnością człowiek o gołębiim sercu. Tak samo jak ta jego służąca, Amarcha. Ale Sae pójdzie ze mną.

– Moricius nie ma gołębiego serca. A Amarchę wykupił od kata. Mimo

to dziewczynka będzie tu bezpieczna.

Tanida nie powiedział nic i Prun westchnął.

– Dlaczego jej pomagasz? Gdyby ktoś mi powiedział, że opiekujesz się dzieckiem, ze śmiechu oplułbym mu twarz.

– To złość bogów.

Tanida nie wyjaśnił więcej. Siedział, zaciskał szczęki i patrzył pustym wzrokiem w ścianę.

*

Miasto było takie, jak Tanida je zapamiętał. Kamienne wystawne domy sąsiadowały z drewnianymi barakami. Brukowana ulica cuchnęła, a ludzie zadzierali głowy, wypatrując deszczu, który by splukał ten smród choć na jakiś czas.

Dziewczynka nie odstępowała Tanidy na krok. Nowe miejsce nie budziło w niej żadnych uczuć. Czasem tylko, gdy mijali nieliczne drzewa, dotykała ich kory i patrzyła ciekawie. Tanida pomyślał, że jej oczy są właśnie takiego koloru, jak kora drzew. Potem przestał o tym myśleć, bo dostrzegł starego olbrzyma po drugiej stronie ulicy, który wyraźnie im się przyglądał.

– Ten idzie za nami – mruknął do Pruna, a jego dłoń opadła na rękojeść miecza.

– Poprosiłem go o to.

Olbrzym nosił ciemną zbroję z kościanych płytek naszytych na skórzany kaftan. Miał dwa krótkie miecze. Z takim zasięgiem ramion nie potrzebował długiego ostrza. Miał też noże dyndające u pasa. Niskie czoło opasywała obręcz ze swastyką, znakiem Boga Słońca, wieńcząc łąsą głowę. Mijający go drobni kupcy i rzemieślnicy wykazywali wiele sprytu, starając się, by ich nie rozdeptał.

– Po co?

– To Mastif – odparł Prun. – Jeśli ktoś zakłóci naszą przechadzkę, zakłóci też przechadzkę Mastifowi.

– Rozumiem – rzekł Tanida i splunął na bruk.

Poprawił miecz. Przez chwilę przenosił wzrok z Mastifa na Pruna i z powrotem.

– Gdy jedni przyjaciele znikają, trzeba sobie znajdować innych – powiedział Prun.

Tanida poczuł w sercu chłód. Nagle opadły go wątpliwości, czy nie popełnił błędu, ufając Prunowi. Trzymali się razem od dziecka. Tanida uważał, że go zna, ale czy można naprawdę poznać człowieka? Prun

zachowywał się jak nie on, nosił te złote łańcuchy na piersi, wybierał sobie niepokojących przyjaciół. Jego wygląd świadczył, że był zamożny, a Tanida nie zainteresował się nawet do tej pory, skąd komediant o wątpliwym talencie ma pieniądze. Zwrócił się do niego, bo Prun trochę mu zawdzięczał, choć nie miał pojęcia, czy wciąż mogli nazywać się przyjaciółmi.

Chłód w sercu narastał. Tanidę tknęło, jak łatwo znalazł Pruna. Dawny kompan pojawił się jak spod ziemi. Jakby to on szukał Tanidy. Lassa znalazła się w kręgu TanPera. A Prun? Czy można było nosić złoto na piersi w tym mieście i nie mieć żadnych powiązań z TanPerem i resztą?

Zamyślony, z opóźnieniem dostrzegł, że mają kłopoty. Ten człowiek nosił czarny strój i szedł cały czas przed nimi, ale nie zwrócili na niego uwagi. Wkrótce zniknął im z oczu i jego miejsce zajął inny, na którego też nie zwrócili uwagi. A potem jeszcze inny.

Śledzono ich z przodu, zgodnie ze starą sztuką złodziei kieszonkowych. Tylko że gdy tamci uznali, że są gotowi zaatakować, było już siedmiu uzbrojonych po zęby mężczyzn i szybko stało się jasne, że nie są kieszonkowcami.

Mastif i Prun zorientowali się w sytuacji odrobinę wcześniej.

– Nagroda za ciebie rozpała wyobraźnię – mruknął Prun. Sięgnął po swój miecz. – Niektórzy są gotowi za nią umrzeć.

Uśmiechał się lekko, jakby niespecjalnie przejął się zagrożeniem ani nie był nim zaskoczony. Przez głowę Tanidy przemknęła myśl, że sam Prun przygotował tę zasadzkę, ale szybko zgasła, bo to nie miało żadnego sensu. Zimna krew Pruna dawała jednak do myślenia. Tanida chętnie by nad tym porozmyślał, ale tamci, siedmiu, podchodzili ze wszystkich stron.

Przechodnie w popłochu chowali się w bramy. Tanida pchnął dziewczynkę w załom między kamienicami. Przy ulicy rosły wierzby, rzucając szerokie cienie.

– Zostań tu i czekaj – polecił jej, a ona beznamiętnie skinęła głową.

Wyciągnął miecz i oddalił się stamtąd. Patrzył, czy zwróci na nią uwagę. Tak jak sądził, napastnicy nie byli w ogóle zainteresowani dziewczynką. Chcieli jego. Mastif mruczał coś do siebie i kręcił łusą głową, jakby nie dowierzając, że ktoś z własnej woli chce stawić mu czoła. W jego dłoniach pojawiły się miecze.

Tylko że tamci wcale nie chcieli konfrontacji z Mastifem. Gdy jeden z nich, ten w czerni, zobaczył, że olbrzym podchodzi, krzyknął ostrzegawczo na pozostałych.

– Niemożliwe, że są tak głupi – mruknął Prun, marszcząc czoło. – Nie zorientowali się, że Mastif jest z nami?

Ulica opustoszała, napastnicy się rozpierzchli. Bruzda na czole Pruna pogłębiała się, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Co się dzieje? – spytał Tanida.

Wtedy zrozumiał. Ulica opustoszała nie dlatego lub nie tylko dlatego że szykowała się walka. Napastnicy nie czmychnęli przed Mastifem. Tanida i jego towarzysze powinni byli usłyszeć przepiękny śpiew ptaków amvari już wcześniej, ale dotarł on do nich dopiero, gdy kobieta na koniu pojawiła się sto kroków dalej, u wylotu uliczki, pośród pomarańczowych amvari tańczących nad jej głową. Zmierzała nieśpiesznie prosto na nich, a ptaki zniżyły lot, zaniepokojone.

– Maddona – rzekł Prun, blady, i zacisnął usta.

Zbiegli z ulicy, słysząc, jak melodyjny śpiew przechodzi w złowrogie szczekanie. Odwrócili twarze do ścian kamienic.

– Dziecko... – szepnął Tanida, czując nadciągającą panikę.

– Zostaw. – Prun chwycił go za rękę. – Mała ma swój rozum, nie będzie się wychylać.

Powolny stukot kopyt przybliżał się. Kobieta na koniu przejechała obok, jakby ich nie było. Jakby nie istnieli. Bo nie istnieli, póki byli posłuszni. Ptaki, uspokojone, wznowiły hipnotyzujący śpiew.

Nie śmieli spojrzeć. Mastif, nieustraszony Mastif, stał obok Tanidy i zakrywał rękami twarz jak mały chłopiec, mrużąc modlitwy. Stukot kopyt oddalał się i wydawało się, że maddona przemierzy ulicę i zniknie.

Wtedy ptaki zawyły.

– Sae – wychrypiał Tanida i się odwrócił.

Zrobił dwa kroki przed siebie. Zobaczył dziewczynkę. Nie stała już w załomie kamienic, gdzie ją zostawił. Wysunęła się na ulicę, między wierzby, i z ciekawością patrzyła na przejeżdżającą.

Tanida nigdy nie był świadkiem tego, co się dzieje, gdy ktoś nie odwrócił twarzy w obecności maddony. Nie ciekawiły go takie rzeczy. Słyszał wystarczająco wiele opowieści o amvari, aby wiedzieć, że są piękniejsze sposoby na umieranie.

Nie obchodziły go maddony. Nie interesowało go, kim są, skąd i dokąd jadą. Dlaczego okrywają się szczelnie ciemnymi płaszczami i kryją twarze w ciemnościach kapturów. Nie uczestniczył w niekończących się dyskusjach, prowadzonych ściszonymi głosami w karczmach i zajazdach. Było mu obojętne, skąd wzięła się ich potęga. Jednak nie była mu obojętna dziewczynka.

– Sae! – krzyknął.

Nie zareagowała. Wciąż tam stała, wpatrzona w kobietę postać przed sobą. Dziesiątki ptaków zataczało kręgi nad maddoną, były siłą niosącą

ból. Potrafiły wyszarpać oczy, pozbawić człowieka ust, nosa, policzków i zostawić go, by powoli umierał. Taka była kara za zwrócenie wzroku ku ich pani.

Jeden z ptaków warknął niczym wściekły pies i zanurkował w kierunku dziewczynki, dwa inne poszły za nim. Powietrze przeciął świst opadających w ataku ciał. Sae tylko uniosła wzrok, powiał wiatr i zaszeleścił gałęziami wierzb.

Tanida nie zdążył zaczerpnąć powietrza, tak szybki był to atak. Poczul ból, bo to był koniec małej. Jednak ten lekki powiew wiatru sprawił, że najniższe gałęzie drzew gwałtownie opadły, osłaniając dziewczynkę, a inne pojawiły się na drodze spadających jak rzucone kamienie ptaków. Dwa z amvari zaplątały się pośród liści, które okazały się twarde jak sztylety, przecięły ptasie ciała, a trzeci ptak zdołał wyhamować, gwałtownie bijąc skrzydłami powietrze. Wzbił się ponad drzewa, szczekając.

Uwięzione w koronach wierzb ptaki nie umiały się wyplątać, biły skrzydłami, gałęzie zdawały się zawijać wokół nich i dusić. Inne amvari podniosły skowyt. Maddona zatrzymała konia i zwróciła ku drzewom mrok swojego kaptura. W tej chwili dwa martwe ptaki upadły u stóp Sae.

Tanida sięgnął po miecz, jednak nie zdążył go wyciągnąć. Ciężka jak granitowa płyta ręka Mastifia opadła na jego kark, zamknęła się na szyi. Prun dał znak i olbrzym pociągnął Tanidę za sobą.

– Już nic nie zrobisz – rzekł Prun przez zęby.

– Puść! – Tanida usiłował się wyrwać, ale miał wrażenie, że zмага się ze ścianą.

Druga dłoń Mastifa przykryła usta Tanidy. Prun miał rację, Tanida nie mógł nic zrobić, Mastif był jak kamienny posąg. Był też przerażony i nieświadomie zaczynał Tanidę dusić.

Na ulicy dziewczynka spoglądała w mrok kaptura maddony. Amvari ujadały. Maddona podniosła rękę i ptaki zamilkły. Tanida wyciągnął głowę, zrozpaczony, ale Sae wciąż stała pod drzewem. Ktoś, kto ośmielił się spojrzeć na maddonę, nadal żył. Dziecko się ośmieliło. Amvari wzbiły się wyżej, a maddona wydawała się przyglądać dziewczynce.

Czarny koń zrobił krok w stronę Sae. Krótkie uderzenie podkowy o bruk. Potem jeszcze jedno. I jeszcze. Wierzby zaszumiały.

Koń zatrzymał się, maddona pozostała nieruchoma, za to szum drzew się nasilił, jakby szeptały, a ich gałęzie opadły ku samej ziemi, całkiem zakrywając Sae. Słysząc było stękanie i skrzypienie konarów.

Maddona odwróciła głowę. Skierowała konia ku wylotowi ulicy i zaczęła się oddalać. Amvari tańczyły nad jej postacią w milczeniu, gdy

znikała za zakrętem.

Mastif puścił Tanidę, który w kilku długich susach znalazł się przy Sae.

– Coś ty zrobiła? – wychrypiał, chwytając ją za ramiona.

Oddychał szybko. Twarz dziewczynki nie miała żadnego wyrazu. Potrząsnął nią.

– Nie rób tego nigdy. Nigdy więcej.

Gałęzie wierzb, które jeszcze przed chwilą tworzyły wokół Sae opadający baldachim, teraz wznosiły się na tyle wysoko, że Tanida miałaby problem, aby ich sięgnąć.

Prun patrzył na drzewa. Na Sae. Zagryzał wargi.

Amvari leżały nieruchome i zdążyły już stracić swoją pomarańczową barwę. Bił od nich duszny zapach. Proces rozkładu galopował, zaczynały gnić. Tanida uczył pieczenie w gardle i nie mógł powstrzymać kaszlu. Chwytał Sae za rękę i pośpiesznie oddalili się od martwych ptaków.

Jeszcze się obejrzał. Pomyślał, że tak szybko może rozkładać się jedynie coś, co już od dawna było martwe i tylko udawało żywe.

*

Jej postać wypłynęła z mroku. Taka, jaką zapamiętał. Lassa siedziała w obszernym fotelu pośrodku salonu, z twarzą zwróconą ku oknu. Pomieszczenie tonęło w ciemnościach, które rozpraszało jedynie światło księżycy i ulicznych latarni.

Dziewczynka nie oddalała się od Tanidy. Nie była ciężarem, bo umiała poruszać się bezszelestnie. Doceniał to i zastanawiał się, od kogo się tego nauczyła. Bo przecież nie od zonglera wewnątrzności. Teraz podeszli już do Lassy tak blisko, że Tanida mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć, a ona jeszcze nie zorientowała się, że tu są.

Ocknęła się dopiero, gdy usłyszała obok siebie tłumiony chichot dziecka.

– Kto? – Zerwała się z miejsca.

– Ja – powiedział, zastanawiając się, czy pozna jego głos.

Poznała.

Stała chwilę, uspokajając oddech, a potem zapaliła świecę stojącą na kredensie. Wosk zawierał esencjonalne olejki i w powietrzu rozlał się zapach jabłek i cynamonu. Nie zaszczyciwszy gości spojrzeniem, wymuszonym gestem wskazała im pobliskie fotele. Sama wróciła na swój i usiadła. Dopiero teraz spojrzała na Tanidę. Drgnęła.

Po raz drugi tego dnia zdał sobie sprawę, jak wygląda. Odetchnął ciężko, niech Lassa się gapi, jeśli chce. Cóż mogła o tym wiedzieć... Jak

się żyje, mając na karku nasłanych przez TanPera zabójców, głodnych nagrody, którzy idą za tobą krok w krok i wypatruje się ich w każdym mężczyźnie wchodzącym do portowego baru... gdy nowy kompan, z którym pijesz piwo, śpiewając sprośne piosenki, usiłuje nagle przebić cię nożem, udaje mu się, i choć skręcasz mu kark, to rana babrze się całymi tygodniami... albo gdy kobieta, którą bierzesz w ramiona, drapie cię po plecach paznokciami, pod które wtarła truciznę.

Zgubił ostatnio tych, którzy snuli się za nim za murami, jednak w mieście na pewno czekali inni.

Czy Lassa czuła odrazę, siedząc wygodnie w salonie swojej rezydencji, opierając subtelną twarz na wymalowanej dłoni? Czy myślała, że on wygląda równie parszywie jak żebracy? Tacy jak ci, którym poderżnął gardła, wchodząc do miasta, ponieważ chcieli go wydać, a on musiał odebrać im cztery sztuki srebra, bo były wszystkim, co posiadał. Pamiętała go jako mężczyznę w jedwabnych tunikach zarzuconych na kościaną zbroję, który często i głośno się śmiał. Kości zbroi dawno się rozpadły, a on miał na sobie butwiejący len i choć wciąż umiał śmiać się głośno, rzadko to robił. Czy czuła satysfakcję, bo sam był sobie winien? Czekał, aż Lassa coś powie, ale milczała.

- Masz ze sobą jakieś diabelskie dziecko? – spytała wreszcie.
- Diabelskie?
- Pojawia się znikąd, tak jak ty.
- Zmyślne dziecko.
- Po co przychodzisz z dzieckiem? Czekam już prawie godzinę.
- Witaj, Lasso.

Westchnęła. Powolnym gestem odgarnęła opadające na twarz włosy. Znał ten gest. Znał tę twarz. Poczul, że wracają wspomnienia. A potem usłyszał jej zimny głos i ta twarz, którą znał, wydała mu się zaskakująco obca.

- Witaj, Tanida.

Trzy lata temu rozstawali się jako kochankowie. Teraz żadne z nich nie wyciągnęło ręki na przywitanie.

- To już tyle czasu...
- Tak.

Milczeli. Oboje skrepowani.

- Nie dopadli cię. Trzy lata. Och, byłam pewna, że im się nie uda. Zabrzmiało to fałszywie. Znowu zapadło milczenie.
- Wiele o tobie myślałem przez cały ten czas.

Tym razem odpowiedziała natychmiast:

- Ja o tobie zapomniałam.

Dziewczynka wyciągnęła z kieszeni lalkę i zaczęła palcami czesać jej włosy. Ta czynność całkowicie ją pochłonęła.

– Nie przychodzę mieszać się w twoje życie. Nie chcę się tłumaczyć ani niczego wyjaśniać. Chcę cię o coś prosić, bo nie wiem, do kogo innego mógłbym się zwrócić.

Gestem wskazał na dziecko.

– Skąd ją wzięłeś? – spytała.

– Z Woon Dart.

Opowiedział jej, jak ją znalazł. Słuchała, przyglądała się dziewczynce i kiwała głową.

– Wiesz, kim byli jej rodzice?

– Nie.

– Nie wiesz. – Zmarszczyła czoło. – Niebezpiecznie jest zajmować się dzieckiem, którego rodziców się nie zna. Skąd wiesz, kim ona jest, jeśli nie wiesz, kim byli oni?

– Czy teraz to nie wszystko jedno?

– Chyba nie. Zresztą nie wiem.

– Trzeba się nią zaopiekować. Znaleźć jej dobry dom. Tylko to.

– Tylko... To bardzo wiele.

– Znajdziesz jej dom, Lasso?

Jej oczy zalśniły w świetle świecy. Usta rozchyliły się lekko, jak kiedyś, gdy zbierała się do pocałunku.

– Po to wróciłeś? – spytała z niedowierzaniem.

Skinął głową, bo nie wiedział, jak ma jej to wytłumaczyć.

– Dlaczego? – Jej głos stał się cieplejszy. – Strasznie ryzykujesz. Dlaczego ona tak bardzo cię obchodzi?

– Zobaczyłem ją tam, na placu w Woon Dart, kiedy zmuszano ją do tych wszystkich okropności, i nie mogłem tego znieść. A potem nie wiedziałem, co mam z nią zrobić. Pomyślałem, że ty będziesz wiedzieć.

Siedziała na krześle piękna i upozowana. Potem wyduła usta. Nie pozostało w niej ani odrobiny ciepła.

– Żartujesz. Skąd ten pomysł?

– Nigdy mnie nie zawiodłaś.

– Za to ty zawiodłeś mnie. Upokorzyłeś mnie i zniknąłeś bez słowa, a ja żyję pośród ludzi, którzy oddaliby pół majątku, aby cię dostać. – Zawahała się i dodała: – Z wieloma z nich się pieprzę.

Po raz kolejny zapadła cisza. Słyszeli szelest sznurkowych włosów lalki.

– Znajdź ludzi, którzy będą dla niej dobrzy.

– Za ile?

Nie zrozumiał. Liczył się z tym, że usłyszy wyrzuty, oskarżenia. Że Lassa powie, że go nienawidzi. Ale wiedział, że go nie wyda. I był pewien, że zajmie się dzieckiem.

– Chcesz, żebym ci zapłacił?

– Chcę dwa tysiące sztuk srebra. – Popatrzyła na dziewczynkę zajęętą lalką. – Za taką kwotę znajdę jej dom, w którym dobrze się nią zaopiekują, dostanie wykształcenie i jeśli zechce, będzie mogła czuć się szczęśliwa. Niektórzy porządni ludzie nie mogą mieć dzieci.

– Nie mam pieniędzy.

Otaksowała go wzrokiem. Przyglądała mu się powoli, starannie, niemal z okrucieństwem.

– Na to wygląda. Weź od Pruna.

– Skąd by tyle miał? Teatr to nie bank.

– Weź od Pruna albo zdobądź inaczej i wróć, gdy będziesz miał srebro. Prun od dawna nie prowadzi teatru. Nie mówił ci? – Tanida milczała. – Więc nie wiesz, kim teraz jest?

– A kim jest?

Lassa się uśmiechnęła. Nie podobał mu się ten uśmiech.

– To kara za przeszłość? – spytał.

– Nie ma kary, bo nie pamiętam już przeszłości. Chcę po prostu, aby między nami było uczciwie. Ja robię coś dla ciebie, ty dla mnie. To znaczy, ty mi płacisz. Rozumiesz, żadnych przysług ze względu na dawne czasy, bo dawne czasy nie są dobrą monetą przetargową.

– Zdobędę srebro.

Nie wiedział jeszcze, jak to zrobi, ale Lassa twierdziła, że Prun będzie w stanie udzielić mu pożyczki. Dużo oczekiwał od człowieka, któremu przestawał ufać.

– Będziesz dla niej dobra? – zapytał.

– Dla niej? Bądź spokojny. Nie będzie cierpieć przez ciebie.

– Przyniosę pieniądze, może za parę dni, ale dziecko zostawię z tobą już teraz. Nie umiem opiekować się dziećmi. Twój przyjaciele polują na mnie.

– Kto mi zapłaci, jeśli cię upolują?

Nie odpowiedział, bo nie miał dobrej odpowiedzi. Pochylił się nad dziewczynką, która głaskała lalkę po głowie.

– Będziesz miała dom – powiedział łagodnie. – Zostaniesz tutaj, u mojej dawnej przyjaciółki. Wygląda groźnie, ale wiem, że jest dobra. Będzie miła dla ciebie i znajdzie ci miejsce, gdzie zaczniesz żyć normalnie.

Dziewczynka podniosła głowę i popatrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu. Potem przytuliła lalkę.

– Dbaj o siebie. Będę czuwał nad tobą z daleka. – Wstał, po czym

zwrócił się do Lassy: – Dwa, trzy dni, może tydzień. Potrzebuję czasu na zebranie pieniędzy.

– Jutro. Albo dziewczynka wylądzuje na ulicy.

Sae schowała lalkę do kieszeni lnianej bluzy. Wstała. Wsunęła dłoń w dłoń Tanidy, który pokręcił głową i zabrał swoją rękę. Przyklęknął, aby jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy.

– Musisz tu zostać – powiedział z całą delikatnością, jaką posiadał. – Zostajesz z Lassą.

Lassa podniosła się z fotela i położyła dziecku na ramieniu dłoń ozdobioną malunkami i bransoletą z bursztynu.

– Jak masz na imię? – spytała.

Dziewczynka milczała.

– Nazywa się Sae – rzekł Tanida.

Dziewczynka spojrzała obojętnie na Lassę. Usiadła i znowu wyjęła lalkę.

*

Wracali w ciemnościach. Ulica opustoszała, minęli jedynie dwóch halabardników i latarnika. Sługa miasta sięgał rozety przekrzywionej latarni płonącym łuczywem na długim drzewcu, a halabardnicy zadzierali głowy, obserwując, jak zajmuje się olej w kociołku na szczycie latarnianego słupa.

– Potrzebuję dwóch tysięcy – rzekł Tanida.

Prun zmrużył oczy, gdy latarnia rozbłysła. Dotarł do nich smolisty zapach płonącego oleju. Na moment zrobiło się jasno jak w dobrze oświetlonym pokoju. Potem latarnik stłumił płomień, pozwalając opaść pokrywie na kociołek.

– Za co chcesz jej płacić? – spytał Prun.

Tanida nie odpowiedział. Był zaciekawiony latarnią i latarnikiem nie mniej niż strażnicy z halabardami.

– Prosisz o pożyczkę... z czego chcesz oddać?

Sama suma zdawała się mało obchodzić Pruna. Miał pieniądze, Tanida wywnioskował to już wcześniej, ale teraz wyglądało na to, że Prun posiada całą fortunę. Jak zdobywa fortunę człowiek całe życie przymierający głodem?

– Znam kilku ludzi w grodach nad morzem. Zaoferuję im swój miecz.

– Obecnie to dość tani miecz. A jak dasz się zabić, nie oddasz.

– Nie dam się zabić.

Prun parsknął w mroku.

– Nie mówię o tej robocie w grodach. Mówię o naszym mieście. TanPer wynajął trzech zabójców. Każdy działa niezależnie i każdy musi się spieszyć, by zdążyć przed innymi. Nagrodę dostanie tylko jeden.

– Skąd wiesz?

Prun zignorował pytanie.

– Pierwszy już nie żyje. Kręcił się w pobliżu. Drugiego i jego ekipę widziałeś.

– A trzeci?

Prun zaśmiał się krótko.

– Ja jestem trzeci.

Tanida wyprostował się, a potem przygarbił. Gdzieś za nimi w ciemnościach kroczył potężny Mastif. Mógł być blisko albo daleko. Pomimo swoich gabarytów Mastif poruszał się bezszelestnie.

– Nie wpadłeś na mnie przypadkiem?

– Szukałem cię, aby znaleźć przed tamtymi.

– O to chodziło Lassie, że tym się teraz zajmujesz? Chciała, abym cię zapytał.

Mijane kamienice po obu stronach ulicy wyglądały na wymarłe. W oknach nie paliło się światło. Świece były drogie, a ludzie w mieście zapobiegliwi i umieli liczyć. Ciemność ich nie przerażała. Kryli się w niej całymi rodzinami, zatrzasnąwszy uprzednio drzwi mieszkań, bezpieczni. Tanida od dawna nie znalazł miejsca, gdzie mógłby się poczuć bezpiecznie.

– Sytuacja mnie zmusiła – powiedział cicho Prun. Przez chwilę znów nic nie mówił. – Pewne rzeczy okazują się zadziwiająco łatwe, gdy nie masz nic do stracenia. A potem dalej są łatwe, więc wciąż je robisz, jeśli zysk jest odpowiedni. Wiesz, jak trudno jest oprzeć się temu, co łatwe?

Tanida wiedział. Ostatnie lata robił niemal wyłącznie to, co łatwe. Prun zawsze upierał się robić to, co trudne. Usiłował zarobić na życie sztuką. Tanida czasem bronił go przed wierzycielami wierzącymi w odwieczny dogmat, że dłużnik z połamanymi nogami szybciej odda pieniądze. Swoisty paradoks, ale ludzie ci mieli doświadczenie i wiedzieli, że to działa. Po wyjeździe Tanidy Prun musiał zacząć radzić sobie sam. I zdaje się, poradził sobie.

– Ten Moricius, czy dlatego mu ufasz?

– To mój człowiek. Buda, w której mieszkasz, też jest moja. Moricius dzierżawi ją ode mnie.

– A teatr?

– Sprzedałem krótko po twoim wyjeździe.

– Sprzedałeś marzenie.

– Wtedy musiałem. Od jakiegoś czasu chcę go odkupić, o tym rozmawiam z księciem. Gdy zniknąłeś, ludzie przestali przychodzić. TanPer o to zadbał. Prościej było zejść z widoku, bo niełatwym stało się uchodzić za twój przyjaciel.

– Nie wierzę – powiedział Tanida.

I nie wierzył. Nie znał takiego Pruna, choć zawsze sądził, że każdy człowiek może zacząć robić nawet najgorsze rzeczy, gdy się go odpowiednio przyciśnie. Zwłaszcza gdy odkrywa, że są łatwe.

Prun potrząsnął głową.

– Sytuacja mnie do tego zmusiła – powtórzył z uporem, jakby sam siebie chciał przekonać. – Choć nie narzekam. Pracuję z ludźmi podobnego pokroju jak dawniej, czasami są to ci sami ludzie. Zyskałem renomę. Kilka razy pracowałem dla TanPera. Chyba mnie trochę podziwia. Jak widzisz, nie mógł sobie odmówić, aby nie zaoferować mi zlecenia na ciebie.

– Co na to wszystko Orla?

– Postępuje bardzo mądrze.

– To znaczy?

– Nigdy o nic nie zapytała.

Tanida pokiwał głową.

– Choć przecież musi wiedzieć, że robisz to dla niej.

Bezwiednie położył rękę na mieczu. Prun od razu to dostrzegł i Tanida pożałował swego gestu. Prun oczywiście nie chciał go zabić, miał na to do tej pory dostatecznie wiele okazji.

– Wybacz – mruknął Tanida.

Prun wzruszył ramionami.

*

Położyła dziewczynkę spać w pokoju na piętrze. Sae była posłuszna, niemal bezwolna, i to Lassie odpowiadało. Usiadła potem w salonie i czekała.

Musiała się zdrzemnąć, bo gdy podniosła głowę, Czarny już tu był. Jego sylwetka rysowała się na tle okna. Czarne włosy. Czarny kubrak obity czarnym laminatem i czarnymi ćwiekami. Czarne spodnie i buty. Nawet miecz z czarnej stali. Stał tam i patrzył w noc.

– Dlaczego się nie udało? – powiedziała.

– Maddona. Pojawiła się, gdy już się ujawniliśmy. Jestem Czarny, moja pora to noc, za dnia zdarzają mi się wpadki.

– Nie miewaj więcej wpadek, jeśli chcesz dla mnie pracować. Tym

razem nawet dobrze się złożyło. Zanadto się pośpieszyłam.

Był świetnie zbudowany i jego postać na tle okna przypominała jej posąg z ogrodów TanPera. Posąg przedstawiał Śladarnego, znanego jako Zabójca Smoków i wyrzeźbionego w czarnym drewnie. Pomyślała, że w tym skojarzeniu mogło chodzić jedynie o barwę, bo przecież Czarny nie miał w sobie nic ze Śladarnego. Był podrzędnym rzeźmieszkim z przedmieść. Tanim, bo zakochanym.

– Jutro Tanida przyjdzie znowu. Zrobisz to tutaj.

– W domu? Nie chciałaś tego.

– Prun z tym swoim olbrzymem był w pobliżu. Musimy sprawić, aby jutro znaleźli się gdzie indziej. I aby żaden z nich nawet nie pomyślał, by potem mścić się na mnie. Pójdiesz do TanPera.

– Pójdę.

– Książę też musi się włączyć. Zrobi to dla TanPera. Prun dowie się, że jestem pod książęcą opieką. Aha, i jutro mają tu się znaleźć wszyscy twoi ludzie. Wszyscy, rozumiesz? Nie chcę więcej wpadek.

– Kiedy przyjdzie, nocą?

– Daj spokój z tymi wygłupami. Nie wiem, kiedy przyjdzie.

– Zrobię, co każesz – powiedział Czarny. – Choć najlepiej byłoby, gdyby Tanida przyszedł w nocy. Bo moja pora to noc.

*

Obudził się, gdy usłyszał kroki w pokoju. Oczy trzymał zamknięte do czasu, gdy szurnęło przesuwane krzesło i usłyszał dźwięk monet w worku rzuconym na stół.

– Dziękuję – rzekł.

Usiadł na łóżku. Prun zajął miejsce przy stole, minę miał zafrasowaną.

– Nie mogłem spać – rzekł. – Całą noc myślałem o tej twojej dziewczynce, i że tak to się wczoraj stało. Przeżyła spotkanie z maddoną. Gdybym nie widział, nigdy bym nie uwierzył.

Tanida wstał. Spojrzał przez okno na brudne podwórze w dole. Poszedł w róg pokoju, gdzie na zydłu stała drewniana miska ze świeżą wodą. Amarcha przyniosła tę wodę o brzasku. Zamoczył w niej twarz i ręce.

– Jest wyjątkowa – mówił dalej Prun. – O takim dziecku zawsze marzyliśmy z Olrą. Właściwie to bardziej jej marzenie, ale mnie by nie przeszkadzało.

Tanida ubrał się, usiadł naprzeciwko Pruna i wziął do ręki worek ze srebrem. Był ciężki.

– Czemu nie macie dzieci?

– Bogowie nie byli łaskawi.

Tanida nie powiedział nic.

– Próbowaliśmy. Próbowaliśmy na wiele sposobów, w różnych miejscach i w różnych porach dnia, miesiąca i roku.

– Czasem tak bywa.

– Dlatego wtedy mówiłem, że mógłbym ją kupić. Olra byłaby zachwycona.

– Mało wokół sierot? Wojna była krwawa.

– Czuję, że ta dziewczynka jest niezwykła. Wiem, że Olra pokochałaby ją z całego serca.

– Jest trochę inna niż inne dzieci.

– Nie jest normalna? – Prun ściszył głos.

– Jest skrzywdzona. Nie mów tak o niej.

– Nie będę.

– Gdybyś zamiast o kupnie, powiedział wtedy, że twoja żona się nią zaopiekuje, rozmawialibyśmy inaczej.

– Nie wierzyłem, że zależy ci na dziewczynce. Nigdy na nikim ci nie zależało.

Tanida ścisnął worek. Usłyszał ciche dźwięczenie srebra, poczuł przesuwaną się pod skórzaną materią monety. Może i tak. Ostatnimi laty przestało mu zależeć na wielu rzeczach i taki stan całkiem mu się podobał. Znowu tak będzie, gdy już zapewni Sae dom i spłaci dług, który zaciągał wobec Pruna. Więcej nie pozwoli, by dosięgła go złość bogów.

– Choć doceniam, co kiedyś robiłeś dla mnie, jak widać – rzekł Prun.

Ale przecież to nieprawda, że stał się taki dopiero wyjeździe z miasta. Prun to wiedział. Tanida zawsze czuł w sobie pustkę. Ostatnich chudych lat, wypełnionych tułaczką i ucieczką przed łowcami nagród, wcale nie uważał za gorsze niż czasy, kiedy posiadał Lassę, pieniądze i pozycję w mieście. Pustce w jego duszy nie zrobiło to specjalnej różnicy.

Bo ktoś, komu zależy, nie robi czegoś tak głupiego jak to, co zaskarbiło mu nienawiść TanPera... a Tanida zrobił to bez namysłu, znając konsekwencje. No, może nie do końca rozpoznając dolegliwość konsekwencji, ale pewnych rzeczy mógł się spodziewać.

– Wiesz – odezwał się Prun – chyba byłbym złym ojcem. Dzieci mnie drażnią.

– Nie mam pojęcia, jakim byś był.

– Pewnie byłbym złym, nic nie wiem o dzieciach, drażnią mnie, ale Olra byłaby dla niej dobra. A ja bym się starał. Starałbym się nawet wtedy, gdyby mnie drażniła.

– Olra to fantastyczna kobieta. Szkoda, że bogowie nie dają wam dzieci.

– Ona by pewnie nigdy nie powiedziała, że mała jest nienormalna. Rozumiałaby ją, tak jak ty.

Tanida nie sądził, by rozumiał Sae. Chronił ją i tym zdobył jej zaufanie. Słuchała go, ale cicha i wiecznie pogrążona w zabawie lalką nie szukała jego zrozumienia. Był jej potrzebny, to wszystko. Nie wiedział nawet, czy dziewczynka go lubi.

Prun zamilkł i wyglądało, że nad czymś intensywnie myśli.

– Potrafisz wyjaśnić, co się tam stało, na ulicy? Miałem wrażenie, że drzewo zabiło ptaki. Schwytało ptaki między gałęzie i skręciło im karki.

– Tak chyba było.

– Rozmawiałeś z nią o tym?

– Nie. Nie było czasu. Poza tym ona niewiele mówi.

– Jest niemową?

– Mówi. Tylko niewiele i rzadko. Myślę, że ona nie lubi mówić.

– Może mówienie sprawia jej trudność.

– Na początku w ogóle się nie odzywała. To znaczy, prawie w ogóle. Przez pierwszy tydzień wymówiła kilka razy zaledwie jedno słowo. Co ciekawe, to jest bardzo trudne słowo.

Tanida otwartą ręką potarł się po policzku. Prun spojrział pytająco.

– Powiedziała: Molnarstone – rzekł Tanida.

Prun zrobił głęboki wdech. Pokręcił głową.

– Powinienem od razu na to wpaść. Te drzewa to były wierzby, prawda? Pewnie, że tak, to były wierzby płaczące. Molnarstone. Myślisz, że ona stamtąd pochodzi?

– Możliwe, że odebrano ją matce przy pacyfikacji osady.

– Powinieneś na nią uważać.

– Ona jest bardzo łagodna, jeśli zostawia się ją w spokoju. Poza tym jeśli zabrano ją od matki, musiała być bardzo mała. Matka nie mogła zdążyć czegokolwiek jej nauczyć.

– Tego nie wiemy – rzekł Prun. – Nie wiemy, co zdążyła. Na twoim miejscu uważałbym na nią. Jeśli chciałeś być dobry i kimś się zaopiekować, opieka nad dzieckiem z Molnarstone jest fatalnym pomysłem.

– Nie chciałem być dobry – warknął Tanida. – Chciałem tylko ją uratować.

– W Woon Dart nie ma wierzb. Była tam niegroźna. U nas wierzby są wszędzie.

– Wiem. Dlatego nie chcę, aby Olra ją wychowywała. Przyjechałem do miasta, aby Lassa znalazła jej dom u obcych ludzi.

– I ja na to daję pieniądze?

Tanida utkwiał wzrok w ścianie. W gruncie rzeczy nie było na co patrzeć. Takie bezmyślne gapienie się bywało jednak świetną wymówką, aby nie odpowiadać na niewygodne pytania.

– Kiedy wyjadę – mruknął Tanida – może czasem zajrzysz, jak ją traktują?

Prun pokiwał głową.

– W pewnych sprawach nie masz doświadczenia, więc coś ci wyjawię. Chcesz być dobry, ale dobro kosztuje. Jest cholernie drogie, dlatego wszędzie go tak mało. Uważaj na cenę, jaką przyjdzie ci zapłacić. I nie mówię tylko o pieniądzach.

*

– Zabójców może być więcej? – spytał Tanida, gdy szli do domu Lassy tą samą drogą co poprzedniego dnia.

Prun odwrócił się, aby sprawdzić, w jakiej odległości idzie za nimi Mastif.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne. TanPer urządził sobie mały konkurs i zdecydował, kto bierze w nim udział. Samodzielnie określił zasady. Byłoby nieroztropne, gdyby teraz je zmieniał. Ktoś z uczestników mógłby poczuć się urażony i mieć pretensje. To mogłoby TanPera drogo kosztować. Dlatego nie sądzę, aby był ktoś więcej.

– Sukinsyn.

– Ani większy, ani mniejszy od innych.

– Sukinsyn – powtórzył Tanida.

– Możesz żywić urazę, ale to była jego żona.

– Miałem odmówić, gdy kobieta o takiej urodzie robiła propozycje?

Prun się zatrzymał. Głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Nie mów, że bronisz się z całych sił. Nie wierzę, minęło tyle lat, a ty ciągle upierasz się, że to nie twoja wina?

– Na bogów, po co o tym gadamy?

Prun wzruszył ramionami. Poszli dalej.

– Ona nadal jest jego żoną? – spytał Tanida.

– Już nie. Niektórzy mówią, że wyjechała z miasta. – Prun się zamyślił. Wokół rozbrzmiewał leniwy miejski gwar, ponad który wzbijały się ostre głosy przekupek. – Inni przebakują, że pogrzebano ją żywcem w ogrodach TanPera.

Tanida rzucił Prunowi ponure spojrzenie. Nie odzywali się do samych bram Welfeneru. Tam czekał na nich znudzony chłopak w barwach księcia, rysujący końcem buta kółka w kurzu.

– Książę Nadarten pilnie cię wzywa, panie. – Chłopak skłonił się Prunowi do samej ziemi i błysnął herbowym pierścieniem na palcu, nie pozostawiając wątpliwości, w czyim imieniu przemawia. – Rozkazuje, byś natychmiast stawił się w zamku w towarzystwie pana Mastifa. Książę zgodził się sprzedać teatr i chce to od razu załatwić.

Prun spojrział na posłańca spod wpół przymkniętych powiek.

– Mamy iść teraz? Rozmawiam z księciem o sprzedaży teatru od wielu miesięcy.

– Książę Nadarten żąda, byście wyruszyli natychmiast, a zwłoka będzie obrazą.

Mastif zbliżył się i chwycił chłopaka za żółty kołnierz kaftana.

– Skąd wiedziałeś, że tu nas znajdziesz?

– Kazano mi tutaj czekać – powiedział chłopak szybko, po znudzeniu nie zostało śladu, a jego oczy zrobiły się ogromne, gdy poczuł się trzymających go rąk.

– Tutaj?

– Pod bramami Welfeneru. Książę osobiście wydał rozkaz.

– Wystawiają cię – rzekł Prun do Tanidy. – I nawet się z tym nie kryją. Jak wejdiesz do Welfeneru, już stamtąd nie wyjdiesz.

Tanida wyszarpnął miecz i zrobił krok w stronę chłopaka.

– To posłaniec. – Mastif stanął mu na drodze. – Robi, co rozkazano.

Młodzieniec skwapliwie przytaknął. Tanida zastanowił się, schował miecz. Mastif puścił chłopaka, który uniósł głowę.

– Zanim tu przybiegłem, zatrzymał mnie jeden możny pan. Powiedział... – chłopak się zawahał.

– Co powiedział? – łagodnie zachęcił go Mastif.

– Powiedział – chłopak zwrócił się do Tanidy – żebyś nie zmieniał planów, panie, bo... to jego słowa... pośród wszystkich kruchych rzeczy świata najbardziej kruche jest życie dziecka.

Tanida zbladł. Chłopak skłonił się i odbiegł na bezpieczną odległość, po czym krzyknął:

– Książę czeka i nie będzie pobłażał. Czeka na was obu, panie Prun i panie Mastif.

Prun zwrócił się do olbrzyma:

– Nie ma żadnego powodu, abyś szedł ze mną. Nie masz nic wspólnego z tym interesem.

– Poza tym, że książę każe mi przyjść.

– Nie ma żadnego powodu, abyś szedł ze mną, ale musimy iść obaj.

– Wiem. – Mastif spojrział na Tanidę ze współczuciem. – I co teraz zrobisz, chłopie?

– Nie możesz tam wejść – rzekł Prun, patrząc na stalowe, misternie kute bramy Welfeneru.

– Skrzywdzą Sae.

– Jak pójdziesz, skrzywdzą i ją, i ciebie.

Tanida oddychał ciężko, z wysiłkiem.

– Dlaczego mieliby ją krzywdzić?

Stali w milczeniu.

– Idźcie już – rzekł Tanida.

Prun pokręcił głową.

– Wejdziemy tam z tobą.

– Wtedy będziesz skończony. Może nawet martwy. Nie możesz zlekceważyć rozkazu księcia. Obaj o tym wiemy. – Tanida spojrzał Prunowi w oczy. – Masz Olrę.

– A jednak pójdziemy z tobą.

Tanida zwiesił głowę, pokiwał nią, potem uśmiechnął się słabo.

– Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Prun – rzekł.

Prun minę miał nieodgadnioną. Tanida zacisnął pięści. Stał tak ze stężałą twarzą i zagryzał wargi.

– Masz rację – westchnął. – Nie pójdę tam. Zabiją i mnie, i ją. Żywy będę miał jeszcze szansę ją ocalić.

W to nikt z nich nie wierzył. Skoro sam Nadarten stanął po stronie TanPera, skoro odwołał Pruna i Mastifa, skoro Tanidzie dano do zrozumienia, że dziewczynka została włączona do gry, wypadki potoczą się szybko. Księżę nie może sobie pozwolić, by lekko traktowano jego słowa. Ktoś umrze. Tanida albo Sae. Może oboje.

Welfener musiał aż roić się od ludzi, którzy czekali na sygnał, aby odebrać życie. Wszystko jedno czyje.

– Sam oddałem im ją w ręce – rzekł Tanida z goryczą.

– Przecież to robota Lassy. Nie mogłeś wiedzieć, że tak postąpi.

– Ostrzegąłeś mnie.

Podał im rękę. Najpierw Prunowi. Popatrzyli na siebie. Potem Mastifowi. Mastif był bardzo poważny.

– Spotkamy się w tej twojej budzie, jak wrócicie – rzekł Tanida.

– Wrócimy jak najszybciej.

– Tak. Coś wymyślimy.

– Idziemy, księżę nie może czekać.

– Idźcie. – Tanida też chciał odejść, ale wtedy sobie przypomniał. – Nie będę mógł zwrócić długu.

Prun wolnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni jasnego płaszcza. Wyciągnął stamtąd srebrną monetę. Przyjrzał się jej, uśmiechnął. Rzucił ją

na bruk i nastąpił na nią butem, patrząc Tanidzie w twarz.

– Tak – rzekł Tanida ochryple. – Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Mastif zaciskał szczęki jak buldog.

– Chodź – rzekł Prun.

Nie uszli kilku kroków, kiedy usłyszeli głos Tanidy:

– Pamiętaj, żeby zajrzeć do niej czasem... sprawdzić, jak ją traktują.

Już się nie odwrócili. Szli szybko. Wkrótce Welfener został daleko za nimi.

– To był w sumie dobry chłop – powiedział Mastif.

– Tak – odparł Prun. – Na swój sposób przyzwoity.

*

Wyjął worek spod skórzanej kurtki i rzucił na stół. Lassa rozsypała rzemienie wymalowanymi – tym razem na błękit – palcami, które okazały się zaskakująco silne. Widząc blask srebra, uśmiechnęła się szeroko.

– Znajdę dziecku dom.

– Wierzę ci – odparł.

Przyjęła go w małej komnacie z kamienną podłogą. Tanida pomyślał, jak łatwo umyć taką podłogę z krwi. Prosty dębowy stół z dwoma krzesłami, bo wszystko inne wyniesiono, robił tu za całe umeblowanie, a jedyną ozdobę stanowiły grube granatowe zasłony po bokach wysokiego okna. Ktoś stał za jedną z nich. Ktoś bardzo głupi lub bardzo pewny siebie.

Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Tanida z ulgą odwrócił się od okna. W drzwiach stała Sae. Zamiast szarych podróżnych ubrań miała na sobie barwną sukienkę z szerokimi kieszeniami, odpowiednią dla dziecka w jej wieku. Podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

– Sae – powiedział, przyklęknął i uściśnął dziewczynkę. Spojrzał jej w oczy. – Do twarzy ci w tej sukience.

– Właściwie to ty za nią zapłaciłeś – powiedziała Lassa. – Chodź do mnie, Sae.

Dziewczynka nie puszczała Tanidy, który musiał delikatnie rozewrzeć jej dłonie. Lassa powtórzyła polecenie i Sae podeszła do niej z ociąganiem. Kobieta pogłaskała ją po policzku i powiedziała głosem, który lekko drżał:

– Wyrzyj przez okno, Tanida.

Przymrużył oczy. Kiedyś brał udział w bitwach z Hung, dowodził ludźmi i wysyłał ich na śmierć. Szedł na śmierć wraz z nimi, oni ginęli, a on wracał żywy. Miał szczęście, bo mu nie zależało. Nie zależało mu, czy będzie żył, czy umrze. Gotów był przyjąć los tak, jak chciał się ułożyć.

Nie zależało mu na kobietach, z którymi się zadawał. Ani na srebrze, które zarabiał i trwonił lekką ręką. Nie zależało mu na sławie ani by coś dla kogoś znaczyć. Nie zależało mu na Lassie i zostawił ją tak samo jak inne kobiety przed nią.

Człowiek, któremu nie zależy, ma olbrzymią przewagę nad tymi, którzy chcą kochać, posiadać rzeczy i ludzi, czy choćby tylko mieć spokój, by uprawiać begonie w ogródku. Ale ktoś taki złości bogów. Dlatego postawili mu na drodze dziewczynkę, by ją uratował. I po raz pierwszy zaczęło mu zależeć.

– Co jest za oknem?

– Wyjrzyj, proszę.

Tanida podszedł do okna. Zobaczył rozpościerający się ogród. Za nim wznosiło się ogrodzenie, a dalej była aleja drzew.

– Żyjesz w pięknym miejscu, Lasso – powiedział, aby usłyszeć swój głos.

Pozostał opanowany i to go ucieszyło, bo mógł na sobie polegać do końca. Żałował, że Sae będzie przyglądać się, jak umiera. Lassa była okrutna, jak one wszystkie, ale nie była okrutna bez powodu. To było zwyczajne zabezpieczenie. Nie chciała, by zapomniał, jaka jest stawka i zrobił coś nieodpowiedniego. Mimo to wolałby, żeby dostali go na korytarzach, gdy tu szedł. Stali tam, uzbrojeni po zęby i zbyt leniwi, by stwarzać pozory. Wiedzieli, że go mają.

A mieli go, bo pewnego dnia, przechodząc ulicą w Woon Dart, zobaczył czyjeś cierpienie, zaś bogowie sprawili, że zrobiło mu się żal.

Złość bogów. A może w ten sposób bogowie okazują łaskę?

Człowiek z za zasłony był szybki. Uderzył i najpierw czarne jak mokra ziemia ostrze przebiło brzuch Tanidy, a dopiero potem mężczyzna w równie czarnym ubraniu wynurzył się z za kotary. Pociągnął ostrze w górę, wyjął je i cofnął się natychmiast.

Tanida zachwiał się. Sięgnął rękami brzucha.

Lassa zakryła Sae oczy, ale dziewczynka zrzuciła jej dłoń szarpnięciem. Kobieta nie zasłoniła jej wzroku drugi raz. Położyła ręce na ramionach Sae i ścisnęła ją palcami jak stalowymi szczypcami.

Tanida klęknął, trzymał się za brzuch, z którego zaczynały wylewać się wnętrzności. Usiłował wepchnąć je z powrotem.

– Jednak pamiętasz... o przeszłości – rzekł, a jego głos nie był już taki opanowany.

– Dotrzymam obietnicy – urwała, spojrzała na Czarnego. Stał nieruchomo, trzymając w dłoni krótki miecz, z którego kapą krew. – Zajmę się Sae. Dostanie dobry dom.

Na coraz bledszej twarzy Tanidy pojawił się cień uśmiechu.

– Lepiej tak... – szepnął. – Straszylbym cię nocami...

– Dotrzymam obietnicy – odparła.

Zdziwił się, jak bardzo jest spokojna. Jak bardzo spokojne są obie. Potem umarł. Czarny pochylił się nad nim, sprawdził puls i zrobił w powietrzu dłonią krótki, płaski ruch.

– Nie podoba mi się, że mała to widziała – rzekł, prostując się. Nie schował miecza.

– Miałeś już wpadkę – głos Lassy się załamał.

Nie spodziewała się, że śmierć człowieka, którego nienawidziła przez ostatnie lata, zrobi na niej takie wrażenie. To już koniec, pomyślała. Mężczyzna, który ją upokorzył i zostawił, skazując na nędzę, nie żył. Z trudem oderwała wzrok od trupa.

– Zanieś ciało TanPerowi. Niech je pochowa obok żony.

Mogła przestać sączyć jad w serce TanPera, przypominać mu o zniewadze, której doznał, wyolbrzymiać ją, szydzić z niego, dawać i odbierać swoje ciało, pogardzać i współczuć jednocześnie, aby pielęgnować w nim nienawiść. To już koniec, pomyślała znowu. Ostatnimi czasy TanPer zaczął jej unikać. Teraz będzie okazja rozpocząć znajomość na nowo.

Czarny posłusznie skinął głową.

– A co z nią?

– Tak jak powiedziałam. Znajdę jej dom.

– Myślałem, że to tylko gadanie. Taki odruch litości wobec niego. – Niedbałym ruchem wskazał leżące ciało.

– Zrobię, co obiecałam.

Dziewczynka przesunęła się, aby móc chwycić Lassę za rękę.

– Mądre dziecko. – Błękitna dłoń Lassy uniosła się i pogłaskała Sae po włosach. Czarny wahał się chwilę, po czym wytarł miecz w ubranie Tanidy i wsunął ostrze do pochwy.

– Naprawdę byłaś z nim kiedyś, Lassa? Straszny obszarpaniec... Za takimi nikt nie płacze.

Dziewczynka popatrzyła za okno. Z miejsca, gdzie teraz stała, miała lepszy widok na drzewa. Na całą aleję wierzb, rozciągającą się za ogrodem. Gdy po chwili Lassa lekko odepchnęła ją od siebie, aby zrobić miejsce Czarnemu i ludziom, którzy przyszli zabrać ciało, dziewczynka ostrożnie ich ominęła, podeszła do stołu i usiadła tyłem do wszystkich.

Wyciągnęła z kieszeni sukienki lalkę.

Pozwolono jej wychodzić samej do ogrodów. Dziewczynka spacerowała między klombami kwitnących kwiatów, ale nie poświęcała im wiele uwagi. Jej oczy były puste, chodziła wolno i głowę trzymała nisko.

Lassa pierwszego dnia wysłała za nią służącego, aby jej pilnował. Podobnie drugiego dnia. Służący opowiadał, że dziewczynka przechadza się pośród kwiatów, a czasem przysiada i przytula lalkę. Trzeciego dnia Lassa kazała mu zostać w kuchni i pomóc w przygotowaniach do balu.

Sae przez cały poranek krążyła po ogrodzie. Gdy jednak słońce stanęło w zenicie, zbliżyła się do północnego krańca posiadłości, rozejrzała się, wspięła po ogrodzeniu i w mgnieniu oka znalazła się po drugiej stronie.

Tam rosły wierzby. Zapomniana przez ludzi aleja, po której obu stronach ugięły się pod ciężarem gałęzi wierzby płaczące.

Powietrze wokół było rozgrzane i ciężkie. Wiatr tu nie docierał. Mimo to gdy dziewczynka podbiegła do najbliższego drzewa, poruszyło gałęziami, pochyliło się, jakby chciało ją objąć, a liście zaczęły drzeć i odbijać słońce. Dziewczynka przywarła do ciepłego pnia, do szorstkiej kory. Oddychała ciężko, a jej serce biło szybko.

Inne wierzby w alei zaszumiły i powoli obróciły korony ku Sae. Od strony tych najdalszych poniósł się szelest, który szedł jak fala przez kolejne drzewa i dotarł do uszu dziewczynki niczym szept. Jej serce wciąż uderzało mocno, a oczy nie były już puste, tylko błyszczące i gorące.

Potem to ona zaczęła szeptać, a wierzby znieruchomiały, zasłuchane, aż umilkła i znowu poruszyły koronami, kołysały się i szum błyszczących w słońcu liści niósł się w stronę dziewczynki. Sae podniosła do góry ręce. Wierzba, pod którą stała, nachyliła gałęzie do ziemi. Niektóre liście zsiniały. Ich jasna zieleń umierała, a liście kurczyły się i zwijały, przemieniając się, by wybuchnąć świeżą czerwienią. Dziewczynka zaczęła zrywać najczerwieńsze liście.

Gdyby służący mógł patrzeć na nią teraz, odniósłby wrażenie, że delikatne dłonie dziewczynki stają się od tych liści czerwone, jakby zalewały się krwią, i że krew spływa wzdłuż wyciągniętych w górę ramion, że Sae cała staje się tą krwią zbroczona, tylko twarz ma białą, a ogromna, stara czarownica w koronie z gałęzi osłania jej twarz przed trującą mocą krwi. Zaś inne czarownice, zgromadzone wzdłuż alei, kiwają głowami i szepczą zaklęcia.

Jednak służący nie mógł tego zobaczyć, bo ugiął się pod ciężarem worka z mąką, który w tej chwili wnosił do kuchni, starając się ignorować gderanie nowego kucharza, zaprowadzającego swoje porządki. A dziewczynka w alei napełniła kieszenie sukienki wierzbowymi liśćmi, dotknęła kory drzewa, żegnając się, i pobięła z powrotem do ogrodzenia

okalającego ogród Lassy.

Liście, które zebrała, były znowu jasnozielone, a wierzby, pozostawione samym sobie, stały nieruchome w gęstym powietrzu.

*

Lassa chodziła między służbą podekscytowana. Pomysł, na który wpadła i właśnie wprowadzała w życie, uważała za znakomity.

Jej własny bal, w należącej do niej posiadłości, na który zaprosiła wszystkich tych, którzy mogli ostatnio zwątpić w jej organizacyjne umiejętności.

Bal w Welfenerze nie będzie nadmiernie wystawny, ale ona wyprawi go, jak należy. Zabawy ociekające nadmiarem są dobre dla nuworyszy, chcących zaimponować sobie podobnym. Lassa zamiast otaczać się przepychem wolała stworzyć niezwykłą atmosferę, której budowanie zaczęła od jasnego wystroju sal, upiękuszonych kwiatowymi dekoracjami tak dobranymi, by mieniące się barwy płatków kontrastowały z jasnością ścian.

Miała teraz pieniądze, aby główną salę zabaw wyposażyć w fontannę. Niewielką, nie zależało jej na rozmiarze. Spośród kamiennych brył woda wytryskiwała pionowo, rozwiewała się w lekką mgiełkę, a potem wracała między kamienie, szepcząc opowieść o przemijaniu.

Zwolniła muzyków, których zatrudniała do tej pory, i wynajęła nową grupę, o której krążyły legendy. Ich muzyka była czarująca, urzekająca słodyczą i utajoną mocą. Jednak Lassa wiedziała więcej. Grupę wychwalały przede wszystkim podstarzałe saginie z wielkich saggardów, które podczas przerw w grze wymykały się z grajkami do ogrodów, a gdy wracały, gotowe były zaświadczyć przed całym światem, że ta właśnie grupa nie ma sobie równych.

Lassa krążyła pomiędzy służbą i wynajętymi pracownikami, snując śmiałe plany. Sae nie odstępowała jej na krok.

– Idź się bawić – mówiła Lassa, próbując sosu, który jej nowo najęty kucharz skomponował dla gości ze śmietany, czosnku i mieszanki ziół, których składu za nic nie chciał zdradzić. Szybko jednak Sae przestała ją interesować.

– To jest doskonale – powiedziała z największą dawką zachwyty, na jaką ktoś o jej pozycji mógł sobie pozwolić, chwając coś tak banalnego jak sos. – Chcę, aby wypełnione tym srebrne misy stały przy rożnach z dzikiem, wołem i baranem.

Kucharz skłonił się z zadowoleniem, a Lassa umoczyła w sosie kawałek

zimnego królika, położyła go na porcelanowy talerz i podała Sae. Dziewczynka uśmiechnęła się i zaczęła jeść tak szybko, jakby ktoś miał zamiar zabrać jej jedzenie. Jednak gdy poszli dalej, a Lassa znowu zaczęła ją ignorować i zajęła się rozmową z ogrodnikiem, Sae bez żalu odstawiła talerz z resztką królika pod krzakiem jeżyn.

Gospodyni wszystkiego chciała dopilnować sama. Oprócz ogrodnika spotkała się jeszcze z mistrzem ceremonii, powierzając mu szczególną pieczę nad niektórymi gośćmi, jeśli będą takiej potrzebować... Z architektem wnętrz, doprecyzowując układ dekoracji na stołach, z lordem służących, dostawcą lodu, mistrzynią płatnych dam do towarzystwa, najemnikami z ochrony...

Sae wciąż jej towarzyszyła.

Pod wieczór pojawił się Czarny. Lassa wzięła wcześniej kąpiel i w swoich pokojach zmieniała strój. Zabójca bezszelestnie wśliznął się do buduaru. Rzucił krótkie spojrzenie Sae, potem stanął za plecami Lassy i nagle ją objął.

Krzyknęła, zaskoczona, i gwałtownie wyrwała się z jego objęć. Pozwolił jej na to i roześmiał się głośno.

– Na demony. – Jej głos kipiał z wściekłości. – Co ty wyprawiasz?

– Przynoszę dobre wieści – odparł Czarny, nie spuszczać z niej wzroku. Nie była naga, ale nie była też w stroju, w jakim przystało kobiecie pokazywać się mężczyznom.

Lassa nie dbała o to.

– Jakie wieści? – rzekła, wyzbywając się gniewu.

– TanPer zaszczyci twój bal, pani.

Jej twarz się rozpromieniła.

– Na pewno?

– Osobiście mnie o tym zapewnił.

Lassa zacisnęła prawą dłoń w pięść tak mocno, że aż zbieła. Wyglądało na to, że znajomość z TanPerem, osłabiona dotychczasowymi niepowodzeniami wspólnych zamierzeń, wreszcie się wzmocni.

– Mam ich – powiedziała przez zaciśnięte zęby. Jej oczy lśniły. – Cała reszta będzie mi teraz jeść z ręki.

Czarny znów się roześmiał.

– A ja? – powiedział. – Nie otrzymałem zaproszenia.

– Czuj się zaproszony – odparła bez zastanowienia. – Na demony, Tanida nie mógł wrócić w lepszym momencie. – Posłała zabójcy nieufne spojrzenie spod opadających rzęs. Nie oddał jej jeszcze części nagrody, powinna zająć się tym w najbliższym czasie. – Tylko nie rzucaj się zbyt w oczy. Baw się, ale niech nikt nie pamięta, że byłeś.

– Taki właśnie jestem – odparł, tym razem uśmiechając się bezgłośnie. – Czarny. Będę bawił się jak demon na twoim nocnym balu, a rano wszyscy o mnie zapomną.

– Mam nadzieję – odparła Lassa, patrząc na niego z powątpiewaniem.

Ubrała suknię, jeszcze nie tę, w której chciała dzisiaj wystąpić.

– Chodź ze mną, mam nowego kucharza, spróbujesz jego sosu. Ludzie zapamiętają TanPera na moim balu, niepowtarzalną atmosferę, którą zapewnię, szepczącą fontannę, muzykę i ten sos. I nie zapamiętają ciebie, mam nadzieję. A od jutra nie będę mogła opędzić się od klientów.

Poszli, a Sae szła za nimi. W kuchni na parterze panował gwar, było pełno pary i zapachów. Kucharz pochylał się nad rozgrzanym kotłem wielkości wanny. Gdy zobaczył Lassę, uśmiechnął się.

– Już kończymy – rzekł. – Za chwilę zaczniemy chłodzić.

Sae zajrzała do kotła, z ciekawością patrząc na bąble, raz na jakiś czas pękające na powierzchni podgrzewanej śmietany.

– Daj spróbować swojego dzieła sztuki mojemu przyjacielowi.

Nastoletni kuchcik pojawił się jak duch z niewielkim naczyniem ze srebrną łyżeczką. Kucharz napełnił je i podał Lassie.

Nikt nie zauważył, jak z dłoni pochylonej nad kotłem Sae wysypały się liście, a bulgocząca, rozgrzana śmietana zaczęła je wchłaniać. Sae sięgnęła do kieszeni i wypuściła z dłoni jeszcze więcej liści.

– Ten twój nowy kucharz to cholerny geniusz – powiedział Czarny. – Zjem dzisiaj tego całe misy i дам głowę, że będę musiał walczyć o to z innymi.

Dziewczynka stanęła przy Lassie, wzięła ją za rękę.

– Idź stąd wreszcie. – Kobieta miała serdecznie dosyć ciągłej obecności dziecka. – Idź się pobawić.

Odpowiedzią był uśmiech. Osiadł delikatnie na drżących wargach dziewczynki, został tam przez chwilę i nie sięgnął policzków ani oczu, bo zgasł. Przy całej swojej zwiewności był to wciąż uśmiech. Pierwszy i jedyny, jaki Lassa u niej widziała.

Sae wyszła z kuchni. Opuściła budynek. Poszła rozświetlonymi przez latarnie jasnymi alejkami, na których dawała się odczuć pełna radości atmosfera oczekiwania, i weszła do ogrodu. Tam także było jasno, bo olej płonął w głębokich kamiennych misach.

Wspięła się po ogrodzeniu.

Nadciągała noc, a wraz z nią zbliżała się godzina rozpoczęcia balu.

Zatrzymała się pod domem na skraju lipowego zagajnika. Przykucnęła między drzewami i przyglądała się cieniom w oknach, rozedrganym w blasku płonących wewnątrz świec.

Mężczyzna stanął na progu. Przeciągnął się, odetchnął nocnym powietrzem, oparł się o futrynę i stał tak długą chwilę. Spojrzał na księżyc, mrużąc oczy, jakby raziło go jego światło. Gdy opuszczał głowę, zobaczył Sae. Przykucnięta, mocno ściskając w dłoni ostatnie zwiędłe wierzbowe liście, patrzyła mu prosto w oczy.

Mężczyzna uśmiechnął się, a ona nie odpowiedziała uśmiechem. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić, ale dostrzegała jego wysiłki, by jej nie spłoszyć. Cofnął się i cicho zawołał:

– Ołra, chodź tutaj.

Z domu wyszła kobieta. Miała zmęczoną, ładną twarz. Kobieta nie była już młoda, ale oczy pozostały żywe. Trzymała kolorową, czystą ścierkę i wycierała w nią dłonie.

– Co się stało? – spytała.

Mężczyzna wskazał jej dziewczynkę. Żywe oczy kobiety zalśniły mocniej. Nieśmiało się uśmiechnęła. Dziewczynka czuła, że jej własne serce wyrywa się z piersi, i czuła też, jak mocno bije serce tamtej kobiety.

– Czy ty jesteś Sae? – usłyszała.

Kobieta też przykucnęła, choć dzieliło je dziesięć kroków. Sae nie miała odwagi podejść bliżej. Kobieta pozostała chwilę w tej pozycji, ciągle uśmiechnięta, potem powoli wstała i chciała zbliżyć się do Sae.

Dziewczynka poderwała się i natychmiast cofnęła.

– Nie bój się – powiedziała kobieta.

Sae nie spuszczała z oczu ich obojga. Mężczyzna położył dłoń na ramieniu kobiety.

– Nie podchodź – powiedział. – Ona nie chce.

Kobieta, Ołra, posmutniała.

– Wiem – odparła i zwróciła twarz do Sae. – Nie będę się do ciebie zbliżać. Jednak jeśli ty będziesz chciała przyjść do nas, sprawisz nam wielką radość.

– Możesz z nami zostać – rzekł mężczyzna. – Byłem przyjacielem Tanidy.

– Ona to wie – powiedziała kobieta. – Nie przyszłaby, gdyby nie wiedziała.

Sae uważniej przyjrzała się mężczyźnie. Nie wiedział, jak ma z nią postępować. Czuła to. Ale się starał. Nikt nigdy, oprócz Tanidy, nie starał się dla niej. Kobieta nie potrzebowała się starać. Była naturalna. Sae czuła bijące od niej ciepło, podobały się jej żywe oczy kobiety i jej ręce.

Podobała się jej kolorowa ścierka, którą kobieta trzymała w dłoniach.

– Wróć teraz do kuchni – rzekła Oira. – Ugotuję mleka i podgrzeję chleb. Mamy bardzo dobry chleb. Lubisz mleko i ciepły chleb?

Dziewczynka niepewnie skinęła głową.

Pod okiem kobiety pojawiła się łza. Szybko ją starła.

– Dobrze. Więc idę. Przygotuję nakrycia dla ciebie i dla nas. Będziemy tam w kuchni wszystko przygotowywać i będziemy czekać na ciebie. Będziemy czekać, aż przyjdiesz.

Kobieta cofnęła się, jeszcze raz uśmiechnęła się do Sae i zniknęła w głębi domu. Jej mąż, oglądając się, poszedł za nią.

Serce Sae uderzało szybko. Otworzyła zaciśniętą pięść i przechyliła otwartą dłoń, a resztki zgniecionych zwiędłych wiechci spadły na ziemię, w błoto.

Dziewczynka siedziała tak jeszcze jakiś czas. Kuciała i patrzyła na dwa cienie w oknie. I poczuła pragnienie, aby wstać i wejść do tego domu, gdzie na nią czekają. Do domu, który od tej pory stanie się także jej domem.

Nad nią, na gałęzi drzewa, zaśpiewał ptak.

*

Tego głosu nie sposób było z niczym pomylić. Żaden ptak nie śpiewał tak pięknie. Wiedziała, że jeśli na niego spojrzy, ptak będzie miał kolor pomarańczy.

Obecność tamtej poczuła, jeszcze zanim usłyszała głos:

– To dobra kobieta. Pokochałaby cię z całego serca. – Głos był słodki i cichy, ale zmroził dziewczynkę. – Tylko że ty nie jesteś dobra.

Dziewczynka zerwała się z kucek i obok, ponad sobą, zobaczyła cień kaptura. Czarny płaszcz sięgał ziemi, srebrne ozdoby płonęły własnym światłem. Kobieta, która stała obok niej, była wysoka i zbliżyła się bezszelestnie.

Przybyła uniosła rękę i był to łagodny ruch pozbawiony groźby. Rozluźniła wiązania i zsunęła kaptur.

Sae odwróciła wzrok. Nie była gotowa spojrzeć w jej twarz. W twarz maddony. Czują, że to spojrzenie odebrałoby jej dom, który miała przed sobą, do którego szła. Tylko że już wiedziała, że nie wejdzie do tego domu.

– W Welfenerze w mękach umierają ludzie. Ty to zrobiłaś. Przyciskają ręce do gardeł, oddaliby duszę za kroplę powietrza. – Maddona zniżyła głos, który przeszedł w szept: – Nie wszyscy są winni wobec ciebie.

Dziewczynka patrzyła w okna domu, gdzie zmęczona kobieta podgrzewała dla niej chleb, wpatrując się w drzwi z nadzieją. W niej samej ta nadzieja zgasła.

– Jesteś utalentowana. Twoje miejsce jest pośród nas.

Sae spojrzała na stojącą obok kobietę w czerni. Zachwyciła się. Twarz maddony była piękna, gęste włosy opadały falami, a oczy zdawały się nie mieć dna.

– Daj mi rękę.

Dziewczynka jeszcze raz spojrzała w okna domu. Potem znowu na maddonę, i było to już spojrzenie pozbawione wyrazu, takie, jakie zawsze miała. Wyciągnęła dłoń.

Maddona drugą ręką zarzuciła sobie na głowę kaptur i cała jej twarz pokryła się cieniem.

Odwróciły się obie i zniknęły między drzewami, a wraz z nimi zniknęły ptaki. Gdy kilka minut później na próg domu wyszła kobieta z chlebem, który parzył jej palce, i kubkiem gorącego mleka, które parzyło ją jeszcze mocniej, nikogo już tam nie było.

Tylko świerszcze cykały.

Kobieta usiadła na progu, postawiła jedzenie na ziemi i czekała. Czekala tak do późna w nocy, a potem wyszedł do niej Prun, podniósł dawno wystygłe mleko i chleb, i zabrał ją ze sobą do domu.

JUŻ NIEDŁUGO UKAŻE SIĘ:

REGUŁA ZAKONU

RZECZYWISTOŚĆ BYWA BARDZIEJ PONURA OD LEGEND

Mija już trzeci rok od czasu, gdy Trzynaście Księstw dokonało masakry starożytnego ludu Hung, i nawet ci, którzy współczują pokonanym, osiedlają się w odebranych im podziemnych miastach. Tylko nieliczni wiedzą, że choć wojna się skończyła, to stary lud pozostaje strażnikiem powierzonej mu tajemnicy. Właśnie ją chce poznać kierujący się bezwzględną regułą kobiecy zakon Arna.

Alija Low, uciekinierka z zakonu, trafia do niewoli. Prywatny łowca nagród zobowiązuje się dostarczyć ją do Argolan, gdzie kobieta ma walczyć na śmierć i życie na Arenie. Choć nie sprawia wrażenia niebezpiecznej, o jej okrucieństwie krążą legendy.

ŚWIETNIE SPLECIONA, GORZKA HISTORIA W ORYGINALNYM ŚWIECIE FANTASY



KAROLINA FEDYK



Pisze opowiadania fantastyczne i wiersze o terraformacji planet. Publicystka i aktywna uczestniczka imprez fantastycznych. Głęboko wierzy w to, że wyobrażone światy mogą nauczyć nas czegoś nowego o naszym własnym. W wolnym czasie współtworzy portal Lewa ręka fantastyki, gra w larpach lub szuka towarzystwa sów i pustulek. Jest doktorantką na wydziale psychologii w Åbo Akademi w Turku, w Finlandii. W 2017 roku jej wiersz *What Wants Us* nominowano do Nagrody Rhyslinga. Jej debiutancka powieść, *Skrzydła*, ukaże się nakładem SQN Imaginatio w 2019 roku.

KOŁYSANKI ZIEM JAŁOWYCH

Są pieśni opisujące taniec obu księżyców i wyliczanki obcych roślin, które można zbierać bez obaw. Stare raseńskie przesady, które przetrwały podbój i przesiąknęły do nowego języka, wnikając w jego ballady. Ale nie ma w repertuarze Nowej Saady heroicznych pieśni o ludziach, którzy wygrali z magami-bogobójcami. Są tylko historie o tych, którzy próbowali i zginęli. Tylko przestrogi.

– Twoje serce ma rozedrgany, szybki rytm: mocne uderzenie jak głuchy ton bębna i zaraz potem drugie, słabsze, jego niepewny cień. Trzeciego nie ma, czwarte znów zawłaszcza ciszę głębokim dźwiękiem. Pauzę w tym twoim klekocie można niemal przeoczyć, tak szybko i niepostrzeżenie bierzesz oddech. A lubię myśleć, że to cisze są najgłośniejsze. To one definiują, co po nich nastąpi.

– Rzadko masz okazję z kimś porozmawiać, prawda? – Zaihab z udawaną troską pyta maga.

Siada naprzeciwko półżywego bogobójcy. Siedzi bardzo blisko, stykając się z nim kolanami. Długie włosy mężczyzny, rosnące nieprzerwanie od stuleci, odkąd został tu uwięziony, łaskoczą ją. Powinny być zbite w kołtun, tymczasem przypominają w dotyku babie lato lub kosmyki mchu. Gdyby w tym miejscu pojawił się choćby podmuch wiatru, zapewne poruszałyby się w nim, lekkie jak pajęczyna.

Mag odracza swoją śmierć, która powinna była nadejść wieki temu, ale płaci za to wysoką cenę: zrasta się ze swoim więzieniem, a jego ciało gubi ludzki kształt. Zaihab obejmuje ramieniem miejsce, w którym wychudzony mężczyzna stapia się w jedno z pniem drzewa i próbuje zapomnieć, jak bardzo gładka kora pod jej palcami przypomina w dotyku kość. Chce też zapomnieć o dwóch kształtach, przytulonych do boku mężczyzny, które znalazła jako pierwsze.

Przyszła tu tylko po jeszcze nieprzetworzonego magią chłopca, który śpi z głową na kolanach maga. Twarz dziecka zastygła w spokojnym uśmiechu, utulona zwodniczymi kołysankami potwora, bez świadomości, że oto stał się ofiarą zwabioną w pułapkę – że mag zabierze mu życie, oddech po oddechu, a on sam już nigdy się nie obudzi.

Zaihab też czuje się senna. Wolną dłonią uderza się w policzek, by wybić się z lepkiego marazmu. Pauza w jej melodii musi robić się coraz dłuższa, a myśli rozpierzchają się, bezładne. Zaihab miała zabrać stąd chłopca. Ale teraz wie też, co wołało ją tu wcześniej – i nie może, jeszcze

nie może stąd odejść.

– Nie jesteś stąd, masz inny akcent – dziwi się mag. – Co robisz w środku zimy u obcych?

– W Rasennie też nie mogłeś być cenionym partnerem do rozmów – mruczy Zaihab.

Skoro jednak zabrnęła tak daleko, równie dobrze może kontynuować tę rozmowę. Co prawda sama bliskość maga ścina jej krew w żyłach, a z każdą chwilą na jałowym polu jej oddech staje się coraz płytszy — ale jeśli Zaihab nauczyła się czegoś z historii o magach dawnej Rasenny, to tego, że nie należy karmić ich własnym strachem.

Nigdy wcześniej nie znalazła się tak blisko raseńskiego bogobójcy. Większość magów została zabita przez Saadyjczyków podczas podboju Rasenny. W zagarniętym państwie, przemianowanym na Nową Saadę, wykorzeniono wszelką pamięć o raseńskich tradycjach. Tych magów, którzy ukryli się i sztucznie przedłużali swoje życie, w większości zagłodzono, nim Zaihab pojawiła się na świecie. Miejsca śmierci bogobójców znaczyły jałowe pola, kręgi martwej ziemi, ciszy i bezruchu. Jeśli zaś chodzi o tych magów, którzy mimo to wciąż trwali — Zaihab słyszała o nich i powinna była wiedzieć, co się stanie, jeśli wejdzie w objęcia zagrożenia. Ale ten był ledwo żywy, Zaihab wierzyła, że nie może jej zaszkodzić. Miał za to zaspokoić tęsknotę za czasem, kiedy wykuwano opowieści, zamiast tylko je powtarzać. I coś jeszcze, czego Zaihab nie potrafi nazwać.

Szybko. Powinna działać. Ale powieki jej opadają i ma ochotę tylko położyć się obok chłopca, by przyjąć spokojny, niczym nie zmacony sen. Bycie tutaj, przy głodującym magu, kosztuje ją mnóstwo wysiłku, jakby bogobójca już czerpał siłę z jej obecności. A wystarczy ułożyć się na spopielałej trawie, pozwolić, by kościana dłoń przykryła jej oczy... będzie ofiarą, która z własnej woli weszła w pułapkę maga, wierząc, że go przechytrzy. Ten żywy trup mógł kiedyś przypominać męczyznę uciekającego z dwójką małych dzieci – ale nim nie był. Gdyby był, po prostu by zginął. Jest drapieżnikiem, a Zaihab – jego nową zdobyczą.

Serce Zaihab zwalnia. Dum-tuk – przedłużająca się cisza.

Nikt nie będzie mieć jej za złe, że nie uratowała chłopca. Najgorsze i najlepsze, na co może liczyć – to wściekłość, że wyszła na jałowe pole sama, nie mówiąc nikomu. Ale jeśli zamknie oczy, zginie.

Trzeba było słuchać przestroóg.

Lecz jest już za późno i Zaihab czuje na policzku dotyk pokrytej odciskami dłoni o ostrych, połamanych paznokciach. To nie ręka raseńskiego arystokraty jak z pieśni o chciwych magach – tylko kogoś, kto

uciekał. Jawa odsuwa się od Zaihab jak cofająca się morska fala.

Jestem tutaj i teraz, pomyślała. Zaihab próbuje zakotwiczyć się w swojej pamięci, swojej rzeczywistości. Zmusza do myślenia o tym, kim jest, nim mag przejmie jej historię. Powtarza w myślach najbardziej złożone pieśni. Szarpie za ramię śpiącego obok chłopca, próbując go obudzić. Nie zna go, ale poznała jego siostrę. Wspomnienie Rahin musi jej teraz wystarczyć.

Wczepia się dłońmi w podobne pajęczynom włosy maga. Powtarza gesty, których nauczyła ją Rahin: nad pętlą, pod pętlą. Póki skupia się na pleceni, zdobywa trochę czasu. Może zdąży wymyślić, jak uciec, nim zaśnie.

Pierwsze uderzenie nowego taktu. Dum.

*

Osada nie wyróżniała się pośród innych tego typu miejsc, znaczących mapy podbitych terenów. Jej centrum stanowiła stara raseńska willa, z dużym wewnętrznym ogrodem, obrosnięta pomieszczeniami gospodarczymi i ciasnymi siedzibami pomniejszych ognisk. Zaihab wydawało się niemożliwe, by ten krąg domów i chat pomieścił tyle osób, ale gdy Rahin oprowadzała ją po obejściu, zewsząd dobiegały głosy rozmów i stukot narzędzi. Nad wszystkim unosił się słodkawy zapach butwiejących liści przemieszany z wonią wilgotnej zwierzęcej sierści. W tej mieszance było coś uspokajającego, umacniającego wiarę w znajomy rytm roku i przewidywalność świata, nawet tutaj. Zaihab smakowała to uczucie, ku rozbawieniu Rahin.

Enklawa, jak wszystkie tego typu w Nowej Saadzie, otoczona była murem, z którego szczyrzyły się odłamki szkła. Rahin zdążyła złapać rękę Zaihab w ostatniej chwili, gdy podróżniczka bezmyślnie próbowała dotknąć muru. Rahin miała dobry refleks.

Miała też inne zalety, na przykład świetnie całowała, o czym Zaihab przekonała się później, gdy razem zakradły się do zagajnika za osadą. Rahin prowadziła podróżniczkę pomiędzy grządkami i zaroślami, które łapczywie wdzierały się na żyzną ziemię. Nowa Saada przegrywała z dziką magią Rasenny, z jej niestrudżonymi wykwitami. Tych i tak było tu stosunkowo niewiele. Zaihab szybko odkryła dlaczego: w samym sercu zagajnika znajdował się okrąg ziemi, której nie ogrzałoby najostrejsze nawet słońce. Nim znalazły się w pobliżu, skóra już zaczęła ją mrowić, a słuch wyostrzył się w antycypacji zagrożenia.

Zaihab znała ten chłód, tę martwość, bezruch. Rozpoznałby je każdy, kto urodził się w Nowej Saadzie. Ziemia – a z nią wszystko, co na niej –

umierała, każdy okruczeństwo życia w niej zostawał pochłonięty przez zostawionego tu maga. Instynkt nakazywał odwrócić się i odejść stąd jak najszybciej. Ciekawość dyktowała przezwyciężenie tego odruchu. Tym bardziej że gdy Zaihab wsłuchiwała się w niemożliwą ciszę, usłyszała w niej dźwięk. Powietrze zdawało się napierać na granicę jałowego pola i połykać rozlegające się wewnątrz echa muzyki. W tym miejscu wciąż tlił się jakiś okruczeństwo życia: chciwego, uporczywego, zdeterminowanego, by przetrwać.

– Zostawiono tu jakiegoś maga? – zapytała ze zdziwieniem.

Jej towarzyszka przytrzymała Zaihab, nim ta postawiła stopę na jałowym polu.

– Jeszcze dogorywa, ale nie zapuszczamy się tam. To chyba oczywiste? – W głosie Rahin słyhać było odrazę. Uścisk wokół dłoni Zaihab stał się mocniejszy. – Ale nie powiesz mi chyba, że raseńskie truchło interesuje cię bardziej niż ja? – dorzuciła weselszym tonem.

Zaihab przekrzywiła głowę.

– Jeśli potrafisz odciągnąć moją uwagę od starej magii...

Rahin nie potrzebowała więcej zachęty. Okazało się też, że potrafi sprostać wyzwaniu.

Musiały wrócić do osady niedługo później, gdy deszcz przegonił je z zagajnika. Rahin prowadziła niewidomą podróżniczkę i strącała ze ścieżki zgniłe, przejrzałe jabłka, by jej towarzyszka się na nich nie poślizgnęła. Powinny były się śpieszyć, woda szybko przenikała ich wełniane tuniki, ale dziewczyny wciąż chichotały, trzymając się za mokre od deszczu ramiona, jakby schowały w zagajniku skarb, który był teraz ich wspólną tajemnicą. Powietrze pachniało rozkładem i cierpkością owoców; upajająca woń, choć przywodząca na myśl miejsca pochówku. Tym razem Zaihab wydawało się, że koniec roku może naprawdę przynieść zmiany, jak obiecywano sobie podczas świąt końca cyklu.

Ale nawet teraz, gdy śmiała się w objęciach Rahin, nie umknęło jej, że wracały do osady inną, dłuższą drogą. Że Rahin pewnym gestem skierowała ją na inne ścieżki, z dala od maga i echa jego muzyki, celowo nadłożyła drogi, choć powinny były się śpieszyć. Zaihab nie skomentowała i pozwoliła zaprowadzić się ku ognisku płonącemu na środku wewnętrznego ogrodu, gdzie Rahin, wciąż roześmiana, zdjęła jej buty i roztarła zziębnięte stopy.

Obie dziewczyny siadły blisko ognia, susząc ubrania.

– Przesuńcie się – rzuciła Rahin do swojego młodszego rodzeństwa, rozpychając się między nimi i robiąc miejsce dla Zaihab.

Kilkoro dzieciaków zaprotestowało głośno.

– Bądźcie mili dla gościa! – fuknęła Rahin.

– Nie, nie ma problemu. – Zaihab potrząsnęła głową. – Jeśli podacie mi mój bębenek, może opowiem wam, co dalej spotkało księcia złodziei?

Rahin parsknęła, ale nie zamierzała udawać, że słuchanie bajek jest poniżej jej godności.

Zaihab zaczęła wybijać prosty rytm i nucić melodię. Na myśl o tym, jak szybko stała się częścią osady, przeszedł ją dreszcz. Zaihab i jej rodzice przybyli tu przed dwiema pentadami, w ciągu których z obcych wyposażonych w magisterskie pieczęcie — traktowanych z ostrożną rezerwą i chłodem, goszczonych, bo tak nakazywało prawo, lecz zawsze pilnowanych — zamienili się w domowników. To wszystko działo się zbyt łatwo, zbyt szybko.

Osada Rahin była prawdziwym ogniskiem: silną społecznością wielu dorosłych, wspólnie wychowujących dzieci i opiekujących się starszymi. Jeśli Zaihab poprawnie liczyła, Rahin i jej rodzeństwo mieli pięć matek i siedmioro ojców. Ich ognisko nieustannie rosło w siłę, co roku przyjmując do swojego grona nowe osoby. Ludzie w ogóle nie należący do ogniska — jak Zaihab i jej rodzice — zwykle budzili w najlepszym razie podejrzliwość. W najgorszym — jawną wrogość.

Zaihab nie chciała teraz myśleć o tym, jak rozrosło się drobne kłamstwo, i że krzewiły się na nim prawdziwe emocje. Śpiewała dalej. Bajka dobiegła do finału. Zaihab wybiła szybki, rwany rytm na krawędzi bębna i zakończyła:

– ...a gdy smok wszedł do skrzyni, by pokazać księciu, jak dużego pojemnika potrzebował na swoje skarby, księżę złodziei szybko zatrzasnął wieko i uwięził smoka w środku!

Dzieciaki zachichotały. Rahin też prychnęła, wciąż starając się grać rolę poważnej starszej siostry. Zaihab uśmiechnęła się leniwie i wyciągnęła ku ogniovi bosc stopy, grzejąc ich stwardniałe podeszwy. Wypuszczony bębenek utonął w obszernych nogawkach jej podróżnych spodni.

– Zaihab — odezwał się głos z wnętrza domu. — Czekamy na ciebie!

Dziewczyna przygryzła wargę w tajonym uśmiechu.

– A chcecie wiedzieć, co stało się z królową, która chciała pozbyć się księcia? — zapytała dzieci.

– Zaihab jeszcze nie skończyła! — zaprotestowało głośno rodzeństwo Rahin.

– Sama rozumiesz — zachichotała Zaihab, kierując słowa do dziewczyny. — Nie mogę sobie teraz iść.

– Przynajmniej udawaj, że robisz coś pożytecznego — odcięła się Rahin.

Zaihab westchnęła głęboko, z udawanym bólem.

- Jak to: „coś pożytecznego”?
- Nie jesteś najlepszą aktorką – skomentowała tamta.
- Nie masz dla mnie litości. – Kolejne westchnienie. – *Ciężka praca nuży ciało, a życia twego osnowa to krzyczane na wiatr pieśni oraz słowa, tylko słowa* – zanuciła na melodię znanego hymnu.
- Przyznaj, właśnie to zmyśliłaś.
- Wcale nie! Śpiewaliśmy tę rymowaną z zasadami dobrego życia w moim ognisku!
- W tym samym ognisku, gdzie „częste mycie skraca życie” uchodziło za maksimum medyków?
- Zaihab wzruszyła ramionami, próbując się nie roześmiać.
- Ratuje cię od nudy. Mogłabyś okazać trochę wdzięczności.
- Poczekaj, aż któregoś z rodziców zorientuje się, ile sprośności udało ci się zawrzeć w bajkach, które śpiewałaś wcześniej.
- Co poradzę. Słowa to wieloznaczne bestie.
- Słowa są łatwe. – Rahin przesunęła palcem po policzku Zaihab. – To wszystko, co potrafisz: mówić?
- Nie wszystko – wymamrotała Zaihab.
- Och, ktoś się tu czerwieni?
- Siedzę zbyt blisko ogniska.
- Chodź tutaj. – Rahin włożyła jej w dłonie kościaną igłę i kłębek włóczki. – Skoro masz udawać, że pracujesz, to nauczę cię przynajmniej łątania dzianin.
- Jeśli tak miała wyglądać cała zima, Zaihab doszła do wniosku, że może odsunąć nieufność i zgodzić się na to.

*

Gdyby tylko w nocnej ciszy nie rozlegało się to ledwo słyszalne echo. Brzęczenie nieznanym melodii budziło Zaihab ze snu, gdy leżała między Rahin a jej rodzeństwem we wspólnym pokoju. Nikt inny zdawał się nie słyszeć powtarzalnych strof; dzieciaki wierciły się przez sen, ich najstarsza siostra spała skulona. O wiszącej w powietrzu melodii nigdy nie mówiono.

Zaihab początkowo próbowała wypytać o to Rahin, ale ta twierdziła, że nic nie słyszy. Naciskała za to, by Zaihab nauczyła się szyć i wyplatać. Zaihab dała się ostatecznie przekonać, zaplatając pojedynczą nić w mocną dzianinę; nie darowała sobie jednak przekory, odgrywając mały spektakl, w którym poświęcała się wyłącznie dla towarzystwa Rahin, ale od tamtego czasu spędzała dni, reperując ubrania.

Poza tym dobrze wiedziała, gdzie przebiega granica i na ile może sobie

pozwolić. Wszyscy to wiedzieli – skoro Zaihab już tu była, akceptowali ten niepisany układ. Zresztą Zaihab była bardzo daleka od bezużyteczności.

Po pierwsze: potrzebowali jej rodzice. Historyjka o kartografii podróżującym w towarzystwie partnerki i córki, którą przedstawił gospodarzom jej ojciec, zagwarantowała im tylko tymczasowy postój; natomiast trójka ludzi mogących zapewnić jakąś rozrywkę prezentowała się już dużo lepiej.

Zaihab mogła dać swoim gospodarzom także pamięć.

– Nie wiemy, czym nasze ognisko było w Saadzie, ale pierwsi osadnicy zostali tu zesłani po tym, jak ich rodzice upadli w łaskach króla – opowiadała jedna z matek, wręczając dziewczynie kościane pieczęci.

Zaihab obwiodła palcami wytrawione w nich wzory, mające świadczyć o arystokratycznym rodowodzie. I być może te pieczęci były nawet autentyczne; saadyjscy zarządcy nie omieszkali skorzystać z okazji pozbycia się niechcianych osób, wysyłając je razem z ich ogniskami na nowo zdobyte ziemie. Ale równie dobrze to mogły być przekazywane sobie z pokolenia na pokolenie umiejętnie podróbki, zakorzeniające ludzi znikąd w tym nieprzychylnym miejscu.

Zadaniem Zaihab nie było oceniać, tylko zamieniać te historie w pieśni. Nadawać pamięci rytm i porządek: dwie cechy, bez których nie mogła być przekazywana. Więc nawet jako nieszkolona pieśniarka Zaihab była tu traktowana jako ktoś, od kogo zależała historia tego miejsca. Spędziła więc niejedną wieczór, zapamiętując i układając historie kolejnych pokoleń – osób, które budowały most między tymi rzekomymi szlachcicami a obecnymi mieszkańcami osady. Każdy, kto dołączał do ogniska, przynosił swoje historie. Od zawiłej genealogii kręciło się Zaihab w głowie, ale śpiewała.

Czasami historie przychodziły zbyt późno, jakby chciano podać jej jakieś inne imię; albo jakby historia wymagała cenzury, ostrożnego usunięcia zeń czyjejś obecności. Prześlizgiwano się nad wspomnieniem dzieci zmarłych w niemowlęctwie i skracano własną historię tam, gdzie jej meandry były zbyt trudne, zbyt niewygodne.

Czegoś brakowało w najnowszej historii ogniska; Zaihab natrafiała na ziejącą dziurę, której gospodarze odmawiali łatania. Po kilku próbach sama zaczęła oplatać ich historię wokół tej głośnej nieobecności, aż sama zapomniała o świeżej ciszy.

Pamięć w Nowej Saadzie, gdzie historię rzadko powierzano piśmie, była bagażem. Na powiększenie jego wagi trzeba było sobie zasłużyć. Nie z powodu wyrachowania, tylko prostych mechanizmów przetrwania:

pamięć była cięższa niż dowolne materialne dobra i choć jej waga nie łamała kości, to mogła skruszyć człowieka w zupełnie inny sposób.

*

Teraz Zaihab nie może przypomnieć sobie żadnych z tych słów ani imion. Rymy wyślizgują się z jej myśli, rytm płacze się i dopasowuje do obcych, powolnych dźwięków. A Zaihab zdaje sobie sprawę, że przecież zna tę melodię. Słyszała ją wcześniej. Te same powtarzające się dźwięki, brzęczące ledwo na granicy słyszalności, powtarzalne takty, jakby jej mózg próbował zapewnić wieczorną ciszę; ale nie, to była pieśń. Nuci ją gadatliwy mag.

– Przestań – mówi Zaihab, ale melodia się nie urywa.

Dziewczyna wypuszcza z dłoni sznur włosów. Nie pamięta nawet, kiedy zdążyła tyle zapleść; powtarzała tylko gest nauczony przez Rahin, jedna pętla pod i druga nad, nic wraca, wije się znowu. Jej dłonie mechanicznie odtwarzają kolejność ruchów.

– Nie przestanę – odpowiada mag nieoczekiwanie łagodnym głosem.

Jego saadyjski jest archaiczny, kadencja języka niepodobna do tego dialektu, którym mówi się teraz na tych terenach. Ale tak mogli mówić wykształceni Rasenowie w ostatnich latach ich chwiejącego się państwa, nim generałowie Saady zorientowali się, że raseńska magia zniknęła niemal zupełnie, czyniąc z magów łatwy cel. Znowu Zaihab stara się nie myśleć o tym, że wrośnięty w drzewo mężczyzna nie był jednym z tych mitycznych książąt-bogobójców, którzy skazali Saadę na długie lata głodu, lecz kimś, kto tylko próbował odciągnąć dwoje dzieci z dala od niebezpieczeństwa. Dwójka malców, których zabrał ze sobą, jest już nieodróżnialna od powalonych pniaków. Tylko ich ojciec – opiekun – trzyma się życia, nieustannie nucąc im kołysankę, choć magia przetworzyła go nie do poznania.

Raseńscy uciekinierzy, zwyczajni ludzie próbujący chronić swoich bliskich, tacy jak on, też musieli istnieć, Zaihab o tym wie – ale nie chce o nich myśleć. Nie chce czuć się winna śmierciom sprzed stuleci. Nie chce współczuć dwójce śpiących dzieci; musi myśleć o trzecim dziecku, tym, które mag wyrwał osadzie i znącił kołysanką, by zyskać jeszcze kilka lat życia.

– Nie chcę już tego słuchać! – Własny głos brzmi w głowie Zaihab jak krzyk, choć ona sama nie ma pewności, czy z jej ust wydobył się jakikolwiek dźwięk. Ale dzięki temu nie słyszy kilku nut upiornej kołysanki.

Potem jednak melodia podnosi się znowu. Zaihab krzyczy i rzuca się na maga.

To niebezpieczne i nieprzemyślane; ale jest za późno i pęd jej własnego ruchu popycha ją na rachityczną figurę. Zaihab próbuje zasłonić bogobójcy usta.

Jej dłoń natrafia na dwoje ust. Dwie pary warg, cztery rzędy drobnych ludzkich zębów w spotworniałej twarzy maga. Spierzchnięty, spękany naskórek, tak twardy pod jej ręką, jakby miękkie tkanki zamieniły się w kość. Obie pary warg rozciągają się w uśmiechu. Jedna jest ludzka. Druga, szeroka jak rana, nie przestaje nucić.

To dlatego chłopiec śpi. I ona sama też uśnie, jeśli nie znajdzie sposobu, by przerwać tę kołysankę.

Drugie uderzenie; jak dłoń ledwo muskająca krawędź bębna. Tuk.

*

Noc była zimna, choć przynajmniej nie padało; czuć było tylko wilgoć wciskającą palce pod krawędzie ubrań, lepkość powietrza, którą jedynie ognisko utrzymywało z dala. Skończył się miesiąc snu. Nie było żadnego święta, by uwiecznić ten moment; nic ponad radością, że i ten moment udało się przetrwać. Jeśli istniała jakaś cecha definiująca Nową Saadę i jej mieszkańców, to właśnie to – uporczywe trwanie w peryferyjnej krainie i świętowanie każdego roku wyszarpiętego cieniem Rasenny. Do wewnętrznego ogrodu, rozgrzanego płomieniami ogniska, przyniesiono młode wino i późne jabłka zapieczone w kruchym cieście tak słodkim od miodu, że aż parzyło wargi. Wyniesiono instrumenty. Ponad ich muzyką Zaihab słyszała głos matki, opisujący proces produkcji jakiejś prostej maści.

Rahin zaś opowiadała Zaihab o dwóch księżycach, nieustannie ścigających się po niebie. Dziewczyny siedziały oparte o siebie, z dala od pozostałych, starając się rozmawiać w zgiełku muzyki i tańca.

– Wyglądasz, jakby ktoś rzucił ci w twarz garść iskier – powiedziała Rahin rozmarzonym tonem. – Tyle drobnych blizn i przebarwień, i wszystkie błyszczą się w świetle na tle twojej ciemnej skóry – dokończyła wyczekująco.

Zaihab uśmiechnęła się do niej.

– Za tymi bliznami nie ma żadnej ciekawej historii. Tylko dużo tłuczenia się po różnych drogach tam, gdzie wysłano mojego ojca.

– A co na to twoje ognisko?

To pytanie było tylko pozornie niewinne. Pytania o ognisko, zadane

niby to mimochodem, wracały w rozmowach raz po raz. Rahin próbowała wy badać, skąd wzięła się trójka obcych podróżników; z jakiego ogniska przyszli, dlaczego nie rozpowiadali o nim. Zaihab zaś starała się unikać niekoniecznych kłamstw.

Wahała się tylko chwilę – po czym wstała i chwyciła dłoń Rahin.

– Zatańcz ze mną – powiedziała.

Rahin, zaskoczona, wypuściła z ręki robótkę. Nie zadała oczywistego pytania – jak Zaihab zamierza tańczyć. Podróżniczka przysunęła się bliżej.

– Po prostu mnie prowadź – powiedziała, kładąc dłoń Rahin na swojej talii.

To, co pojawiło się między nimi, to nie była miłość. Ale fascynacja kimś nowym też jej wystarczała.

Rahin stawiała mocne, zamaszyste kroki; słuchała bębna bardziej niż melodii. Gwizd fletów mógł się co najwyżej oplatać dookoła niej i jej partnerki w naśladownictwie tanecznych figur. Jej pierwsze ruchy były zbyt stanowcze, jakby spodziewała się oporu ze strony Zaihab – ale podróżniczka tylko uśmiechała się i dawała się prowadzić, ufając ramionom Rahin w coraz szybszych obrotach, coraz wymyślniejszych krokach.

Nie były same, ale dla nich obu wewnętrzny ogród stał się ich własnym miejscem, gdzie tylko one wirowały, przyjmujący wyzwanie rzucone im przez coraz szybszy rytm. Szybciej i szybciej. Włosy Zaihab uwolniły się z koka i otoczyły jej twarz ciemną aureolą, z jednym kosmykiem przyklejonym do rozchylnych warg.

Szybciej i szybciej, aż Rahin poderwała Zaihab z ziemi i okręciła ją gwałtownie wokół własnej osi w furkocie ich spódnic. Poczowała przestkach dziewczyny, palce wpijające się kurczowo w ramiona – ale gdy pozwoliła stopom Zaihab ponownie dotknąć ziemi, pieśniarka wybuchnęła śmiechem.

To nie było nawet zakochanie, ale dla nich obu i tak było upajające.

– Chodź stąd – powiedziała Rahin, gdy odzyskała oddech.

– Do zagajnika? – Zaihab uśmiechnęła się przekornie.

Osadniczka prychnęła.

– To nie jedyne miejsce w tej okolicy, gdzie... nie ma intruzów.

*

Pamięć ma swoje granice; nie wszystko można jej powierzyć. Czasem trzeba zdecydować o tym, co jest warte zabrania ze sobą.

Czasem trzeba powiedzieć sobie, że kogoś nie warto zabierać.

Na każdą osobę, o której opowiadano, przypadał ktoś inny – dziecko zmarłe na krwistą gorączkę, chłopak pochłonięty przez lasy wiecznie głodnej Nowej Saady, ktoś, kto oszedł i nigdy nie dał już znaku życia. W odróżnieniu od Rasenów osadnicy nie mieli dostępu do osławionych raseńskich źródeł, do magicznych rytuałów, które sprawiały, że zmarli nigdy nie odchodzili na dobre. Niepamięć bywała bardziej łaskawa.

Ale niepamięć wymagała narzucenia sobie brutalnej dyscypliny; złamania własnego serca i przymuszenia go, by zrosło się w zupełnie innym kształcie. Rahin wyraźnie nie potrafiła jeszcze tego zrobić — choć trzeba było jej przyznać, że starała się, jak mogła.

Zaihab wahała się, czy powinna jątrzyć tę ranę. Nie chciała — ale co jeśli Rahin sama zdawała się ją ku temu zachęcać?

Póki co, osadniczka gładziła ramiona Zaihab, błogo ciężkie. Obie leżały na siennikach i kocach rozłożonych pośpiesznie na strychu willi, z daleka od hałasu święta i rozpraszających rozmów innych ludzi. Nie było już wygodnej ucieczki od pytań o ognisko.

– Reszta mojego ogniska jest stanowczo bardziej nudna – skwitowała Zaihab.

– Nie wierzę ci. – Rahin żartobliwie szturchnęła ją w odsłonięte ramię. – Jeśli mają coś wspólnego z tobą, nie jest to możliwe.

– Poważnie. Mam jeszcze dwóch ojców. Albo miałam, jeśli nikt nie zapomniał o nich w czeluściach biblioteki. Zostawienie ich samych to był fatalny pomysł, ale jak wytłumaczysz w magistracie, że dwóch błyskotliwych naukowców nie będzie w stanie o siebie zadbać, bo będą zbyt zajęci nauką? Miałam też siostrę, ale odeszła do innego ogniska.

– Czym się zajmują twoi ojcowie?

– Jeden tworzy barwniki i atramenty. Drugi jest matematykiem. Są nieprzytomnymi naukowcami jak z saadyjskich komedii. Obu moi wędrowni rodzice wyciągnęli z uniwersytetu.

Rahin zaśmiała się; Zaihab jej zawtórowała. Na przestrzeni lat kłamstwo o ognisku stało się podobne podrabianej pieczęci: ulegało zmianom, ale jego podstawowy kształt był znajomy i łatwy do przywołania z pamięci.

Podczas podróży z rodzicami Zaihab wymyślała dalsze losy tego wymyślanego ogniska. Przez jakiś czas wahała się, czy nie wprowadzić do niego więcej osób. Bawiła się historiami nieistniejącego rodzeństwa, rodziców, wreszcie sojuszników. Ale duże historie rodzinne bywały trudne do utrzymania w pamięci, nawet te fikcyjne.

– Widzę pewien wzór postępowania w twoim ognisku. – Rahin przerwała te rozmyślenia, gładząc palcem policzek Zaihab.

– Hmm? – Dziewczyna nadstawiła się do dotyku.

– Po prostu zaskakujecie ludzi swoją obecnością, a oni nie potrafią się temu oprzeć.

– To troszkę bardziej skomplikowane – Zaihab zbyła ją śmiechem.

– Nie wątpię. To musi być zupełnie inne życie – dodała.

– Jest – przyznała jej Zaihab.

Było, choć niezupełnie takie, jakie przed Rahin nakreśliła. Ale polubiła to kłamstwo i pozwoliła mu oddychać, wieść jakieś inne, własne życie, któremu mogła się przysłuchiwać. Prawie zapomniała czasem, że to ona jest jego narratorką.

Rahin chyba liczyła na jeszcze dalszą opowieść, ale Zaihab skuliła się w pościeli i wtuliła w jej bok, ucinając rozmowę. Obie pachniały dymem ogniska. Zaczynała kojarzyć ten zapach z poczuciem bezpieczeństwa.

Obudziła ją delikatna woń topiącego się wosku, palonego kadzidła – i chłód na odsłoniętym ramieniu. Zaihab początkowo poprawiła tylko koc i spróbowała wrócić do snu, ale zorientowała się, że miejsce Rahin tuż obok jest puste, a siennik wciąż ma odgniecenie w ciepłym kształcie ciała dziewczyny. Wsłuchiwała się w miarowy, głośny oddech mieszkanki osady.

– Rahin – szepnęła w ciemności. – O kim mi nie mówisz, Rahin?

Wyciągnęła przed siebie ramię, natrafiając na szorstkie włosy dziewczyny, opadające na jej plecy kaskadą drobnych dredów.

Rahin drgnęła.

– Myślałam, że śpisz – szepnęła.

– Bo nie zobaczę światła twojej świeczki? – Zaihab uśmiechnęła się kątem warg. – Nie chciałam ci przerywać.

– Nie przerywasz. – Rahin pochyliła się i pocałowała ją w czoło.

– O kim mi nie mówisz? – Zaihab powtórzyła cicho.

– Rano ci opowiem. – Westchnęła. – Ale dziś ma piętnaste urodziny.

Ma? Więcej pytań niż odpowiedzi. Zaihab tylko wtuliła twarz w poduszkę i zasnęła z ręką wyciągniętą ku Rahin.

Właśnie dlatego nie powinna była tu zostawać: to było tak łatwe, tak złudne, że prawie uwierzyła, że tego właśnie chce.

*

– Obiecałaś mi – przypomniała Zaihab kilka dni później, gdy obie siedziały nad koszykiem pełnym nici i cerowały ubrania, stykając się dłońmi tylko trochę częściej, niż wynikałoby z natury ich pracy. Zaihab nie potrafiła ocenić, czy ten dotyk jest miły, czy nie; przypominał jej o tym, że traktowała już życie w osadzie jako pewnik. Nie wiedziała, czy to jej się podoba.

Rahin westchnęła ciężko. Nie była w nastroju do flirtu. Zaihab natychmiast pożałowała pytania.

– Może ty mi coś najpierw powiesz – oznajmiła osadniczka. – Szczerść za szczerść. Kim jesteście?

Zaihab wahała się długo. Mogłaby dalej utrzymywać tę szaradę, chronić naukowców wyrzuconych z akademii. Lecz gdyby chciała, odnalazłaby prawdziwe pieczęci swoich rodziców. Wtedy cała serdeczność Rahin nie wystarczyłaby, by zapewnić im dach nad głowami.

Ostatecznie Zaihab zdecydowała się na inną prawdę.

– Nie jesteśmy ogniskiem – powiedziała powoli. – Jesteśmy... przypadkiem. Lecz mój ojciec naprawdę jest kartografem.

Rahin zaśmiała się głucho.

– A tak pięknie opowiadałaś mi o swoich pozostałych ojcach.

Zaihab nie miała nic na swoją obronę. Po prostu czekała, aż druga dziewczyna zechce mówić.

– Ja ci pięknie nie mówiłam o moim ukochanym bracie – skwitowała wreszcie Rahin. – Jesteśmy sobie warte.

Zaihab z żalem pożegnała się w myślach z obopólną fascynacją. Niby obie wiedziały, że to musiało się kiedyś skończyć; ale może nie tak szybko, nie w taki sposób.

– Czy zabiło go... to miejsce? – zapytała ostrożnie.

Rahin znów odpowiedziała nieprzyjemnym, gorzkim śmiechem.

– Och, nie. On wciąż żyje. Został zwabiony przez tego maga, który tak cię interesował. Nie potrafił wyrwać się spod jego wpływu. Czasem widzę go, gdy podejść do jałowego pola, jak śpi z głową na kolanach maga. Przez dwa lata się nie obudził. Kiedyś wreszcie umrze, wiem to. – Odetchnęła ciężko. – I staram się nie mieć nadziei, że kiedykolwiek otworzy oczy, ale cały czas wygląda, jakby miał zaraz wstać – dokończyła, nim głos jej się załamał.

Jeśli w ogóle miał miejsce jakiś proces decyzyjny, to Zaihab podjęła decyzję właśnie w tamtym momencie. Musiała uwolnić brata Rahin.

*

Pamięć to ciężar, ale i kotwica w rzeczywistości. Zaihab wynurza się ze snu i rozchyła opadające powieki. Przypomina sobie imię, imię, którego Rahin nie chciała jej podać. *Kiret*. Chłopiec, który podążał za swoją ciekawością jak ćma wzywana przez ogień; który, jak Zaihab, był w domu tylko wtedy, gdy był w drodze.

Nie zauważyła nawet, jak oparła policzek o ramię maga. Tam, gdzie go

dotykała, ciało-kość-drewno ogrzały się od jej ciepła. Zaihab wzdryga się z obrzydzeniem, lub tylko jej się tak wydaje, bo jej ruchy są powolne i ociężałe.

– Nie chcę tutaj zostać – bełkocze.

– Ach, ale zostaniesz – mówi ze smutkiem mag. – Potrzebuję ciebie.

– Już nie uciekniesz. Nie masz gdzie. Nie ma Rasenny. Saada ciągnie się aż od serca kontynentu do morza.

Mężczyzna wzrusza ramionami. Drzewo, które zaczęło go pochłaniać, trzeszczy.

– Nie muszę stąd odchodzić. Wystarczy, że poczekam na wasz koniec. Kiedyś musi nastąpić.

Nucona przez niego melodia nie urywa się ani na chwilę. Zaihab znów uderza się w twarz, próbując się dobudzić. Musi stąd uciec. Muszą uciec oboje, ona i Kiret. Tak miał – ma – na imię chłopiec, za którym tęskniła Rahin. Jej brat.

Policzki ją pieką od uderzeń, ale wyczekiwana jasność myśli nie nadchodzi. Sznur z włosów maga, który Zaihab zdążyła spleść, wije się na jej kolanach jak wąż; cienkie kosmyki kleją się do jej spoconych rąk, jakby i one nie chciały jej wypuścić. Strach ściska jej gardło.

– Dlaczego?! – krzyczy. – Nic ci nie zrobiłam! To nie byłam ja!

Nie wie, jak czas płynie dla uwięzionego maga – czy uciekinier potrafił zostawić za sobą wojnę i ludobójstwo. Czy widzi ją, Zaihab, podróżniczkę zbierającą pieśni, czy saadyjską żołnierkę w mundurze sprzed stuleci.

Mag jej nie słucha. Nie istnieje dla niego nic poza jego niekończącą się ucieczką, cierpliwym czekaniem na upadek wrogiego mocarstwa. A jeśli nie ma niczego, przed czym by się powstrzymał w swojej walce z czasem...

– Twoje dzieci – mówi powoli Zaihab. Wargi drętwieją jej od tego dziwnego zimna. – Czy je też pochłonałeś? Czy wiedziałeś, że to robisz?

Zaihab wzdryga się na samą tę myśl: wyrażenie jej na głos przypieczętowało coś, co wcześniej było tylko mglistym podejrzeniem. Ale mag też drży i po tym dziewczyna wie, że miała rację.

– Być może wcale tego nie chciałeś – Zaihab mówi dalej. – Co się stało? Zatrzymaliście się na chwilę, by odpocząć? A może was tu zaszczuto i chciałeś tylko przeczekać atak? Rozbiliście tu obóz, a ty śpiewałeś dzieciom kołysanki, by zasnęły mimo toczących się wokół walk? A następnego dnia – czy już się nie obudziły?

Mag odдыcha z wysiłkiem. Słowa dziewczyny wytrąciły go z równowagi. Druga para ust wciąż nuci, ale melodia się zacina.

– A może uznałeś, że to konieczna ofiara? Że pamięć o Rasennie jest warta więcej niż twoja rodzina? – Zaihab drąży. Im dłużej mówi, tym więcej czasu zyskuje.

Ręka mężczyzny nagle znajduje się na jej gardle, palce są twarde jak konary drzewa. Zaihab zaskoczona próbuje krzyknąć.

– Zamknij się – syczy mag, odnajdując krtań dziewczyny.

Pauza.

*

Zaihab bywała poza osadą już wcześniej. Kilka razy, do tego zawsze w towarzystwie Rahin. Ale nie w zagajniku, poza granicami enklawy; nie tam, gdzie mogła kierować się tylko dźwiękiem. Nie miała tak niezwykłego słuchu, jaki jej często przypisywano; owszem, kompensowała, ale to była fizyka jej ciała, nie magia. Zaihab miała też doskonałą pamięć, to jednak nie pomagało jej w poruszaniu się po obcym terenie.

Powinna była zostać w domu, lecz ciekawość wygrała.

Albo raczej — wygrało przerażenie, że tak łatwo byłoby jej zostać, w spokoju, jaki dawało życie osady. Jego nieprzewidywalność miała bardzo konkretny smak; Zaihab mogła do niego przywyknąć.

I już zawsze śnić za murem najeżonym odłamkami szkła.

Obok Rahin, pragmatycznej Rahin, która potrafiła wybaczać wszystkim, tylko nie sobie — i której idea życia zamykała się w przejściu od ogniska do ogniska, z jednej strzeżonej enklawy do drugiej. Dla Rahin Nowa Saada była miejscem, które należało przetrwać. Dla Zaihab była zagadką do rozwiązania. Tutaj, historie, które Zaihab sama by układała, byłyby jedyne — o ile ktoś nie zaplątałby się w te okolice, wręczył gospodarzom fałszywe pieczęcie, przeczekał zimę, opowiadając przestarzałe wiadomości...

*

Siedząc naprzeciwko maga, boi się, że nie wróci. Ale wcześniej bała się, że zostanie; to byłoby dużo gorsze, nieznośnie długie, rozwleczone pomiędzy latami, miesiącami, dniami.

A Zaihab chce wiedzieć, co było dalej. Nie potrafi się zatrzymać: chce uśmiechnąć się do świata i rzucić mu wyzwanie, karmić się jego historiami i wiedzieć coraz więcej. Jej serce nie zna spokoju; zna tylko drogę.

*

Zaihab wzięła laskę i wymknęła się z osady, podążając za głosem, który w ciszy nocy stał się jeszcze bardziej wyrazisty.

Dla niej samej nie miało znaczenia, czy jest dzień, czy noc. Zbyt późno przypomniała sobie, że teraz mur nie chronił jej przed drapieżnikami. Choć wykwity starej magii nie miały tej zwierzęcej skłonności do nocnego życia, wiele z nich dopasowało się — noc była bezpieczniejsza dla nich.

Nie dla Zaihab, która już po kilku krokach poczuła gęsią skórę. Noc wołała do niej zewsząd głosami zwierząt o zrogowaciałych wargach podobnych dziobom i językami kwiatów wyrosłych z dzikiej magii. Las zdawał się drgać w niespokojnym oczekiwaniu, jakby każde stworzenie w nim szykowało się do ataku. Mokre od rosy kłacza smagały łydki Zaihab i chwyciły jej laskę. Dziewczyna zacisnęła zęby. Musiała iść szybko, nim coś faktycznie ją zaatakowało. Ryzykowała ślizganie się po przemoczonych trawach, ale przyśpieszyła kroku.

Gdy stanęła na skraju pola jałowego, poczucie zagrożenia nie minęło — ale stworzenia Rasenny odstąpiły od niej. Nie była już ich ofiarą. Oddały ją magowi.

*

Wszystko cichnie poza kołysanką.

Przez upiornie długą chwilę Zaihab szarpie się w uścisku mężczyzny, walcząc o oddech. Palce maga są silne, lecz — na szczęście — kruche; łamią się jak gałązki, gdy Zaihab próbuje rozluźnić ich chwyt. Ich wilgotny trzask jest pierwszym dźwiękiem, który słyszy.

Gdy dzwonięcie w uszach cichnie, na nowo odkrywając melodię kołysanki, Zaihab ma jeszcze szansę uciec. Może zostawić Kireta. Dziewczyna ostrożnie podnosi się z kolan. Nogi uginają się pod nią, ale zapiera się o drzewo, z którym zrósł się mag. Jeszcze nie ucieka.

Nie ma szans wygrać z kimś, kto przestał już nawet być człowiekiem. Nie zrani go; nie da rady. Ale będzie w stanie go na chwilę uciszyć. To będzie musiało jej wystarczyć.

Podnosi zaplecione włosy maga, dziwnie ciężkie w jej rękach. Każdy, choćby najmniejszy nawet ruch, kosztuje ją mnóstwo wysiłku. Wcześniej plotła ten sznur, by zachować przytomność — teraz wyuczona czynność może uratować jej życie. Zaihab zciska palce wokół sznura. Robi jeszcze jedną, dużą pętlę i zarzuca ją magowi na głowę. Wpycha sznur w dodatkowe usta, wtłacza magowi w gardło jego własne włosy. Zaciska pętlę. Rahin była dobrą nauczycielką; nawet teraz Zaihab potrafi powtórzyć gesty zamieniające pojedynczą nić w zbitą, niemożliwą do

rozplątania dzianinę. Pod pętlą. Nad pętlą. Mag zaczyna się krztusić.

Ostatnie uderzenie taktu. Dum.

Kołysanka się urywa. W tej nagłej ciszy Zaihab słyszy tylko swój własny oddech, urywany, głośny, podobny do płaczu.

Wciąż znajduje się bardzo blisko maga. Niemal stykają się nosami. Zaihab wciąż spodziewa się ataku; tymczasem słyszy cichy szelest w okolicy stóp.

– Kiret – szepcze.

Mag prycha. Zaihab czuje na twarzy jego lodowaty oddech.

– Weź go sobie, najeźdźczyni – mówi drugimi, nieskrępowanymi ustami. – Weź sobie, co zechcesz, tak jak zrobili to twoi przodkowie. Zbuduj sobie fortecę z naszych domów. I tak nigdy nie będziesz tu bezpieczna.

Zaihab szuka po omacku swojej laski. Mag tymczasem dalej mówi, monotonnym głosem, w którym nie ma już tej pierwotnej uprzejmej ciekawości, jakby bawił się z ofiarą. Jest tylko znużenie i nienawiść, na szlifowanie której miał dużo czasu.

– Nie będziesz spać tu spokojnie. Moje siostry i moi bracia znajdą cię.

– Ich też uciszę, jeśli będę musiała – mówi Zaihab.

Mężczyzna śmieje się głucho. Oboje wiedzą, jak czcza jest jej groźba.

Kiedyś knebel z włosów, zapychający mu usta, rozpadnie się – a melodia znów będzie płynąć, nieprzerwana, jak do tej pory. Zaihab nie ma innej broni przeciw bogobójcom poza cierpliwością; a to i tak jest bezsensowny wyścig.

– Kiret, wstawaj – prosi tymczasem Zaihab.

Chłopiec jęczy i przeciąga się, krusząc spopieliałą trawę. Zaihab odnajduje jego rękę, zimną, dopiero odzyskującą czucie.

Gdy Kiret opiera się o nią, niemal ciągnie Zaihab ze sobą z powrotem na ziemię. Dziewczyna wbija laskę w grunt, próbując zachować równowagę. Ona też jest osłabiona.

– Ostrożnie – mówi, pomagając mu wstać.

– Kim jesteś? – pyta Kiret w pierwszym przebłysku przytomności.

– Przyjaciółką twojego ogniska. – Jej nogi niemal uginają się pod ciężarem chłopca. – Musimy stąd iść.

Zarzuca sobie ramię chłopca wokół szyi.

– Dasz radę iść? – pyta.

– Dam – mówi Kiret przez zaciśnięte zęby.

Jego ubranie jest przemoczone potem mimo chłodu nocy, a każdy mięsień w jego ciele drży. Chłopiec zmusza swoje kończyny, nie używane od roku, do ruchu. Gdy obraca się twarzą ku magowi, traci grunt pod

nogami.

– Nie patrz tam – prosi go Zaihab. – Chodźmy już, chodźmy...

Kiret wykonuje pierwszy krok, potem drugi, trzeci. Zaihab słyszy jego świszczący oddech. Wciąż nie ma pewności, czy chłopiec będzie w stanie dotrzeć do osady. Ale przynajmniej nie pozwoliła magowi zabić Kireta.

Gdy stoi już na granicy nowo formującego się jałowego pola, Zaihab raz jeszcze odwraca się ku magowi. Teraz ma płuca pełne żywego powietrza; przenikliwie zimnego, ale niosącego ziemisty zapach kłębiących się pod jej stopami roślin. Żadna magia jej nie pęta. Ale jej usta same się układają, gdy zaczyna gwizdać znajomą melodię.

– Zabieram sobie tę pieśń. Będę pamiętał Rasennę, o której śpiewałeś. Twoją Rasennę – mówi cicho Zaihab, nie spodziewając się odpowiedzi. – Całe jej przerażające piękno. Ale nie będę pamiętał o mordercy, który zwabiał swoje ofiary do lasu. Rozumiesz? Zrobię wszystko, by ciebie zapomnieć.

Ale nawet kiedy mówi te słowa, wie, że nie uda jej się. Kołysanka eksploduje w jej uszach słowami – w obcym, śpiewnym języku ze skomplikowanymi tonami, języku, którego Zaihab nie ma prawa znać; ale rozumie ich sens. Pieśń nabrzmiewa w jej krtani, rwąc się na świat. Zaihab przełyka z trudem słowa parzące gardło. To, co wzięła za kołysankę, było przebraniem w łagodną melodię manifestem przetrwania.

Zaihab to rozumie: ona też chce przetrwać.

– Musisz mnie zaprowadzić – mówi do Kireta. – Będiesz moimi oczami, dobrze? Kieruj się ku światłom domu...

Krótką drogą między polami nigdy nie zajmowała jej tyle czasu. Zaihab nie zliczy, ile razy musieli się zatrzymywać – ile razy Kiret upadał w trawę, bezwładny, po czym z uporem czołgał się przed siebie. Nim docierają pod najeżone szkłem mury, słychać już śpiew rannych ptaków.

– To ja, Zaihab Adira! – krzyczy dziewczyna ochryłym głosem. – Uwolniłam Kireta!

Gdy wpuszczają ich do środka, Zaihab nie spodziewa się świętowania, lecz ostrożny chłód reakcji osady zaskakuje nawet ją. Nie wie, co odbija się w jej oczach, czy wargi ma poparzone raseńską pieśnią. Być może sama bliskość maga przetworzyła także ich oboje. Ale jej obawy zostają szybko rozwiane.

To dużo prostsze. Zrobiła coś, czego nie powinna była zrobić; sprzeciwiła się niepisanyemu prawom Nowej Saady.

Nie ma historii o śmiałkach, którzy sprzeciwili się bogobójcom. Są za to pieśni o ludziach, którzy z godnością zaakceptowali cenę przetrwania.

– Po południu wyruszamy – mówi matka Zaihab głosem wypranym

z emocji.

Zaihab bez słowa wymija ją i kieruje się ku swojemu posłaniu, gdzie natychmiast zasypia.

Budzi ją ciepło i łaskotanie szorstkich dredów Rahin. Osadniczka znów rozgrzała stopy Zaihab, po czym przytuliła się do jej pleców.

– Śpij – szepcze Rahin. – Potrzebujesz snu.

– Rahin, ja... – Zaihab urywa, nie wiedząc, jak dokończyć to zdanie.

Bałam się, że zostanę tu na zawsze, myśli. Że będę odcięta od wielkiego, głośnego i groźnego świata. Bałam się tego bardziej niż starcia z magiem.

– Ćśśś. – Oddech osadniczki łaskocze jej ramię. – Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

– Nie tylko tyle – mruczy Zaihab. – Nauczyłaś mnie tego plecenia.

Rahin parska śmiechem.

– To uratowało mi życie – kontynuuje sennie Zaihab.

– Śpij – powtarza osadniczka, tym razem bardziej stanowczym tonem. – Zbieraj siły. Wolne miasto Sahit czeka na ciebie. Może kiedyś wrócisz i opowiesz mi, jakie jest.

JUŻ NIEDŁUGO UKAŻE SIĘ:

SKRZYDŁA

WIELOWĄTKOWA HISTORIA O PRZETRWANIU, PAMIĘCI I WYBACZENIU

W świecie leczącym rany po dawnym konflikcie krzyżują się ścieżki niewidomej pieśniarki, chimerycznego dziecięcego bóstwa, młodej arystokratki i przywódczyni buntowników. Ich losy składają się na historię podbitej ziemi, w której dominującymi motywami są relacje władzy i przywileju oraz przepisywanie przeszłości. Skrzydła zadają więcej pytań, niż udzielają odpowiedzi, wciągając w intrygującą historię i udowadniając, że fantastyczno-mitologiczny sztafaż może posłużyć do pisania o rzeczywistych, bliskich sercom czytelników zagadnieniach.

**SKRZYDŁA OLŚNIEWAJĄ CZYTELNIKA
ZRÓŻNICOWANIEM PRZEDSTAWIANEGO ŚWIATA
I ORYGINALNOŚCIĄ WIZJI.**



JAKUB MAŁECKI



Urodzony w 1982 roku w Kole. Autor wielu opowiadań oraz powieści, m.in. bestsellerowych: *Rdzy*, *Dygotu i Śladów*, nominowanych do Nagrody Literackiej NIKE, a także *Dżozefa* i *Nikt nie idzie*. Laureat Złotego Wyróżnienia Nagrody im. Jerzego Żuławskiego, nominowany również do Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus” oraz Nagrody im. Stanisława Barańczaka. W 2017 roku został laureatem stypendium „Młoda Polska” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

UTRACONE ŚWIATY NIÑO SANDOVALA

Uśmiech, kolana, asfalt.

Niño ma dwadzieścia trzy lata i wcale nie jest mały. Jest grubokościsty. Krępy. Jakby szorstki. Trójkołowiec, kiedyś niebieski, podskakuje na nierównym asfalcie. Pod prąd. W kałużach. Przez pasy zieleni. Pasażerowie w ekstazie fotografują uciekające ze wszystkich stron miasto. Palmy, stragany. Najchętniej biedę. Będą ją potem pokazywać znajomym przy kawie, z dala od trującego powietrza rozgrzanej Manili. Wspomną nawet o Niño. O wyrośniętym chłopaku z dużą głową i dużymi dłońmi. Wspomną jego umięśnione łydki i tatuaż oplatający przedramię. Powiedzą, że pędził jak szatan.

Turystów jest troje: kobieta o zarumienionej twarzy, mężczyzna z miękkim brzuchem i chłopiec w przyciemnianych okularach, na którego Niño raz po raz spogląda. Chłopiec ma markotną minę i wyraźnie się nudzi. Wierci się na małej ławce. Obraca w palcach potwora-zabawkę. Nie patrzy na boki.

Niño Sandoval odwraca od niego wzrok i mocniej naciska na pedały. Ma dwadzieścia trzy lata i od tygodnia powinien być ojcem małego, słodkiego chłopczyka, dla którego miał już pieluchy i imię.

*

Krawężnik, wysepka, klakson.

Trójkołowiec lawiruje pomiędzy autami i wciska się między autobus a taksówkę. Dwie kobiety, obydwie tęgie i roześmiane, życzą sobie kurs do Chinatown, dokąd ze stacji metra mógłby jeździć z zamkniętymi oczyma.

Niño urodził się niedaleko stąd, w miejscu, gdzie rzędy baraków zwieszają się nad szarą wodą wbrew prawom fizyki i rozsądku. Ojciec zniknął, zanim Niño nauczył się mówić. Mama pracowała w sklepie pana Qui. Pan Qui sprzedawał słodycze. Bibingkę, puto, ciastka o smaku mango i suszone banany w karmelu. Tych ostatnich Niño nie lubił. Za twarde. Pan Qui był dobrym, samotnym mężczyzną o brzydkiej i pocziwej twarzy. Kochał matkę Niño szczerze i bez wzajemności. Pani Sandoval chodziła czasem na noc do pana Qui. Nigdy nie przyjęła jego oświadczyn.

Umarli w tym samym roku. Pan Qui w marcu, na zawał. Mama w czerwcu, podczas fiesty. Coś się jej rozlało w brzuchu, jakiś wrzód, tak mówili.

*

Beton, pieniądze, uśmiech.

Pusty trójkolowiec sunie, jakby cały był z masła. Niño mija targ rybny i stertę ubrań w kształcie człowieka. Twarz jak obrane nieudolnie mango. Kształt idzie powoli, wspiera się na lasce. Przypomina mężczyznę, któremu Niño w młodości kradł światy.

Po okolicy chodził wtedy łyсы, zawsze uśmiechnięty starzec bez ręki i krzyczał na całe gardło, że papier!, że butelki! Wynosili mu ten papier i te butelki na ulicę, a on pakował wszystko na dwukołowy wózek i szedł dalej. Papier! Butelki! W wieku sześciu lat Niño zaczął okradać jednorękiego starca, zabierał mu zwykle papier, bo przewrócić się podczas ucieczki z butelką to było jednak doświadczenie dość koszmarne.

Któregoś razu trafił na zeszyt z błyszczącą, kolorową okładką, na której niebieski człowiek o długich ramionach wymachiwał pięścią, a wokół niego niezwykle postaci – kamienna istota, czerwony mężczyzna w ogniu i coś, co strzelało oczami – walczyły z zastępami zielonych potworów. Przejrzał zeszyt uważnie i nie zaniósł go na skup z resztą uzbieranego papieru. Zabrał go do domu i oglądał, dopóki nie zrobiło się ciemno. Od tamtej pory kolekcjonował światy, choć zdarzały się rzadko. Oglądał je od jednej i od drugiej strony. Otwierał w przypadkowych miejscach. Sunął palcem po umięśnionych sylwetkach. Nigdy nie nauczył się czytać.

*

Chinatown, śmiech, banknoty.

Chłopiec i dziewczyna. Przewodnik rozpostarty na kolanach, na szyjach aparaty. Mówią łamanym angielskim. Pytają o legendy. O potwory. Przede wszystkim o Aswangu. Czy ty w niego wierzysz? A w co jeszcze? Opowiedz coś o Aswangu.

Dukając nedorozwinięte zdania, opowiada więc im bzdury o Aswangu. Wygląda jak człowiek. Nie ma rowka nad wargą. Mieszka w drzewach. Kapie się w złocie. Pożera dusze, a na ich miejsce zostawia pień bananowca. Niño wzdycha, macha rękami i pokazuje skrzydła. Za opowieść weźmie dodatkowe dziesięć peso.

Nie mówi, że dwadzieścia lat temu Aswang zabrał mu ojca.

*

Pęd, krzyki, klaksony.

Takich nie lubi najbardziej. On wielki, tłusty, skropiony perfumami. Ona

Azjatka, ciało jak rzeźbione dłutem. Mężczyzna krzyczy na niego. Ponagla. Jego rechot brzmi tak, że można by nim straszyć dzieci. Jest gorąco.

Ona uśmiecha się wstydliwie. Pewnym gestem sunie palcami po naszyjniku z pereł. Niño Sandoval też miał kiedyś taką.

Jako dziecko myślał, że nigdy się nie zakocha. Inni kochali, on jakoś nie mógł. Próbował na siłę, ale wtedy było jeszcze gorzej. W końcu dał za wygraną. W wieku trzynastu lat zaczął jeździć, cztery lata później miał już własny niebieski trójkołowiec. Kiedy potrącił go tamten samochód na Tetuan, stracił przytomność na niecałe pięć minut. Rzygał potem długo w trawie. Pozbierał się i wrócił do pracy.

Przewrócił się znowu przed mostem, prosto na nią. Krzyknęła, piasnęła o chodnik. Zbierali się razem, on próbował przytrzymać ją, ona jego. Przeprosił, chciał dać 50 peso za sukienkę. Nie wzięła, zaśmiała się tylko. Spięła włosy z powrotem w równą kitkę. Przetarła brudne kolana. Powiedziała, że to akurat najbrzydsza z jej trzech sukienek.

Na imię miała Pearl. Perła.

*

Kolana, kolana, kolana.

Wysoki mężczyzna i dwóch nastoletnich chłopców. Amerykanie. Są spoceni, zmęczeni, proszą szybko do metra.

Jeden z chłopców od niechcienia przegląda zeszyt pełen światów. Okładka przypomina Niño coś, czego wolałby nie pamiętać.

Było wtedy gorąco, o turystów trzeba było walczyć. Popołudniami wybierał się czasem na spacer z Pearl. Któregoś razu zabrał ją do domu. Wysunął spod łóżka karton z kolorowymi światami.

Ich chaty, jako jednej z niewielu, nigdy nie zalało. Niño wiedział, że to dzięki białym karłom. Troszczyły się o niego. Kiedy Pearl przykucnęła obok, ostrożnie wyciągnął karton spod łóżka. Wilgoć, nachodząca długimi miesiącami od podłogi, zmieniła tętniące światy w twardą bryłę.

Przesuwał palcami po zmarszczonej okładce ułożonego na wierzchu zeszytu. Pearl nic nie powiedziała.

Tej nocy był z nią po raz pierwszy. Miotał się nad nią jak bita obuchem ryba, która nie chce umrzeć. Pocił się i stękał. Pearl głaskała go po ramionach i patrzyła spokojnie na tę smutną, zdenerwowaną twarz. Pobrali się trzy tygodnie później w czasie zimy. Zamieszkali u niego.

*

Wyboje, pot, chodnik.

Dwaj Japończycy w garniturach. Rozmawiają drobnymi otworami w smutnych twarzach. Krew szumi głośno w skroniach Niño.

Ten, który zabrał mu ojca, urodził się w Japonii. Nie wiadomo, dlaczego przyjechał na Filipiny. Wiadomo tylko, że szybko się tu zakochał. Dziewczyna miała na imię Rowena i pochodziła z bogatego rodu. Jej babka była Aswangiem. Japończyk i Rowena pobrali się po dwóch latach. Babka leżała już wtedy na łożu śmierci i od dawna nie potrafiła umrzeć. Nikt z rodziny nie chciał przejąć od niej daru. Męczyła się, prosiła. Nie chcieli.

Zwabiła do siebie Japończyka. Czuwał przy łóżku. Słuchał jej słów i jęków, rozumiał tylko te drugie. Znał język tagalski, dialektów nie rozróżniał. Patrzył więc tylko, uśmiechał się i przytakiwał.

– Weźmiesz to ode mnie? – spytała starucha w obcym mu języku.

Przytaknął z uśmiechem. Poprawił kołdrę, uśmiechnął się znowu.

Babka umarła tej samej nocy. Jakiś czas później Japończyk i Rowena wyjechali do Stanów do pracy. Tam mężczyzna po raz pierwszy zapragnął. Żona przynosiła mu wiadra krwi z ubojni. W sklepie mięsnym patrzyli na nią jak na wariatkę.

Wreszcie wrócili do Manili. Na ulicach widywano potem już tylko ją.

W domu rodzinnym Roweny zawsze byli goście. Ojciec przyjmował przedstawicieli władzy, mama zapraszała sąsiadów na kolacje. Od czasu przyjazdu młodych z USA mawiano, że w całym domu cuchnie surowym i zepsutym mięsem.

Mama próbowała zaoszczędzić Niño bólu i mówiła, że tata po prostu od nich uciekł. Życzliwe ciotki i wujowie potwierdzali to kłamstwo. Niño jednak wiedział, że ojca porwał mu w nocy tamten japoński Aswang.

*

Słońce, błękit i smak coca-coli.

Niño Sandoval siedzi na krawężniku i pije z wilgotnej butelki. Gazowany napój drażni podniebienie. Na niebie nie ma chmur ani ptaków. Jest tylko słońce. Wielkie i wściekłe. Dziś klient wyzwał Niño od głupca. Niño zastanawia się, czy rzeczywiście jest głupcem. Wszystkiego, co wie, nauczyła go mama.

– Nie wchodź nigdy do stawu.

W stawie mieszka długowłosa baba.

– Jak będziesz budował chałupę, pamiętaj o znachorce i krwi kurczaka.

Żeby w domu nie załęgły się czarne karły.

– W lesie zachowuj się cicho i z szacunkiem.

Tych, co krzyczą, atakuje z drzewa Kapre.

– Uciekaj przed Timbalakami.

Bo nikt na nie jeszcze lepszego sposobu nie wymyślił.

I najważniejsze, po wiele, wiele razy:

– Zasypuj solą ucięte pnie drzew.

Bo może to nogi latającej Manananggal. To właśnie o Manananggal Niño słyszał od mamy najczęściej. Jak będziesz niegrzeczny, zabierze cię skrzydlata pani o odciętych nogach. Jak nie zaśniesz zaraz, wsunie długie paluchy przez liście na dachu. Jak będziesz pluł jedzeniem, to wysunie ci tę brzydką małą duszę. Niño okropnie bał się latającej pani. Mężczyznę stał się już dawno temu, ale ciągle zdarzało mu się spojrzeć w niebo i na widok większego ptaka wejść do sklepu lub odwrócić wzrok.

Za colę zapłacił sześć peso. Musiała być kradziona. Niño wylicza, że sześć dni temu odeszła od niego Perła.

*

Odeszła zaraz po tym, jak Manananggal zabrała im słodkiego, nienarodzonego chłopczyka. Nic nie mówiła, krzątała się tylko po domu, zbierając ciuchy i drobiazgi. Niño zauważył w otwartej walizce starą, pocerowaną sukienkę.

Odeszła od niego właściwie bez słowa. Pomagał się jej pakować. Klęcząc pod łóżkiem, widział zarys pudła ze światami. Nigdy ich nie wyrzucił, bo światów się nie wyrzuca.

Odeszła od niego po południu. Była piękna pogoda. Słońce, szum wody. Lekki wietrzyk. Nie chciała, żeby ją odwoził. Pójdę sama, powiedziała, i to były chyba jej jedyne słowa. Już nie pamięta. Stał tylko w oknie i patrzył na nią, jak idzie z walizką. Była tęższa niż dawniej. Prawie gruba. Odwróciła się dopiero przy zakręcie. Podniosła rękę, jakby chciała pomachać. Zaraz ruszyła dalej.

*

Cisza, czerni, smród rzeki.

Opróżniona butelka toczy się po podłodze, a ściany uginają się w rytm bicia dwudziestotrzyletniego serca.

Niño spotkał w życiu tysiące ludzi. Młodych i starych, białych i czarnych, szczupłych i wylewających się z własnego ciała. Po kursach zastanawiał się czasem, gdzie wróć. Do jakich światów, domów i rodzin. W jakich łózkach będą dalej spali, u czyjego boku. Co będą jeść na

śniadanie i gdzie będą pracować. Jak umrą. Czy będzie ich bolało.

Za każdym razem, kiedy wyobrażał sobie te życia, czuł, jakby coś psuło się w nim od środka.

Był coraz starszy i za dnia coraz mniej myślał. Słuchał podawanych adresów i naciskał na pedały. Jechał przez Manilę, mijając głośne, rozpędzone życia. Kolana bolały czasem nie do wytrzymania. W głowie słyszał zwykle jednostajny szum. Kolejne życia przepływały obok niego, trącąc go banknotami, a potem rozplływały się gdzieś daleko. Niño nigdy nie spotkał dwa razy tego samego klienta. Czasami wątpił, czy ci ludzie w ogóle istnieją.

Wieczorami kładł się obok Pearl i ciągnął dalej ich życia. Budował im domy, dawał samochody i wypełniał dziecięce pokoiki miękkim, słodkim hałasem. Chodził z nimi do pracy i wracał, żeby zjeść kolację przy pięknym, dużym stole. Potem rozbierał żony i zatracał się w nich, leżąc obok własnej. Na wielu klientów sprowadzał nieszczęścia. Wpuszczał im do domów czarne karły. Wysyłał do nich Manananggal. Zamieniał ich matki w Aswangów. Wysoko nad dachami, na szeroko rozgałęzionych drzewach, siadał jako włochaty, czerwonooki Kapre. Tych, którzy mu podpadli, ostrzegał najpierw dymem z cygara. Sypał im popiół na głowy. Potem schodził i dusili się ze strachu. Niño hojnie rozdawał im śmierci. Zabijał też jako Timbalak o końskim łbie. Topił jako długowłosa kobieta mieszkająca w stawie. Pożerał dusze i zamieniał je w pnie bananowca.

Niño Sandoval zamordował w życiu tysiące ludzi.

Wiedział, że takie rzeczy nie uchodzą bezkarnie. Codziennie rano obiecywał sobie, że nie będzie przesiąkał już w inne życia, i codziennie wieczorem, słuchając spokojnego oddechu Perły, łamał te obietnice. Z ulgą zanurzał się w światy oddalone od Chinatown, bolących kolan i postaci zbrylonych w kartonie pod łóżkiem. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak to jest żyć tylko raz, tylko jako kierowca trójkołowca w Manili.

Przestał uciekać, kiedy dowiedział się o słodkim chłopczyku w ciele Perły, ale wtedy było już za późno.

Sześć dni temu usiedli na plastikowych krzesłach przed domem. Z dołu niósł się gęsty zapach rzeki. Powiedziała mu, że słodki chłopiec nie żyje. Że umarł, zanim zdążył się urodzić. Niño wszedł do domu i położył się na łóżku. Spoglądał z bliska na włosy na swojej dłoni. Szum w głowie brzmiał jak szelest odlatującej Manananggal.

*

Manila. Piękna, rozgrzana Manila.

Po raz ostatni mijają tętniącą życiem stację metra. Po raz ostatni pozdrawia gestem grubego, radosnego Bo, który zarabia na życie, siedząc przed komputerem. Po raz ostatni mijają sklep pana Qui, w którym zamiast słodczy sprzedają teraz masaż, a może i coś jeszcze. Celowo nadkłada drogi i przejeżdża obok domu, w którym japoński Aswang pożarł jego ojca.

Jest ciepło. Miasto rozrasta się na boki jak ciasto. Zanurzone głęboko w niebie ptaki krążą powoli ponad ulicami. Most Santa Maria drży z upału. W oddali widać już drzewa.

– Papier! – krzyczy Niño i próbuje płakać. – Butelki!

W głowie słyszy już tylko cichy, jednostajny szum.

*

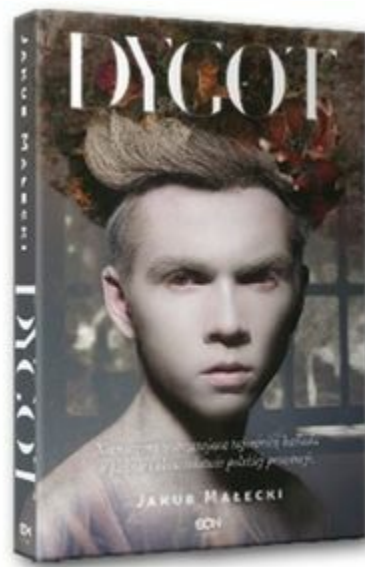
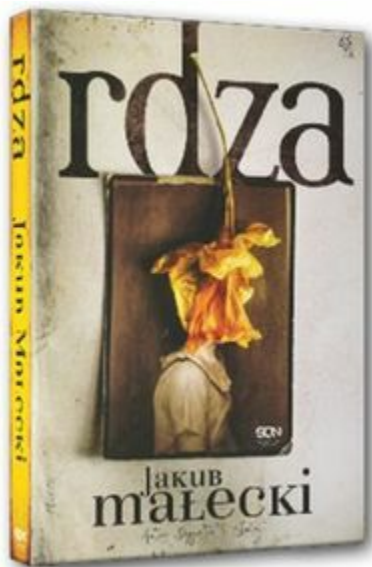
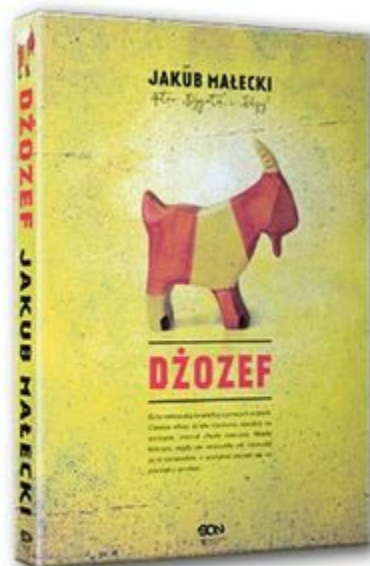
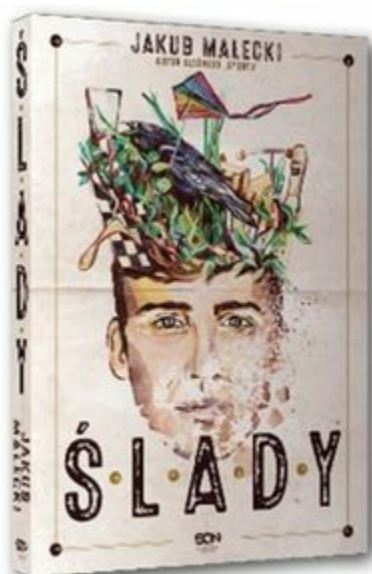
Krzyk.

Niño Sandoval staje pod drzewem i wrzeszczy. Kopie w gruby pień. Przeklina.

– Złaź, Kapre, świni! Złaź, włochaty skurwielu!

Czeka na woń dymu. Na popiół na włosach. Nie myśli o słodkim nienarodzonym chłopczyku. Nie myśli o Perle. Nie myśli o ojcu zjedzonym przez Aswanga ani o matce, która wstydziała się kochać. Nie myśli o tysiącach ludzi, których wozili po Chinatown, a potem zabijali, skulony pod kocem. Przed oczyma ma tylko swoje kolorowe światy sprasowane pod łóżkiem w ciężką cegłę z papieru i pragnie dołożyć do nich jeszcze jeden, ostatni.

KSIĄŻKI JAKUBA MAŁECKIEGO,
KTÓRE UKAZAŁY SIĘ W WYDAWNICTWIE SQN:







MARIA KRASOWSKA



Urodzona w 1997 roku. Pisarka, akrobatka, tancerka. Swoje życie relacjonuje na trzech kanałach na YouTube śledzonych przez rzeszę fanów. Uwielbia podróże, mieszkała w Stanach Zjednoczonych, Portugalii i na Hawajach. W 2015 roku wydała swoją pierwszą książkę, *Wyspę X*. W 2018 nakładem SQN Imaginatio ukazała się *Banda niematerialnych szaleńców*.

SZALONE ŚWIĘTA DANNY'EGO MOONA

Tydzień u babci miał być bardzo nudnym tygodniem, pełnym ciężkiej i żmudnej pracy. A przynajmniej tak zakładali moi rodzice, kiedy dawali mi tę karę. Czy w wieku trzynastu lat nie jest się za starym na kary?

Według moich rodziców najwyraźniej nie.

– Nie będzie żadnych wyjazdów na narty ani na sanki – oznajmił tato, kiedy jechaliśmy krętą górską drogą.

Śnieg padał tak mocno, że nic nie było widać. Musieliśmy zwolnić do dwudziestu na godzinę.

– Tato, no co ty? A snowboard?

– Żadnego snowboardu, synu. Po tym jak przez ciebie kolejna guwernantka zrezygnowała z pracy, należy ci się kara. Zostaniesz w domu z babcią i dziadkiem. Będziesz im pomagał w przygotowaniach do Bożego Narodzenia. Roboty jest mnóstwo, babcia nie wie, w co ręce włożyć. Przyda jej się twoja pomoc.

Simrin, guwernantka numer dwadzieścia pięć, w pełni zasłużyła na to, jak ją potraktowałem. Widzicie, moi rodzice odkopują i badają kości dinozaurów, są wśród najlepszych paleontologów na świecie. Z uwagi na ich zawód cały czas latamy po świecie, przez co nie mogę chodzić do normalnej szkoły. Rodzice zatrudniają więc dla mnie specjalne nauczycielki, które jednocześnie pełnią rolę niani, aby dbały o moje wykształcenie.

Nienawidzę guwernantek! To czyste zło. Kazały mi się uczyć przez cały dzień, grać na fortepianie, trenować szermierkę, mówić w trzydziestu językach... Wolałbym w tym czasie pograć w piłkę albo w Monopoly, ale nie wolno mi. Robię, co w mojej mocy, aby jak najszybciej wyczerpała im się cierpliwość, a kiedy nie mogą mnie dłużej znieść, zwalniają się z pracy. Jestem w tym najlepszy, tak jak moi rodzice w studiowaniu dinozaurów.

Kiedy guwernantka rezygnuje z pracy, mama z tatą muszą szukać kolejnej, a ja mam kilka dni wolnego albo tygodni, jeśli mi się poszczęści. Rodzice oczywiście uważają, że jestem wyrodnym synem i nie doceniam tego, co mam. Ale ja wiem lepiej. Nikt nie docenia wolności tak bardzo jak ja przez ten krótki czas, kiedy nie muszę pozostawać pod jakąkolwiek opieką. Choć nie jest to całkowita wolność – zazwyczaj dostaję od rodziców jakąś karę.

– Proszę, tato, nie rób mi tego! Gdzie się podział twój duch święty? Czy

to nie ma być czas szczęścia i radości? – Wychyliłem się do przodu między przednimi siedzeniami. – Błagam!

– Danny, koniec dyskusji – ucięła mama. – Siądź na tyłku i zapnij pas, kochanie, widzisz, że ta droga jest niebezpieczna. A ty, Jaxon, skup się na jeździe – powiedziała do taty. – Chcę dojechać na miejsce w jednym kawałku.

Nikt się nie odzywał przez następną godzinę, dopóki nie dojechaliśmy do domu babci Zosi i dziadka Władka. Zaparkowaliśmy przed wielką drewnianą chatą wybudowaną pośrodku lasu. Prawie nikt tu nie mieszkał, najbliższy sąsiad był jakieś pół kilometra dalej.

– Uwielbiam góry – powiedziała mama, wysiadając z samochodu.

Wzięła głęboki oddech, zaciągając się mroźnym powietrzem. Kochała śnieg, mróz i lasy, ale niezbyt często miała okazję korzystać z tego typu przyjemności. Najczęściej pracowała na pustyniach – tam można było natrafić na bardzo ciekawe szkielety dinozaurów.

– To prawda, Bieszczady są cudowne – odparł tato, a słowo „Bieszczady” śmieszenie zadźwięczało w jego ustach.

Mój ojciec był Amerykaninem, potrafił trochę mówić po polsku, większość rozumiał, co się do niego mówi w tym języku. Dlatego przede wszystkim rozmawialiśmy po angielsku, tak było po prostu wygodniej.

Zapiąłem kurtkę i pomogłem rodzicom nosić bagaże. Przyjechaliśmy do babci na pięć dni, ale przywieźliśmy aż dziesięć walizek. Akurat byliśmy w trakcie przeprowadzki: rodzicom skończył się kontrakt w Chinach, więc po wizycie u babci mieliśmy się przenieść do stanu Utah w USA, gdzie czekał na nas nowy dinozaur. W tych dziesięciu walizkach znajdował się nasz cały dobytek.

– Danny, mój kochany wnusiu, jak ty urosłeś! – napadła mnie babcia, gdy tylko przeszedłem przez próg.

– Co najmniej o głowę! – skomentował dziadek.

No cóż, widzieliśmy się rok temu. Miałem prawo urosnąć.

Kilka całusów i uścisków później uwolniłem się z objęć babci. Z uśmiechem na ustach przeniosłem do domu ostatnie walizki. Bardzo cieszyłem się ze świąt, uwielbiałem spędzać czas u dziadków. Czułem się tu jak w raju. Mogłem biegać po śniegu, po lesie, wspinać się na drzewa, lepić igloo i bałwany, jeździć na sankach i robić wszystko to, czego na co dzień nie mogłem. Guwernantki miały tendencję do nadopiekuńczości. Nie wolno mi było się zabrudzić, przewrócić, a już na pewno nie łązić po drzewach. Powinienem był siedzieć przy biurku (tylko żebym się przypadkiem nie zgarbił!) i powtarzać francuski.

Uwielbiałem też okres Bożego Narodzenia. Kiedy tylko wszedłem do

domu, poczułem zapach drewna, kompotu z suszu i choinki. Osobiście ścięte przez dziadka drzewko stało już obok kominka, jeszcze bez ozdób. Zgodnie z rodzinną tradycją mieliśmy udekorować choinkę całą rodziną dwudziestego trzeciego grudnia. Czyli już jutro. Nie mogłem się doczekać!

Na Boże Narodzenie u babci zbierała się cała rodzina. Dziadkowie oprócz mojej mamy mieli jeszcze trójkę dzieci: Edytę, Jacka i Elę. Wszyscy przyjeżdżali na Wigilię wraz z dziećmi, moim kuzynostwem. Razem ze mną było nas dziesięcioro wnucząt.

Kiedy usłyszałem dźwięki konsoli, wiedziałem, że wujek Jacek i jego rodzina już są na miejscu. Rozebrałem się, otrzepałem buty ze śniegu i ruszyłem do salonu, żeby się przywitać.

– Danny! – ucieszył się wujek na mój widok.

– Jacek! – krzyknąłem.

Jacek był najlepszym wujkiem pod słońcem. Ale nikt nie mówił do niego „wujku”, z nieznanego powodu wydawało nam się to dziwne.

– Jesteś już za duży na podrzucanie – skomentował po nieudanej próbie rzucenia mnie pod sufit. Trzynastolatka już nie dał rady unieść. – Za to wciąż mogę rozczochrać ci włosy! – zaśmiał się i wytarosił mnie, a kiedy przestał, wyglądałem, jakbym nie czesał się co najmniej od miesiąca. Moja fryzura à la Harry Styles była teraz fryzurą szalonego rockmana, który boi się grzebienia.

Przywitałem się też z żoną wujka – Martą. Była spoko, ale moim zdaniem w ogóle do siebie nie pasowali. Jacek był szalony i wiecznie roześmiany, mimo czterdziestki na karku dalej zachowywał się jak nastoletni łobuz. Za to Marta, która pracowała jako modelka, była sztywna i pedantyczna. W przeciwieństwie do wujka, który od dziesięciu lat nosił te same spodnie, ona nigdy nie pokazywała się dwa razy w tym samym. A wszystkie jej ciuchy musiały być markowe. Tak też stroiła swoje biedne dzieci.

No dobra, dosłownie to biedne nie były. Odstawieni w ciuchy od Calvina Kleina czteroletni Ziemniak i dziewięcioletni Frytek nie odrywali się od konsol i iPadów. Nawet nie wiedziałem, jak brzmi głos Ziemniaka, bo nigdy go nie używał. Odzywał się w zasadzie tylko wtedy, kiedy prosił mamę o zakup nowej aplikacji na iPada.

Tym razem nie było inaczej.

– Hej, Ziemniak – przywitałem się z zapatrzonym w ekran trzylatkiem.

Zero reakcji. Był totalnie zalogowany.

– Hej, Frytek – przywitałem się z jego starszym bratem.

Ten przynajmniej odpowiedział, choć nie przerywał gry na konsoli.

Jechał trzysta na godzinę jakimś BMW przez miasto i rozjeżdżał ludzi.

– Hej, Danny! – powiedział, jednocześnie próbując wyrobić na zakręcie. – Zobacz, zaraz zdobędę nowy level! Będę mógł upgrade’ować samochód na wypasione ferrari! Bomba, nie? I dostanę plus piętnaście do przyspieszenia!

– Fajnie, fajnie – odparłem załamany.

Dzieciak marnował sobie życie. Na zewnątrz było tyle śniegu, tyle rzeczy do roboty, a ten siedział na tyłku i rozjeżdżał ludzi! Ale co ja mogłem poradzić? Spojrzałem jeszcze na Frytka i Ziemniaka, i poszedłem dalej.

Tak naprawdę to nie były ich prawdziwe imiona, ciotka Marta w życiu nie nazwałaby dziecka w ten sposób. W rzeczywistości nazywali się Fryderyk i Ziemowit, ale pierwszego zaczęliśmy nazywać „Frytkiem”, a drugiego „Ziemniakiem”. Frytek był starszy, a Ziemniak młodszy – logiczne, w końcu najpierw trzeba być ziemniakiem, żeby zamienić się we frytki. Cioci nie podobały się te ksywki, ale tak się przyjęły w rodzinie, że nie potrafiła z nimi walczyć.

Od tej jednej ksywki cała czwórka – Marta, Jacek, Ziemniak i Frytek – określana była mianem „Ziemniaków”. Kiedy jechaliśmy razem z nimi na wakacje, mówiliśmy, że jedziemy z Ziemniakami. Gdy moja mama dzwoniła do nich i pytałem, z kim rozmawia, mówiła, że z Ziemniakami.

– Czy ciocia Edyta i wujek Henryk już przyjechali? – zapytałem babcię.

Oni mieli pięć córek, z których dwie były całkiem normalne. Razem z Natalią i Anetą stanowiliśmy zgraną ekipę.

– Wciąż są w drodze – odparła babcia, podając nam kolację. – Wszystko przez tę śnieżycę.

Zająłem miejsce przy stole i rzuciłem się na pierogi, najlepsze danie na świecie.

– Rok czekałem na tę chwilę – westchnąłem i wpackowałem sobie do ust wielkiego pieroga, który okazał się tak gorący, że musiałem go wypluć, na co ciotce Marcie opadła szczeka. I chyba ją zemdliło. Odeszła od stołu, żeby nakarmić swoje dzieci, które nie miały zamiaru ruszać się z kanapy.

Dziadkowi zadzwonił telefon.

– To Ela – powiedział po chwili. – Będą za dziesięć minut.

– Odgrzeję im pierogów, na pewno są głodni – ucieszyła się babcia. – Z Gdańska jadą tu z dziesięć godzin.

Ciocia Ela i wujek Marek byli całkiem spoko. Mieli dwójkę dzieci, które także były całkiem spoko – siedemnastoletniego Bartka i szesnastoletnią Igę. Z nimi to dopiero się bawiliśmy! Byłem pewien, że nie przyjadą: mama mówiła mi miesiąc wcześniej, że wujek Marek nie

dostał urlopu. Chyba jednak szef się nad nim zlitował, skoro byli w drodze.

Kiedy tylko weszli do domu, wystrzeliłem jak z procy i wpadłem do holu. Stałem przypadkiem na śniegu, który właśnie ktoś wniósł na butach i przemokła mi cała skarpeta. Okropne uczucie. Ale byłem tak szczęśliwy, że mało mnie to obchodziło.

– Siema, Iga – przybiłem zółwika kuzynce.

– Danny, odsuń się od drzwi, tam jest zimno! Zaraz będziesz chory – zrzędziła mama.

Wywróciłem oczami, ale posłusznie się odsunąłem. Kiedy zamknęli drzwi, podszedłem do Bartka.

– Hej, Danny! – zawołał.

Wyciągnął do mnie rękę i przybiliśmy nasz rytualny uścisk, który wymyśliliśmy bardzo dawno, kiedy jeszcze miałem same mleczne zęby. Potem Bartek zrzucił mnie ze schodów i wybiłem dwie górne jedyńki, ale na szczęście kilka miesięcy później na ich miejscu pojawiły się stałe zęby.

Od dziecka razem szaleliśmy i wyglądało na to, że w tym roku nie będzie inaczej.

– Niedługo będziesz wyższy ode mnie – powiedział Bartek.

On w przeciwieństwie do mnie wyglądał tak samo jak rok wcześniej, jego siostra także. No ale oni byli dużo starsi. Wysoki blondyn i wysoka blondynka, tak jak ich rodzice.

Przytachali z samochodu bagaże. W przedpokoju zaczynało brakować miejsca, wszędzie stały walizki. Babcia jednak nie chciała słyszeć o żadnym rozpakowywaniu, dopóki nie zjemy kolacji. Dopiero po jedzeniu pozwoliła nam zanieść rzeczy do pokojów.

Trochę przesadziłem z tymi pokojami – dom babci nie był hotelem i nie każdy dostawał prywatny apartament. Pokoje były w zasadzie tylko dwa: w jednym spali dziadkowie, drugi był dla gości. Ale nas było tak dużo, że nawet byśmy tam wszyscy nie weszli. Dziadkowie więc na czas naszego pobytu zwalniali swoją sypialnię i wnosili do niej dodatkowe łóżko. Oddawali ten pokój moim rodzicom oraz Ziemiakom, a sami przenosili się do budynku gospodarczego, który stał kilkadziesiąt metrów za domem. Pokój gościnny zajmowała ciocia Ela, ciocia Edyta i ich mężowie. Nie było trzeciego wolnego pokoju, więc wszystkie dzieci spały w garażu, w śpiworach i na karimatach. Tylko dwójka najmłodszych – Ziemiak i Julka – spała z rodzicami.

Garaż był całkiem niezłym miejscem do spania. Połączony był z domem, więc było w nim ciepło. Jeśli miało się dobrą karimatę, było też miękko. Na codzień była to męska jaskinia dziadka, który dobrze o nią

dbał. Pilnował porządku, narzędzia trzymał na półkach, więc nie musieliśmy się obawiać, że nadepnjemy przypadkiem na gwóźdź, albo że klucz francuski spadnie komuś w nocy na głowę. Trochę śmierdziało tu smarem, ale po kilku minutach człowiek się przyzwyczajał.

Razem z Bartkiem i Igą zaciągnęliśmy walizki do garażu.

– Jeśli babcia znowu każe nam iść spać o dwudziestej pierwszej trzydzięci... – Iga przewróciła oczami, wspominając poprzednie święta – ...to nie wiem, co zrobić.

Nasza babcia, którą bardzo kochaliśmy, miała fioła na punkcie wczesnego chodzenia spać. Niby dla zdrowia. Nie wiem jak wy, ale ja czuję się zdrowszy, kiedy pójdę spać po północy i wstanę po południu. Babcia jednak nie chciała o tym słyszeć.

Bartek uśmiechnął się zawadiacko.

– Ja wiem – odparł, rozkładając śpiwór. – Wymknę się na nocny spacer po lesie i wrócę późno w nocy, kiedy wszyscy będą już spać.

Popatrzyłem na niego z ukosa.

– Nie mówisz serio...

– Chłopie, za rok będę pełnoletni! Nie mam zamiaru kłaść się spać o tej samej porze co Ziemniak. Jeśli babcia każe nam iść spać tak wcześnie, zmywam się.

Skończyliśmy rozkładać bagaże i usiedliśmy na śpiworach. Bartek rzucił nam konspiracyjne spojrzenie.

– Może pójdziecie ze mną?

– W środku nocy do lasu? – zapytała z powątpiewaniem Iga.

Spojrzała na brata spode łba, a długie blond włosy opadły jej na twarz. Chuchnęła, aby je odepchnąć.

– W nocy ma przestać padać – powiedział Bartek. – Chodźcie ze mną. Będzie mega, zobaczycie.

Stawiał nam wyzwanie. Nie chciałem wyjść na mięczaka, ale byłem uziemiony.

– Stary, mam szlaban. Zwolniłem kolejną niańkę i rodzice kategorycznie zabronili mi ruszać się z domu. Chyba że dziadek każe mi odśnieżać podjazd.

– Co znowu odwaliłeś? – Bartek się roześmiał.

Mimowolnie zachichotałem pod nosem. Dobrze, że rodzice tego nie widzieli, dostałbym niezłą burę.

– Simrin, wredna niańka, kazała mi się wykąpać trzeci raz tego samego dnia, bo spociłem się na jeździe konnej. A co mnie to obchodzi! Ileż można się myć? Więc poszedłem do łazienki, napełniłem wannę wodą

i wymieszałem w niej tubkę czerwonej farby plakatowej. Drugą tubką wysmarowałem się tak, jakbym cały krwawił! Potem odrobinę popryskalem farbą ściany i zacząłem wrzeszczeć „pomocy”. Kiedy Simrin wpadła do łazienki i to zobaczyła, omal nie dostała zawału. Stary, szkoda, że nie widziałeś jej reakcji!

Bartek uniósł brwi i przejechał dłonią po rozczochranej czuprynie, która przypominała moją, tyle że ja miałem bardzo ciemne włosy, a on jasne jak piasek na rajskiej plaży.

– No to już rozumiem, dlaczego masz karę. Tym bardziej powinienes iść dziś z nami.

Iga pytająco spojrzała na brata.

– Z nami? Nie pamiętam, żebym się zgłaszała.

– Przecież wiem, że ze mną pójdiesz. Chyba się nie boisz, że ktoś nas nakryje. Nie jesteś typem tchórza.

Iga wstała, lekko oburzona.

– Nie boję się takich rzeczy, znasz mnie. Ale jeśli szaleje śnieżycy i pytasz, czy boję się zginąć pod lawiną, to tak, boję się, jak każdy myślący człowiek.

Bartek sprawdził pogodę na telefonie.

– Śnieżycy już nie będzie.

W tym momencie do garażu wpadł mój tato.

– Danny, pomóż babci zmywać po kolacji – powiedział po angielsku.

Nie czekając na moją odpowiedź, ruszył z powrotem do salonu.

– Dlaczego ja? – jęknąłem.

– Dobrze wiesz, dlaczego ty – odpowiedział z oddali.

Opuściłem bezwładnie głowę i zacząłem mamrotać pod nosem, jak marny jest mój los. Nagle usłyszałem pięć rozwrzeszczanych dziewczęcych głosów oraz dwa dorosłe, które próbowały tamtą piątkę uspokoić. Potem ktoś biegł do garażu. W drzwiach stanęła moja kuzynka Aneta. Całą trójką pobiegliśmy jej na powitanie.

– Jak dobrze was znowu widzieć! – wykrzyknęła z uśmiechem na ustach. – Jak leci?

Usłyszałem nawoływanie taty:

– Danny, brudne naczynia czekają! Nie każ mi wołać cię jeszcze raz.

Rzuciłem Anecie szybkie spojrzenie.

– Bartek planuje tajną wyprawę do lasu o północy, Iga pewnie do niego dołączy, a ja lecę myć gary, bo zwolniłem kolejną guwernantkę i mam przechłapanie.

I już mnie nie było. Gazem popędziłem do kuchni i zmywałem w rekordowym tempie. Pomiąłem płyn do mycia naczyń, oj tam, oj tam,

kiedyś nie było takich wynalazków i ludzie myli samą wodą. Chciałem pogadać z kuzynami, a nie stać przy zlewie cały wieczór. Ułożyłem naczynia na suszarce i pędem wróciłem do garażu, gdzie Bartek oznajmił mi, że ekipa na nocny wypad liczy już cztery osoby, jeśli się przyłączę.

– Pisziesz się na to? – zapytałem Anetę, lekko zszokowany. – Nie spodziewałem się tego po tobie – dodałem z uznaniem.

Zawsze powtarzałem jej, że musi wyluzować. Miała zbyt wysokie oceny i wzorowe zachowanie. To nie mogło jej wyjść na dobre.

Dziewczyna zakręciła się i padła na śpiwór.

– Muszę coś ze sobą zrobić! Spędziłam siedem bitych godzin w jednym aucie z czterema wkurzającymi siostrami. Zaraz zwariuję!

Coś tu się nie zgadzało.

– A gdzie Natalia? – zapytałem, nic nie rozumiejąc.

Natalia, siostra Anety, była dwa lata starsza od nas i stanowiła część nierozzerwalnej ekipy. Gdzie ją wzięto? I dlaczego Aneta mówiła o czterech wkurzających siostrach, a nie trzech? Czyżby Natalia zmieniła się w równie irytującą jak młodsze dziewczyny?

Aneta spojrzała na mnie wymownie i usiadła.

– Natalia? Nie poznasz jej.

Kiedy chwilę później dorośli kazali moim kuzynkom zanieść do garażu bagaże i rozpakować się, zrozumiałem, co miała na myśli.

Natalia weszła do garażu odstawiona jak na imprezę. Choć „weszła” to mało powiedziane – raczej wkroczyła, zaszczycając nas swoją obecnością (a przynajmniej odniosłem wrażenie, że taki był jej cel). Styłowe buty na koturnie, fryzura, makijaż, modna torebka, tylko czerwonego dywanu jej brakowało. Kazała Frytkowi taszczyć swoją walizkę. Dziewięć lat kontra trzydzieści kilo, brawo, kobieto! Jakim cudem oderwała go od konsoli? Może biedak dostał halucynacji od jej perfum.

Bartek szybko uwolnił młodszego kuzyna od ciężaru walizki i rzucił ją pod ścianę. Natalii się to nie spodobało.

– Ty, bezmózgu, tam są moje rzeczy! Jeśli coś się zniszczyło, odkupujesz!

Bartek uniósł ręce w bezbronnym geście i cofnął się do nas.– Chyba fajna Natalia zamieniła się w księżną Natalię – szepnął do nas.

– Co dojrzewanie potrafi zrobić z człowiekiem... – dorzuciła Iga.

– To jeszcze nic, ja przez cały rok muszę z nią dzielić pokój, wy będziecie to znosić tylko cztery noce – burknęła Aneta.

Bartek zaproponował, żebyśmy jednak z Natalią pogadali. Może po prostu miała zły dzień. Zaprosiliśmy ją, aby rozłożyła śpiwór koło naszych. Chwilę pogadaliśmy o tym, co robiliśmy przez ostatni rok.

Dowiedziałem się, że Bartek powoli planował studia i chciał zostać projektantem wnętrz, Iga skupiała się na przetrwaniu liceum, Aneta nie przepadała za nową szkołą, za to Natalia miała chłopaka i opowiedziała nam o nim zdecydowanie więcej, niż chcieliśmy wiedzieć.

Średnio się z nią dogadywaliśmy, bardzo się zmieniła od poprzedniego roku. Jeśli nam coś pasowało, Natalii wręcz przeciwnie. Ale w jednym byliśmy zgodni: dzieciaki obok należało opanować, jeśli nie chcieliśmy, aby zawałyły garaż.

Frytek krzyczał na trzyletnią Julkę, żeby oddała mu iPada. Ale mała nie miała takiego zamiaru i zaczęła wspinać się ze sprzętem na regał z narzędziami dziadka. Siedmioletnia Kasia i rok starsza Milena kłóciły się z Frytkiem o to, jak należy rozkładać śpiwór i czy poduszka powinna być nad nim, czy pod nim. Frytek zagroził Milenie, że jeśli każe mu położyć poduszkę pod śpiworem, to przywali jej joypadem od konsoli w „ten pusty łeb z kapusty”, na co Bartek zerwał się, rozdzielił towarzystwo i zaczął robić Frytkowi wykład, że dziewczyn się nie bije. Frytek przyjął to bardzo dosłownie i swoją złość zamiast na kuzynkach wyładował na Bartku, który w rewanżu zamknął go w śpiworze. Dziewięciolatek próbował w nim skakać jak w kokonie, ale potknął się o własne nogi i gdyby nie błyskawiczny refleks Igi, wpadłby do skrzyni z narzędziami dziadka. Dziewczyna złapała w locie śpiwór z Frytkiem i uwolniła chłopca. Była tak wkurzona, że z jej oczu aż iskry leciały. Rzuciła śpiworem, zamknęła drzwi, za którymi znajdował się korytarz do salonu i krzyknęła:

– Ogarnijcie się!

Wszyscy zamarliśmy. Nawet Bartek usiadł bez ruchu.

– Jeżeli się nie uspokoimy, babcia każe nam natychmiast iść spać! Tego chcecie?

Rozległy się pomruki. Nawet Julka i Ziemiak rozumieli, że to kiepskie rozwiązanie.

– No to błagam, nie dokuczajcie sobie – westchnęła Iga. – Julka, oddaj Ziemiakowi iPada. Frytek, nie bij dziewczyn. Dziewczyny, odczepcie się od poduszki Frytka. Niech ją położy gdzie mu się podoba. A ty, Bartuś, nie zamykaj dzieci w śpiworach – ochrzaniła brata, który zgromił ją spojrzeniem za zdrobnienie swojego imienia. – I błagam, nie wrzeszczcie tak. Zgoda?

Młodsze dzieciaki wlepiły w nią oczy jak zahipnotyzowane.

– Zgoda? – powtórzyła twardziej. – Jak nie, to lecę powiedzieć babci, żeby położyła was spać.

– Zgoda, zgoda – przytaknęli chórem i wrócili do swoich zabaw, tym razem grzeczniej.

– To było dobre! – Aneta była pod wrażeniem. Iga wzruszyła ramionami w geście mówiącym „no wiem” i usiadła obok nas.

Wyjąłem z walizki to, z czym nigdy się nie rozstawałem. Uśmiechnąłem się łobuzersko do starszych kuzynów.

– Kto chce zagrać w Monopoly?

Wszyscy dołączyli.

*

Byłem bliski zwycięstwa. Wytargowałem od Igi najcenniejsze karty, przekonując ją, że robi najlepszy interes życia. Oczywiście szybko skończyła jako bankrut. Bartek miał pecha i cały czas siedział w więzieniu, a Natalia pisała z kimś na telefonie i nawet nie zauważała, kiedy ktoś stawał na jej działkach, więc nie pobierała czynszu, a my się nie przypominaliśmy. Aneta nieźle sobie radziła, jednak ja byłem lepszy.

– Zaraz was wszystkich ogram – odparłem z radością i postawiłem trzy hotele na zielonych polach. Pozostali nie byli tym faktem zadowoleni.

– Jak to jest, że ty zawsze wygrywasz? – mruknął Bartek.

– Nie zawsze – odparłem. – Jedyne dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto. O, Natalia! – zauważyłem, że kuzynka stanęła na moim polu. – Płacisz mi... Siedemset pięćdziesiąt.

– Że co? – oderwała się od komórki.

– Plac Wilsona z trzema domami. Poproszę siedemset pięćdziesiąt.

Natalia przeliczyła pieniądze, które jej pozostały. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie stać jej na pobyt w moich luksusowych apartamentach.

– Nie mam tyle...

Rzuciłem okiem na jej karty z zamiarem wynegocjowania czegoś wartościowego w zamian za darowanie długu. Nie napatrzyłem się jednak, bo do garażu weszła babcia z troskliwym uśmiechem na twarzy. Aż za dobrze wiedziałem, co powie.

– Słoneczka moje, jest już po dziewiątej. Lećcie się myć i spać. Julciu, Ziemowitku, wy chodźcie ze mną, zaprowadzę was do łóżek na piętrze.

Maluchy poszły do babci, a pozostała ósemka włącznie ze mną westchnęła ponuro.

– Babciu, jesteśmy już prawie dorośli! – próbowała nas bronić Natalia. – W domu chodzę spać po jedenastej!

– Ja nie kładę się przed północą – poinformowałem babcię.

– Nawet my chodzimy spać dopiero o dziesiątej! – dodała Milena, a Kasia ochoczo przytakiwała.

– A ja jestem prawie pełnoletni! – dorzucił Bartek.

– Naprawdę tak późno się kładzicie? – zdziwiona babcia zmarszczyła czoło. Pokiwaliśmy głowami, pełni nadziei, że nam odpuści, ale babcia nigdy nie odpuszczała. – Toż to nie do pomyslenia! Za pół godziny chcę widzieć wszystkich w śpiworach, a kto nie będzie leżał, do tego nie przyjdzie Mikołaj.

Miałem ochotę przeprowadzić oficjalne głosowanie, kto wierzy w świętego Mikołaja, żeby coś babci udowodnić, jednak czułem, że lepiej siedzieć cicho.

– Ale babciu... – jęknęła Iga.

– Żadnych „ale”, wnusiu. No już, bierzcie prysznic, ręczniki zostawiłam wam na schodach. Migiem, a ja idę porozmawiać z waszymi rodzicami. Kto to widział, żeby młodzież chodziła spać o tak późnych godzinach!

Kiedy babcia wyszła, Aneta jęknęła:

– Trzeba się było w ogóle nie odzywać.

– Nic by to nie dało, znacie babcię – odparł Bartek.

– Cóż, przynajmniej próbowaliśmy... – poddała się i zaczęła szukać piżamy w walizce.

– My nie chcemy iść spać! – narzekały Kasia i Milena.

– Ja też nie – naburmuszył się Frytek.

– Nikt nie chce – podsumował Bartek i przeszedł do szeptu. – Ale jeśli dobrze to rozegramy, nikt nie pójdzie. Możemy wymknąć się z domu, iść do lasu, zabawić się i wrócić dopiero po północy.

Wpatrywaliśmy się w niego z nadzieją. Zobaczył, że go słuchamy, więc kontynuował:

– Mogę was zabrać na spacer do odlotowego miejsca, ale żeby się udało, trzeba przekonać babcię i rodziców, że naprawdę idziemy spać. Wszyscy muszą stosować się do planu. Nikt nie może wymięknąć. I najważniejsze, żadnego donoszenia. Zrozumiano? Donosicielei obleję barszczem wigilijnym. Wchodźcie w to?

I wystawił dłoń przed siebie.

Iga dołożyła swoją, Natalia razem z nią, a ja chwilę później. Aneta wahała się, ale położyła rękę na naszych. Bartek rzucił okiem na maluchy.

– Boję się, że zjedzą nas wilki – szepnęła skulona Kasia.

– W tym lesie nie ma wilków – odparł Bartek. – A nawet jeśli są, to ja się nimi zajmę. Dam radę każdemu wilkowi.

Dziewczynka spojrzała na niego wielkimi oczami, które, gdyby mogły, zamieniłyby się w serduszka.

Frytek podszedł do kręgu i dołożył swoją rękę.

– Wchodzę w to! – krzyknął z radością.

Ten łobuz pisał się na wszystko, co było wbrew zasadom.

Kasia i Milena i wymieniły spojrzenia. Nie uśmiechało im się zostawać samotnie w garażu, więc dołączyły do kręgu.

– Do dzieła, kuzyni – rzucił dumny z nas Bartek. – Hip-hip...

– ...hurra! – dokończyliśmy, wyrzucając ręce w górę.

Zapowiadała się ciekawa noc.

*

Za domem rozciągało się spore podwórze, a dalej rozpoczynał się las. Piął się wzwyż, sięgając niemal do czubka góry. Dopiero na samym szczycie nie było drzew, w ogóle nic tam nie było oprócz śniegu. I właśnie w tamtą stronę prowadził nas Bartek.

Szliśmy po cichu, ośmioosobową grupą, uważając, aby nie wydać żadnych odgłosów. Co prawda dorośli niczego nie podejrzewali, ale woleliśmy być ostrożni.

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby przekonać babcię, że śpimy. Najpierw każdy z nas posiedział chwilę w łazience z odkręconą wodą, że niby się mył. Natalia w piżamie poszła do salonu i poprosiła babcię o kompot, a Bartek, narzekając, że jego siostra strasznie długo siedzi w łazience, wyszorował zęby w kuchni, gdzie wszyscy go widzieli, bo kuchnia była połączona z jadalnią i salonem. Maluchy dały rodzicom buziaki na dobranoc i poszliśmy do garażu. Położyliśmy się w śpiworach i w ciszy czekaliśmy, aż ktoś przyjdzie sprawdzić, czy śpimy.

Wiedzieliśmy, że przyjdą sprawdzić. Nie byłiby sobą, gdyby nie przyszli. Po kwadransie drzwi do garażu powoli się otworzyły, potwornie skrzypiąc. Trup by się obudził od tego zgrzytu. Bartek wcześniej połał zawiasy colą, żeby piszczały jak najgłośniej. W drzwiach stanęły babcia i Marta.

– Fryderyczku, śpisz? – szepnęła ciotka do ukochanego syna.

– No teraz to już nikt nie śpi – jęknąłem. – Dlaczego nas budzicie? A tak dobrze mi się spało!

– Babciu, czemu te drzwi tak skrzypią? – zapytała Kasia, udając zmęczenie. Wcześniej Bartek kazał jej ćwiczyć to zdanie piętnaście razy, żeby zabrzmiało jak powinno.

– Mamo, jestem padnięty! – burknął Frytek.

– Możecie dać nam spokojnie spać? – wtrąciła Aneta.

Iga ziewnęła teatralnie.

– Przepraszam, słoneczka, najmocniej was przepraszam! – tłumaczyła się babcia. – Jutro poproszę dziadka, żeby naoliwił zawiasy. A teraz zostawię wam otwarte drzwi, żeby was więcej nie budzić.

To krzyżowało nasze plany. Bartek zamarł. O dziwo, uratowała nas Milena.

– Ale ja nie zasnę, jak się będzie świeciło światło.

– Zgasimy żarówki na korytarzu – odparła ciotka Marta.

– I tak będzie jasno. Babciu, proszę, zamknij. Inaczej nie dam rady spać.

– To prawda, ona musi mieć całkowicie ciemno – poparła jej kłamstwo Aneta.

– Ma tak, odkąd była malutka. – Skinęła głową Kasia.

Babcia szepnęła coś do ciotki. Stanęło na naszym. Powiedziały, że nie będą zawracać nam głowy i przyjdą dopiero rano, żeby obudzić nas na śniadanie. Grzecznie podziękowaliśmy, położyliśmy się z powrotem i odczekaliśmy kilka minut. Nikt więcej nie przyszedł.

Kiedy Bartek zapalił światło, zmrużyliśmy oczy, oślepieni. Przyłożył palec do ust. Wiedzieliśmy, co mamy robić. Najciszej, jak tylko potrafiliśmy, zrzuciliśmy pizamy i z powrotem wskoczyliśmy w bardziej wyjściowe ciuchy. Założyliśmy ciepłe buty, kurtki, czapki, szaliki i rękawiczki. Nikt nie protestował. Aneta z podziwem przyglądała się młodszym siostrom, które normalnie grymasiły za każdym razem, kiedy kazano im ubrać się w zimowe ciuchy, a teraz Milena ochoczo pomagała Kasi wiązać szalik.

Kto się przebrał, stawał nieruchomo, dając niemy znak reszcie, że jest gotowy. Kiedy wszyscy się ubrali, Bartek otworzył garaż. W przeciwieństwie do drzwi prowadzących do holu zawiasy od garażowej klapy naprawdę naoliwił. Gęsiego wyszliśmy na zewnątrz.

Lodowate powietrze musnęło moją twarz. Bartek miał rację, śnieżycy ustała, niestety siarczysty wiatr się utrzymywał. Pomijając to, pogoda była idealna na nocny wypad: prawie żadnych chmur i księżyc niemal w pełni. Raził nas swoim blaskiem na tyle mocno, że rzucaliśmy cienie na migoczącym wszystkimi kolorami śniegu.

– Idealnie – ucieszył się na widok księżycy Bartek, kiedy zamknął drzwi garażowe. – Latarki nie będą nam potrzebne.

Zanim ruszyliśmy, Natalia wyjęła krem od mrozu i wysmarowała wszystkim twarze. Na początku uczucie było okropne, nienawidzę kremów, ale później wszyscy dziękowaliśmy jej, że nie mamy popękanej skóry.

Ruszyliśmy. Przeszliśmy po cichu przez podwórko, mijając budynek gospodarczy, kurnik i pole, na którym latem rosły warzywa. Śnieg sięgał nam po kolana, więc szliśmy powoli, zostawiając za sobą parujące chmurki przy każdym oddechu. Dopiero kiedy weszliśmy do lasu, Iga odważyła się odezwać.

– Dobra, Bartek. Gdzie nas prowadzisz?

– To niespodzianka! – uśmiechnął się kuzyn.

I pobiegł pod górę, a my ledwo za nim nadążaliśmy. Wiatr gwizdał nam w uszach. Maluchy zaczęły zostawać w tyle, więc w końcu najstarszy kuzyn trochę zwolnił. Pięliśmy się pod górę krok po kroku.

Niespodziewanie oberwałem śnieżką w tył kaptura. Obróciłem się, a tam Iga stała z kolejną kulą w gotowości, szczerząc zęby w uśmiechu. Rzuciła. O mały włos nie oberwałem w twarz, na szczęście zdążyłem się uchylić. Śnieżka przeleciała dalej i rozpadła się pięknie na tyłku Frytka, który pisnął z zaskoczenia. To go przestawiło na tryb walki. Rzucił się biegiem na Igę, krzycząc, że zaraz jej pokaże, ale dziewczyna pocięła mu nogi i mały runął prosto w zaspę. Wybuchliśmy śmiechem. Tylko Idze szybko zrzędała mina, bo Bartek podszedł ją od tyłu i wsypał śnieg za kaptur, po czym zwiął, a ta krzyknęła „na niego!”. Pognaliśmy za kuzynem, obrzucając go śnieżkami, a potem siebie nawzajem. Śmialiśmy się na całego. Na szczęście odeszliśmy od domu babci wystarczająco daleko, aby nikt nas nie słyszał.

– Dobra, towarzystwo, koniec bitwy. – Oznajmił w końcu Bartek. – Bo nigdy nie dojdziemy na miejsce.

– Powiesz nam, gdzie idziemy? – dopytywał zniecierpliwiony Frytek.

– Zobaczysz, mały. Spodoba ci się.

Wspinaczka ciągnęła się bez końca, jednak nikt nie marudził. Kasia raz jęknęła, „kiedy ta góra się skończy?”, na co Bartek odparł, że jeśli coś jej się nie podoba, to może wracać do garażu i iść spać. Od tamtej pory maszerowała dzielnie. Jednak w pewnym momencie naprawdę opadła z sił. Nie dziwiłem jej się, szliśmy już z godzinę, a ona była najmłodsza. Bartek zlitował się nad małą i wziął ją na barana. Wspinaliśmy się dalej.

Aż w końcu doszliśmy na miejsce. I wszystkim szczęki opadły.

– Rany, jak tu pięknie! – szepnęła Aneta.

– Warto było się pomęczyć, co? – rzucił Bartek rozmarzonym tonem.

Wszyscy przytaknęli zafascynowani. Weszliśmy na sam szczyt góry, całkiem sporej góry, jednej z najwyższych w okolicy. Widok powalał na kolana. Dookoła rozciągały się szczyty ośnieżonych gór. Lasy pokryte warstwą białego puchu wyglądały magicznie w świetle księżyca. Zauważyłem, że przewiało wszystkie chmury i teraz naszym oczom ukazywało się rozgwieżdżone niebo. W dolinach stały oświetlone kolorowymi światełkami domy, w oknach paliły się światła, a z kominów unosił się dym, który szybko rozwiewał się pod wpływem wiatru. Nigdy nie widziałem piękniejszego zimowego krajobrazu.

Frytek wyjął iPada i zaczął robić zdjęcia. Dziewięciolatki zazwyczaj nie

są zainteresowane krajobrazami, ale ten widok był tak piękny, że powalił nawet nałogowego gracza. Bartek usłyszał dźwięk pstrykanych fotek. Natychmiast wyrwał Frytkowi iPada.

– Młody, zwariowałeś? Co robi twoja mama, kiedy zobaczy te zdjęcia? Zabije nas, jak się dowie, że tu byliśmy.

– I tak prawie nic na nich nie widać, jest za ciemno – mruknął Frytek.

Bartek usunął zdjęcia i oddał mu tablet.

– Schowaj to, a fotki rób oczami. O, tak – zademonstrował, przesadnie mrugając powiekami. – Jak aparat.

Mały podchwycił ten sposób i teraz chodził dookoła, zapisując obrazy w głowie.

– Warto było tu przyjść. – Iga z uznaniem pokiwała głową. – W Gdańsku nie ma takich widoków.

– W Warszawie tym bardziej – odparła Natalia. – U nas widać może ze sto gwiazd, a tu jest ich z dziesięć tysięcy!

Poprzyglądaliśmy się jeszcze chwilę, dopóki nie zaczęliśmy marznąć. Bartek zauważył, że zaczynamy się trząść.

– Nie ciągnąłem was na szczyt, żeby jedynie pogapić się na widoki – rzucił. – Ten śnieg nie może się zmarnować, urządzmy bitwę na śnieżki! – krzyknął na całe gardło.

– Uważaj, bo wywołasz lawinę – zaśmiała się Natalia.

– To nie jest śmieszne, na serio uważaj – poparła ją Iga. Bartek zniżył głos.

Machnął ręką, zakręcając się w kółko.

– Tu jest tyle śniegu! Wykorzystajmy go! Podzielimy się na dwie drużyny, każda ma zbudować igloo-bunkier. Potrzebuję dwóch ochotników na kapitanów!

Zgłosiłem się jako pierwszy, druga była Iga. Do drużyny wzięłem Anetę, Milenę i Frytka. Niestety Iga wybierała jako pierwsza i oczywiście zaklepała Bartka, ale zostały jej Kasia, najmłodsza z nas wszystkich, i Natalia, która nie chciała przemoczyć nowych rękawiczek. To, że poświęciła te rękawiczki, i zaczęła toczyć kulę ze śniegu, mówiło samo za siebie, jak świetnie się bawiliśmy.

Bartek dał nam pół godziny na ulepienie fortu. Jako kapitan drużyny zacząłem delegować zadania.

– Milena, ty zajmiesz się amunicją – wyznaczyłem ośmiolatce zadanie. – W pół godziny masz ulepić jak najwięcej śnieżek.

– Takich? – zapytała dziewczynka, szybko zlepiając kulę.

Przetestowałem ją, rzucając we Frytka. Rozpadła się w proch.

– To ma być amunicja? – zwątpił mały. – Obczaj tę! – I migiem ulepił

nową śnieżkę, po czym cisnął nią we mnie.

Nie spodziewałem, że Frytek robi tak dobre kule! Śnieżka była mocna, jakby wyrzeźbił ją z lodu. Przetrwała uderzenie i spadła mi pod nogi. Podniosłem ją i oddałem Frytkowi. Dopiero w zderzeniu z jego kurtką śnieżka się rozpadła.

– No, to jest amunicja. – Z uznaniem przybiłem mu piątkę. – Dobra, w takim razie to ty się zajmiesz śnieżkami. Tylko nie ściskaj ich aż tak mocno, niech się rozwalają po uderzeniu w przeciwnika. Nie chcemy, żeby tamci oddawali nam naszą własną broń.

– Tak jest, kapitanie! – Frytek zaszalutował i zabrał się do roboty. Wziął swoje zadanie na poważnie i lepił kulkę za kulką w szalonym tempie, a my w tym czasie lepiliśmy bunkier. Aneta i Milena toczyły kule jak na bałwany, a kiedy te stawały się wystarczająco duże, przejmowałem je i budowałem z nich fort. Kiedy główna ściana bunkra sięgnęła mi do ramion, wyrównałem górną krawędź, a w połowie wysokości zrobiłem trzy okienka, abyśmy mogli przez nie obserwować przeciwników. Wyrzeźbiłem także półki na śnieżki, które Milena na bieżąco wypełniała Frytkowymi kulami. Ledwo zdążyłem zrobić ostatnią, a Bartek napadł na nas i rzucił we mnie śnieżką.

– Pół godziny minęło! Do boju!

I zwiął do swojego fortu.

Zaczął się! Milena podawała śnieżki, a Aneta, Frytek i ja obrzucaliśmy teren przeciwnika. Na początku waliliśmy na oślep, ale w końcu uznałem, że potrzebna nam jakaś strategia. Ustawiłem więc Frytka przy okienku, my z Anetą kucaliśmy za murem, aby nie oberwać. Mały meldował, gdy ktoś z przeciwników pojawiał się nad ich bunkrem i wtedy wstawaliśmy i obrzucaliśmy go salwą śnieżek. Udało mi się ich kilka razy trafić.

W pewnym momencie Frytek krzyknął:

– Bartek i Iga biegną do nas! Kryć się!

Tylko że nie mieliśmy gdzie się ukryć, a kuzyni pokonali dystans między naszymi bunkrami w mniej niż pięć sekund. Pochylili się nad murem i spuścili nam śnieżkowy łomot. Milena, która stała nieco dalej przy stercie amunicji, postanowiła nas bronić. Wzięła śnieżkę i trafiła Bartka prosto w nos.

– A masz, oszuście! – wrzasnęła zaciekle.

– Niezły strzał! – pochwaliłem ją, otrzepując się ze śniegu.

Śnieżka była jedną z tych, które się tak łatwo nie rozpadały. Kiedy Bartek oberwał od Mileny, śnieżka po odbiciu się od jego twarzy spadła mi pod nogi. Podniosłem ją i rzuciłem w kuzyna raz jeszcze. Trafiłem idealnie, aż śnieg został mu w nosie. Kichnął, wystrzelając biały puch

razem ze smarkami na ścianę naszego fortu. Aneta i Frytek i ja pokładaliśmy się ze śmiechu.

Iga zwała, widocznie skończyły jej się śnieżki. Bartek otrząsnął się i ruszył za siostrą. Frytek opuścił pozycję i pognął za nimi. Wymieniliśmy z Anetą spojrzenia.

– Zaraz zobaczymy, na ile zda się ich marna ścianka – rzuciła i ruszyła za Frytkiem.

Uznałem, że nie ma sensu tkwić bez nich w forcie.

– Zostań tu i pilnuj bunkra – nakazałem Milenie. – Celujesz najlepiej z nas wszystkich. Jeśli ktoś tu przyjdzie, przepędź go.

– Jasne, kapitanie. A ty gdzie idziesz?

Podrzuciłem lodową kulę i uśmiechnąłem się złowieszczo.

– Mam zamiar podbić ich ziemię.

Pobiegłem na drugą stronę pola walki, gdzie połowa kuzynów rzucała się śnieżkami, a druga połowa tarzała się w śniegu. I wszyscy bawili się w najlepsze. Dwoma susami wskoczyłem na fort Bartka i zacząłem od góry rozwalać ścianę, kopiać i skacząc po niej.

– Misja „przechwycenie”! – krzyknęła Iga do brata, kiedy mnie spostrzegła.

Momentalnie uniosłem głowę. Wkopałem się. Przerwałem rozwalanie ściany i planowałem ucieczkę, ale nie miałem, jak zejść na dół. Otoczyli mnie. Zanim zdążyłem cokolwiek wymyślić, Iga zepchnęła mnie z fortu i rąbnąłbym o ziemię, gdyby Bartek nie złapał mnie w ramiona niczym księżę ratujący księżniczkę.

Wolałbym rąbnąć o ziemię.

Nie wiadomo kiedy kuzyn wysmarował mi całą twarz śniegiem, po czym położył mnie na ziemi, złapał za nogi i udawał, że jestem ratrakiem. Puścił mnie dopiero, kiedy Aneta przyszła z odwetem i dźgnęła go kijem w tył kolana, a ten upadł na ziemię. Wstałem na nogi w pół sekundy, z genialnym pomysłem w głowie.

– Łap go za kostki! – krzyknąłem do Anety. – Zróbmy huśtawkę!

Aneta od razu załapała, o co mi chodzi, i chwyciła Bartka za buty, zanim ten zdążył się wyrwać. Ja złapałem jego rękę. Próbowaliśmy go unieść, ale był za ciężki.

Iga śmiała się, patrząc z politowaniem na wyrywającego się brata.

– Nie wierć się, bo spodnie ci spadną! – chichotała Aneta.

To jednak nie powstrzymało Bartka, który rzucał się jak ryba w sieci.

– Wiecie co? Pomogę wam – Iga przejęła od Anety jedną nogę brata.

– I ja także – dodała Natalia i przejęła rękę.

Kiedy we czwórkę połączyliśmy siły, podniesienie Bartka nie stanowiło

problemu. Unieśliśmy go pół metra nad ziemię, płacząc ze śmiechu. Łzy zamarły mi na policzkach. Dobrze, że Natalia wysmarowała nas tym kremem.

– Zdrajczynie – miotał się uwięziony Bartek.

Dziewczyny ledwo trzymały się na nogach ze śmiechu. Nawet maluchy zebrały się obok i któraś z dziewczyn wrzuciła Bartkowi śnieg pod kurtkę.

– Nie powinnaś była tego robić! – krzyknął. – Zaraz ci się odpłacę!

– To kara za te wszystkie śnieżki, którymi nas obrzuciłeś – rzuciła uradowana Aneta.

– I za udawanie, że jestem ratrakiem – dodałem.

– Oraz za to, jak mnie wysmarowałeś śniegiem – wtrąciła Iga.

– I za rzucanie moją walizką! – zakończyła Natalia, po czym rozhuściliśmy niezadowolonego z obrotu spraw Bartka.

– Trzy, czteee-rrry! – ryknęliśmy i wrzuciliśmy kuzyna w gigantyczną zaspę.

Musiałem się opanować, bo brzuch mnie rozboleł od śmiania się i traciłem oddech.

Bartek w końcu wylazł z zaspą.

– Kto mi zwinął but?! – ryknął na dziewczyny, które huśtały go wcześniej za nogi.

Aneta rzuciła w niego traperem, który musiał zsunąć się z nogi chłopaka w trakcie rzutu. Bartek szybko założył obuwie.

– Sam spadł. I mógłbyś go umyć, jedzie jak spleśniały ser.

Na szczęście kuzyn miał dystans do siebie i nie należał do obraźliwych. Uniósł kąciki ust i odparł, że chyba mu się należało.

Odpowiedzieliśmy mu chórem:

– No co ty nie powiesz.

– O, tak.

– Pewnie.

– Zasłużyłeś sobie.

Bartek się rozgniewał.

– Zaraz was wszystkich zakopię w śniegu! – rzucił się na nas, rycząc jak lew.

Kiedy zaczęliśmy uciekać, wybuchnął śmiechem.

– Żartuję przecież! No, chodźcie tu. Czas na grupowy okrzyk drużyny!

Szczęśliwi stanęliśmy w kręgu i położyliśmy ręce jedna na drugiej.

– Hip, hip... – zaczął Bartek.

– ...hurra! – odpowiedzieliśmy.

– Hip, hip...

– ...hurra! – powtórzyliśmy głośniej.

– HIP, HIP...

– HURRA, HURRA, HURRA! – wyrzuciliśmy ręce do góry, podskakując. Bartek skinął głową z aprobatą.

– Czas wracać do domu, kuzyni. Wystarczy tego rozrabiania.

W tym momencie coś grzmotnęło, jakby piorun. Ale na niebie nie było chmur.

– O, kurczę – przeraziła się Natalia.

Spojrzeliśmy tam, gdzie ona, na sąsiednią górę.

Nasze wiwaty wywołały lawinę.

*

Uspokoił się dopiero, kiedy zrozumieliśmy, że nie było tam żadnych domów. Lawina nikomu nie zagrażała. Oglądaliśmy to potężne zjawisko, dopóki śnieg nie gruchnął o ziemię na samym dole.

– Wystarczy wrażeń na dziś, wracajmy – oznajmiła Iga i ruszyła w stronę lasu, a my za nią.

Schodzenie z góry okazało się banalne, wystarczyło jechać na tyłku i uważać, aby nie wpaść w drzewo. W dziesięć minut pokonaliśmy trasę, którą wcześniej wspinaliśmy się ponad godzinę. Kiedy dom babci był już w zasięgu wzroku, Bartek nakazał bezwzględną ciszę. Zamknęliśmy buzie na kłódki i ruszyliśmy ku garażowi.

Kiedy w połowie drogi między lasem a domem przechodziliśmy koło stodoły, dotarły do nas niespodziewane hałasy. Bartek kazał nam się zatrzymać. Ostrożnie podeszliśmy bliżej. Między deskami, z których wykonano ściany stodoły, ziały szerokie szczeliny, więc z łatwością podejrzeliśmy, co się dzieje w środku.

– Rodzice imprezują? – zdziwiła się Natalia.

Przyjrzałem się uważniej. Rzeczywiście, cała ósemka siedziała przy ognisku, piekła kiełbasę i coś popijała.

– A gdzie dziadkowie? – zapytał Frytek.

– Znając babcię, śpią już od kilku godzin – odparł Bartek. – Dla babci nie ma wyjątków od spania. Wybija dziewiąta trzydzieści, trzeba leżeć pod pierzyną. Ale rodzice i impreza?

– Ostatnio widzieli się wszyscy razem w zeszłe święta – powiedziałem. – Na ich miejscu też bym poimprezował.

W oczach Bartka pojawiły się iskry.

– Ty to masz dobre pomysły, kuzynie.

Spojrzałem na niego pytająco. Czyżby planował spontaniczną domówkę z piccolo i babcinymi pierniczkami? Zapewne tak by zrobił, gdyby Iga się

nie wtrącała. Gniewnie machnęła palcem przed nosem brata.

– O nie, Bartuś, wystarczy harców na dziś. Widzisz ich? – wskazała na maluchy.

Kasia zasypiała na stojąco, opierając się na ledwo żywej Milenie. Frytek z trudem trzymał powieki otwarte.

– Żadnych imprez, idziemy spać – zadeklarowała Iga. – Nie chcę brzmieć jak babcia, ale naprawdę czas się kłaść.

– Muszę się zgodzić – ziewnęła Aneta.

– Ja też – przytaknęła Natalia.

Co prawda spodobał mi się pomysł Bartka, ale impreza we dwóch nie byłaby żadną atrakcją. Ruszyłem więc po cichu za wszystkimi. W chacie nie było nikogo oprócz śpiących Julki i Ziemniaka, więc rozebraliśmy się normalnie, nie zważając na hałasy. Rzepy i zamki poszły w ruch.

Iga skoczyła na górę po dodatkowe koce, bo wszyscy przemarliśmy do kości. Przyniosła też mopa, aby zetrzeć litry wody, które zaczęły wytapiać się z naszych butów i ubrań.

– Jak wyjaśnimy rodzicom przemoczone ciuchy? – zapytała nagle Aneta.

Rzeczywiście, wszystkie nasze ubrania powinny być całkowicie suche. Co powiedzą dorośli, kiedy następnego dnia zobaczą, że nasze kurtki ociekają wodą, a rękawiczki są przemoczone, o spodniach nie wspominając?

– Możemy wysuszyć wszystko suszarką – zaproponowała nieśmiało Milena.

– To zajmie wieki – mruknęła Natalia. – Wkopaliśmy się.

– Wcale nie – poderwała się Iga. – Założę się, że każdy z nas ma suszarkę, przynajmniej jedną na rodzinę. To daje cztery suszarki, plus babcia na pewno ma jakąś w łazience. Jeśli szybko weźmiemy się do pracy, skończymy, zanim rodzice wrócą z imprezy.

– Jestem zmęczona, chcę iść spać – jęczała Kasia.

– To śpij – rzuciła Iga. – Milena...

Chciała powiedzieć, aby ta też się położyła, ale okazało się, że Milena już zasnęła.

– Dobra, może najpierw ustalmy, kto ma suszarkę – powiedział Bartek. – Raz, dwa.

Przeszukaliśmy nasze bagaże, pobiegliśmy też na górę, aby zajrzeć do toreb rodziców i do łazienki. Znaleźliśmy pięć suszarek, tak jak zakładała Iga. Każdy wziął po jednej i rozpoczęliśmy suszenie. Kasia z Mileną spały, za to Frytka wysłaliśmy do salonu, aby przez okno obserwował, czy rodzice nie wracają ze stodoły. Gdyby wracali, miał nas natychmiast

poinformować, żebyśmy zdążyli wyłączyć suszarki, zgasić światło i zamknąć drzwi.

Modliłem się, żeby Frytek nie zasnął na czatach. Kazałem mu śpiewać pod nosem, żeby miał zajęcie, a że nie znał nic oprócz Sto lat i piosenki z Fineasza i Ferba, to śpiewał te dwie melodie na przemian. Z salonu dobiegało nas ciche nucenie.

Włączyliśmy suszarki i zagłuszyliśmy fałsze Frytka. Zaczęliśmy od suszenia ubrań maluchów, ponieważ rodzice często pomagali im się ubierać. Gdyby nasze ubrania nie wyschły, dalibyśmy radę to ukryć, jednak gdyby ciuchy młodszych dzieci pozostały mokre, rodzice by się o tym dowiedzieli.

– Trzeba zrobić przerwę – oznajmiła Natalia po kwadransie nieustannego suszenia.

Wszyscy mieliśmy wypieki na twarzach, zrobiło się strasznie gorąco. Bartek musiał otworzyć drzwi do garażu, żebyśmy się nie ugotowali.

– Im szybciej wysuszymy te ciuchy, tym lepiej. Nie ma czasu na przerwę – protestowałem.

Natalia jednak broniła swego.

– Słuchaj, Danny, znam się na suszarkach lepiej niż ty. Jeśli będziemy zbyt długo suszyć, to się spalą. Tego chcesz?

– Dobra, robimy przerwę – zarządził Bartek. – Nie chcemy żadnego pożaru.

– No tak dosłownie to by się nie zajęły ogniem... – poprawiła Natalia. – Po prostu przestałyby działać, ale tego też nie chcemy.

Wierzycie w ironię losu? Po tym, co się stało dziesięć sekund później, ja uwierzyłem.

Korytarzem biegł Frytek i wrzeszczał wniebogłosy:

– POŻAR! POŻAR!

Wpadł do garażu i powtórzył to jeszcze z dziesięć razy, zanim do nas dotarło. Bartek rzucił się do salonu, a my pobiegliśmy za nim.

Choinka stała w ogniu.

O matko...

– Choinka stoi w ogniu! – krzyknąłem.

– Niech ktoś znajdzie gaśnicę! – darła się Natalia.

– Trzeba zadzwonić po straż! – Aneta aż skakała ze strachu.

Frytek stał jak wryty i gapił się na ogień. Za to Bartek, Iga i ja ruszyliśmy do akcji. Każde osobno, działając pod wpływem impulsu.

Choinka stała tuż przy drzwiach na taras. Na tarasie znajdowała się łopata do śniegu. Wiem, bo dziadek powiedział mi, że rano będziemy razem odśnieżać. Rzuciłem się więc w tamtą stronę, otworzyłem drzwi,

boso wyskoczyłem na śnieg, chwyciłem łopatę i zacząłem obrzucać choinkę śniegiem.

Stopy chyba powinny mnie boleć, tak jak boli trzymanie kostek lodu w dłoni, ale nic nie czułem. Iga pobiegła w tym czasie do kuchni, wyjęła z lodówki gar z rosołem i chlusnęła zupą na palące się drzewko w tej samej chwili, w której ja machnąłem łopatą ze śniegiem. Pół sekundy później Bartek rzucił na choinkę dwa wielkie ręczniki niczym koce gaśnicze.

Chaos ucichł. Aneta z Natalią przestały wrzeszczeć. Iga zamarła z garnkiem w ręce, ja z łopatą, a Bartek gapił się na osmalone ręczniki. Natomiast Frytek nawet nie mrugnął przez całą akcję i stał jak kołek z opadniętą szczęką.

Udało się. Ugasiliśmy ogień.

– Matko święta... – szepnęła Natalia. – Frytek, coś ty narobił?!

Dzieciak stał jak zahipnotyzowany. Odblokował się dopiero, kiedy kuzynka trzepnęła go w plecy. Kaszlnął i zaczął nawijać:

– Zrobiło mi się zimno, a ogień w kominku zgasł, więc chciałem go rozpalić, ale nie wiedziałem jak, więc wziąłem kawałek drewna i próbowałem zapalić go od kuchenki, a kiedy się udało, to przestraszyłem się, że się oparzę, więc rzuciłem drewno do kominka, tylko że nie trafiłem w kominek, ale w choinkę no i... – zabrakło mu tchu, więc wziął oddech – ...no i choinka zaczęła się palić.

Kiedy skończył mówić, wybuchł płaczem. Iga podbiegła do niego i go przytuliła.

– Nie martw się, nie zrobiłeś tego specjalnie. Ale pamiętaj, że ogień jest bardzo niebezpieczny. Pożar mógł nas zabić. Nigdy więcej nie baw się ogniem.

– Nie będę – powiedział, ocierając oczy. – Ale... nie powiecie nikomu? – szepnął, przerażony.

Bartek westchnął i oparł ręce na biodrach.

– Chyba się ze mną zgodzicie, że dorośli nie mogą się dowiedzieć o pożarze.

Spojrzelśmy na niego jak na kosmitę. Natalia zrobiła krok do przodu.

– Myślisz, że się nie zorientują? – burknęła z sarkazmem. – Spalona choinka! Rosół rozlany na podłodze! Na dodatek wymieszany ze śniegiem... w sumie teraz to już z wodą. I sufit czarny od ognia! Musieliby być ślepi, żeby to przegapić. No i ten zapach dymu!

– Zapach da się wytłumaczyć – wtrąciła Iga. – Babcia cały czas pali w kominku, powiemy, że musiała podłożyć jakieś dziwne drewno. Ale reszta? – Spojrzała pesymistycznie na rosołowo-choinkowe pobojuwisko.

Czułem się jak przy planowaniu akcji sabotażowych na guwernantki. Trybiki w mojej głowie zaczęły obracać się szybciej. Uwielbiałem takie akcje. Postanowiłem przejąć dowodzenie. Wlazłem na krzesło i zacząłem zarządzać towarzystwem:

– Słuchajcie, to jest do zrobienia. Wystarczy, że skupimy się na rozwiązaniu jednego problemu naraz. Po pierwsze: zalana podłoga. Natalia, musisz ją wyczyścić. Weź kilka ręczników i zetrzyj tę kałużę, tylko później wypłucz je dobrze, żeby nie pachniały rosołem i zanieś do garażu, żeby wyschły. Następnie pozbieraj makaron z podłogi i włóż go z powrotem do garnka. Wyjmij z kosza na śmieci resztki udek z kurczaka i marchewkę z rosółu, na pewno jest jej dużo, bo prawie nikt jej nie lubi i zawsze ląduje w śmieciach. Potem zalej to wszystko wodą, dorzuć jakieś przyprawy... nie wiem, kostkę rosółową czy coś, i pogotuj chwilę, aż zrobi się rosół.

Natalię замуrowało.

– No, szybko, nie ma czasu – pogoniłem ją.

Dałem jej tak dziwne zadanie, że nawet nie zadawała pytań, tylko wzięła się od razu do pracy.

Przyjrzałem się pobojuwisku, analizując kolejne problemy.

– Bartek – odezwałem się po chwili. – Ty i ja zajmijmy się choinką. Trzeba ją wynieść do lasu i ukryć, żeby nikt jej nie zobaczył, a potem musimy ściąć nową i postawić ją na miejsce tej.

Bartek spojrział na mnie jak na wariata. Zadanie prawie niewykonalne.

Prawie.

Dla Danny'ego Moona zadania prawie niewykonalne to codzienność.

– Idź i znajdź jakąś piłę – poleciłem mu. – Tylko szybko. A ty – zwróciłem się do Anety, kiedy kuzyn wyszedł z salonu – sprzątnij całą resztę i wywietrz tu dobrze, żeby nie było czuć dymu. Zaczynaj od tych spalonych ręczników, najlepiej schowaj je w walizce i wyrzuć do kosza gdzieś w Warszawie.

– Babcia się nie zorientuje, że brakuje jej dwóch ręczników? – zwątpiła Aneta.

– Ma ich milion, niczego nie zauważy – zapewniłem, po czym zwróciłem się do Igi: – Twoim zadaniem będzie odmalowanie sufitu. Zakładam, że nie mamy farby, więc trzeba wymyślić coś innego... Mam! Pasta do zębów! Leć do łazienki, znajdź białą pastę i zamaluj tę plamę na suficie, Ma może z dwadzieścia centymetrów, mamy szczęście, że tylko tyle. Dasz radę. I wiesz co, niech ta pasta będzie miętowa. No i znajdź drabinę.

– Jasne, tylko najpierw odkurzę pustynię – parsknęła Iga, wąpiąc

w powodzenie tej akcji, ale ja już gnałem do garażu.

Założyłem przemoczone ubrania, które dopiero co musiałem ściągać. Uczucie było przeokropne, jednak nie miałem czasu na uzalanie się nad sobą. Pobiegłem z powrotem do salonu, chwyciłem choinkę i wyciągnąłem ją na taras. Setki igieł posypały się przy tym na podłogę.

– Zamiećcie to – rzuciłem do dziewczyn, po czym zamknąłem drzwi i omal nie zderzyłem się z Bartkiem, który pojawił się przede mną z piłą motorową w ręce. Chwyciliśmy choinkę i pobiegliśmy do lasu.

*

Wyniesienie i zakopanie choinki nie stanowiło problemu. Bartek za pomocą piły pociął ją na kawałki, które zakopaliśmy w lesie głęboko pod śniegiem. Znalezienie podobnego drzewka nie było już takie łatwe, ale po dziesięciu minutach biegania po lesie w szaleńczym tempie natknęliśmy się na perfekcyjną choinkę. Bartek ściał ją w kilka sekund, ale najtrudniejsze okazało się otrzepanie jej ze śniegu.

– Nie mam zamiaru tłumaczyć babci, skąd się wzięła kałuża pod jej choinką – mruknął Bartek.

Trzepaliśmy drzewkiem i trzepaliśmy, aż uznaliśmy, że efekt jest satysfakcjonujący. Choinka oczywiście wciąż miała na sobie drobinki śniegu, ale na tyle małe, że wszystko do rana powinno wyschnąć, zwłaszcza jeśli dobrze rozpalimy w kominku. Taka ilość nie groziła już kałużą.

Ruszyliśmy w stronę domu, przekradając się cicho koło stodoły. Byłem tak zestresowany, że rodzice nas usłyszą, że nawet wstrzymałem oddech. Każdy zgrzyt śniegu pod butami wydawał mi się przeraźliwie głośny, więc kiedy dotarliśmy do domu i wciągnęliśmy choinkę do środka, czułem ulgę jak nigdy w życiu.

Kiedy my szukaliśmy drzewka w lesie, Iga zdążyła pomalować sufit i odnieść drabinę na miejsce. Udało jej się znaleźć pastę, która idealnie pokryła spaleniznę na suficie. Teraz w powietrzu unosił się intensywny zapach mięty, wątpiłem jednak aby ktokolwiek niewtajemniczony domyślił się, skąd ta woń pochodzi.

Aneta także skończyła swoje zadanie i teraz razem z Igą pomagała Natalii przy rosoli. Okazało się, że żadna z nich nigdy nie gotowała tej zupy. Na naukę nigdy za późno, prawda?

Podłoga lśniła, sufit także, więc ustawiliśmy z Bartkiem nową choinkę na miejscu starej i zamietliśmy igły, które powypadały w trakcie wsadzania drzewka do stojaka.

– Voilà! – powiedziałem, podziwiając efekt końcowy. Stanęliśmy całą szóstką przed choinką i z dumą spojrzeliśmy na nasze dzieło.

– Frytek, wisisz nam megapakę frytek – zażartował Bartek. – Właśnie ocaliliśmy ci tyłek.

– Stoi – odparł mały, oniemiały z wrażenia. – Nawet keczup ci dorzucę.

– Obiecujesz? – droczył się Berek.

– Co święta, stary, a nawet częściej! Przy każdej okazji będę ci stawiał frytki. Mogą być nawet z batata.

Śmiech rozluźnił atmosferę. Dopiero kiedy emocje zaczęły opadać, zdaliśmy sobie sprawę, jak bardzo się przejęliśmy pożarem.

Iga podeszła do mnie i mnie przytuliła.

– Należą ci się gratulacje. Ocaliłeś nam tyłki.

– Tobie też, i Bartkowi. – Poklepałem kuzyna po ramieniu. – Ocaliliśmy dom przed spłonieniem.

– Kocham was! – krzyknął Frytek i przytulił nas wszystkich.

– Jesteśmy drużyną nie do pokonania – powiedziała Aneta, a grupowy uścisk trwał. – Chodźmy lepiej spać – odezwała się po chwili. – Nie kuśmy losu, szczęście może nam się skończyć, i tak mamy go podejrzenie dużo. Lepiej, żeby rodzice nas tu nie zastali o drugiej w nocy.

– Z rodzicami nie byłoby problemu – odparł Bartek. – Ale babcia...

Wzdrygnęliśmy się na myśl o babci wpadającej do salonu w bojowej piżamie, nakrywającej nas na nocnych eskapadach. Migiem położyliśmy się do śpiworów.

Ledwo zamknąłem oczy i już spałem, tak byłem wykończony.

*

Następnego ranka babcia obudziła nas, otwierając ze zgrzytem drzwi do garażu.

– Wnuczęta kochane, śniadanie czeka na stole. Wstawajcie!

– Która godzina? – jęknęła Milena.

– Siódma trzydzieści, kochaneczko – odpowiedziała i ruszyła do kuchni.

Czyli spaliśmy trochę ponad pięć godzin. Wzruszyłem ramionami. Mogło być gorzej. Powoli zaczęliśmy wychodzić ze śpiworów i nasze spojrzenia się spotkały. Wybuchnęliśmy śmiechem, jaki łączył ludzi, którzy przeżyli szalone przygody. Nie potrzebowaliśmy słów, żeby się porozumieć. Całą ósemką poszliśmy do salonu, gdzie czekali już na nas dorośli.

– A wy co tacy zmęczeni? – zapytał dziadek, widząc nasze wory pod oczami. – Nie spaliście w nocy, czy co?

– Chyba spaliśmy aż za długo – odparł Frytek i zwiesił głowę, ale nie dlatego, że był smutny, tylko żeby ukryć śmiech.

Ciotka Marta podsunęła mu kanapki na stolik przy sofie, stawiając talerz zaraz obok joypada do konsoli. Obok siedział już Ziemniak, gapiąc się w tablet i grając w jakieś gry. Co chwilę podjadał kanapkę z dżemem.

Frytek podszedł do stolika, ale zamiast usiąść i grać zabrał talerz i zajął miejsce przy głównym stole, zaraz obok Bartka. Trącił go łokciem na zaczepkę i sięgnął po kanapkę. Bartkowi opadła szczęka.

– Chyba długi sen dobrze mu zrobił. – Spojrzałem na kuzynów porozumiewawczo.

Wszyscy starali się na swój sposób powstrzymać chichot. Jedni przygryzali wargi, inni patrzyli się w sufit, a Iga udawała, że kaszle.

– Ale dobry zapach! – odezwał się mój tato, siłując się z polskim językiem. – Wiecie, czuję mięta! To mi przypomina z mój dom w Ameryka – śmiesznie przeciągał słowa, ale wszyscy doceniali jego starania. Zwłaszcza dziadkowie, którzy po angielsku znali może ze trzy słowa i cenili to, że mogli się z tatą dogadać. – W Ameryka zawsze Boże Narodzenie pachnie miętowo, jak cukierek. Cały dom pachnie miętowo. Miętowa mydło, miętowa świeczki, miętowa ciasto, wszystko miętowa – rozmarzył się. – Dawno ja nie czułem taki zapach!

– Pamiętam, jak mówiłeś mi o tym w ostatnie święta – wymyśliłem na szybko, zanim ktokolwiek zaczął zastanawiać się nad pochodzeniem zapachu. – Więc specjalnie dla ciebie zapaliłem dzisiaj rano świeczkę o zapachu mięty, żebyś mógł się poczuć jak w domu. Chciałem ci ją nawet dać, ale cała się wypaliła.

Dla efektu uśmiechnąłem się jak grzeczny, dobrze wychowany syn, który troszczy się o ojca.

– Mój kochany wnusiu, jakie ty masz dobre serce! – Babcia klasnęła w dłonie. – Jak miło, że myślisz o tacie. W całym domu pięknie pachnie miętą, rosołem i drewnem.

– Tak jak powinno na Boże Narodzenie – podsumował Bartek, puszczając do mnie oczko, po czym wszyscy zabrali się za jedzenie. Tylko raz na jakiś czas wymienialiśmy z kuzynami konspiracyjne spojrzenia.

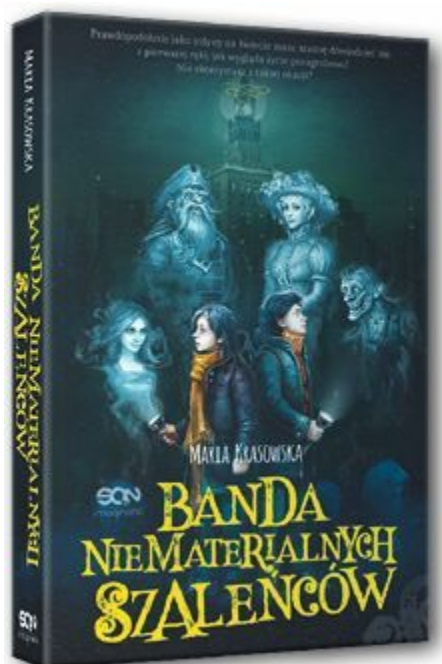
Jakby szczęścia było mało, po śniadaniu tato wstał i oświadczył, że jestem wspaniałym synem i cofa moją karę. Uściskałem go z radości.

– Dzięki, tato!

– Tylko proszę, przestań zwalniać guwernantki – dodał z politowaniem.

Usiadłem z powrotem przy stole, uśmiechając się do niego. Może pomyślał, że się zgadzam. Ale ja wiedziałem swoje.

KSIĄŻKA MARII KRASOWSKIEJ,
KTÓRA UKAZAŁA SIĘ W WYDAWNICTWIE SQN:





ANETA JADOWSKA



Wielbicielka pomysłów niepraktycznych i niełatwych, czym uzasadnia doktorat z literatury. Wiedzie nocny tryb życia. Śpi, gdy przyzwoici ludzie pracują, co chyba czyni ją człowiekiem nieprzyzwoitym. Nie lubi bezczynności i nudy. Wydała między innymi trzy tomy Nikity: *Dziewczynę z Dzielnicy Cudów*, *Akuszera Bogów* oraz *Diabelski młyn*. Od 2000 roku mieszka w Toruniu i chyba już jest torunianką, bo jak rodowici mieszkańcy miasta jednocześnie kocha je i go nie znosi. Od kilku lat wyznaje miłość nadmorskiej Ustce, z której zrodził się *Trup na plaży i inne sekrety rodzinne* wydany przez SQN na początku 2018 roku.

OSTATNI LOT PHENIX

Stojąc w długiej na kilkadziesiąt osób kolejce, zastanawiałam się, czy jest jakikolwiek sposób, żeby się z tego wymigać. Rozum podpowiadał, że nie. Mała była nakręcona jak bączek, podskakiwała w miejscu, nie mogąc doczekać się tego, co zwabia wszystkie dzieci w takie miejsca jak to: niesamowitości wszelakich. W jej wieku mogła jeszcze chłonąć świat szeroko otwartymi oczami i we wszystkim dopatrywać się cudu i magii. Ja byłam na to za stara. Nie jakoś przesadnie stara, mam dopiero dwadzieścia dwa lata, ale przy sześciolatce wypełnionej energią jak piorun kulisty, miałam podstawy by czuć się niemal statecznie. Nie ustałaby w miejscu, gdybym mocnym chwytem nie trzymała za szelki jej ogrodniczek.

Wszystko zaczęło się niewinnie. Tak zwykle bywa z przygodami, które zapamiętuje się na lata. Melodyjka niosła się natrętnie po całym osiedlu, przyciągając uwagę dzieciaków w zasięgu kilku przecznic. Mała oczywiście ją usłyszała, choć wiele bym dała, żeby akurat w tym czasie spała lub zapadła na przejściowy epizod głuchoty, jak wtedy, kiedy proszę ją o umycie zębów przed snem. Niestety. Są dwa rodzaje dźwięków, które przyciągają dzieciaki niczym melodia szczurołapa z Hamelin – piskliwa katarynka ciężarówky rozwożącej lody i muzyka cyrkowa, dudniąca przez skrzeczący megafon entuzjastycznymi werblami. Tym razem nie były to lody. Szkoda. Kupiłabym jej największą porcję, ryzykując, że pół nocy będzie marudzić z powodu bólu brzucha. Już przy pierwszych dźwiękach zerwała się z koca, na którym – pólżąc – kolorowała obrazki, i wrzasnęła:

– Aga! Chodź!

Chwyliła mnie za rękę i z niezwykłą jak na sześciolatkę siłą zaczęła mnie wlec przez podwórko aż do ulicy, którą przejeżdżał, nieznośnie wolno, samochód z głośnikami na dachu. Obok niego szła drobna dziewczyna w kostiumie Pierrota i dwoma czarnymi pudłami na smyczach. Była niezwykle drobna, miała z metr pięćdziesiąt, mimo trzewiczków na obcasach. Jej ciało miało idealne proporcje, a wąska talia podkreślała smukłość jej postaci. Pod biało-czarnym makijażem i karminowym serduszkim na ustach skrywała się ładniutka twarz trzpiotki o zadartym nosie.

Kiedy na chwilę zetknęły się nasze spojrzenia, przeszedł mnie dreszcz. Jej ciemnobrązowe oczy, niemal czarne przypominały bezdenną dziurę, bez śladu światła, błysku radości. Witała się z dziećmi, które wypełzały

z każdego podwórka. Mała szczuręta w szponach melodii, której nie były w stanie się oprzeć. Wyciągały lepkie rączki do niej, a ona wręczała im kolorowe tekturki darmowych wejściówek. Darmowych oczywiście dla maluchów, rodzic czy opiekun, bez którego malca do cyrku nie wpuszczą, będzie musiał zapłacić podwójną cenę. Trzydzieści sekund później miałam już pewność, że jednym z owych oskubanych dorosłych będę ja, bo Mała ścisnęła bilet jak wygrany kupon na loterię.

– Pójdziemy, prawda? Prooooooszę. – Jej szkliste oczy przypominały ślepią kotka.

Mała była moją piętą Achillesea. Nie potrafiłam jej odmawiać, bo miała swoje sposoby, żeby skruszyć opór i podbić serce. Wiedziała o tym i z typową dla dzieci bezwzględnością potrafiła to wykorzystać.

– Pójdziemy – powiedziałam, choć szczerze nie znosiłam cyrku.

Raz jeszcze spojrzałam na dziewczynę w stroju Pierrota. Patrzyła na nas z dziwnym uśmiechem. Pomyślałam, że to może ja jestem przewrażliwiona, a niepokojący wygląd nieznamomej wynika z ekstrawaganckiego makijażu, od którego aż dostałam gęsiej skórki.

I tak wylądowałam w kolejce do budki, w której wyjątkowo mało rozgarnięty kasjer sprzedawał bilety na przedstawienie i na atrakcje wesołego miasteczka, które wraz z cyrkiem zawitało do miasta z okazji odpustu. Namiot w biało-niebieskie pasy z potrójną czaszą widać było z daleka. Jeszcze dwa dni temu nie było tu nic poza szkolnym podwórkiem, boiskiem do piłki nożnej o piaszczystej i wyżłobionej deszczem powierzchni i płachetkiem nieużytków, gdzie w cieniu niskich krzaków i pojedynczych drzew dzieciaki popalały papierosy i zażywały pierwszych rozkoszy z tanimi winami.

Dziś każdy metr powierzchni boiska zajmował cyrk. Były tu namioty, wozy na kołach, dwie karuzele – jedna dla maluchów, które kręciły się do pierwszych mdłości w pastelowych filizaneczkach i samolocikach, i druga, większa, z fotelikami na łańcuchach – i wszystkie te małe kanciapki, budki, gabinety luster i domy strachu, które sprawiały, że określenie całego tego obozowiska „wesołym miasteczkiem” nie było na wyrost. Od nadmiaru kolorów bolały oczy, a od kakofonii dźwięków z różnych urządzeń zmieszanych z krzykiem i śmiechem dzieci, pękała głowa. W cyrkowej melodii było coś, co sprawiało, że robiłam się nerwowa. Obejrzałam chyba za wiele horrorów.

– Długo jeszcze? – Mała kiwała się do tyłu i do przodu, stawiała na palcach lub smętnie majtała ramionami, wszystko by mi pokazać, jak bardzo się nudzi.

– Jak masz dość, możemy wracać do domu, a jeśli chcesz iść do cyrku,

musisz poczekać cierpliwie, aż kupię bilet, zrozumiano?

– Czekamy – mruknęła trochę nadąsana.

Mała nie jest moją córką, wbrew temu, co często myślą ludzie. To moja wersja 2.0. Ja byłam prototypową wersją dziecka. Moja matka zaliczyła wpadkę z kolesiem, przez większość mojego dzieciństwa znanym jako „nieodpowiedzialny gówniarz”. Urodziłam się trzy dni po jej osiemnastych urodzinach. Gdy miałam trzy lata, mniej niż ona wtedy, przeżyła oświecenie i postanowiła uzdrowić swoje życie. W ciągu roku pojawił się mężczyzna idealny (wersja 2.0 mojego ojca), małżeństwo (wyraźnie pionierska inicjatywa, bo wersji 1.0 nie było) i dziecko – Mała, czyli drugie podejście do tematu słodkiej księżniczki, bo w pierwszym wyszła mamie pyskata chłopczyca zamiast wcielonej łagodności, o jakiej marzyła.

Nie liczyłam, że Mała zrealizuje kiedyś te doniosłe cele. W końcu to głównie ja ją wychowuję, zajmuję się nią od pieluchy, bo szybko się okazało, że wersja 2.0 życia mojej matki jest awaryjne jak Windows Vista, łapie lagi jak Explorer i wymaga nieustannego restartowania. Wciąż kłóciła się ze Stachem, regularnie wyrzucali swoje rzeczy przez okno z drugiego piętra, aby po dwóch dniach uprawiać głośny seks na kuchennym stole z postanowieniem wyjazdu w siną dal, żeby „odnaleźć miłość, która zmatowiała z braku słońca”. Szybko przekonałam się, że Mała ma równie mocno pod górkę jak ja kiedyś. Po początkowej fazie nienawiści do siostry, uświadomiłam sobie, że albo ja się nią zajmę, albo nic z niej nie będzie. Mała była bystra i kochałam ją jak głupia. Na pewno bardziej niż nasza matka, ale to nisko zawieszona poprzeczka.

Kolejka przesuwała się w ślimaczym tempie. Gdy wreszcie dotarłam przed okienko, zrozumiałam dlaczego. Równie dobrze mogliby posadzić na kasie szympansa. Chłopak potrzebował trzech prób, zanim znalazł guzik otwierający szufladkę z pieniędzmi, choć musiał to już robić dziś co najmniej sto razy.

– Ma pani dwa złote? Nie mam wydać – powiedział.

Przeszukałam kieszenie, a później torbę i zdołałam uskładać dwa złote, które sprawią, że chłopak nie będzie musiał liczyć, ile to jest 50 minus 22 i wystarczy, że odda mi trzy dychy. Wepchnęłam do portfela kasę (dwie dychy w banknocie i pięć dwuzłotówek, jak rany) i odwróciłam się do Młodej. Ale czarcie nasienie nie stało grzecznie tuż przy mnie. Wykorzystała moment, kiedy puściłam jej szelki, żeby ułatwić życie tłurowi na kasie, i oddaliła się w sobie tylko znanym kierunku. Rozglądałam się, wciąż daleka od paniki, pewna, że moja siostra nie byłaby dość głupia, żeby pójść naprawdę daleko. Prawda?

Wąskie ścieżki między budami i namiotami były zatłoczone. Całe rodziny kłębiły się na niewielkiej przestrzeni, dzieciaki ścisnęły uwięzione na wstążkach kolorowe balony i kłęby różowej waty cukrowej, od zapachu której mnie mdliło, dodatkowo utrudniające widoczność. Wspięłam się na palce, żeby widzieć więcej, pewna, że za chwilę odnajdę różową koszulkę, ogrodniczki i zasiedlającą je małą dziewczynkę z brązowymi warkoczykami i piegami. Gdy to nie wystarczyło, weszłam po kilku drewnianych, skrzypiących schodkach wiodących do wnętrza budy, z wymalowaną na ścianie gębą klauna.

Jest!

Zeskoczyłam na ziemię i pobiegłam w lewo, między gabinetem luster a pstrokatą barierką karuzeli z wirującymi filiżankami, gdzie jeszcze sekundę temu widziałam Małą. Przepychałam się między miłośnikami sztuki cyrkowej, nie siląc się na grzeczności. Nawoływałam siostrę, choć wiedziałam, że mój głos zniknie w ciżbie, natłoku odgłosów i upiornie nieharmonijnych melodyjkach z oldschoolowych katarynek. Ktoś zaburczał mało uprzejmie, kiedy precyzyjnie się pod jego ramieniem, byle nie utknąć w ludzkim korku, stworzonym przez osoby marzące, żeby choć raz zobaczyć w lustrze superwychudzoną sylwetkę czy abstrakcyjną formę połamanego modelu od Dalego.

Zaczynałam panikować. Czemu właśnie teraz musiały mi się przypomnieć wszystkie programy na ID Discovery o znikających i porywanych dzieciach, wykorzystywanych przez pedofilii czy sprzedawanych możliwym do adopcji? Mała była śliczna...

By uniknąć stratowania, przez wyjątkowo rozbrykane stado nastoletnich chłopców, wsunęłam się na chwilę do namiotu, w którym Cyganka, w zaawansowanym wieku i o sporej nadwadze, wykladała karty tarota panu Gąsce, woźnemu w szkole podstawowej, do której kiedyś uczęszczałam. Do moich uszu doleciały strzępki przepowiedni, w której, jakżeby inaczej, występowała kochająca i piękna kobieta i nieoczekiwany spadek. Prychnęłam pod nosem. Żona pana Gąski na pewno nie była kochająca, a piękną mogła mieć co najwyżej duszę, jeśli uprzemy się, że ją posiada. Jedynym spadkiem, na jaki mógł liczyć, to trzy koty jego matki, która od lat zapowiada, że wybiera się na tamten świat. Najwidoczniej czeka na jakąś okazję *last minute*, bo wciąż jest z nami.

Z powrotem wchłonął mnie pełzający tłumek. Do lepkiego zapachu waty cukrowej doszedł tłustawy zapach popcornu na maśle, hot-dogów z musztardą i wszechobecnego kurzu. Mała znów zamigotała mi między dziećmi kilkanaście metrów przede mną. Jej warkoczyki kołysały się entuzjastycznie, kiedy podskakiwała w rytm skrzeczącej melodii. Puściłam

się biegiem, odpychając łokciem tarasujących mi drogę przechodniów.

– Mała! – krzyknęłam najgłośniejszym głosem, jak mogłam. – Małgorzata! – zawołałam ją pełnym imieniem, którego używałam wyłącznie, kiedy miała poważne kłopoty.

Nie odwróciła się nawet, tylko dalej kicała radośnie. Zderzyłam się z potężnym cielskiem odzianym w czarno biały kostium w paseczki i z trudem utrzymałam równowagę.

– Nic ci nie jest? – zapytał olbrzym o twarzy pięcioletniego chłopca. Jasnoniebieskie oczy spoglądały na mnie z zaciekawieniem spod strzechy blond włosów.

– Nie, nic – próbowałam go wyminąć, ale złapał mnie za ramię i zatrzymał w miejscu. Szarpnęłam się bezskutecznie. – Puść mnie, idioto!

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał.

Upuścił trzymaną dotąd w lewej ręce sztangę, a ta huknęła o ziemię, jakby ważyła z tonę. Olbrzym miał minę zbitego dzieciaka i unosił ręce w geście „ja niewinny, nie krzywdź mnie”. Idiota w ciele ciężarowca. Zrobiło mi się przykro.

– Nic się nie stało. – Uspokajająco dotknęłam jego łokcia.

Wychyliłam się zza niego, ale Małej już nie widziałam, zniknęła gdzieś między ludźmi. Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Krew szumiała w uszach, a ręce trzęsły mi się coraz bardziej.

– Pomogę, ja pomogę – powiedział cicho – nie płacz, ja pomogę.

– Zginęła mi siostra, mała dziewczynka w ogrodniczkach – szepnęłam sfrustrowana.

Pokiwał głową z entuzjazmem i podniósł sztangę.

– Chodź – znów schwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć. Tyle dobrego, że ludzie intuicyjnie schodzili mu z drogi i posuwaliśmy się szybciej. – Dzieci lubią zwierzęta...

Ścieżka kończyła się kolejnym wozem na kółkach, na drewnianych burtach miał wymalowane konie rozbryzgujące morskie fale na tle absurdalnego, fioletowopomarańczowego zachodu słońca. Ślepy zaułek, pomyślałam i chciałam się cofnąć, ale siłacz, zanurkował w wąską szczelinę między wozem a siatką ogradzającą boisko. Ledwie się przecisnął, a ja za nim. Wciąż zamykał moje palce w wielkiej jak baseballowa rękawica dłoni.

Na małym placyku otoczonym samochodami i drewnianymi wozami stały trzy konie podskubujące anemiczne kępy trawy. Same były równie anemiczne, ich sierść straciła blask, a spod skóry prześwitywały żebra. Facet w roboczym kombinezonie prowadził taczkę wypełnioną śmierdzącą słomą. Spojrzał na nas spod daszka czapeczki, miał zapadnięte policzki

i szarą, pomarszczoną twarz.

– Nie powinienes jej tu przyprowadzać, Bobo – powiedział szorstkim, znudzonym tonem – wiesz, że nie pozwolą ci jej zatrzymać. Wracaj do wozu i czekaj na przedstawienie.

Siłacz puścił moją rękę i pokiwał głową, zgarbił plecy jak skarczone dziecko i bez słowa odszedł, wymachując ogromną sztangą. Pomarszczony facet nie zwracał na mnie uwagi, pchając taczkę, zniknął za połą namiotu.

Dziki ryk rozciął powietrze, przebijając się nawet przez natrętne dźwięki katarynki. Moja zbyt bujna wyobraźnia podsunęła mi widok wielkiego kota konsumującego właśnie małą dziewczynkę, więc skoczyłam przed siebie w gorączce. Wpadłam do wyblakłego namiotu, gotowa gołymi rękoma pokonać lwa czy tygrysa, który podgryzałby moją siostrę, ale Małej nie było między klatkami ustawionymi w rzędzie. Wielki wyleniały lew nie wyglądał na przesadnie zainteresowanego spożywaniem małych dziewczynek, za to szympansy rozwrzeszczały się jak szalone, dwie ogromne, białe papugi dołączyły do awantury ochoczo, podobnie jak czarne pudle, które stojąc na tylnych łapach, zaczęły piskliwie ujadać.

W namiocie było ciemnawo i śmierdziało, jakby po kątach stała setka nieczyszczonych od miesięcy kuwet. Zbierało mi się na mdłości. Nagle z ciemnego kąta wyłonił się facet w kombinezonie.

– Zmykaj stąd, zbyt ładnie pachniesz, żeby zostawać w towarzystwie Samsona dłużej, niż to konieczne. – Wskazał dłonią na klatkę lwa, który uniósł głowę i z wywalonym jęzorem smakował powietrze.

– Szukam małej dziewczynki w ogrodniczkach, widziałeś ją tutaj? – zapytałam.

– Nie, nie widziałem tu żadnych dzieci. – Jego oczy błysnęły dziwny, żółtawym światłem. – Dzieci giną, trzeba ich pilnować.

Nie podziękowałam za tę światłą radę.

Po kolejnych dwudziestu minutach byłam na granicy hysterii. Przebiegłam wzdłuż i w szerz całe miasteczko. Nie było jej nigdzie. Ani przy karuzelach, ani przy stoisku z watą cukrową, ani przy strzelnicy, nie było jej wśród dzieciaków podglądających żonglerów trenujących przy jednym z wozów numer z kręglami i wirującymi talerzami, ani pod daszkiem, gdzie klaun robił zwierzątka z balonów... Czy powinnam zadzwonić na policję? Czy jest tu jakiś strażnik?

Usłużna wyobraźnia podsuwała mi wizję furgonetki z zamalowanymi na czarno oknami, zboczeńca wabiącego dzieci słodyczami i zabawą ze szczeniakiem. Tak łatwo dziecko może zniknąć bez śladu, bez świadków, bez szans na powrót do domu, bo u nas nie zablokują nieistniejących autostrad liczne i świetnie wyposażone radiowozy i ciężkie SUV-y na

rządowych blachach, nie ogłoszą bursztynowego alarmu, CSI nie rozpracuje miejsca zbrodni co do atomu, twarz zaginionej nie znajdzie się na kartonach z mlekiem. Małej podobałyby się kartony z jej buźką.

Ręce mi się trzęsły, a gula w gardle narastała, dławiąc. Jeśli coś jej się stanie... dla mnie była wszystkim... z całej rodziny ona jedna mnie kochała.

Byłam kilka metrów od głównego, biało-niebieskiego namiotu, kiedy usłyszałam gorączkowy krzyk:

– Aga, tutaj!

Stała tam, tuż przy wejściu do namiotu, machając do mnie jak szalona. Szeroki uśmiech i roziskrzone oczy były jasną wskazówką, że jest cała i zdrowa.

– Zgubiłam się – powiedziała z rozbijającą miną – ale wiedziałam, że mnie tu znajdziesz, bo masz bilet.

Powinam ją skarcić, może nawet dać klapsa, ale mogłam tylko ścisnąć tę małą idiotkę, szczęśliwa, że nie skończy jako seksualna niewolnica jakiegoś świra.

– No puść – wiła się jak piskorz – zaraz się zaczniesz, chodź!

Przed wejściem do namiotu stał klaun, który sprawdzał i kasował bilety, wpuszczając ludzi na widownię. Miał wściekle zielone włosy, twarz wymalowana na biało przypominała maskę, na której wyróżniały się czerwone usta, jakby właśnie skonsumował krwisty posiłek. Siateczka łuszczących się pęknięć od zmarszczek mimicznych sprawiała, że wyglądał jak wyjątkowo źle zakonserwowany zombie. Sam pomysł, żeby wymalowanego upiornie faceta w ekstrawaganckich ciuchach uznać za coś zabawnego, przerastał mnie. Nie bawiły mnie ani teraz, ani w dzieciństwie.

Młoda też była raczej sceptyczna. Obiema rączkami trzymała mnie za rękę, chowając się za nogawką moich džinsów, spoglądała nieufnie na klauna, który wyszczerzył się do niej w przerażającym grymasie, który nijak się miał do uśmiechu. Brzydkie, krzywe i żółte zęby, fioletowawe dziąsła osoby cierpiącej na paradontozę i tłusta, rozmazana w kącikach ust szminka nie zdobywały sympatii. Trzymał mój bilet dłuższą chwilę, spoglądając na nas z tym paskudnym wyszczerzem, więc wyszarpnęłam mu kartonik z dłoni i sama przedarłam.

Coś w tyle głowy kazało mi się cofnąć, kiedy wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć głowy Małej. Zasłoniłam ją sobą i szybko umknęłam do wnętrza namiotu. Oczywiście przesadzam, pomyślałam. Nie był miłym i sympatycznym kołesiem, a jego uśmiech przyprawiał o ciarki, ale może jest po prostu jednym z tych wypalonych zawodowo klaunów z depresją,

którzy nienawidzą swojej pracy. Ile lat można malować twarz, wskakiwać w głupie ciuchy i robić z siebie idiotę przed ludźmi, zanim uznasz, że masz na koncie jedno przedstawienie za dużo?

Mała ciągnęła mnie w górę, wypatrując miejsca z idealnym widokiem na wysypaną trocinami arenę. Powietrze pachniało kurzem i końmi, potem i stęchlizną typową dla niewietrzonych i zatłoczonych miejsc. Większa część ławek była już zajęta. Podniecone dzieciaki ledwie mogły usiedzieć, towarzyszący im rodzice zachowywali pełen rezygnacji spokój. W ciemnawej przestrzeni jarzyły się ekrany telefonów komórkowych. Zawsze lepiej skasować stare esemesy, niż być zmuszonym do wygłaszania jakiś konwencjonalnych uwag o pogodzie z przypadkowym sąsiadem.

Mała wybrała miejsce. Prawie pusta ławka w ósmym, przedostatnim rzędzie. Przysiadała i zerknęła na arenę i przesuwiała się tak długo, aż uznała, że widzi wszystko i nikt jej nie zasłania. Po chwili ławka obok nas była już pełna spragnionych wrażeń dzieciaków i ich rodziców. Przygasły i tak dość anemiczne lampki przy schodach i wejściu, za to rozbłyły reflektory nad areną. Mała ścisnęła mi rękę i z otwartą buzią patrzyła na kolejne punkty programu.

Może i szkoda, że dorosłam na tyle, żeby nie zachwycęły mnie skaczące przez obręcze pudle ani wołtyżerka na wychudzonej chabecie. O przewijających się między numerami klaunach nie wspominając. Minuty mijały wolno, ale na szczęście dla mnie – nieuchronnie. Podejrzywałam, że jeszcze dwa, może trzy numery i będziemy mogli pójść do domu.

Przedstawienie sprawiało na mnie nie najlepsze wrażenie. Cyrk zdecydowanie pamiętał lepsze czasy. Kobieta guma mogła być w wieku mojej matki, utapirowana i mocno umalowana, w lycrowym kostiumie wyglądała dość absurdalnie, choć dzieciom to chyba nie przeszkadzało. Smoking magika był wyświechtany, przykrótkie nogawki spodni nie sięgały znoszonych butów. „Dziewczęta” wykonujące ćwiczenia na końskich grzbietach dobijały czterdziestki, a z białych, obszytych cekinami kostiumów i kabaretek, wylewało się kilka kilogramów za wiele. Lew był wyleniały i apatyczny, z pewną rezygnacją wskakiwał na pudła, które wskazywał mu trener, wysoki, szczupły mężczyzna w kolonialnym, korkowym kapeluszu i bryczesach. Zwierzak nie wydawał się zastraszony ani szczególnie skory do wycia czy robienia groźnych min, po które przyszli tu widzowie, mimo trzaskającego mu koło uszu bicza. Papugi tańczyły na drążku, podśpiewując sobie coś, co z założenia miało być jakąś szantą, ale większość słówek wychodzących z ich dziobków była

niewyraźną mamrotaniną, poza wykrzykiwanymi znacznie głośniejsz i wyraźniej przekleństwami w pirackim stylu. Przy każdym „po kroćset”, „psia jucha” i „niech to dunder świśnie” dzieciaki wybuchały śmiechem, który bardzo szybko zamierał na ich usteczkach. Zaskakujące, jak ciche były, żadnych krzyków, płaczów, „siusiu”, „pić”, „długo jeszcze?”, które znakomicie pamiętałam z wypraw z Małą do kina na poranki dla maluchów. Wyglądały jak zahipnotyzowane, wpatrzone w figurki na arenie, z półotwartymi buziami.

Na scenę wkroczyła grupa akrobatów. Dwóch wysokich mężczyzn w lśniących, elastycznych i obszytych frędzlami kostiumach, a z nimi niewysoka, ale ładnie zbudowana dziewczyna. Minęła chwila, zanim rozpoznałam w niej pierrotkę, bez makijażu wyglądała młodziej. Miała szczupłe i zgrabne nogi w czarnych rajstopkach, drobne stóпки w pointach stawiała z wdziękiem rasowego konika. Obcisły, elastyczny kostium przywodził na myśl łyżwiarki figurowe – srebrzyste frędzle wokół bioder tworzyły iluzję spódniczki, a czerwone i złote cekiny przszyte na gorsecie wyglądały jak pełgające płomienie, u ramion stroszyły się kępki nieco połamanych i podniszczonych piór. Była pierwszą osobą, która pojawiając się dziś na arenie, przykuła moją uwagę. Może dlatego że wyglądała na kogoś, kto urodził się, żeby być gwiazdą, skupiać na sobie spojrzenia, wyginać ciało w sposób, jaki wydaje się sprzeczny z prawami fizyki.

Przez kilka minut wykonywali coś na kształt rozgrzewki na ziemi. Polegało to głównie na tym, że mężczyźni prężyli mięśnie i podrzucali dziewczynę, a ona wykonywała w powietrzu salta, obroty, korkociągi, zanim spadała w ramiona drugiego partnera. Kiedy zaczęli się wspinać po drabinkach, do zawieszonych wiele metrów nad areną platform z drążkami, trapezami i liną linoskoczka, łączącą dwa masywne filary podtrzymujące czaszę namiotu, poczułam niepokój.

To irracjonalne, wiem, przecież robili to zawodowo, ale coś nie dawało mi spokoju. Kobieta chwyciła drążek trapezu i odepchnęła się od platformy. Rozbijała się jak na huśtawce i zaczęła pokaz. Szpagaty, mostki, stanie na rękach, malownicze, niemal baletowe przegięcia i falowanie ramion, zwisanie głową w dół, kiedy całą asekuracją, jaka trzymała ją w powietrzu była lina obwinięta wokół jednej kostki, podczas gdy całe ciało przybrało kształt rozgwiazdy przefruwającej nad areną coraz szybciej i szybciej, żeby zatrzymać się nagle, jakby siłą woli. Schwyciła linę i odepchnęła trapez, zwinnie jak małpka zaczęła się wspinać coraz wyżej i wyżej, żeby znów okręcić linę wokół kostki, zwisając głową w dół i wirować, jak bączek, coraz szybciej, szybciej, aż

cekiny na jej kostiumie pełgały jak prawdziwy płomień, jakby sama zmieniła się w ogień.

Mężczyźni dopiero teraz zaczynali swoją część programu, dwa trapezy przesywały powietrze, rozkołysane gibkimi ruchami ich umięśnionych ciał. Dziewczyna zwolniła, schwyciła linę, uwolniła stopę i zrobiła kolejny szpagat godny baletnicy. Nagle puściła linę i spadła kilka metrów, prosto w ramiona mężczyzny na trapezie. Ze świstem wypuściłam powietrze.

Dopiero teraz, kiedy przez chwilę spadała z wysokości kilkunastu metrów, uświadomiłam sobie, co jest nie tak w tym występie. Nie było pod nimi siatki asekuracyjnej, tylko wysypana trocinami arena. Z chwilą, kiedy to dostrzegłam, uroda przedstawienia przestała rozgrzewać krew w moich żyłach, przeciwnie. Zimny pot spływał mi kropla po kropli wzdłuż kręgosłupa. Trapezy huśtały się pod kopułą w idealnej synchronizacji, a mała akrobatka fruwała między nimi, wirując w spiralach i saltach, a w końcu przechwytywana przez mocne dłonie jednego z partnerów.

Poziom utrudnień rósł z minuty na minutę. Mężczyźni wisieli już głowami w dół, zaczepieni o drążek zgięciami pod kolanami. Nawet z oddalonego rzędu widziałam, jak naprężają się ich barki i ramiona, kiedy chwyтали dziewczynę i jej ciężar spoczywał w ich rękach. Wspięła się zwinnie po ciele mężczyzny jako po drzewie, stanęła na trapezie między jego kolanami. Stała wyprężona, z szeroko rozrzuconymi ramionami, trapez zamiatał powietrze z cichy świstem, niemal słyszałam furkot piór u jej ramion... skoczyła!

Jej ciało, wypięte jak struna, obróciło się dwa razy wokół własnej osi, jakby skoczyła z trampoliny w spokojną głębię basenu. Krzyk wydarł mi się z ust, kiedy zrozumiałam, że nie zdąży... trapez z akrobatą, który powinien ją złapać był zbyt daleko, choć ten wyciągał ramiona i całe ciało najdalej jak mógł, to było za mało. Musiała wiedzieć, że minęła go, że nie zdążył, że czeka ją upadek, ale nie drgnęła, wciąż pełna gracji zrobiła kolejne salto, ostatnie, nim z głuchym tąpnięciem upadła na arenę.

Zerwałam się z ławki, widząc, w jak nienaturalnej pozie ułożyły się jej kończyny. Czerwona aureola rozkwitała wokół głowy, krew wsiąkała w żółte trociny. Akrobaci wciąż huśtali się na trapezach. Choć nikt już na nich nie patrzył, prawda? Rozejrzałam się zaskoczona ciszą wokół mnie. Mała, jak reszta dzieciaków wciąż patrzyła w górę, na mężczyzn na trapezach. Nikt, dosłownie nikt, nie patrzył na arenę z trupem, bo przecież musiała być martwa, żywe ciało, nawet akrobatki, nie zdołałoby się wykrzywić w tak wielu miejscach, a czerwień krwi była zbyt intensywna, plama zbyt duża...

Co tu się dzieje, do cholery? Dotknęłam ramienia Małej, nawet nie drgnęła. Potrząsnęłam nią mocniej, spojrzała na mnie po kilku sekundach, a mi krew uderzyła do głowy, gdy zobaczyłam jej mętne, niewidzące oczy i półotwarte usta. Na scenie zrobił się mały ruch. Mężczyzna w czerwonym surducie i cylindrze pochylił się nad akrobatką i bez wysiłku podniósł jej ciało. Jej ramiona i nogi kołysały się bezwładnie, głowa opadła do tyłu, krople krwi znaczyły trop. Zniknął za kurtyną na zaplecze z ciałem w ramionach.

Dopiero teraz akrobaci zwinnie wspięli się na platformy i korzystając z sznurowych drabinek, zeszli na ziemię, ściągając tam spojrzenia widowni. Zza zasłony wyłonił się klaun, za nim kolejny i jeszcze jeden, w którym rozpoznałam tego, który wcześniej kasował bilety. Dźwigał worek, z którego wysypywały się trociny. Podczas gdy jego dwaj kompani zabawiali publiczność idiotycznymi gagami z potykaniem się o własne stopy, piszczącymi nosami i psikającymi wodą kwiatami w butonierce, ten, pozornie bezładnie, zataczał się pod ciężarem worka. Później, bo wysypujące się z worka trociny zasypywały ślady krwi na arenie i po kilkudziesięciu sekundach nie było po nich śladu, tylko w miejscu gdzie dziewczyna upadła, wyrastał kopczyk trocin. Ludzie zaśmiewali się z popisów klaunów, dzieciaki piszczały radośnie, kiedy na wielkich stopach zbliżały się do nich, nachylając ku nim groteskowo wymalowane twarze.

Energia przepływała przez widownię, stawiając mi włoski na ramionach. Zrobiło mi się zimno. Coraz trudniej przychodziło mi zrozumienie, co właściwie się wydarzyło, co wciąż się działo. Zerknęłam na Małą. Wydawała się zmęczona, apatyczna, całkiem jak nie ona. Moja siostra jest dzieciakiem z ADHD, nie bywa zmęczona po całym dniu zabawy i biegania. Kładłam ją spać od lat, nawet śpiąc ma zespół niespokojnych stópki i wierci się, jakby wciąż miała siłę przeżywać niekończące się przygody.

Musiałam ją stąd zabrać. Wzięłam ją na rękę. Nie protestowała, choć normalnie powiedziała by z godnością sześciolatki, że jest na to za duża. Opierając ciężar o biodro, powoli przepychałam się między ludzkimi kolanami a plecami tych z niższego rzędu w stronę schodków i wyjścia. Głowa Małej opadła mi na ramię, a jej małe łapki wczepiły się w moją szyję. Przyciskałam ją do siebie trochę za mocno, zbyt poruszona i przestraszona, żeby to zauważyć, aż pisnęła cichutko pod naciskiem moich ramion. Byłyśmy już przy wyjściu, kiedy dopadł nas klaun.

– Nie wychodź, to jeszcze nie koniec – powiedział, zastępując mi drogę. Spojrzałam w jego czarne oczy, takie same jak oczy pierrotki.

- Widziałam już dość, przepuść mnie.
- Zapłaciłaś za całość.
- Wzięliście już więcej, niż gotowa byłam dać – rzuciłam, usiłując go wyminąć.
- A co twoim zdaniem widziałaś? – Uśmiechnął się drwiąco.
- Coś, co na pewno zainteresuje policję, puść mnie! – krzyknęłam, kiedy znów złapał mnie za łokieć, próbując zatrzymać.
- Idź, a zrobisz z siebie idiotkę. Dla Phenix to nie pierwszozna. Przyjdź jutro na przedstawienie, to sama zobaczysz – wyszczerzył pieńki żółtych zębów.
- Przyjdę, ale teraz mnie puść – rzuciłam, przyciskając śpiące dziecko do piersi.

Zadowolony opuścił rękę. Wybiegłam na powietrze. Zaskoczyło mnie, że wciąż był dzień. W namiocie było ciemno i straciłam poczucie czasu. Poprawiając ciężar Małej na biodrze, ruszyłam do bramy wyjściowej na ulicę, rozpychając się między ludźmi.

Mała nie obudziła się, kiedy dotarłam do domu. Rozebrałam ją z ogrodniczek i położyłam do łóżka. Była wiotka i chłodna. Błada twarz kontrastowała mocno z ciemnymi włosami i wściekle różową pościelą. Siedziałam przy niej kilka godzin, czekając, aż się obudzi. Nie reagowała na potrząsanie ani na mój głos. Oddychała normalnie, co dawało mi nadzieję, że to tylko sen. Dziwny, ale tylko sen.

Musiałam zasnąć w fotelu, bo kiedy się obudziłam świtało. Mała leżała z otwartymi oczami, patrzyła na mnie zdziwiona.

- Jak się masz?
- Jestem chora? – zapytała cichutko.
- A źle się czujesz? – starałam się ukryć niepokój.
- Nie, ale ty śpisz na fotelu, jak wtedy kiedy jestem chora – powiedziała słabo. – Jeść mi się chce, bardzo, chcę naleśniki...

Usiadła na łóżku i potarła zaspane oczy. Wyglądała lepiej, jakby wczorajszy dzień się nie wydarzył. Ale ja wiedziałam, że było inaczej. Nie wiedziałam, jak to zrobili, ale wiedziałam co. I nie zamierzałam im na to pozwolić nigdy więcej.

Nakarmiłam Małą naleśnikami z serem i truskawkami, a później zaprowadziłam ją do przyszywanej babci, niani Małej, kiedy jeszcze nie chodziła do przedszkola, a ja musiałam chodzić do liceum. Mała uwielbiała babcię Kazię i jej wnuczka, prawdziwego, nie przyszywanego jak ona. Był młodszy od Małej o rok, ale nie zostawał w tyle w zabawach i psotach. Poprosiłam babcię Kazię, żeby zajęła się moją siostrą tego dnia, bo musiałam coś załatwić, a matki wciąż nie było. Pozwoliłam jej wierzyć,

że to coś związanego z pracą zatrzyma mnie cały dzień poza domem.

Tyle że nie zamierzałam iść do sklepu papierniczego, w którym pracowałam jako ekspedientka. Miałam do zrobienia coś innego i musiałam mieć pewność, że Mała będzie bezpieczna. Uprzedziłam, na wszelki wypadek, żeby nie szły do cyrku, wyjaśniłam, że mam poważne zastrzeżenia do warunków BHP, jakie tam wczoraj widziałam, a zwierzęta wyglądały na chore. To wystarczyło, żeby babcia trzymała dzieci z daleka.

Było za wcześnie, aby dzieciaki i ich rodzice wypełnili alejki między budami i namiotami. Była dopiero ósma rano, kasa była zamknięta, ale pamiętałam miejsca w ogrodzeniu wokół boiska, w których ziały dziury i bez trudu, nie zauważona dostałam się na teren miasteczka. Miałam niewiele czasu. Jutro miało ich już nie być, koniec odpustu, koniec cyrku i karuzeli. Odruchowo wybrałam drogę do głównego namiotu. Słusznie, jak się przekonałam po chwili, słysząc głosy dobiegające zza płóciennych ścian. Wślizgnęłam się jak złodziej za uchyloną płachtę. Cicho przeszłam kilka kroków, kryjąc się w cieniu ławek, wsunęłam się pod schodkową konstrukcję widowni, żeby widzieć i słyszeć dokładniej to, co się działo na arenie.

Byli tam niemal wszyscy, których pamiętałam z przedstawienia... Żonglerzy, magik, kobieta guma, klauni, akrobaci... zgrabniutka pierrotka. Zajęło mi chwilę, zanim dostrzegłam zmianę, która nastąpiła w zespole. Był wyraźnie młodszy, zgrabniejszy, zmarszczki na twarzach podstarzałych wołyżerek wygładziły się, a sflaczałe wczoraj ciała nabrały sprężystości, kobieta guma wyglądała dokładnie tak, jak powinna w szczycie swojej kariery, młoda i gibka.

– Jeszcze dziś... na dwa tygodnie starczy... ruszymy w stronę Kielc, potem Lublin, na wschód, dawno tam nie byliśmy – słyszałam skrawki zdań.

– Była odporna... co z nią zrobimy?

– Nic, przyjdzie dziś po raz drugi, dwa razy nikt się nie zdołał nam oprzeć – śmiech klauna przyprawił mnie o ciarki.

– Magia cyrku – zachichotała pierrotka, Phenix w kostiumie w cekinowe płomienie.

Wycofałam się najciszej, jak mogłam. Już na zewnątrz wpadłam na kogoś i odwróciłam się przerażona. Mężczyzna w kombinezonie roboczym nadal miał starą, pooraną głębokimi bruzdami twarz i zmęczone spojrzenie. Bez słowa pociągnął mnie w stronę dziury w ogrodzeniu.

– Uciekaj, zanim cię znajdą. Ludzie giną, trzeba się pilnować. Ktoś się musi zajmować twoją córeczką – powiedział cicho, popychając mnie, bym jak najszybciej opuściła teren miasteczka.

Nie wyjaśniłam, że Mała nie jest moją córką. To było teraz najmniej ważne. Już po drugiej stronie siatki spojrzałam na niego i zapytałam:

– Ile kilometrów przejadą, zanim zrobią postój?

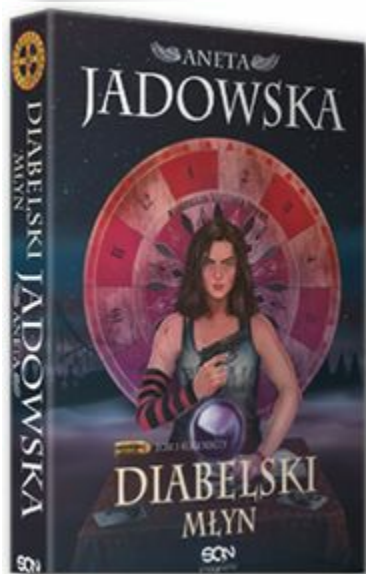
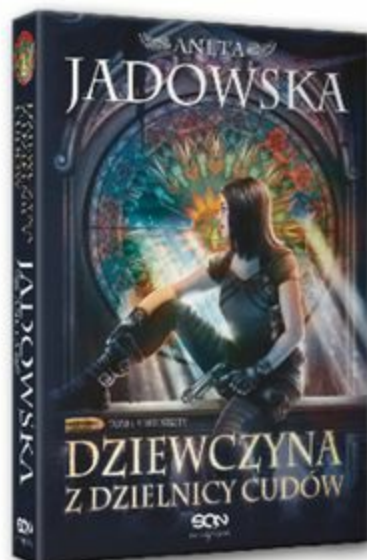
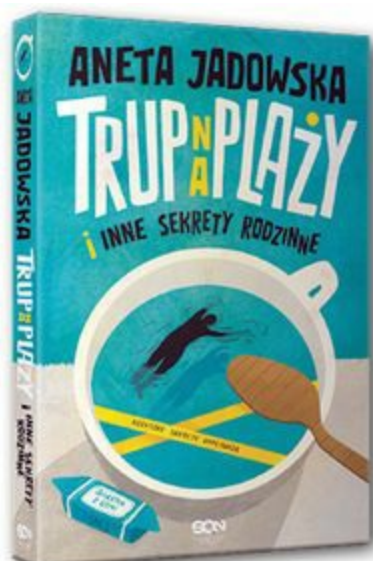
Popatrzył na mnie uważnie, jakby wahając się, co mi odpowiedzieć.

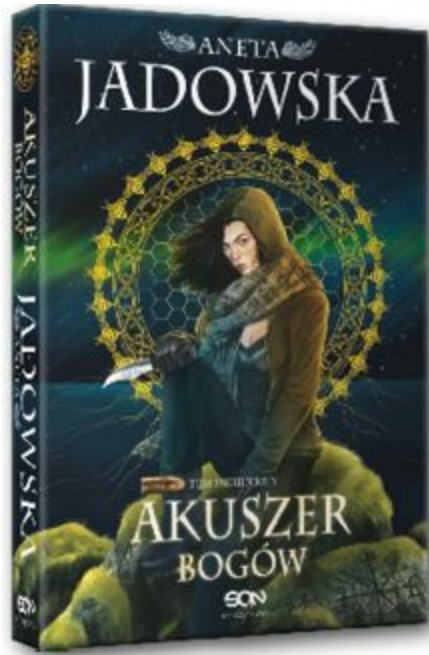
– Nie dalej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Na pewno nie wjadą do najbliższego miasteczka, ale rozbiją się gdzieś po drodze, na dzień, czy dwa, żeby skończyć co zaczęli – powiedział w końcu.

– Lepiej byś wybrał się dziś w nocy na zakupy do miasta – rzuciłam przez ramię, odchodząc do domu, do Małej.

Było już całkiem jasno, kiedy zaparkowałam przed domem. Zatrzasnęłam drzwi cicho, żeby nie obudzić Małej, która pewnie jeszcze spała w swoim pokoju. Nie słyszała, kiedy wychodziłam w nocy, a nie chciałam jej się tłumaczyć z tego, gdzie byłam. I czemu pachnę benzyną i dymem. Mała lubi bajki, w których zły zostaje ukarany, ale nie mogę jej opowiedzieć, jak łatwo płoną drewniane budy, ani jak podpalić całe obozowisko tak, żeby nikt nie miał szans na ucieczkę. Nie opowiem jej też o starym mężczyźnie w kombinezonie roboczym, który czekał na mnie na skraju obozowiska z młotkiem w dłoni i kieszeniami pełnymi stalowych gwoździ, takimi jak te, którymi pozabijał drzwi do bud, żeby nikt już nigdy z nich nie wyszedł. To nie są historie dla małych dziewczynek. Ściągnęłam śmierdzące i brudne ubranie i zajrzałam do pokoju Małej. Spała, niewinna i taka młoda, mimo tego, co jej zabrali. Dzieci się szybko regenerują, zapominają, ale ja nie jestem wspaniałomyślna. Nikt nie może krzywdzić jej i pozostać bezkarnym. Nikt. Nawet moja matka, która niedługo może zniknąć na zawsze w jakimś tropikalnym raj, w którym odnajdzie wreszcie wielką prawdę. Na litość, jak na miłość, trzeba sobie zasłużyć.

KSIĄŻKI ANETY JADOWSKIEJ,
KTÓRE UKAZAŁY SIĘ W WYDAWNICTWIE SQN:







JAKUB ÓWIEK



Człowiek, który nie potrafi usiedzieć w miejscu. Pisarz, komik stand-upowy, publicysta, podróżnik. Autor ponad dwudziestu książek, a także licznych opowiadań, słuchowisk, artykułów, sztuk teatralnych i scenariuszy. Najbardziej znany ze stworzenia uniwersum *Kłamcy*, do którego właśnie powraca, wydając „wersję reżyserską”. Rozwija też konsekwentnie światy, w których prym wiodą *Chłopcy – dorośli* pomagierzy Piotrusia Pana – czy polscy superbohaterowie *Zawisza Czarny* i *Dreszcz*.

SIEDEMDZIESIĄT JEBANYCH GRAMÓW

– No to się, kurwa, nie dzieje! – krzyknął Chief, gdy cyfry na liczniku wagi zamigały trzykrotnie, potwierdzając ostateczny werdykt. – To zwyczajnie niemożliwe!

Loco stęknął tylko, zatoczył się pod ścianę, oparł plecami i osunął na mokrą podłogę przedsionka sauny. Zwiesił głowę, oddychając płytko, a tłuste krople potu spływały mu po wytatuowanej piersi.

– To ta pierdolona waga! – stwierdził kategorycznie Chief z taką pewnością, jakby nie powiedział tego samego rundę temu. I jeszcze rundę wcześniej. Jakby „do trzech razy sztuka”...

Ale to nie było to. Wiedział o tym dobrze, bo sprawdzili przecież jeszcze dwie. Winna nie była też wilgoć w powietrzu, bo dziesięć minut temu Chief osobiście wywlekł Loco na zewnątrz, do szatni i zupełnie nie zważając na niedzielnych amatorów lokalnej siłki, rozebrał go z gumowego dresu, wytarł i pomógł stawać na kolejnych urządzeniach. Te jednak wykazywały niebywałą jak na nie zgodność. Wyniki zgadzały się co do grama. I cały czas wskazywały ich o siedemdziesiąt ponad zakontraktowany wymóg.

Mimo to Chief wyszedł, przez chwilę słychać było, jak awanturuje się za ścianą, a potem wpadł do środka i kucnął przy bracie. Przerzucił sobie jego rękę przez szyję i pomógł mu wstać.

– Chodź – powiedział. – W damskiej mają jeszcze jedną, ale zamocowaną na stałe.

– Dobrze – wychrypiał Loco, niemal bezgłośnie. A potem dodał jeszcze: – Ręcznik.

– Spokojnie – zapewnił Chief. – Zaraz cię powycie... a, no tak! Czekaj, cholera!

Oparł Loco o ścianę, upewnił się, że ten nie upadnie, po czym znowu zniknął za drzwiami i wrócił z ręcznikiem. Opasał nim brata w pasie i dopiero wtedy powiódł go do damskiej szatni.

Gdy byli na miejscu, Chief wytarł brata starannie, szczególną uwagę poświęcając włosom i brodzie, w których mogły kryć się ciężkie krople. Loco przyglądał się temu w lustrze z obojętną miną. Zupełnie jakby wszystkie te czynności dotyczyły kogoś innego. Bo i faktycznie niewiele przypominał siebie sprzed jeszcze kilku dni. Miał zapadnięte policzki, spierzchnięte wargi i wielkie, ciemne wory pod wytrzeszczonymi, zmęczonymi oczami sprawiające wrażenie, jakby już było po walce

i w dodatku jakby solidnie w niej oberwał.

– No dobra, włącz – stwierdził w końcu Chief, podnosząc się z klęczek.

Loco zdjął ręcznik i stanął na wadze. Cyfry zatańczyły na cyferblacie.

– To się, kurwa, nie dzieje! – po raz kolejny krzyknął starszy z braci.

Ale niestety działo się, działo jak najbardziej. A zegar nad drzwiami wskazywał, że do ważenia zostały niecałe dwie godziny. Biorąc pod uwagę dojazd na miejsce, mieli maksymalnie godzinę w saunie. Choć to i tak nie miało znaczenia.

– Nie dam rady, brachu – stwierdził Loco tym samym co wcześniej ochryplym szeptem z wnętrza grobu. – W środku... wszystko mnie pali.

– Nie blokujesz? – zdziwił się Chief.

– Nie... – Chciał wyjaśnić, ale tylko machnął ręką niezdarnie. – Nie blokuję.

Do szatni weszła jakaś puszysta laska owinięta dwoma ręcznikami – jeden zasłaniał ciało, drugi, uformowany w prowizoryczny turban zakrywał włosy. Dostrzegłszy braci, zapytała, co tu robią, ale bez szczególnego oburzenia. Odpowiedzieli, a ona skinęła głową, skupiając wzrok na obnażonych pośladkach młodszego. W końcu poszła suszyć włosy, a oni wciąż wpatrywali się w cyfry na wadze.

Siedemdziesiąt gram. Tyle brakowało. Tyle co nic w zasadzie i pewnie gdyby walka była gdzie indziej, z kim innym, może by przeszło. Tu jednak nie było o tym mowy i nawet nie zamierzali próbować. Bez zrobionej wagi mogli z miejsca poddać walkę i nieważne, czy chodziło o dziesięć kilo czy kilkanaście gramów.

– Wracamy – stwierdził w końcu Chief.

– Gdzie?

– No, do sauny. Zrobimy jeszcze jedną piątkę, może szóstkę, a jeżeli to nie pomoże, jak Boga kocham, ogolę ci łeb.

Loco nie wziął tych słów na poważnie. Irokez był święty. Znamionował wojownika, budził respekt. A bez brody zwyczajnie wyglądał jak pizza.

– Nie dam rady, brachu – powtórzył, znowu zerkając na swoje odbicie. Dwoiło mu się przed oczami, obraz rozmywał się lekko. – Nie dam...

Ale poszedł. W przedsionku sauny dostał do wypicia nakrętkę wody, a potem dostał drgawek, gdy wkładał gumowy dres. Pewnie, gdyby widział to Chief, odpuściliby, ale ten akurat wyszedł na moment, a Loco się nie przyznał. W końcu też mu zależało.

Poza tym być może było to tylko wrażenie, ale nagle poczuł jakby przypływ sił. Nawet wstał o własnych siłach. Założył kaptur, sprawdził zegarek na wyświetlaczu telefonu...

I nagle coś go tknęło. Odpalił przeglądarkę i szybko wpisał w nią parę

słów. Wynik potwierdził jego obawę.

– Nie zrzucimy tego – powiedział, gdy wrócił Chief. – To pierdolona klątwa.

*

Nie lubił tego stanu na parę dni przed ważeniem. Tej ostatniej fazy zrzucania, stopniowego odwadniania organizmu, nieustannie towarzyszącego uczucia głodu i ogólnego rozedrgania. Wszystko go wtedy wkurwiało.

Teraz też. Szedł z rękami ciasno wbitymi w kieszenie jeansów, na grzbiecie skórzana kurtka na bluzę z kapturem, czapka bejsbolówka ciasno naciągnięta na oczy, a w świecie wokół wszystkiego było „za”. Za głośno, za gorąco, za duszno. Światła za długo pozostawały czerwone, a na wszystkich przejściach na pasach ciągnęły się sznury samochodów, bo kierowcy mieli najwyraźniej w dupie, że chce przejść. W sklepie najpierw wznający się w mózgu sygnał po otwarciu drzwi, potem pikanie kasy, akurat, gdy potrzebował zebrać myśli nad półką z nabiałem, czego właściwie mu trzeba. Jakies szczeniaki ukryte za półką nawijały o jakiejś grze komputerowej, której nie znał, ale chętnie by zagrał, a potem jakiś tłusty koleś odepchnął go, by wziąć duży jogurt z truskawkami. Mógłby mu jebnąć, zwłaszcza, że nie przeprosił. Zamiast tego wziął dla dzieciaków dwie mleczne kanapki i w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie włożyć ich po prostu w kieszeń. Głupi odruch, przecież nie zamierzał ich kraść, tylko się zamyślił. Ale poczuł wstyd i to też wkurwiło go nielicho. Ruszył do kasy.

Po drodze minął stoisko z Monsterami, ale w ich przypadku złość była o tyle mniejsza, że i tak nie mieli z lodówki. Tam było miejsce tylko dla burnów i red bulli. Jebana energetyczna elita, psia ich mać!

Dziewczyna za kasą, chuda, z grubą warstwą pudru na dojrzałych pryszczach, zeskanowała kanapki i przeczytała kwotę z wyświetlacza. Podał jej dwie dychy. Nie pięć, nie stówę, ale dwie jebane dychy. A i tak spojrzała na niego, jakby ją właśnie obrzygał.

– Coś drobniej? – mruknęła.

– Nic – odparł. Kurwa, teraz to nawet jakby miał...

Sięgnęła do szufladki w kasie, tłukąc się przy tym, brzęcząc monetami i w końcu wysupłała resztę bez pięciu groszy.

– Będę winna – stwierdziła.

– Przypomnę się – odpowiedział, chowając kanapki. Trzeba je było jednak ukraść, nie byłoby tego wszystkiego, pomyślał.

Wyszedł, a na zewnątrz znowu gwar, ciepło, duszno, jazgot miałych rozmów w gęstej chmurze spalin i radiowóz w zasięgu wzroku na każdym skrzyżowaniu ze światłami. Skręcił w park i ruszył szeroką alejką pod drzewami. Tu było nieco lepiej, zwłaszcza o tej porze dnia, gdy dzieciaki były jeszcze w szkołach, a na ławkach siedzieli głównie studenci albo matki czy opiekunki z książką w jednej ręce i uchwytem wózka w drugiej. Właściwie gdyby miał teraz coś do czytania, pewnie sam by usiadł i...

Coś zaszeleściło mu pod stopą, a gdy ją uniósł, stawiała lepki opór. Guma. W stosie słonecznikowych łupin. Kurwa, pierdolone parkowe kombo! Brakowało jeszcze tylko psiego gówna.

Przystanął, oparł ręce na kolanach i wziął głęboki oddech. To nie był jego dzień, czuł to. I jeżeli miał dotrzeć do jego końca, a przynajmniej do treningu, na którym zrzuci parę, musiał się gdzieś schować. Dla dobra swojego i wszystkich wokoło.

Wyprostował się i rozejrzał. Najbliżej miał do klubu Go Go, ledwie dwie przecznice. O tej porze powinien być tam spokój, bo kto chodzi do burdelu, choćby i na drinka, przed południem w czwartek? Weźmie klucze, walnie się gdzieś na gorze, może nawet przekima chwilę. Tak, to niegłupi pomysł.

Odwrócił się i w ostatniej chwili zszedł z drogi rowerzyście. Ten krzyknął coś obelżywego, czego lepiej było nie słyszeć. Nie w ostatniej fazie diety. Nie przed treningiem.

Wolnym krokiem, jeszcze niżej niż wcześniej zwieszając głowę, ruszył w stronę klubu.

*

– O, Loco, zajebicie, że jesteś! – powitał go niemal od progu stojący za barem Guzio.

Młody, chuderlawy szczeniak, którego pani Kazia zatrudniła z pół roku temu, ksywę zyskał dzięki dziwnemu rozstawowi i układowi oczu. Zwłaszcza gdy się dziwił, wyglądały jak dwa przyszyte do twarzy guziki. Generalnie był miły i niegłupi, ale oczywiście takie otwarcie nie mogło zwiastować niczego dobrego i Loco nienawidził go w związku z tym z całego serca.

– Co jest? – rzucił.

– Problem mamy z jedną z dziewczyn – stwierdził chłopak. – Napijesz się czegoś?

Loco łypnął tylko na niego. Podeszedł do zestawu wypoczynkowego stojącego po lewej i zwałił się na fotel, przekładając nogę przez poręcz.

Mógłby tak zasnąć.

– Z którą? – zapytał. – I jaki problem?

– Z Bagietką – powiedział Guzio i w zasadzie mógł już na tym skończyć.

Nikt nie lubił tej zdziiry, jej bezdennej głupoty połączonej z niebywale wręcz wysoką samooceną. Śmiała się jak stary gruzlik, głos miała, jakby kto kamieniem po szkłe jeździł, a do tego gęba się jej nie zamykała i nie odpuszczała żadnemu tematowi, bo przecież musiała tym wszystkim idiotom wokoło wyjaśnić, że się mylą, bo ona w internecie... No, ale że jebała się ponoć jak złoto i w dodatku ponad normę, pani Kazia nazywała ją swoim stachanowcem i rozkładała ręce, gdy któryś rzucił komentarzem czy dwoma przez zaciśnięte zęby. „To biznes – mówiła wtedy. – Nie musimy się kochać”. Więc jakoś ją znosili. Jakoś...

– Wolne mam – mruknął Loco. – Walka w sobotę.

– Tak, tak, wiem. – Guzio odłożył polerowaną szklankę, przewiesił ścierkę przez ramię i wyszedł zza kontuaru. Podszedł bliżej i usiadł na krześle, kładąc ręce i brodę na oparciu. – Tyle że nie ma nikogo, Bagieta dostała piany, a jak temat wyjdzie, to Grizzly będzie miał przejebane, bo stał wczoraj, a był zrobiony, bo mu się siostrzeniec urodził i...

Loco westchnął. Bagiety nie znosił, ale Grizzly był spoko. W dodatku było wiadomo, że Guzio nie odpuści.

– Mów – polecił. – Tylko krótko.

– No więc – zaczął Guzio – W nocy przyszedł tu taki kolo, Kaśka twierdzi, że go zna i to jakiś piekarz czy cukiernik z Sikorskiego. Cygan, ale z tych dzianych, typowy tatusiek z brzuchem, do nas wcześniej nie wpadał, ale już na Warszawskiej podobno stały gość. Solidnie porobiony, coś tam krzyczał, więc się dziewczyny nie rwały specjalnie, ale znasz Bagiety. Norma to norma, kutas to kutas. Wzięła go na górę. I tam się potem okazało, że on się nie tylko najebał, ale i nawciągał i, rozumiesz flak. Prawie godzinę mu to śmigło kręciła, zapracowała na każdą złotówkę, ale jak się nie da, to się nie da. Każdy to wie. Ale on, rozumiesz...

– Uderzył ją? – Loco podniósł się nieco.

– To też, ale pijany był, więc mówi, że nawet nie poczuła. Ale przede wszystkim nie zapłacił. I jeszcze aferę zrobił. Więc Bagieta zła, że jej opinia...

– Pierdolić opinię Bagiety. – Loco usiadł prosto.

Wiedział, do czego teraz zmierzała sprawa i ani trochę nie podobała mu się ta fucha, śmierdziała tanią gangsterką z filmów klasy B. Z drugiej strony fama, że można przyjść, wyjść i nie zapłacić. To szkodziło

biznesom. A pani Kazia tylko wyglądała jak miła staruszka.

Westchnął.

– Gdzie jest Grizzly w ogóle?

– No ta wóda, co ją pili, to jakiś spirol był – wyjaśnił barman. – Struł się strasznie i w szpitalu płuczą mu żołądek.

– Kurwa – Loco zaklął.

Też się teraz tak czuł. Jakby mu właśnie wypłukali flaki jakimś żrącym środkiem. A wiedział, że będzie tylko gorzej. Stanowczo nie powinien się teraz zajmować sprawami wymagającymi spokoju i opanowania. Nie powinien też narażać się na żadne potencjalne kontuzje. Z drugiej strony jeśli faktycznie nie było nikogo. Grizzly był z polecenia Chiefa, swój człowiek i należało go kryć. Poza tym pierdolić już pieniądze, ale koleś ją uderzył. Nie miało znaczenia lekko czy nie, nie miało znaczenia, że to Bagieta...

– Adres masz?

Guzio zerwał się z krzesła i pognął za bar. Po chwili wrócił z żółtą karteczką z nabazgranym na niej adresem. Loco wstał, spojrzął na kartkę i bez słowa opuścił klub.

*

Oczywiście to musiała być piekarnio-cukiernia, w dodatku piekąca na okrągło, jedna z tych, od których aromatyczne zapachy niosą się nieustannie, wodząc przechodzących na pokuszenie. Na witrynie zresztą była stara Cyganka, wyglądająca trochę jak wiedźma z disnejowskiej *Królewny Śnieżki*, w ręce trzymająca jednak nie jabłko, tylko pączka. Subtelne jak cholera.

Loco przystanął po drugiej stronie ulicy, przetykając zgęstniałą ślinę i przyglądając się gościowi stojącemu za ladą przez wystawową szybę. Pasował do opisu i sprawiał wrażenie takiego, co czasem lubi sobie wypić. Faktycznie typ tatuśka, ale z rodzaju tych większych, co to czasem szukają zadymy po barach albo późnymi wieczorami pokazują przerażonym żonom *Who is your daddy*. Widząc go, Loco był zdziwiony, że wczoraj skończyło się tylko tak.

Teraz gość trzymał się nieźle jak na kogoś na niewątpliwym kacu, uśmiechał się do klientki i coś tam z nią mile gaworzył. Z tyłu, za nim i grubą szybą piekarze i ich pomocnicy uwijali się przy stolnicach, korytach i piecach. Z tej odległości dało się naliczyć czterech, ale równie dobrze mogło ich być więcej. Niedobrze, ale wiele zależało od tego, jak wygląda przejście między frontem a zapleczem.

No dobra, pomyślał. Do roboty.

Przejechał ręką po twarzy, rozejrzał się na boki i truchtem pokonał ulicę. Począł, aż ze sklepu wyjdzie objuczona torbami kobieta z dzieckiem i zatrzymał wąsatą mężczyznę, gdy ten chciał wejść do środka.

– Nie wolno – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Policja.

Facet pokiwał głową i bez słowa odwrócił się na pięcie. Loco odczekał jeszcze chwilę i wszedł. Przekręcił zamek i tabliczkę z „Otwarte” na „Zamknięte”. Idąc w stronę lady, lustrował pomieszczenie.

Wejście na zaplecze, normalne drzwi otwierające się, patrząc po zawiasach, do wewnątrz, nad nimi jakaś cygańska ozdoba. Obok krzesło z wysokim oparciem. Dalej gablota z pleksy pełna ciast na wagę i tortów, kawałek lady ze stojakami na drożdżówki i zwykłe bułki, kasa i znowu gablota, ta z kolei z ciastkami na sztuki. Pomieszczenie było na tyle przestronne, że spokojnie mieściły się w nim jeszcze trzy stoliczki, jakby ktoś chciał skonsumować na miejscu do kawy. Choć tę ostatnią musiałby sobie sam przynieść, bo wciśnięty w kąt ekspres miał karteczkę z koślawym napisem: awaria.

Loco podszedł do kasy. Tuż obok niego, na wyciągnięcie ręki leżały na paterze idealne w kształcie, lukrowane pączki z posypką z kandyzowanych skórek pomarańczy, dokładnie takie jak u Cyganki z witryny. „Z różą”, informowała karteczka. Jedyne słuszne. Loco się oblizał.

Mężczyzna za ladą musiał nie zauważyć, że Loco zamknął drzwi, bo nie wyglądał na zaniepokojonego. Choć zdecydowanie nie uśmiechał się też jak przed chwilą.

– Coś podać?

Loco skinął głową.

– Kasę za wczoraj.

Sprzedawca w pierwszej chwili zamarł, zaraz jednak najwyraźniej ocenił swoje siły, bo strach przeszedł w gniew. Śniada twarz zrobiła się jeszcze ciemniejsza.

– Wypierdalaj stąd! – warknął. – Ale już!

Jego ręka wystrzeliła, pozornie tylko wskazując drzwi, ale na tyle blisko twarzy Loco, że to nie mógł być przypadek. Wielka pięść, obciążona dwoma sygnetami mogła i powinna robić wrażenie. Ale najwyraźniej nie zrobiła, bo Loco powiódł obojętnym wzrokiem wzdłuż kończyny, a potem odsunął ją od siebie delikatnie, acz stanowczo, i spojrzał mężczyźnie w oczy.

– Zapłać i ten jeden raz zapomnę, że uderzyłeś dziewczynę – powiedział, siląc się na spokój, choć słodki zapach pączka i ciepłego lukru,

woń chleba dochodząca z pieców, te wszystkie bułki, kajzerki, precle doprowadzały go do szału. Tyle tygodni na diecie, dosłownie czuł, jak skręca mu kichy.

Cygan cofnął rękę i wziął się pod tłuste boki, spoglądając hardo.

– Co zapomnę? Co, kurwa, zapomnę?! A może ja nie chcę zapominania, he?! Może zdzira powinna pamiętać, że...

Lada była wąska, a cios błyskawiczny. Oszołomiony mężczyzna najpierw się cofnął, a dopiero potem złapał za nos, z którego już grubą strużką płynęła czerwona krew. Loco powoli ruszył wzdłuż lady, by ją obejść.

Facet nie był już tak pewien swego.

– Wezwę gliny – powiedział. – Wejź tu, a wsadzę cię do pierdla.

Jednocześnie zerkał ukradkiem w stronę szyby.

Loco również nie zapominał o piekarzach i pomocnikach, zwłaszcza że już dostrzegł tam pewne poruszenie. Przyglądał im się uważnie, idąc. Liczył, oceniał siły. Jednak czterech, dobrze. W dodatku wahają się, jeszcze lepiej. Szedł i patrzył, mierzył dystans. Był już prawie przy przejściu. Jeden z mężczyzn rzucił się w stronę drzwi, ale o chwilę za późno, bo Loco zdążył już stanąć po ich drugiej stronie. Teraz wystarczyło tylko wyczekać właściwej chwili. Gdy drzwi drgnęły, kopnął je z całej siły, tak, że tamten tylko się od nich odbił. Potem spokojnie zastawił je krzesłem.

Ten z za lady zdążył się w międzyczasie uzbroić w jakąś pałkę, pewnie trzymaną gdzieś pod ladą, ale machał nią przed zakrwawionym nosem tak niezdarnie, że w innych okolicznościach tylko by Loco rozbawił. Teraz jednak wyłącznie go wkurwił. Jak gwar, jak gorąc, ciepło, światła, guma na bucie i łupinki słonecznika. Jak Bagieta i jej nieustanne jęczenie i pierdolenie głupot, zatrucie pokarmowe Grizzly'ego i nade wszystko ta przeklęta, jebana w dupę dieta! Mogło go tu nie być, gdyby tylko świat wokoło nie był tak wkurwiający.

Doskoczył do mężczyzny, bez trudu wyrwał mu pałkę i obróciwszy ją sprawnie między palcami, wziął krótki zamach i wyrzucił piekarza w twarz. Następnie złapał go za szyję lewą ręką i z całej siły pchnął. Różnica masy sprawiła, że tamten co prawda zatoczył się, ale nie upadł. Stał tylko, pocierając obolały policzek, pociągając zalanym krwią nosem. Zgarbiony, dyszał ciężko.

– Zajebię cię. Zajebię – sapał, dodając do tego jakieś romskie słowa. – Zaraz cię dorwę, skurwielu.

Ale się nie ruszał.

Loco odczekał jeszcze chwilę, ale w końcu opuścił pałkę. Wzruszył

ramionami, podszedł do kasy i wyciągnął z niej banknoty. Odliczył starannie i wsadził ile trzeba do tylnej kieszeni.

– Nie masz wstępu do CoCo – powiedział. – Ani teraz, ani nigdy.

Obszedł ladę, mijając trzeszczące krzesło wciąż stawiające opór napierającym na nie piekarzom. Łatwo poszło, pomyślał. I pewnie innego dnia na tym by się skończyło. Ale dziś świat nie rozumiał, świat wkurwiał i najwyraźniej zasługiwał na lekcję.

– Zajebię cię, chuju! Już nie żyjesz! – Widząc, że Loco odchodzi, tamten darł się coraz śmieiej. – A potem zgłoszę tę waszą budę i wszyscy pójdziecie z torbami. A tej kurwie...

Właściwie, gdy potem o tym pomyślał, to słowo nie powinno go ruszyć. Loco miał wrażenie, że czasem Bagieta sama tak na siebie mówiła, pewnie nawet z dumą. Ale co innego ona, a co innego jakiś zjebany dupek, któremu wydaje się, że wszystko mu wolno. Poza tym było jeszcze coś, być może ton jego głosu, może coś zupełnie innego – tego dnia mogło to być naprawdę cokolwiek – co odpaliło lont. Ostatnie, co przemknęło mu przez głowę, zanim wykopał na bok krzesło, było: „Jeśli nabawię się teraz kontuzji, Chief mnie zajebi”. A potem do pomieszczenia wpadli piekarze.

Tak, wpadli. Napierali wszyscy naraz, więc gdy nagle nie było oporu, wypieprzyli się wszyscy jeden na drugiego. Loco doskoczył do tego na samej górze, złapał za włosy i dwoma prostymi rozkwasił mu gębę, a potem odskoczył szybko, zanim jeden z tych pod nim złapał go za nogi. Sprzedał piekarzom kilka mocnych kopniaków gdzie się dało, a gdy jeden z nich mimo wszystko się podniósł i zaatakował, puścił go, wycofał się i ustawił tak, by wykorzystując impet ciosu tamtego, przerzucić go sprawnie przez bark, prosto na przesłoniętą pleksą gablotę. Rozległ się trzask, a potem plask, gdy ciało zagłębiło się w ciasta i torty.

Zaraz potem następny z pomocników, który zdołał się podnieść, dostał w splot, a potem czołem w twarz i pchnięty wyrznął plecami o stojak na bagietki. Kolejny sam się potknął o kolegę, a poczęstowany dodatkowo kopniakiem runął, ściągając na siebie pieczywo wieloziarniste.

Loco przeciągnął się i raz jeszcze wolnym krokiem ruszył w stronę Cygana, biorąc po drodze pałkę. Uderzał nią miarowo o lewą dłoń, patrząc piekarzowi w oczy.

Ten niemal natychmiast przestał krzyczeć, szeptał coś tylko pod nosem. Stał tylko, a jego oczy z każdą chwilą robiły się większe.

– Dobra, poniosło mnie – powiedział, wyciągając przed siebie otwarte dłonie. – No przecież nigdzie bym nie zadzwonił ani...

Pałka trzasnęła w kolejną gablotę, rozgniatając na miazgę karpatki i eklerki. Bajaderki potoczyły się po złamanej półce prosto na podłogę.

Loco zrobił jeszcze dwa kroki, a potem się zatrzymał i przez chwilę mierzył drżącego mężczyznę wzrokiem. Wargi piekarza poruszały się bezgłośnie, jakby się modlił. Ręce miał opuszczone, kolana ugięte, jakby pogodzony z losem tylko czekał ciosu. Za witryną jednak zgromadził się już niemały tłumek gapiów. Nawet bez telefonu ze skargą perspektywa odwiedzin policji z każdą chwilą wydawała się realniejsza. Była najwyższa pora, by się zmywać.

Loco złapał pałkę jak nóż do rzucania i cisnął nią przez sklep prosto w zepsuty ekspres. Plastikowy kawałek obudowy pękł, a pałka głucho uderzyła o ziemię i potoczyła się pod stoliki.

– Dożywotni zakaz – powtórzył i odwrócił się na pięcie, a potem spokojnym krokiem udał się na zaplecze. Takie miejsca jak to, musiały mieć drugie wyjście.

Zatrzymał się tylko raz. Przy paterze z pączkami.

– Jebać – stwierdził przyglądając się małym kandyzowanym wysepkom na śnieżnobiałym jeziorze lukru. A potem sięgnął i wepchnął pączka do ust.

*

Chief przyglądał się bratu z niepokojem.

– No dobra, ale co właściwie chcesz mi teraz powiedzieć? Że ściągnąłeś na siebie jakąś klątwę, bo zjadłeś pierdolonego pączka?

Miało to zabrzmieć śmiesznie. Miało, wypowiedziane na głos, uzmysłwić młodszemu z braci, jak nedorzecznie to brzmi. Loco jednak pokiwał głową tak energicznie, na ile pozwalał mu jego stan.

– Wiesz ile waży pączek? – zapytał i zaraz sam odpowiedział – Siedemdziesiąt jebanych gram. A to był cygański, więc...

Chief sapnął i podrapał się po karku.

– Dobra, dosyć, rzuciło ci się na łeb. Trudno, będziemy musieli odpuścić, albo... albo, kurwa, nie wiem.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Loco rozłożył ręce.

– Golimy brodę – powiedział. – Ale jeśli to nic nie da, to odpuszczamy, bo nic z tego nie będzie.

Chief wahał się przez chwilę, aż w końcu machnął ręką.

– Idę po maszynkę.

Wrócił po chwili, ale Loco nie było już w przedsionku sauny. Czekał na ławce w szatni, przyglądając się sobie w lustrze.

– Jeżeli się okaże, że to zadziała, już nigdy nie zjem jebanego pączka –

zapewnił zarówno brata, jak i swoje odbicie. – Kurwa, serio, bez brody będę wyglądał jak debil.

Chief powstrzymał się od komentarza. Zamiast tego mocniej chwycił maszynkę, ustawił na zero i na ile mógł dokładnie ostrzygł brata. Gdy skończył, przyniósł wagę i ustawił ją na równym podłożu.

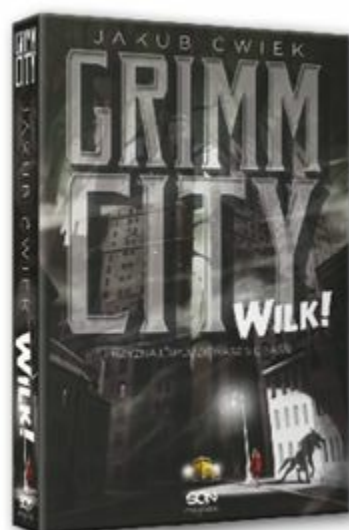
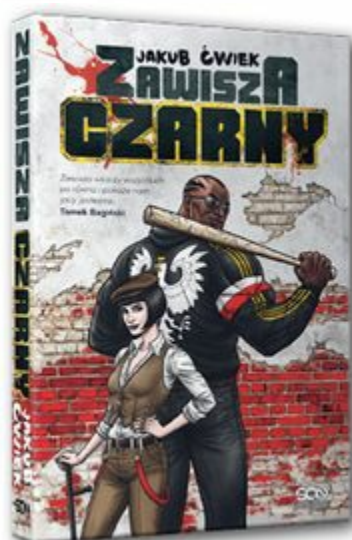
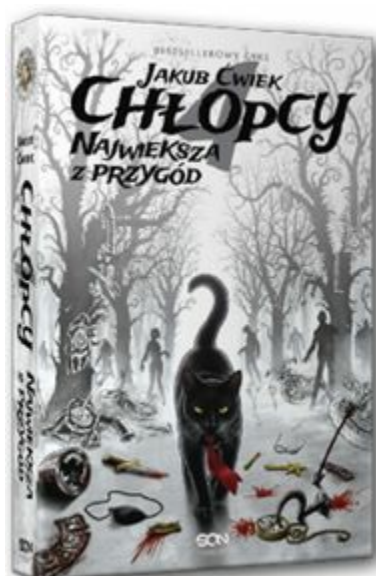
– Właż – polecił.

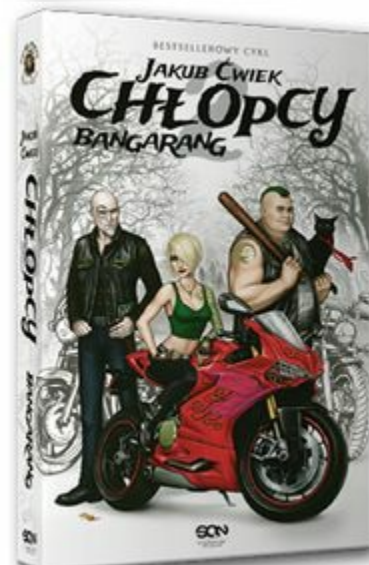
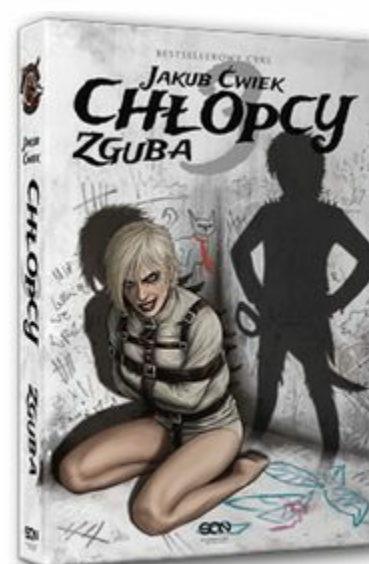
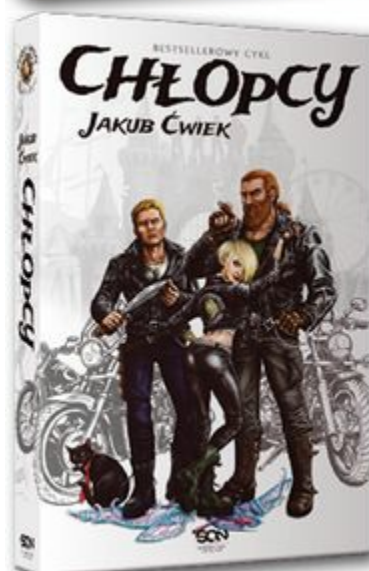
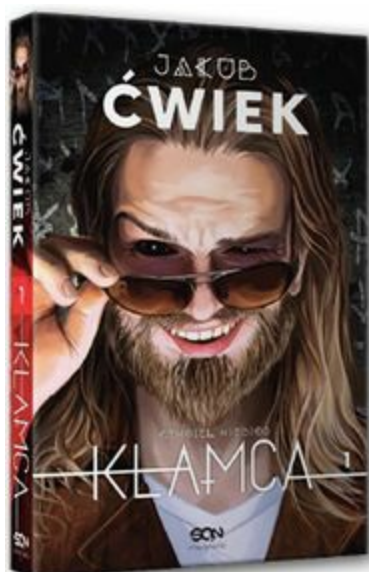
Loco westchnął.

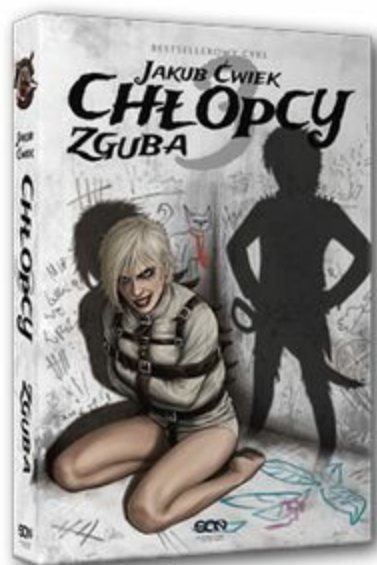
– Jak debil – powtórzył z dezaprobatą, przyglądając się swojej twarzy. A potem sapnął jeszcze raz, tym razem ze zdziwienia.

Bo wyglądało na to, że broda ważyła dokładnie siedemdziesiąt jebanych gramów.

KSIĄŻKI JAKUBA ĆWIEKA,
KTÓRE UKAZAŁY SIĘ W WYDAWNICTWIE SQN:









JACEK ŁUKAWSKI



Urodził się w Kielcach w 1980 roku, z zawodu jest grafikiem komputerowym. Gdy nie miał jeszcze obowiązków, a miał czas, machał mieczem i strzelał z dział czarnoprochowych. Hartował ciało i ducha w organizacji strzeleckiej, brał udział w zawodach sprawnościowych i ćwiczył karate. Próbował też jeździć konno. Zwiedzał Polskę autostopem i na motocyklu. Zaczytywał się w książkach historycznych i fantasy. Jest laureatem wojewódzkiego konkursu Talenty 2000. Po kilkunastu latach przerwy napisał cykl opowiadań, które pojawiły się drukiem w antologii *Gawędy motocyklowe*. Współtworzył kwartalnik motocyklowy „Swoimi Drogami”. Wraz z żoną mieszka w pobliżu chęcińskiego zamku. W SQN Imaginatio wydał trylogię zatytułowaną *Kraina Martwej Ziemi*.

NIETYPOWE SPRAWY DARIUSZA OMENA PRZYGODA XIII

To nie tak, że mi się nie chciało. To znaczy na początku owszem, ale potem już traktowałem sprawę bardzo poważnie. Naprawdę wierzyłem, że można to wszystko naprawić... Cholera!

Zaczęło się w sobotnią noc. Obudziła mnie suchość w ustach, jaka pojawia się czasem po wypiciu jednego lub dwóch piw za dużo. Może czterech. Pamiętam, że ostrożnie wysunąłem się spod kołdry, ale po dwóch krokach zahaczyłem o tę nową szafkę, którą Zosia zamówiła przez internet, i stłukłem wazon z fajansu. Podwójna ulga. Wazonu nie lubiłem, a Zośka nic nie słyszała, bo była przecież na zjeździe rodzinnym na Łysej Górze. Osiemdziesiąta piąta pełnia babci Genowefy. Zosia trochę się dąsała, że nie chcę jechać, ale jakoś udało mi się ją udobruchać. Na szczęście! Ostatnio wujek Stefan ugryzł mnie w łydkę, złapałem trzy kleszcze, a od wycia dostałem chrypki. Mówię wam, mieć żonę wilkołaczącą to nie przelewki. Obwąchująca się rodzina, wspólne bieganie po lasach i te stany napięcia, bo okres, bo pełnia, bo kot sąsiadów. Że o sierści na dywanie nie wspomnę. Oczywiście są i pozytywy, ale to nie ta opowieść.

W lodówce była resztką soku. Dość by zaspokoić pragnienie. Błada luna wydobywająca się z chłodnego wnętrza oświeślała moją sylwetkę. Rzuciła cień na ścianę. Jak w bliskich spotkaniach trzeciego stopnia – pomyślałem zupełnie nie w porę. W tej samej chwili, na balkonie rozległ się rumor. Odruchowo chwyciłem wiszącą na ścianie chochlę i ruszyłem biegiem. Krótki korytarz, duży pokój, okno. Ktoś rozwalił nam antenę cyfrowego Polsatu! Popękana połowa talerza zwrócona była w kierunku gwiazd pod tak ostrym kątem, że nie uchwyciłaby już nawet telewizji Trwam. Konwerter dyndał na kablu. Nie nadawał się do niczego.

Przyznaję, że nie zareagowałem jak należy. Zamiast wykazać się czujnością stałem w drzwiach balkonowych jak ten osioł. Mieszkamy na ósmym piętrze, więc atak z dołu nie wchodził w rachubę. Rachunki płacimy regularnie, więc dywersja inkasentów odpadała, a sąsiedzi z góry wyjechali ze stonką, to znaczy z dziećmi, na wczasy do Władysławowa, gdzie parawanią się w najlepsze. Już byłem gotów uznać, że to może meteoryt, ale okazało się, że jest znacznie gorzej.

Nerwowe pukanie rozległo się na dole. Poniżej moich kolan.

– Bliskie spotkanie trzeciego stopnia!

Piskliwy głos należał do niewielkiej istoty ubranej w szary prochowiec i ciemne okulary. Na głowie miała stylową fedorę. W czteropalczastej dłoni błysnęła mała odznaka, którą istota uniosła najwyżej, jak potrafiła, czyli na jakieś sześćdziesiąt centymetrów, i przytknęła do szyby.

– Proszę mnie wpuścić, odłożyć łyżkę i się ubrać, na litość boską!

Zdażyłem jeszcze zauważyć niewielki, latający spodek, który wystawał spomiędzy doniczek po czym wykonałem polecenie. Co jak co, ale kiedy ktoś wam macha odznaką przed... no macha po prostu, to lepiej robić, o co prosi.

Kilka minut później siedzieliśmy przy stole. Mój gość zdjął prochowiec, pod którym miał luzacką koszulkę z wizerunkiem Michaela Jacksona, a ja założyłem spodnie.

– Dobra, panie Darek – zaczął bez ceregieli. – Sprawy nietypowe to pan, tak? Ogłoszenia w anonsach i na forach dla świrów?

– Nie dla świrów – sprostowałem.

– Przykryte terapie? – Spojrzał kpiąco.

– No dobra... – Zrobiło mi się wstyd. – To był przypadek. Na jednym dla świrów też.

Gość wyraźnie był zadowolony. Pomachał uszami. W sumie gdyby nie te uszy, to wyglądałby jak człekokształtny, ogolony na łyso czilała. No ale uszy to miał takie bardziej królicze.

– My wiemy wszystko! – powiedział z dumą.

Wyprostowałem się i chrząknąłem wymownie.

– Skoro tak – podjąłem. – To wiecie, że teraz czas się przedstawić i powiedzieć, po co zawracacie mi tyłek w środku nocy.

– Konkret! To mi się podoba. Nazywam się IXinxuxxx, ale proszę do mnie mówić Iks. Agent specjalny Agencji Sekretnej Syriusz. Jestem tu, aby pana wynająć... – Poprawił się na krześle, na którym położyłem kilka książek, aby wystawał ponad blat stołu. – Sprawa jest delikatna. Trzeba odnaleźć pewne urządzenie i je wyłączyć. Odzyskać albo zniszczyć, wedle uznania. Najważniejsze, żeby w końcu przestało działać. Temat jest pilny więc zapłacimy podwójną stawkę. Może być w kryptowalucie, dowolnej? – Spojrzał z nadzieją, a gdy parsknąłem śmiechem, sprostował. – Mogą być też złotówki, euro, marki, dolary, funty. Co tylko pan chce.

– Proszę mówić dalej.

– No więc... – Wyraźnie starał się odpowiednio dobrać słowa. – Urządzenie działa od dawna, ale musiało ulec uszkodzeniu. Stacje pomiarowe wskazują, że moc sygnału od pewnego czasu zaczęła wzrastać wykładniczo, co grozi niewyobrażalną tragedią dla was wszystkich –

podkreślił. – Rozumie pan, z założenia część przedstawicieli pana gatunku jest odporna na działanie fal emitowanych przez urządzenie. Ale ta odporność opiera się na stosunku liczby połączeń neuronowych do mocy sygnału. Duża liczba to duża odporność... Od momentu awarii wartość graniczna stale rośnie i obawiamy się, że... – Wiercił się, szorując irytująco tyłkiem po ilustracji Josha Kirby’ego, która zdobiła okładkę książki ze znanej serii. – Obawiamy się, że wkrótce osiągnie pułap, na którym żaden przedstawiciel pana gatunku nie będzie w stanie oprzeć się mocy emitera. Obawiamy się też, że w późniejszej fazie może zagrozić i nam.

W tamtej chwili pomyślałem, że najlepiej byłoby kopnąć Iksa w tę jego zadufaną dupę i zapomnieć o sprawie. Jestem jednak zawodowcem i realistą. Kasa zawsze się przyda.

– Okej. – Pokiwałem głową. – Co to za urządzenie, jak wygląda i gdzie się znajduje?

– Wedle archiwalnych hologramów to powinna być niewielka, jak dla pana, drewniana skrzynka. Może trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Wewnątrz jest pulpit z przełącznikiem włącz/wyłącz, lampką kontrolną i wskazówką mocy sygnału. Ma numer seryjny i... To wszystko.

– Jakiego rodzaju fale emituje?

– Eee...

Ta wysoce elokwentna wypowiedź nie była dla mnie zadowalająca. Spytałem więc ponownie i w końcu Iks wymamrotał:

– Emiter upośledza funkcjonowanie mediatorów synaptycznych, na równi elektrycznych i chemicznych, istot humanoidalnych. Emituje fale prodebilizujące i antylogiczne, wykorzystując krzywą chamdotatnią. Po prostu ogłupia.

– W porządku. Gdzie się znajduje?

– W piwnicach na Wiejskiej.

– Pod sejmem?

– Czy to nie oczywiste? – Odzyskał ten irytujący, cyniczny wyraz pyska.

W pierwszej chwili chciałem zaprotestować, ale sami rozumiecie, że to miało sens.

– Od jak dawna? – spytałem.

– Co najmniej od lat czterdziestych. Pierwotnie uruchamiano go tylko na określony czas, a potem działał już stale... – Łypnął na mnie i westchnął. – To już od razu załatwmy kolejne kwestie: skąd się wziął? Oczywiście my go tam umieściliśmy. Po co? Wie pan, cicha inwazja, przejmowanie kontroli nad światem, potrzeba rozrywki. Streamowaliśmy

live osiem sezonów z obrad plenarnych. Najśmieszniejszy program stąd do Jowisza. Niektóre odcinki wznawiamy do dziś... – Odchrząknął, widząc moją minę. – Od tamtej pory jednak wiele się zmieniło. Nasz ustrój opiera się na frakcjach rodowych. Aktualna władza uważa, że wasz gatunek powinien mieć większe prawa. Dlatego właśnie zależy nam tylko na tym, aby przestało działać. Prawdę mówiąc – ściszył głos do konspiracyjnego szeptu – pojawiają się nawet głosy, by ograniczyć znacznie liczbę naszych ziemskich kolonii. Osobiście uważam, że Polska mogłaby zostać objęta programem pilotażowym. Rozumie pan? Całkowita wolność i brak sterowania. Gra warta świeczki, prawda?

– Być może – odparłem ostrożnie. – A czemu sami nie pójdziecie tego wyłączyć?

– Emiter ma zabezpieczenia, które nie pozwalają nam się do niego zbliżyć. – Machnął lekceważąco ręką. Wyciągnął z kieszeni kartkę i coś na niej napisał. – Musi pan zrozumieć, że kiedy powstał, to były inne czasy. No! Skoro wszystko jest już jasne, proszę o deklarację. – Przesunął karteczkę tak, aby mógł ją odczytać. – Podejmuje się pan zadania?

– W czym ta kwota? – spytałem pochyłając się nad ciągiem cyfr.

– Euro może być?

– W porządku. Wchodzę! – powiedziałem poważnie.

– Świetnie! – ucieszył się – Zatem omówmy szczegóły.

Okazało się, że Iks miał dokładny plan. Zatrzaszczył się o wszystko, a moja rola ograniczała się jedynie do postępowania zgodnie z wytycznymi. Wszystko miało pójść jak po maśle. Uśmiełobyście się, gdybym wam opowiedział, ile razy coś podobnego słyszałem. Nawet na własnym ślubie z ust pogromcy wampirów, który niechcący nadział się na kolek... A zresztą nie ważne.

Sprawa była pilna, więc akcję zaplanowaliśmy na poniedziałek. Było mi to na rękę, bo Zośka miała wrócić dopiero w środę. Miałem więc cały wtorek na wymianę anteny, że o zwykłym odpoczynku nie wspomnę.

Iks siedział niemal do świtu. Powtarzaliśmy do znudzenia każdy element planu, aż wreszcie zdecydował, że już wystarczy. Ponoć cofnęli mu licencję na loty dzienne i musiał wrócić przed wschodem słońca. Wyciągnąłem poobijany spodek pomiędzy kwiatków i ustawiłem ostrożnie na niewielkich kółkach. Zaliczka, jaką przelał mi już na konto, wyzwoliła we mnie chęć niesienia pomocy.

– Czemu zgłosiliście się akurat do mnie? – spytałem, gdy sadowił się w fotelu pilota.

– Był pan drugi na liście najlepszych.

– A co, pierwszy zrezygnował? – spytałem z przekąsem. Moja duma

otrzymała właśnie solidny kop w tyłek.

Iks spojrział na mnie z powagą i pokręcił głową.

– Niewielka miejscowość na wschodzie. Stara chałupa na odludziu. Wysłaliśmy tam agenta Szy. Zameldował, że nasz obiekt siedzi przy ognisku w towarzystwie dwóch miejscowych. Pili bimber. Polecono Szy się ujawnić. Wyszedł w blask ognia i zaczął referować sprawę... – Iks zamknął ślepią i odetchnął głęboko. – Ostatnie czytelne zapisy brzmią: „Patrz świagier jaka franca” i „zagrycha”. Potem tumult, krzyki i śpiewy. Na chwilę przed ostatecznym wyłączeniem nadajnika, zachrypnięty głos powiedział: „Dobry był, taki nie za kwaśny”. Tak, panie Darku, właśnie tak. Można powiedzieć, że teraz pan jest numerem jeden. Z obywatelem Jakubem W. definitywnie nie chcemy mieć już nic wspólnego.

*

Poniedziałek nie był upalny. Nie był też zimny. W normalnych warunkach zaryzykowałbym stwierdzenie, że jest idealny. Ale to nie były normalne warunki. Ubrany w czerwoną kurtkę z odpowiednim logo na plecach przeciskałem się na czerwonym skuterze przez ulice Warszawy. Coraz bliżej budynku sejmu i otaczających go barier, w które od rana kopała grupa ludzi sympatyzujących z poprzednią władzą. Robili to na tyle rytmicznie, że przemykając obok, mimowolnie zacząłem nucić Johnego Lee Hookera. Minąłem kordon policji i zjechałem pod bramę, która wyglądała o wiele groźniej, niż kiedy byłem tu ostatni raz. Do pełni obrazu brakowało tylko zasieków i pola minowego. Choć tego drugiego nie mogłem wykluczyć.

Strażnicy obrzucili mnie podejrzliwym spojrzeniem. Jeden z nich zbliżył się ostrożnie.

– Pizza dla panów posłów. – Wskazałem torbę zamocowaną z tyłu. – Jeszcze ciepła – dodałem zgodnie z poleceniem Iksa.

Strażnik był chudy i miał wyłupiaste oczy. Tak wyłupiaste, że gdy pochylił się do mnie, byłem pewien że patrzy nie tylko na wskazaną torbę, ale ma też na oku stojących za szlabanem kolegów.

– Hasło! – szepnął, co przyjąłem z ulgą. Do tej chwili nie byłem pewien, czy uda się dostać na teren. Najwyraźniej jednak Iks naprawdę panował nad sytuacją.

– Jeden jest kot, co mruży należycie – odszepnąłem, ledwo ruszając ustami.

– Wielka jest ręka, która go głaszcze. – Skinął głową i odwrócił się do reszty. – W porządku, puśćcie go!

Chwilę później pędziłem już z pełną mocą maleńkiego silniczka pod dom poselski. Przy wejściu kiwnąłem portierowi i pewnym krokiem ruszyłem schodami na pierwsze piętro. To zabawne, jak łatwo charakterystyczny strój i pudełka z ciastem potrafią uspić ludzką czujność. Znalazłem właściwe drzwi, upewniłem się, że nikt mnie nie widzi i wślizgnąłem do środka.

Schówek przywitał mnie ciemnością i stojącym na środku wózkiem, z którego sprzątaczką nie wylała wody. Dostałem zatęchłym mopem w twarz i chlusnęło mi na buty. Dopiero wtedy wymacałem włącznik. Niewielka, goła żarówka rozżarzyła się tuż nad moją głową. Znalazłem ręczniki i doprowadziłem się do porządku. Obok ręczników leżała słuchawka, taka z mikrofonem i kablem zwiniętym w sprężynkę, który powinien zniknąć pod kołnierzem. Ta, którą miał dla mnie zostawić Iks. Położyłem kartony na wolnej półce. Zdjąłem czerwoną kurtkę i poprawiłem znajdującą się pod nią marynarkę. Przeczesałem włosy, odetchnąłem i dopiero wtedy zainstalowałem zestaw.

– Jesteś! – przywitał mnie piskliwy głosik Iksa.

– Zgodnie z planem – mruknąłem. – Co dalej?

– Widzisz pudło na buty? Powinno stać na najwyższej półce, na lewo od drzwi.

– Jest! – potwierdziłem, sięgając po nie.

– W środku jest twoja broń.

Brzmiało to dobrze, ale wyglądało zupełnie inaczej.

– To mikrofon! – powiedziałem rozczarowany.

– Zgadza się – potwierdził zadowolony głos Iksa w słuchawce. – Jest też identyfikator. Przypnij go w widocznym miejscu. Gdy wyjdiesz na korytarz, nieś mikrofon w ręce, przed sobą. Jeśli ktoś zwróci na Ciebie uwagę wyceluj w niego i przyspiesz.

– Co to da?

– Sam zobaczysz! Pamiętasz, gdzie masz teraz iść? W drogę, panie Darek!

Ruszyłem więc. Zejście do podziemi, tych konkretnych, gdzie według informacji zdobytych przez Iksa miał być zainstalowany emiter, znajdowało się w zupełnie innym budynku. To nie ułatwiało zadania, ale cóż... do łatwych zadań nikt mnie nigdy nie wynajmuje. Taka praca.

Szedłem pewnym krokiem, charakterystycznym dla człowieka, który nie znalazł się w danym miejscu przypadkowo i dobrze wie, gdzie zmierza. Z plakietką na piersi i czarnym, bezprzewodowym przetwornikiem z charakterystyczną kulistą gąbką, poniżej której zamocowane było logo znanej stacji telewizji informacyjnej.

Skręciłem w odnogę korytarza, gdzie kilku mężczyzn w garniturach stało pogrążonych w cichej rozmowie. Moje nagłe pojawienie się wyraźnie ich skonsternowało. Najwyższy, którego mętnie kojarzyłem z prasy lub telewizji, postanowił w jakiś sposób zareagować. Uniósł dłoń i otworzył usta. Jego surowa, arogancka mina sugerowała kłopoty.

– Zrób to! – pisnął mi do ucha Iks.

Płynnie uniosłem dłoń z mikrofonem i przyspieszyłem, uśmiechając się głupkowato. Ten uśmiech był odruchowy, ale najwyraźniej świetnie pasujący do całości. Sytuacja zmieniła się momentalnie. Mężczyźni spuścili głowy i rozpięchli się w popłochu. Najwyższy wytrzymał najdłużej. Miałem do niego jakieś dziesięć kroków, gdy jego twarz zaczęła się zmieniać. Zbladł i przewrócił oczami, wyraźnie walcząc z ogarniającym go, irracjonalnym lękiem.

Osiem kroków. Zamknął usta i opuścił dłoń.

Pękł przy sześciu. Odwrócił się na sztywnych nogach i zaczął oddalać truchtem w przeciwnym kierunku.

– Fascynujące – szepnąłem półgębkiem. – Boją się mikrofonu.

– Nie mikrofonu, tylko pytań – wyjaśnił Iks. – To w końcu politycy. Zwykła prośba o podanie nazwiska może ich doprowadzić do omdlenia lub niekontrolowanego słowotoku.

– Oni tak wszyscy?

– Nie. Musisz uważać na rzeczników prasowych.

– Ci są kompetentni?

– Bynajmniej! – parsknął jakbym opowiedział dowcip. – Staramy się po prostu aby mikrofon im się dobrze kojarzył... Wprowadzono niedawno eksperymentalną tresu... szkolenie eksperymentalne. Mniejsza o to! – Spowaźniał. – Kontynuujmy.

Kontynuowaliśmy więc. Korytarze, schody, ścieżka, kolejny budynek. Co rusz natrafiałem na polityków. Pojedynczo, w parach i grupach. Za każdym razem uniesiony mikrofon torował mi drogę. To było nawet zabawne. Do czasu. Od wejścia do podziemi dzieliły mnie ledwie dwa poziomy, cztery zakręty i kilkadziesiąt metrów, gdy sprawy nagle się skomplikowały.

– Tam jest! – Rozległy się głosy w korytarzu przede mną i zza winkła wyskoczyło dwóch strażników. Wycelowałem w nich mikrofon, a oni sięgnęli do kabur.

– Chodu! – ryknął mi do ucha Iks.

Zrobiłem w tył zwrot i popędziłem w kierunku wind.

– Nie tędy! – zapiszczała słuchawka. – W lewo!

Skręciłem więc w lewo. W samą porę, bo od wind biegł kolejny strażnik

w towarzystwie dwóch cywili w garniturach.

– Odkryli nas! – gorączkował się Iks – Klęska, porażka. W prawo! Tragedia, koniec...

– Żaden koniec! – warknąłem zdyszany. – Prowadź na około, odciągnijmy ich. Potem wymyśl jakiś skrót. Wykonam zadanie.

Niech nie zmyli was moja bohaterska postawa. Przemawiała przeze mnie niechęć do oddania zaliczki i pragnienie zobaczenia kolejnych zer na moim koncie po wypłaceniu całego honorarium. Rozumiecie, upatrzyłem już sobie motocykl w modnym salonie i naprawdę nie chciałem z niego rezygnować.

– Panie Darek, idą po mnie! – Iks starał się opanować, ale przychodziło mu to z trudem. Po chwili pisnął i gdy się odezwał, zdawał się, że panuje nad sytuacją. – Mam plan! Chwilkę, muszę się tylko przemieścić... Potrzebuję kilku minut, proszę nie dać się złapać!

Zamilkł, gdy mijałem zdezorientowaną grupę posłów. To była świetna okazja. Kilkanaście osób wychodzących z jakiegoś zebrania. Mężczyźni i kobiety. Stłoczeni w wąskim korytarzu przy wyjściu z niewielkiej sali. Uniosłem w górę mikrofon i wrzasnąłem:

– Mam kilka pytań o reformę! – A potem zacząłem nim celować w przygodne osoby.

Wybuchła panika. Ludzie próbowali biec w kilku kierunkach naraz. Niektórzy się tratowali. Inni odbijali głucho od ścian. Jakiejś kobiecie wytracono z rąk pojemnik z sałatką. Ktoś wrzeszczał o suwerenach. Ktoś inny krzyczał, że rząd ma rację, że to czyjaś wina. Wreszcie dostrzegli, z której strony jest zagrożenie i rzucili się do ucieczki w kierunku przeciwnym. Jak fala przyboju, zwalając przy tym z nóg podążającą moim śladem pogoń. To musiał być piękny widok, lecz nie dane mi było go oglądać. Biegłem już bowiem odnogą korytarza, oddalając się od zgiełku i przekleństw.

Drzwi, schody, korytarze. Wkoło zrobiło się puściej. Wreszcie nikt mnie nie gonił ani nikt przede mną nie uciekał. Mogłem przystanąć, oprzeć się o ścianę, próbować złapać oddech... Wyszedłem z wprawy. Straciłem formę. Sflaczałem. Najchętniej zważyłbym winę na pyszne obiady gotowane przez żonę, ale nie byłem jeszcze aż tak żaloszny. Potrafiłem się przyznać do zwykłego lenistwa. „Lenistwo pożywką prokrastynacji!” – taki cytat powinienem sobie powiesić nad łóżkiem. Kto wie, może by mnie do czegoś zmotywował, zanim zacząłbym go ignorować?

– Panie Darek, panie Darek! – Sygnał był słaby i pełen zakłóceń. Bez problemu jednak rozpoznałem głos Iksa.

– Jestem – powiedziałem, rozglądając się czujnie. Wciąż nikogo nie było w pobliżu.

– Służby przeczesują budynek. Szukają pana... – Zamilkł na chwilę, a potem, z wyraźnym wahaniem powiedział: – Mam pewien plan, ale...

Czekał, żebym się odezwał, albo po prostu wciąż nie był pewien, czy dobrze robi. Może rozważał jeszcze wszystkie za i przeciw. W końcu podjął decyzję.

– Będę musiał złamać wszystkie zasady i pokazać panu coś, czego nikt z pana gatunku nie powinien widzieć. Rozumie pan? Coś, o czym nigdy nikomu nie będzie pan mógł powiedzieć, nawet pomimo oburzenia, jakie niewątpliwie to u pana wywoła.

– Czy to coś bardziej oburzającego niż rozmyślne ogłupianie ludzi? – spytałem, ścierając pot z czoła. Oddech mi się powoli uspokajał.

– Obawiam się, że tak.

– Czytał pan rewers mojej wizytówki? – Starąłem się być poważny.

– Nie – przyznał. – Znalazłem ogłoszenie w internecie.

– Jest tam napisane, że zapewniam bezwarunkową dyskrecję, o ile klient rozliczy się zgodnie z umową.

– Aha. A czemu nie było tego w ogłoszeniach w sieci?

– Limit znaków – mruknąłem.

Nie chciałem przyznać, że przez roztargnienie nie wkleiłem całego tekstu. Komuś wyglądającemu jak czytała?

– Dobrze! – odetchnął. – Pokieruję pana, ale proszę przygotować się na szok. To może pana zdruzgotać, ale jest niezbędne byśmy przedarli się do celu. Musimy się pośpieszyć, bo wkrótce nawet ten fortel na nic nam się nie zda. Gotowy?

– Od otrzymania zaliczki!

– Zatem biegiem prosto. Toaleta po lewej stronie. Trzecia kabina. Proszę zablokować drzwi.

Dotarłem tam po minucie.

– Niech pan zakręci rolką papieru i naciśnie dwa razy spłuczkę – usłyszałem dalsze instrukcje.

– Podniosła się kłapa sedesu. Mruga tam jakieś światelko – zameldowałem.

– Świetnie! – pochwalił Iks. – Teraz proszę wyrecytować pierwszą linijkę hitu Zenka o oczach zielonych.

– Coś pan?

– Recytuj!

Po słowie „oszalałem” kłapa opadła, a cała kabina wykonała ślizg i obrót. Nie byłem na to gotowy, więc poleciałem na ścianę, odbiłem się

i wylądowałem tyłkiem na muszli.

– Proszę odryglować drzwi i prosto, potem pierwsza w lewo. – Głos w słuchawce był wyraźniejszy.

Korytarz nie przypominał tych, którymi przemieszczałem się do tej pory. Gładkie, połyskujące metalicznie ściany. Taka sama podłoga i sufit. Podwieszane pod nim gazowe świetlówki dawały blade światło. W jednej nawalał starter i mrugała irytująco. Wbrew moim obawom kroki nie odbijały się echem. Nie musiałem się nawet wysilać. Dziwne podłoże wydawało się pochłaniać dźwięki. Wkrótce skręciłem, jak kazał Iks i dotarłem do szerokich, stalowych drzwi. Nie miały żadnej klamki ani zamka.

– Trzymaj się panie Darek, otwieram!

Po jego słowach oba skrzydła rozsunęły się bezszelestnie, ukazując panującą wewnątrz ciemność. Przeszedł mnie dreszcz niepokoju, ale zaraz usłyszałem znów głos Iksa. Tym razem nie w słuchawce, a z mroku przed sobą.

– Niech pan wejdzie i postara się to jakoś przyswoić.

Nie pytałem już o nic, tylko postąpiłem do przodu. Gdy tylko moja noga przekroczyła próg, wysoko w górze rozpały się jarzeniówki. Kolejne i kolejne, oświetlając długi hangar zastawiony...

– Ożesz ty w mordę! – wyrwało mi się.

Pomieszczenie wypełnione było kukłami ludzi. Stojącymi na baczność, nieruchomo, w równych rzędach. Po kilka egzemplarzy tych samych twarzy. Kobiety i mężczyźni. W sektorach opisanych jak działka w supermarkecie. „Byli ministrowie”, „członkowie niższego szczebla”, „członkowie wyższego szczebla”, „przyszli ministrowie”, a nawet „kozły ofiarne”.

Z przerażeniem odkryłem, że część twarzy znam.

– To surogaci – wyjaśnił Iks. – Proszę się jednak nie stresować. Każdy z nich ma odpowiednik w żywym człowieku. Warunkiem ich istnienia jest istnienie pierwowzoru.

– Ale...

– To kopie na użytek własny, dopuszczalne przez galaktyczne prawo. Możemy je posiadać, jeśli istnieje oryginał. W wypadku utraty oryginału kopie muszą zostać zniszczone. Jasne?

– Ale...

– Miał się pan trzymać zadania – burknął z urazą. – Surogaci nie są autonomiczni, nie mogą sami się poruszać. Proszę na mnie spojrzeć. W tej formie nie mogę się przecież pokazać publicznie, prawda? A ja jeszcze jestem przystojny. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo. – To dla nas

bardzo korzystne. Oryginał wysyłamy na urlop, a sami siadamy za sterami jego kopii. Pozwala nam to lepiej kontrolować pewne kwestie, ale mniejsza! To nasza szansa, by dostać się do emitera.

– Przecież ja w to nie... – zacząłem wciąż skołowany.

– Nie pan! – Roześmiał się. – Ja pana przeprowadzę, tylko musimy przejść do działu premium!

W rogu hali znajdowały się kolejne drzwi. Nad nimi, na skromnej tabliczce umieszczono napis VIP, a w środku...

– Rany! – nie mogłem się powstrzymać. – Przecież to Donald, a to Andrzej... Zbigniew i Grzegorz obok siebie?

– Taki żarcik.

– I Ryszard...

– Wrócił z Madery.

– Beata przecież już niezbyt...

– To polityka, może się jeszcze przydać. – Podeszedł do kolejnej, skrytej nieco w cieniu, chudej postaci. Zbyt charakterystycznej, by można mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

– Żartujesz! – Pokręciłem głową.

– W żadnym razie – Wyciągnął z kieszeni niewielkiego pilota i nacisnął przycisk. W ciemności zamrugały złowrogie oczy.

– Bib, bip! – powiedział metalicznie Antoni, po czym na jego szyi pojawiła się cienka rysa.

Po chwili pusta głowa uniosła się na zawiasie przytwierdzonym do kręgosłupa, ukazując oświetlony fotel otoczony pulpitem sterowniczym. Iks wdrapał się tam zwinnie i zasiadł za sterami.

– Uruchamiany na kluczyk? – zażartowałem.

Iks jednak nie był w humorze. Spojrzał na mnie psimi ślepiami i przysięgłbym, że był w nich strach. A jeśli nie strach, to co najmniej niepokój. Zrozumiałem wtedy, że Iks tylko stara się zachować pozory opanowania i zrobiło mi się go żal.

– Niech pan nie żartuje – powiedział cicho. – Aktywacja następuje po wprowadzeniu komendy głosowej. – Zapiął pasy, omiół wzrokiem ekrany i znów spojrzał na mnie – Gotowy?

– Gotowy – potwierdziłem.

– Brzoza! – zapisał do pulpitu.

Antoni drgnął. Zatelepał się i zamruczał. Sięgnął rękami i ostrożnie umieścił głowę na właściwym miejscu. Ślad łączenia zniknął w ciągu kilku sekund.

– Chodźmy! – powiedział głosem znanym z telewizji i ruszył żwawo z powrotem tam, skąd przyszliśmy.

Pierwszych ochroniarzy spotkaliśmy tuż po wkroczeniu na główny korytarz. Na mój widok drgnęli nerwowo, ale cofnęli się pod zimnym wzrokiem Antoniego. Żaden z nich nie zdecydował się choćby odezwać. Wkrótce maszerowaliśmy równym krokiem, a ludzie schodzili nam z drogi. Nie potrzeba już było mikrofonu ani plakietki. Lekko przechylona głowa Antoniego obracała się to w lewo, to w prawo jak radar stacji naprowadzania rakiet dalekiego zasięgu. Nie było nikogo, kto ośmieliłby się choć podnieść na nas wzrok. Minęliśmy miejsce, gdzie urządzono na mnie zasadzkę i bez trudu pokonaliśmy ostatni odcinek drogi.

Stare, zardzewiałe wrota prowadzące do nieużywanego schronu jęknęły, gdy Antoni naparł na nie z całą siłą. Mechanizm zgrzytnął i się poruszył. Rdza posypała się ze skorodowanych zawiasów. Poczulem zapach stęchlizny i kurzu. Typowy dla nie odwiedzanych od lat podziemi.

Wąski tunel o niskim sklepieniu prowadził w dół. Iks, dłonią Antoniego, przekręcił bakelitowe pokrętło na ścianie i po chwili strome schody oświetliły niskowatowe żarówki w zakurzonych, pancernych oprawach. Zaczęliśmy schodzić ostrożnie, trzymając się przytwierdzonej do ściany poręczy. Spod naruszonych zębem czasu zaczepów osypywał się tynk. Przy suficie biegły smołowane kable i jakieś rury. To wszystko sprawiało, że czułem się nieswojo. Rozumiecie, dużo horrorów kończy się w takich właśnie miejscach. Zmutowane pająki, hitlerowskie zombie, małe, czarnowłose dziewczynki w sukieneczkach z lat sześćdziesiątych czy ruscy pasażerowie czekający na swój wagonik metra. Pociuszające było tylko to, że Antoni schodził pierwszy. W razie problemów dawało to trochę czasu na wykonanie rozsądnego manewru taktycznego.

Oczywiście wziąłem się w garść. W samą porę, bo zaraz poczułem się jak ten kot Schrödingera. Na szczęście odwrót nie był konieczny. Na nieszczęście nie był też możliwy.

Pomieszczenie na dole miało osobny włącznik światła. Antoni wymacał go, gdy stanęliśmy na nierównej, betonowej podłodze. Pstryk! Dwadzieścia pięć metrów kwadratowych o łukowatym sklepieniu. Chylące się ze starości regały zastawione wieloletnią kolekcją kurzu i pajęczyn. Stojąca w kącie skrzynia. Oparte obok niej duże ramy, zakryte być może prześcieradłem. Samotne krzesło na środku i stojący obok niego Lenin. Obaj z Antonim podskoczyliśmy w tym samym momencie. Iks podskoczył ponownie, gdy Lenin się odezwał:

– Syruszaninie IXinxuxxx, dopuściłeś się haniebnego złamania obowiązujących praw!

W tym samym momencie na schodach, za naszymi plecami, załomotały czyjeś kroki. Pojawił się tam siwowłosy Stanisław, a z za jego pleców łypał

młody Bartłomiej. Blokowali drogę ucieczki.

– W dodatku wmieszałeś w nasze sprawy niewinnego człowieka! – kontynuował Lenin.

– Wasza ekscelencjo! – zaskomlał Iks ustami Antoniego, po czym padł na kolana, wznosząc dłonie w błagalnym geście. – Ja tylko...

– Ty tylko chciałeś skompromitować władzę naszej frakcji i doprowadzić do przedwczesnych wyborów. Naprawdę wierzyłeś, że masz szansę mnie zastąpić?

– Moment – chrząknąłem. – Agent Iks wynajął mnie w imieniu Agencji Sekretnego Syriusza...

– ASS nie istnieje, a Iks nie jest żadnym agentem. – Pokręcił głową Lenin. – To tylko młody i ambitny Syriuszanin, który źle pojmuje swoją rolę we wszechświecie i zadania, jakie stoją przed frakcjami.

– Ale... – bąknął Iks.

– Zbyt młody, aby posiadać odpowiednią wiedzę, i zbyt ambitny, aby jej brak do siebie dopuścić. Podąża za mrzonką i opiera swoje plany na mrzonkach.

– Transmitter nie istnieje? – spytałem.

– Istnieje – przytaknął Lenin. – I nie widzę przeciwwskazań, abyś zrobił z nim, co uznasz za stosowne. Najpierw jednak...

– Proszę o wyrozumiałość! – wyjęczał Antoni. – Ja naprawdę nic złego... To wszystko dla dobra... Ja mam dowody!

– Zamilcz! – fuknął Lenin. – Chciałeś zająć moje miejsce, a to poważne przewinienie. Za karę zostaniesz odesłany na Syriusza i powtórzysz ostatni rok w kolonii elementarnej! Na koniec zdasz egzamin i każę dopilnować, abyś tym razem nie miał możliwości oszukiwać. Nasz świat potrzebuje ambitnych Syriuszan, nie głupich. Program praktyk na ziemi wymaga gruntownego przemyślenia. Wy – wskazał Iksa palcem – młodzi, macie uczyć się o zgubnym wpływie ignorancji, cwaniactwa i egoizmu na społeczeństwo. Uczyć się na ludzkich błędach, a nie brać z nich przykład. – Spojrzał na blokujących schody. – Wyprowadźcie go i odeślijcie pierwszym transportem!

– Wybacz! – Antoni spojrzał na mnie przepaszająco. – To tylko takie nieporozumienie. – Po chwili człapał już w górę w asyście milczących surogatów.

Na szyi Lenina pojawiła się szpara. Głowa uniosła się z trudem. W staromodnym, wysłużonym wnętrzu zasiadał pomarszczony jak mops kosmita w kremowym garniturze i okularach.

– Przykro mi, panie Darku, że ta niefortunna sytuacja doprowadziła do marnotrawienia pana czasu – powiedział zmęczonym, nieco skrzekliwym

głosem. – Bardzo szanuję dorobek pana rodziny i cenię dyskrecję. – Ręka Lenina sięgnęła do zakurzonej kieszeni i wyciągnęła starą wizytówkę. Aż mi się łza w oku zakręciła, gdy rozpoznałem na niej piękne pismo dziadka. – Przepraszam w imieniu Iksa i swoim. – Postukał dłonią w pulpit. – Ten surogat był jedynym, jaki jeszcze działał w magazynie odrzutów, tu pod ziemią. Nie miałem czasu, aby sprowadzać nowego z góry.

– W porządku. Lenin wiecznie żywy. – Wzruszyłem ramionami. – Rozumiem, że umowa...

– Oczywiście nie istnieje. – Pokiwał głową. – Ale zaliczkę proszę sobie zostawić. Niech to będzie forma zadośćuczynienia za to zamieszanie.

– A co z emiterem?

– Iks często wagarował i omijał wykłady. Szczególnie z historii...

– Mówił pan, że istnieje – przypomniałem.

– Naturalnie. – Przytaknął i podszedł do jednego z regałów.

Surogat drżał przy każdym ruchu, powłóczył nogami, przez co siedzący w jego wnętrzu kosmita bujał się, jakby dosiadał wielbłąda. Obaj wyraźnie się męczyli. Odchyłona do tyłu głowa kukły sprawiała upiorne wrażenie. Mechanizmy zabuczały z wysiłkiem, gdy Lenin wyciągał z regału skrzynię. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że leżała tu od dawna.

– Emiter był innowacją. Wiele ułatwiał – powiedział, przenosząc urządzenie na środek pomieszczenia.

Buczenie nasiliło się, gdy ustawiał ją na krześle. Potem cofnął o krok i spróbował wyprostować. Zdołał dopiero za drugim razem.

– Z biegiem lat zrezygnowaliśmy jednak z tego programu. Surogaci okazali się praktyczniejsi. To chyba ostatni sprawny emiter na tej planecie. – Kosmita się uśmiechnął. – Jest pański.

– Tak po prostu? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Chcę być wobec pana fair, szczególnie, że przesunął się pan na pierwsze miejsce naszej listy outsourcingowej. Jest kilka projektów, które zapewne będziemy chcieli zrealizować, ale o tym porozmawiamy, kiedy zarząd naszej frakcji zatwierdzi je w budżecie. To może potrwać... – Popukał w jeden z ekranów na pulpicie – Teraz muszę pana opuścić, bo to truchło zaraz się rozsypie. Trafi pan do wyjścia, panie Darku?

– Myślę, że tak – wymamrotałem.

– Wspaniale. Miło było pana zobaczyć i raz jeszcze przepraszam za wszystko. Miłego dnia. – Nie czekając na moją odpowiedź, odwrócił się i pokuśtykał chwiejnie w kierunku wąskiego, nieoświetlonego otworu prowadzącego zapewne do kolejnych pomieszczeń schronu.

Pochyliłem się nad emiterem i starłem warstwę kurzu. Zardzewiały

zatrząsk ustąpił po chwili szarpania. Podniosłem wieko i stanąłem jak wryty. Wewnątrz naprawdę był pulpit z włącznikiem, lampką kontrolną i wskaźnikiem poziomym. Był też numer seryjny. Dokładnie tak, jak opisywał Iks. Nie zgadzało się tylko jedno.

– On jest wyłączony! – krzyknąłem w ślad za odwróconą do góry nogami łepetyną Lenina, która majaczyła na granicy mroku.

– Naturalnie – zgodził się kosmita. – Od wielu lat.

– Iks mówił, że stacje pomiarowe rejestrują...

– Rosnące zidiocenie? – Zatrzymał się i odwrócił w moim kierunku. – Ignorancję, frustrację, nienawiść?

Pokiwałem głową, a on się uśmiechnął.

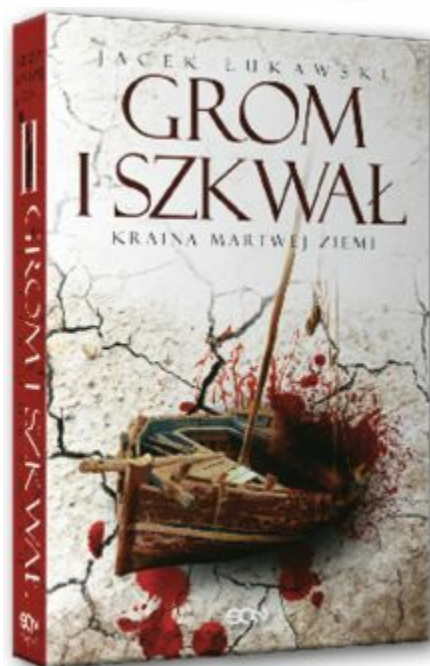
– To prawda, panie Darku. Tak jest, ale przecież nie potrzebuje pan naszych stacji, aby to wiedzieć. Wystarczy zajrzeć do waszego internetu, prawda?

– Myślałem, że to emiter... Rodzaj spisku... Sterowanie...

– Nie, panie Darku – westchnął współczująco. – Nie potrzebujecie kosmitów, aby robili z was głupców, świetnie radzicie sobie z tym sami. Do widzenia.

Zanurzył się w mrok. Jeszcze przez chwilę słychać było cichnące buczenie i szuranie niesprawnych stóp, a potem zapadła cisza.

KSIĄŻKI JACKA ŁUKAWSKIEGO,
KTÓRE UKAZAŁY SIĘ W WYDAWNICTWIE SQN:





ALEKSANDRA RADLAK



Autorka i tłumaczka z angielskiego, rosyjskiego i norweskiego. Miłośniczka słowiańszczyzny, polskiej wsi i dzikiej przyrody. Inspiracje czerpie z piękna różnorodności kultur i języków, które poznała podczas podróży (fizycznych i literackich) oraz z miłości do własnej kultury i własnego języka. Jako główne inspiracje literackie wymienia wszelkiego rodzaju podania ludowe, bajki i baśnie, a także twórczość Philipa K. Dicka, Kurta Vonneguta i klasyków: od Emily Brontë, przez Dostojewskiego, Słowackiego, Mickiewicza i Staffa, aż po Nietzschego, Guénona czy Eliadego. Jej debiutancka powieść *Cynobrowe pola* ukaze się nakładem SQN Imaginatio jesienią 2018 roku.

KREW I BŁOTO

*Blok Centralny, Wspólnota Pięciu Królestw,
Królestwo Kharagan. Rok 1984*

Arkadiusz Russo, powołany do spraw Stosunków Międzynarodowych Kharagan, wicedyrektor Centralnego Światowego Skarbcza i udziałowiec Faermaxu, leży martwy w rynsztoku dolnej kondygnacji dzielnicy siedemnastej. Jego bursztynowe guziki świecą w ciemności jak oczy kota.

Áilon, dziewczyna, której matkę i rodzeństwo rozstrzelałem pod ścianą w jaskini po drugiej stronie świata nie dalej jak rok temu, ściera mi krew z twarzy. Ma delikatne albeńskie dłonie. Takie same dłonie wystawały z miazgi ciał w Álveris, kiedy ktoś krzyknął: „Co ja zrobiłem!”, i strzelił sobie w łeb, a ja powtarzałem przez aparat mowy, że w punkcie B75 nie ma broni masowego rażenia, tylko kobiety i dzieci.

– Ciekawe – mówię, patrząc w górę na płataninę mostów pomiędzy wieżowcami.

Słysząc już sygnał i tupot kroków opiekunów; światła latarek wyzierają z powłoki smogu, a Áilon jeszcze pisze na murze sprayem „Front Wyzwolenia Albenów” i pospiesznie zrywa guziki z marynarki Powołanego.

– Co „ciekawe”? – pyta.

– Jak wszystkie chłopaki z Vinādēs chciałem na Północny Wiatr, no wiesz, dla żołądka. No... – pocieram nos – ...i żeby terroryści i kozojebcy nie zagrażali naszej wolności. A teraz sam jestem terrorystą – dodaję szeptem.

– Dobrze, że nie kozojebcą – Áilon śmieje się pod nosem.

Wciąż chyba patrzę na nią z mieszanką strachu i poczucia winy jak tam, pomiędzy powalonymi drzewami po drugiej stronie Oceanu Granicznego. Tak naprawdę to szukam jej kwiatowo-papierosowego zapachu. Jestem od niego uzależniony.

– Wy, ludzie, w ogóle wiecie, co to jest koza? – pyta, ślini palec, jeszcze raz pociera mój policzek i wlepia we mnie te niebieskie oczyska.

– No... mniej więcej – mówię. – Takie z płetwami?

Ona wzdycha.

W Centralnym nie ma kóz i wszystko jedno, czy mają płetwy, czy nie. Nie ma też drzew. Ani jednego w całym Kharagan, nie licząc tych kikutków w donicach, ale to tylko tam, u góry.

Idziemy szybko. W dolnych kondygnacjach miejskich dzielnic latarki

opiekunów i czerwone lampy burdeli to jedyne źródła światła. Muszę uważać na Áilon, bo coraz więcej w tych placówkach takich dziewczyn jak ona. Obcięła sobie kiedyś spiczaste uszy, farbuję włosy na czarno i udaje człowieka, ale widać, że nie jest jedną z nas. Widać, że albenka.

Jakiś śmierdzący FaeriMedem ćpun patrzy na nią obłeśnie. Obejmuję ją ramieniem i idziemy przez warstwę rozbitego szkła i śmieci werbować do Frontu.

Geadgi Albmi, Álveris, rok 1983

Obudził mnie własny wdech, jakby ktoś wysysał mi mózg odkurzaczem. Nie żeby mnie albo mamę kiedykolwiek było stać na odkurzaczu, ale w fabryce mieliśmy takie przemysłowe. Gdzie oni są? – pytanie kotłowało się w głowie, kiedy odzyskiwałem i traciłem przytomność. Seba? Maciek? Chłopaki? Miałem łzy w oczach, głowa napierdała jak po syropie na kaszel zmieszanym z FaeriMedem. Żeby nie widzieli, że płaczę, kurwa, bo skończę jak Siwek! Skopali go tak, że twarz miał fioletową jak syntetyczna śliwka (i od wtedy zaczęli wołać na niego Śliwek).

Ktoś krzyczał, poczułem swąd spalenizny i przypomniałem sobie te kobiety i dzieci pod ścianą w białoczerwonej miazdze, no i „broń masowego rażenia”.

Generale!

– Ge...Geh-neee-rae-le...eh...eh! Ekh! – krztusiłem się śliną.

Nie było broni masowego rażenia. Przypominało mi się, że ostatnie, co powiedział do mnie generał to: „Weź się do roboty, vinādyjska kurwo!”.

Za to nas mają wielkopaństwo z Kharagan. Frajerów, co buty szyją dla obcych korporacji na własnej ziemi za pół sobrena, a sami chodzą bosy jak szewczyk dratewka.

A w słuchawce tylko trzask. – Kurwa, gdzie oni są? – myślałem, i serce waliło, i mięśnie twarzy wykrzywiały, i rękę miałem chyba cały czas zaciśniętą na kolbie G48. Cholera wie, jak długo tak leżałem, w mokrej trawie. Nie wiedziałem nawet, jak się tam dostałem. Burza i trąby powietrzne ustały, ale wiatr wciąż gwizdał między skałami wyższymi niż nasze wieżowce.

– Wolna Jednostka Społeczna numer 74635 mel... mel... duje... się na...

W klacie zakłuło, palce zaciśnęły się jeszcze mocniej na broni. Nie miałem maski! Jak to, myślałem, jak to, jak to?! Zacząłem się dusić. Wdech, wydech, powtarzałem sobie, i w końcu zaczerpnąłem w płuca ostrego powietrza, które pachniało deszczem i błotem.

Wtedy, kiedy znowu uniosłem powiekę, w ciemności pojawiła się ta

twarz, jak u lalki z ruchomego audiowizuala dla dzieci, taka trójkątna. Najpierw daleko, potem bliżej i bliżej. Dziewczynka przypełzła i wlepiła we mnie spojrzenie rozwartych mokrych oczu. Włosy miała posklejane krwią. Zawylem, bo przypomniała mi się jaskinia i miazga. I przypomniiał mi się krzyk, piski, a potem cisza.

Patrzyła na mnie, czułem jej oddech. Ale ona miała oczyska! Nigdy czegoś takiego nie widziałem, ani takiej jasnej skóry, ani takiej buzi... Chyba, że u tych...

„Jebanych ich mać terrorystów! – Przypomniałem sobie głos grubej baby z górnej kondygnacji, która nas werbowała na Północny Wiatr i pomagała odwalić papierkową robotę. – Kozojebców dzikich, co nienawidzą naszej wolności!”

Dziewczynce trzęsły się usta i podbródek. Wyglądała jak dziecko, które się zgubiło w centrum handlowym w bogatej dzielnicy, może trzydziestej trzeciej albo trzydziestej piątej.

Poderwałem się, trąciłem ją ramieniem i wydałem z siebie dźwięk, no a potem powalony bólem w łydce wylądowałem twarzą w błocie. To albenka, przecież to albenka! Terrorysty, kozojebcy! Wolności! Nienawidzą! Podniosłem się, pewnie chwyciłem G48 i wymierzyłem w nią chwiejnie. Ona się trzęsła w porwanej sukience i dużo krwi było na tej sukience, na buzi, no wszędzie.

– Gdzie oni?! – krzyknąłem i się zakrztusiłem. – Gdzie...?!

Złapałem ją jedną ręką za sukienkę, całkiem moką i jakby z wora szytą, ona płakała i krzyczała, a ja chciałem to wyłączyć, wyłączyć, wyłączyć!

– Gadaj, gdzie oni są?! – Szarpałem za kościste ramię.

Splunąłem. Tam daleko, tam na wodzie, już na pewno nie było naszych okrętów, na pewno już nie.

Wyrwała mi się, ale upadła. Złapała się za rękę i zawyla z bólu.

Mówiła przez zęby coś w swoim języku. Nie rozumiałem. Nie miałem czasu uczyć się przed misją, nawet z wczepką, no bo pracowałem w fabryce, a musiałem przecież utrzymać rodzinę, bo żołąd dopiero po misji. Nie ma co się łudzić, pomyślałem, odpłynęli beze mnie. I Iwonka, i Janek, i Nadijka i mama zostaną bez środków do życia. Przypomniało mi się, jak mama prasowała mi koszulę pod mundur. Żelazko kupiła za ostatnie sobreny.

Usiadłem.

Albenka schowała buzię w dłoniach i się poryczała. No i ja też zacząłem płakać. Nic na to nie mogłem poradzić. Coś mną trzęsło od środka, a puszczała nam przecież te audiowizuale, żeby nas przyzwyczaić... no żebyśmy nie płakali. Nie chciałem wyglądać jak śliwka, ale przecież oni

i tak odpłynęli. Nie miał mnie nawet kto pobić. Byłem sam.

– *Vaerkat?* – spytała, cokolwiek to miało znaczyć, i głosik jej zadrżał, jak Nadijce kiedy była smutna. Jak tym, które krzyczały tam pod ścianą, w jaskini.

I wtedy ona się wzdrygnęła, a ja usłyszałem szelest. Już ocierałem łzę i chciałem wołać: „Cześć i czołem!”. To był nasz mundur, nasza brygada, tylko plakietka inna, Kharagańczyk, trochę wyższy stopniem. No aż serce rosło!

Ale potem zobaczyłem krew, dużo krwi, i na głowie jakby kawałek hełmu, jak coś wtopionego w plastik, a twarz jak zlane tworzywo. Połowa była normalna; jakby ta druga połowa była zakryta, to można by pomyśleć, że wszystko dobrze... no może nie można by, bo to oko, które mu zostało, błyszczało jak u ćpuna albo zwierzęcia.

Strzelił.

Blok Centralny, Wspólnota Pięciu Królestw, Królestwo Kharagan. Rok 1984

Z jednego z tysiąca mostów nad nami skacze samobójca. Pewnie kolejny, który nie miał na spłacanie rat.

Ciało uderza o warstwę śmieci na miękkim przeciwbakteryjnym gumolicie, którego nie zmieniano od dekad i więcej w nim pewnie bakterii niż w ranie trędowatego. Áilon podbiega do trupa, ściąga mu pierścionki. Widać, że biznesmen albo makler. No ważny gość z górnej kondygnacji.

– Długo musiał lecieć – mówi Áilon, bierze mnie za rękę i idziemy dalej. – Wiesz co znaczy twoje imię po starovinādyjsku? – pyta, gdy skręcamy w kolejne zaułki. – „Sławiący pokój” – mówi, zanim zdązę odpowiedzieć. Ona wie, że w Vinādes wszyscy już porozumiewają się we wspólnym. Ledwo znamy vinādyjski, a co dopiero starovinādyjski.

– Aha – odburkuję. Poprawiam G48 ukryte pod pałatką i myślę o tym, w jaki to sposób przyjdzie mi sławić pokój tej nocy.

Geadgi Albmi, Álveris, rok 1983

Otworzyłem oczy. Wszystko, co słyszałem, to trzask drewna, bzyczenie much i krzyki w oddali. Śmierdziało dymem i czymś słodkawym. Klata mnie bolała jak wtedy, kiedy mi Seba z całej pety przywalił za to, że ukradłem mu tabletki proteinowe, które miał na obiad.

Łydka rwała bólem. Szeleściły drzewa. We Wspólnocie Pięciu Królestw nie było ani drzew, ani wiatru. Muchy bzyczały, ale tylko w dolnych kondygnacjach, pod mostami. Może na Kresach Niczyich, ale ja tam nigdy nie byłem.

Albenka z trójkątną twarzą i niebieskimi oczami siedziała obok przy ogniu. Miała na sobie kurtkę któregoś z naszych. Palila papierosa. Przy jej

nodze leżały dwa G48.

– O, obudziła się śpiąca królewna – powiedziała.

Coś mi nie pasowało. Odruchowo pomacałem ucho. Nie było wczepki! A jednak ją rozumiałem. Nie wyglądała już jak dziewczynka, co się zgubiła w centrum handlowym. No i normalnie mówiła, po naszymu.

– Miałeś szczęście. Trafił w kamizelkę. Ale i tak jesteś ranny i zeżre cię wirus álveryjski, jak ci nie pomogę.

– Co... co się z nim stało?

– Zabiłam go. Waszą bronią – odparła, zaciągnęła się papierosem i strzepnęła coś ze zdobyczej kurtki.

– A teraz zabijesz mnie? – spytałem przez ściśnięte gardło.

Podniosłem się z sykiem i spojrzałem na spodnie nasiąknięte krwią; w ranie na łydce miałem jakieś liście. Jej oczyska nie były już wilgotne, tylko dzikie i obce... straszne. Nie pasowały do głosu dziecka.

– Gdzie są nasi? – zapytałem.

– Odpłynęli bez ciebie, geniuszu. Narobili gnoju i uciekli. Więcej was zostało.

– Gdzie...? – zacząłem, ale zakłuło mnie w klacie.

Podawała bukłak z naszego wyposażenia. Chwyciłem instynktownie. Był cały we krwi, ludzkiej czy albeńskiej, cholera wie. Wodę wyżłopałem do dna.

– Tutaj. – Wskazała na górkę w ciemności, gdzie wszystko bzycało, i zaciągnęła się papierosem.

Wyteżyłem wzrok i zrobiło mi się niedobrze. Wyplułem wodę. Niedaleko leżał stos ludzkich trupów w takich mundurach jak mój.

– Hej! – zawołała, zmuszając mnie, bym na nią spojrzał.

Zgasiła papierosa i pstryczkiem wrzuciła peta do ogniska. Mógłbym doskoczyć do niej w pół sekundy. Zasyczałem, gdy spróbowałem wstać. Upadłem na tyłek.

– Oberwałeś gorzej, niż ci się wydaje. Liście tamują krwotok i uśmierzają ból. Ale zeżre cię wirus...

– ...álveryjski – mówię przez zęby.

– Mhm – uśmiechnęła się. – Chyba, że ci pomogę – powiedziała, złapała za G48 i wstała.

Nie była wysoka. Jak moja siostrzyczka. No dziecko jeszcze.

Podszedł do niej inny alben; ten był ode mnie dużo wyższy, z białą skórą i białymi włosami. Prowadził człowieka, który ledwo powłóczył nogami, dowódcę kharagańskiej jednostki, sądząc po mundurze. Człowiek był zarośnięty (a przecież w Kharagan golili się na gładko) i brudny, patrzył na mnie błagalnie, no ale co ja mogłem? Albenka podała swojemu

drugie G48. Pokręcił przecząco głową i wyciągnął nóż zza pazuchy. Kharagańczyk szarpał się, charczał i krzyczał.

Po chwili zrozumiałem, że krzyczy do mnie. „Pomóż, vinādyjski kampie!”, warczał ze złością, gdy tamten rzucił go na kolana i przyłożył mu ostrze do szyi. Albeni byli silniejsi od nas, ale zębaty surowy nóż po przecięciu skóry z oporem wdzierał się w ciało. Człowiek wierzgał i wrzeszczał resztkami sił. I gapił się na mnie, jakbym to ja trzymał za rękojęść.

Tubylec złapał brodacza za przerzedzone włosy. Docisnął jego tułów nieco do ziemi i nachylony nad zwiotczającym od wysiłku ciałem wrzynał się w szyję powolnymi długimi ruchami. Za każdym razem dociskał narzędzie mocniej i mocniej.

Wszystko nagle zamilkło. Nie słyszałem już much ani krzyków w dali, tylko nieregularny, czasem cichszy, czasem głośniejszy chrzęst, gdy ścięgnięta i kości stawiały opór.

Kharagańczyk już nie krzyczał. I przestał się na mnie gapić. Na nic już się nie gapił.

Okazjonalne charknięcia z krtani też ustały, ciało znieruchomiało, a alben wrzynał się i wrzynał, aż wreszcie głowa odpadła i potoczyła się na ziemię.

Byłem tak zdziwiony, że nie umiałem ani krzyczeć, ani płakać, ani się ruszyć. Tego nam nie pokazali w symulatorach. Serce biło jak szalone. Porzygałem się.

– Widzisz, do czego nas doprowadziliście? – spytała dziewczynka, a tamten zabrał ciało człowieka i rzucił je na stos, obok którego leżała kupa naszej broni. Dopiero teraz dostrzegłem, że wszystkie drzewa wokół były powalone. – Żyliśmy z tego, co dawały nam ziemia i niebo. W zamian wypełnialiśmy groty malowidłami, rzeźbami i poezją. Po wiedzę sięgaliśmy do najgłębszych studni i korzeni, a modlitwę wznosiliśmy ku złotemu światłu słońca i białemu światłu gwiazd: ku harmonii wszechrzeczy. Ale wy przyplłynęliście tutaj i przeoraliście naszą ziemię, spaliliście ją ziemskim ogniem pod tym niebem – wskazała w górę – które jest nam świadkiem. Przeorać cudzą ziemię to grzech, i za ten grzech zapłacą wszyscy. Wy, bo wam się należy. I my, bo spadła na nas klątwa waszych czynów. Spadł na nas wasz brud. Wiesz, co robią albeni, kiedy źle się dzieje z ziemią? Zapadają w sen. Hibernują jak niedźwiedzie. Ale ty nie wiesz, co to niedźwiedź, bo na waszym kontynencie wybiliście wszystkie zwierzęta. Kto by pomyślał, że jedynie ocean może oddzielać naszą harmonię od zła waszej cywilizacji. Nasi starsi już zasypiają. Niedługo zasną wszyscy. Ale niektórzy jeszcze się

opierają i robią tu porządek resztkami sił. – Spojrzała w stronę stosu.

– Co się z tobą stało? – spytałem tak spokojnie, jak umiałem, gdy byłem już pewien, że alben nie wraca. – Na polanie... myślałem, że tamten...

– Co? – zaśmiała się. – Że mnie zgwałci i zabije, tak jak zrobiliście to z dziesiątkami naszych kobiet, a ciebie ocali i w pół minuty zapomnisz o całym smutku i strachu? Wiesz, kim dla niego jesteś? Vinādyjską szmatą. Mięchem armatnim w jego wojnach, które rzuca się tutaj, żeby mordowało niewinnych. Bezpłciowym kundlem, który dał się podczepić pod Wspólnotę Pięciu Królestw zwabiony pożyczkami i popkulturą. A teraz jesteście tutaj. Co, ropa się skończyła w Bloku Centralnym, czy metali wam zabrakło na obudowy do komunikatorów?

– Ty nie jesteś...

Milczała przez chwilę.

– Nie lada z ciebie detektyw – parsknęła. W lesie coś zaryczało przeraźliwie, a w oddali spadła lawina kamieni. – Nie – powiedziała, usiadła obok mnie, wyciągnęła kolejnego papierosa i zapaliła. – Dziewczynka, która cię znalazła, jest tam. – Wskazała na drugi stos ciał; te należały do miejscowych. – Zastrzelił ją, zanim ja zastrzeliłam jego. Ciebie zabrałam, bo mi się przydasz. Wiesz, ja się tutaj nie wychowałam. Zresztą słyszysz, nie mówię jak tutejsi. Dotychczasowy izolacjonizm Álveris i całego kontynentu Geadgi Albmi to ani łut szczęścia, ani cud, ani boska ręka.

Wzdrygnąłem się, gdy wyciągnęła tę białą kościstą dłoń w moją stronę, ale przyklepała mi tylko zielsko na łydce. Teraz dopiero zauważyłem, że nad ogniem coś bulgotało w garnku. Miałem nadzieję, że nie ludzkie mięso. Mówiono nam, że to dla albenów nie lada przysmak.

Blok Centralny, Wspólnota Pięciu Królestw, Królestwo Kharagan. Rok 1984

Pokonujemy kilka uliczek oświetlonych jedynie czerwonymi żarówkami i neonowymi szyldami pożyczek błyskawicznych, i siedzimy już w barze. Z pianoli sączy się mieszanka miarowych stuknięć i czegoś, co ma chyba brzmieć jak egzotyczny flet. Jak wszędzie w tej okolicy serwują tylko watę proteinową i szczochoy, które udają piwo. Dodają tam trochę FaeriMedu, dzięki czemu klienci wracają. Coś im w tych szczochochach smakuje i sami nie wiedzą co. Czasem zastanawiam się, czy to, co gotuje Áilon w swoich tajemniczych garnuszkach też nie jest naszprycowane.

Ona patrzy na barmankę: ćpunkę w średnim wieku, która udaje nastolatkę. Barmanka ma na sobie czarną mini i koronkowy stanik; włosy spięte w coś na kształt koka. Pachnie perfumami, które podobno robią z czegoś, co jest w skórze albenów. Drogie perfumy jak na taką jak ona.

Áilon naciąga kaptur obszernej pałatki, ale tłumek spoconych mężczyzn, po części weteranów Północnego Wiatru, po części lokalnych żuli (zresztą, jedno i to samo) i tak się wokół nas zacieśnia. Podaje barmance bursztynowy guzik i szkiełko z pierścionka.

– Dwa piwa – mówi, a kobieta patrzy na nas nieprzyjemnie spod spuchniętych powiek. – Nie mam na koncie ani pół sobrena, ale to jest więcej warte. – Áilon prezentuje błyszczące w czerwonym świetle szkiełko.

Pijemy szczochoy w milczeniu.

Kiedy jesteśmy przy ludziach, udaje tak samo agresywną, głupią i pyską jak my, ale w rzeczywistości jest jeszcze gorsza. Przypomina trąby powietrzne, huragany i powodzie, które zdziesiątkowały nasze szeregi w Geadgi Albmi. Bo podbój albenów okazał się trudniejszy, niż sądziliśmy. Wichura nie pozwalała iść, myliliśmy ścieżki, gubiliśmy się w lasach. Byli i tacy, co się potopili w bagnie.

A teraz albeni biegają po tych swoich lasach z naszymi G48 i wciąż dobijają takich jak ja, którzy mieli nieszczęście przeżyć. Ci z nas, którzy wrócili, muszą żyć z ciężarem totalnej klęski. Korona Kharagan zwała to wszystko na nieprzygotowanie strony vinādyjskiej.

– O czym tak dumasz? – pyta Áilon półgłosem i zapala papierosa. Widzę tylko rozżarzoną końcówkę spod jej kaptura i kosmyk farbowanych włosów.

– A, o wojnie.

– Bardzo się zrobiłeś myślący. Z prostego vinādyjskiego chłopaka, który uwierzył mi na słowo, że jest coś takiego jak wirus álveryjski.

– Gdybym ci nie uwierzył – mówię szeptem – któryś z twoich ziomków obcinałby mi teraz głowę tępym nożem.

– Prawdopodobnie tak. Patrz. – Wskazuje w kierunku szmacianej, dziurawej i brudnej zasłanki za barem. – Tam golą im włosy i sprzedają na peruki.

– Ja tego nie rozumiem. Przecież... – już chcę powiedzieć „albeni”, ale ona patrzy karcąco spod kaptura – ...no, tacy jak ty, byli już wcześniej w Kharagan. Jak to jest, że nikt na was nie eksperymentował i nie golił wam włosów?

– Byliśmy tu na innych zasadach. Tylko tacy jak ja, najbardziej przypominający was.

Aż strach myśleć, co to za „inne zasady”.

Idę do kibla. Obsrany, a jak.

– Ciężka robota, co? – zagaduję do stosunkowo rosłego jak na te czasy gościa, z którym lejemy wartkim strumieniem do tej samej rynny.

Jeśli nie jest ochroniarzem, to po prostu wyprowadzi mnie z błędu.

– Taa, i płacą chujowo.

Bingo, myślę.

– No ale z usług dziewczyn chyba możecie korzystać? – pytam i uśmiecham się tak paskudnie, jak umiem.

– Jak jest szefowa – głową wskazuje w stronę baru – to tak, ale jak przyjdzie szef szefów, to już nic nie jest za darmo. Wiesz, gruba ryba z górnej kondygnacji, a mu kilku sobrenów szkoda i z własnych pracowników zdzierać będzie. Honoru to tam nie mają. Ale te albenki! – mówi, gdy już kończy sikać, ociera łapska o spodnie i zatacza w powietrzu kształt kobiecego ciała. – Mają wszystko, co trzeba. Spróbuj, sam się przekonasz!

– Bo ja wiem. Słyszałem, że dzikie to, buńczuczne i gryzie.

– A co, boisz się? – śmieje się oblesnie. – Nieee, stary, są tak naszprycowane FaeriMedem, że wydasz im się księciem z bajki.

Śmieję się z nim jowialnie.

– Straszny dziś tłum. Ciężko to ogarnąć samemu, co?

– A gdzie tam! – Macha ręką. – Czterech nas jest, a to i tak za dużo. Spokojnie tu, większych burd nie ma. Ostatnio ktoś komuś rozwalił łeb szklanką na schodach, zrobił się bałagan i mi ta kurwa – znów wskazuje głową w stronę baru – kazała flaki sprzątać. Ja jej mówię, chyba cię kobieto poczesano, a ona na to, że moja wina, bo nie dopilnowałem. No to ja jej z kolei, że bym dopilnował, ale musiałem dziewczyn doglądać, żeby ich ktoś nie cupnął, bo wiesz, te albenki to chodliwy towar, trzeba pilnować. W kodeksie generalnym podobno chcą im nawet przyznać ten, no, status trzech czwartych człowieka, ale może to plotka? No i wiesz, mówię tej kurwie, że personelu brakuje. A tego akurat szef szefów słuchał, wystraszył się, rozumiesz, co za debil – śmieje się szczerze – no i mi dał jeszcze trzech chłopaków, he, he, he. Chłystki, dopiero się uczą, ale pomoc to jest pomoc, co nie?

Pomoc to jest pomoc, myślę. Wychodzę z kibla, podchodzę do Áilon, obejmuję ją od tyłu. Ona pachnie piękniej niż wszystkie te albeńskie perfumy razem wzięte: kwiatkami, papierosami i czymś jeszcze, czego nie potrafię nazwać.

– Jest ich czterech – mówię jej przez kaptur do ucha.

Ona dopija piwo i się obraca.

– Tam w drzwiach stoi jeden. Koło szafy grającej drugi.

– To jest pianola – poprawiam.

– Ty się naprawdę wyrobiłeś. – Patrzy na mnie jakoś tak ciepło i się uśmiecha. Na jej policzku dostrzegam dołeczki.

Rozgląda się swoimi genialnymi albeńskimi oczami.

– Trzeci wyszedł za tobą z kibla i rozmawia z tymi tam. – Ruchem głowy wskazuje na grupkę ćpunów w rogu. – A czwarty.... – Waha się przez chwilę.

Podbródkiem wskazuję jej, żeby się odwróciła. Za „szefową” za barem wyrasta czwarty, wyszedł właśnie zza kotary.

– No to co, napierdalamy? – pytam.

Nie odpowiada. Wyciąga G48 spod pałatki. Załatwia szefową, czwartego i kilku kolesi, którzy czekali na „dziewczyny”, a jej genialne albeńskie oko nawet nie mruga. Klienci uciekają z wrzaskiem.

Niech sobie wrzeszczą. Tutaj opiekunowie się nie zapuszczają.

Ten w drzwiach wyciąga broń, ale pada razem z okalającą go grupką pod moim ostrzałem.

Przechodzi mnie dreszcz. Wciąż to mam i nawet zioła od Áilon nie pomagają.

Drugi gdzieś nam uciekł. Trzeciego, tego z kibla, cholera też nie widać. Widocznie ochrona w barach to w tych czasach gra nie warta świeczki.

Ostatni goście wybiegają, potykając się na rozbitym szkle.

– Już – mówi Áilon po chwili.

Obracam się do niej. Dostrzegam trzeciego. Trzymają go albenki, które najwyraźniej nie mogły długo usiedzieć za kotarą.

Widać, że to dziewczyny z wszystkich trzech znanych nam krain Geadgi Albmi: z Álveris, Asohad i Solasvidar. Te pierwsze są tak blade, że aż przezroczyste i ogolone na łyso. Z ich włosów robi się najpopularniejsze peruki. Te drugie są trochę niższe i bardziej przypominają ludzi, z ich komórek robi się dobre kremy. I wreszcie te trzecie: najpiękniejsze blondynki w świecie, jak Áilon.

– Co tak długo? – pyta nas jedna z tych najpiękniejszych blondynek i wbija trzeciemu ochroniarzowi nożyczki w tętnicę, a on patrzy na mnie, jakby chciał spytać: „Dlaczego, kolego?”.

Geadgi Albmi, Álveris, rok 1983

Ostatnie stopy zgasły kilka dni temu. Wciąż czuć było swąd palonych ciał. Podobno. Ja nie czułem albo nie chciałem czuć.

Áilon pokazała mi kwiaty. Rosły wszędzie, nie tak jak u nas. U nas były tylko w granulacie, w donicach wyższych kondygnacji, no i na Kresach Niczyich, ale tam nigdy nie byłem. Podobno rosły też w górach Vinādēs. Mnie, mamy, Iwonki, Janka i Nadijki nigdy nie było stać, żeby tam pojechać, no i nie mieliśmy czasu.

Kwiaty pachniały trochę jak Áilon. Leciąły do nich pszczoły. U nas nie było pszczół i chyba dlatego nie było też kwiatów. Albo na odwrót. Ona

mi tłumaczyła, ale sam nie wiem.

Siedzieliśmy tamtego wieczoru na polanie, pomiędzy lasem a ogromną skalną ścianą, przy dawnym domu kogoś, kogo zabili moi ludzie.

W garnuszku nad ogniem Áilon jak co wieczór gotowała coś, co – jak prędko się zorientowałem – nie było ludzkim mięsem, tylko ziołami, którymi leczyła mi rany. Kompleks wydrążonych w skale pomieszczeń ozdabiała ażurowe rzeźby pokryte płataniną korzeni i bluszczu. W jednej z komór widziałem odciski dłoni i rysunki za ładne, aby wykonały je dzieci.

– Kto to malował? – spytałem.

– Bardowie, nasi kapłani – odpowiedziała i położyła głowę na moim ramieniu. – To jest świątynia. Zawsze chciałam odbić gdzieś tutaj swoją dłoń. Ale w Geadgi Albmi nie byłoby przez wieki tak spokojnie, gdyby nie tacy jak ja. Niektórzy muszą się poświęcić. Tak mówili mi bardowie, tak powtarzała matka.

– I nie pozwalali ci wrócić? – spytałem przez ściśnięte gardło, nie patrząc jej w oczy; z danych wynikało, że matkę Áilon rozstrzelaliśmy w punkcie 75B.

– Nie pozwalali.

Podskoczyłem, bo podeszło do nas coś małego, miękkiego i mruczącego.

– Co to jest?

– To? – spytała. – Kot.

Wzdrygnąłem się. Nie podobał mi się ten „kot”, miał nieprzyjemny pysk i wredne spojrzenie.

– Co tam robiłaś? W Kharagan?

– Kiedy byłam młodsza grałam w reklamach zabawek, dziecięcych audiowizualach, takich tam... Później byłam modelką na pokazach D'Valentini. Potem takie jak ja dostają się do kultury, do sztuki, inne do polityki.

– I w jaki sposób to zapewnia spokój Geadgi Albmi?

– Kiedyś ci powiem – uśmiechnęła się i mnie pocałowała.

Odbiliśmy wtedy swoje dłonie w grocie.

Później przyleciał po nas osobowy przewoźnik antygravitacyjny. W Kharagan mieli takie tylko najbogatsi; skąd to się wzięło tutaj – nie miałem zielonego pojęcia. Ale to był sposób, aby wrócić do Vinādēs, do mamy, Janka, Iwony i Nadii. I żeby nie umrzeć na álveryjskiego wirusa.

Zresztą nie wytrzymałbym bez niej. Potrafiła mówić i kląć jak my, ale widziałem w niej tę dziewczynkę z polany i nic na to nie mogłem poradzić.

*

Lecieliśmy nad Oceanem Granicznym, który dzielił Geadgi Albmi i Blok Centralny.

– Zostałbyś tu ze mną, gdybym ja została? – spytała.

– W Geadgi Albmi?

– Tak.

– Nie mógłbym. Mam mamę, brata, siostry... Ale ty i tak nie mogłaś zostać, prawda?

– Nie. Takie jak ja to dla albenów porzucone pisklęta.

Przełknąłem ślinę. To był ten moment.

– Jak ty w ogóle dostałaś się do Álveris? Żyłaś w Kharagan, a stamtąd nikt nie może wypłynąć poza Strefę Zero bez pozwolenia. – Zapytałem wreszcie. Męczyło mnie to od tygodni.

– Dostałam pozwolenie, kiedy zapisałam się do waszej armii – odpowiada i patrzy za okno.

Blok Centralny, Wspólnota Pięciu Królestw, Królestwo Kharagan. Rok 1984

– Siedzieliśmy tu prawie rok – mówi z wyrzutem ta sama blondynka, która zadźgała ochroniarza.

– W rok nauczyłyście się mówić we wspólnym, liczyć czas jak ludzie i zabijać nożyczkami? – pyta Áilon, kiedy rygluje drzwi.

Jesteśmy w piwnicy, kolejnej kryjówce. Mieszkańcy kilkuset pięter ponad nami albo śpią poupychani w swoich klitkach, albo pracują w fabrykach tabletek proteinowych. Dzień pracy wydłużono do osiemnastu godzin, żeby spłacić długi za organizację Północnego Wiatru.

– Nie miałyśmy komfortu ukrywania się w towarzystwie ludzkiego niewolnika. – Patrzą na mnie jak na kozojebcę.

– A liczenie czasu w uderzeniach serca nie pasuje, kiedy serce jest złamane – mówi jedna w ich własnym języku, który już całkiem nieźle rozumiem. Siedzi skulona w kącie i nie patrzy na nas.

– Może gdyby Front zjawił się wcześniej, nie musiałybyśmy uczyć się zabijać – odzywa się druga i wszystkie przechodzą już płynnie na albeński.

– A myślisz, dziewczę, że co my robimy we Froncie? – pyta Áilon. – Zabijamy. To się tutaj robi.

– Ale was nie gwałcą, nie biją i nie sprzedają waszych włosów.

Ona nic nie odpowiada. Zapala papierosa i podchodzi do kufra. Wyciąga ludzkie ciuchy, ciemne peruki i rzuca je dziewczynom.

– Macie – mówi – zaraz spotykamy się z innymi. Bądźcie gotowe i bez marudzenia. Idziemy werbować.

Rozglądam się. Pełno tu takich jak one: kobiet, mężczyzn, dzieci. Siedzą pod ścianami, głodni i wykończeni tutejszą duchotą. Áilon rozniosła im watę proteinową, ale część w ogóle nie chce tego jeść. Nie chcą walczyć: mówią, że to ludzkie metody. Jedyne, czego pragną, to wrócić do Geadgi Albmi, ale nie mają pomysłu jak.

Podchodzę do niej. Choćby na chwilę. Coraz ciężiej mi wytrzymać bez jej zapachu.

– Wychodzę po wodę – mówię w obcięte na kształt ludzkiego ucho, a ona całuje mnie w policzek, jakoś tak przeciągle.

– Dobrze – odpowiada i idzie rozdawać koce.

Geadgi Albmi, Álveris, rok 1983

– Zawsze mi mówili, że kiedyś, jeśli się przysłużę, będę mogła wrócić – opowiadała. – Ale czekałam latami i nic. Północny Wiatr to była jedyna szansa. Wysiadłam z okrętu, wymknęłam się dowództwu i szłam ile sił w nogach.

Wtedy, w przewoźniku antygravitacyjnym doszło do mnie, że ona nie spędziła na ziemiach albenów ani pół dnia więcej niż ja.

– Widziałaś, jak umierają twoi? Pod naszym ostrzałem?

– Widziałam, jak umiera ktoś. Nie zastanawiałam się, czy moi, czy wasi, i kto to w ogóle jest „mój”, a kto „obcy”. Szłam ile sił w nogach, aż w końcu dotarłam do plaży Solasvidar. Gdy krzyki ucichły i uspokoiła się burza, ściągnęłam mundur – powiedziała zapatrzona w zawieruchę za oknem. – I poszłam do moich.

– I co?

Zaśmiała się smutno.

– Dowiedziałam się, że moja rodzina jest w innej krainie, w Álveris. Poza tym mówiłam z „ludzkim” akcentem... najwyraźniej do tego stopnia, że mnie nie rozumieli. Patrzyli na mnie jak na trędowatą. Gdy zorientowali się, kim jestem, zabrali mnie do bardów, a tamci, pod groźbą śmierci, kazali mi wracać do Centralnego i założyć Front Wyzwolenia Albenów. A potem znalazłam ciebie.

– Po co masz założyć ten front? – spytałem.

– Żeby wyzwolić jeńców wojennych, jak sądzę. Ludzie wywieźli setki, jeśli nie tysiące.

– Zrobisz to?

– Tak. A ty mi pomożesz – odparła. – W zamian upewnię się, że twoja rodzina będzie miała wszystko, czego potrzebuje.

Blok Centralny, Wspólnota Pięciu Królestw, Królestwo Kharagan. Rok 1984

Po kilku dniach wracam z wodą. Jest całkiem ciemno. Ona siedzi przy

oknie, które wychodzi na gruz i śmieci pod kilkoma warstwami gumolitu. Ma maskę na twarzy. Taką, jaką noszą lekarze. Podaje mi drugą.

Wszyscy kaszlą przez sen, wiercą się, pocą. Śmierdzi tu jak wtedy, przy bzyńczącym stosie trupów.

– Co się dzieje? – pytam.

– Epidemia. Niczego nie dotykaj, zostaw im wodę. Tu masz żel do rąk. Ogarnij się i chodźmy.

– Gdzie?

– Przylecą po mnie. Po nas, jeśli chcesz lecieć ze mną – odpowiada.

– Kto?

– Mówiłam ci, żebyś nie zadawał pytań.

– Wracasz do Geadgi Albmi? Dobra, polecę, ale powiedz o co chodzi.

– Lecimy do Preh'nab'tuah – mówi bez emocji.

– Do Bloku Mawjańskiego? Oszalałaś?

– Chodź – odpowiada, wstaje nerwowo i wychodzi. Nie ogląda się za siebie.

*

Idę za nią. Przez gumolit, rozbite szkło i śmieci, po jednych schodach, po kolejnych i kolejnych. Gdzieś schody zawaliły się całe lata temu i wspinamy się po górze gruzu. Ktoś zawodzi, ktoś pośpiesznie nas mija.

Ona wciąga się na kolejny most, wciągamy się więc za nią i idziemy przez korytarz między blokami. Ze zrujnowanego budynku wychodzimy przez rozbite okno na pomost, z którego kolejne schody prowadzą nas wyżej.

I jest: antygrawiter.

– Czekał – mówię i łapię ją za rękę. Jest zimna, spocona, a przecież albeni się nie pocą. Podobno.

– Lecisz ze mną czy nie?

– Nie, jeśli nie powiesz mi gdzie.

– Mówiłam ci, na południe.

– Na pustynię? – pytam z niedowierzaniem.

– Nie. Na wyspę, jeśli musisz wiedzieć.

– A co z Geadgi Albmi?

Drżą jej wargi.

– Też byłam kiedyś tak naiwna, jak ty, ale to było lata temu – wyrzuca z siebie. – Wiesz, że albeni dorastają i starzeją się wolniej. Jestem od ciebie starsza. Dużo starsza.

– Wiem, i co z tego?

Dawno się zorientowałem i nie obchodzi mnie to. Strumień ciepłego powietrza spod antygravitera mierzwi jej włosy.

– Nie będę w nieskończoność czekać na coś, co nigdy nie nastąpi. Pamiętasz, co ci powiedziałam? Jesteśmy jak odrzucone pisklęta, których nie chcą z powrotem.

– Ale pomagasz tyłu swoim! Co czeka cię tam na południu?

– Dom wśród drzew. Samotność. Święty spokój. Wiatr na twarzy, przyroda, kwiaty... Kto wie... może dzieci? – Patrzy na mnie.

– To ci obiecali? – Śmieję się pod nosem.

– Nam, jeśli chcesz.

Obejmuję ją, a ona nie protestuje. Sięgam jej do kieszeni po komunikator i wyświetlam ostatnią holkę.

– Co to jest? – pytam, choć nie wiem po co, bo przecież widzę. Chcę to usłyszeć od niej.

– Mapa! To jest nasza lokalizacja – mówię wreszcie, bo ona milczy.

– I tak ją znali. – Wzrusza ramionami.

– Czyżby? Zresztą nawet jeśli... mogliśmy się przenieść!

Przypominam sobie koce, które rozdawała w kryjówce.

– Nie mogliśmy. Połowa albenów z naszej bazy była już zaczipowana – odpowiada i ogląda się nerwowo na antygraviter.

– Wiedziałaś o tym?

– Oczywiście, że nie. Gdybym wiedziała, wydłubałabym im czipy.

Chwytam ją za ramiona, a ona nie protestuje.

– Znaleźliby ich i tak – mówi.

– I co by im zrobili gorszego, niż....?

Czuję, jak mięśnie wykrzywają mi twarz w spazmach wściekłości. Mówili nam na szkoleniu przed misją: jeśli chcesz szybko i bez walki pozbyć się mieszkańców okupowanej ziemi, rozdaj im zainfekowane koce.

– Eksperymentowaliby na nich – ona odpowiada po chwili. – Preh'nab'tuah to nie Kharagan. Oni trzęsą branżą farmaceutyczną, a ta zaczyna opierać się na albeńskich tkankach. Część z dziewczyn trafiłoby pewnie tam, gdzie było, a inni zdradziliby pozycję pozostałych oddziałów Frontu. Nie miałam wyjścia. Potwierdziłam lokalizację i się usunęłam: to moja część umowy.

– A zaraza?

Ona wzrusza ramionami.

– To się zdarza w niższych kondygnacjach. – Wrywa mi się, obraca tyłem i idzie w kierunku przewoźnika antygravitacyjnego. – To jak? Ty, były szeregowy Zjednoczonych Sił Wspólnoty Pięciu Królestw, która wyróżnęła tysiące albeńskich mężczyzn, kobiet i dzieci w pień i która

zdevastowała ich ziemię, będziesz zgrywał bohatera Frontu Wyzwolenia, czy może jednak polecisz ze mną?

Patrzę na nią przez chwilę. Mogłaby wejść do przewoźnika, ale nie wchodzi.

– Tam na polanie powiedziałaś mi, że nasz ludzki grzech spadł jak klątwa na wszystkich. Teraz widzę. Rzeczywiście spadł też na was, o tak! Ale nie podczas Północnego Wiatru, tylko dużo, dużo wcześniej. Ten świat nie jest zatruty przez działania ostatnich lat, dziesięcioleci, stuleci. On jest zatruty u podstawy. Są tacy, którzy twierdzą, że im to nie pasuje, a jednak – mierzę wzrokiem te jej farbowane włosy, kharagańskie ubrania i zacięty wyraz twarzy – wygodnie im z ich wiecznymi wymówkami.

Przez chwilę mam ochotę sięgnąć po broń, ale wzdycham tylko smutno. Ona zaczyna coś tłumaczyć. Przechodzę obok, ocieram się lekko ramieniem i w buchającym powietrzu spod antygrawitera czuję zapach kwiatów, papierosów i jeszcze czegoś, czego nie potrafię nazwać. Facet za sterem podskakuje zdziwiony. Biorę go za fraki i wywalam na most. Wsiadam. Słyszę za sobą strzał: nie wiem, czy z jego, czy z jej ręki. Tak czy inaczej, co najwyżej drasnęli karoserię.

*

Áilon nie kłamała. Mama, Jaś, Iwonka i Nadijka mają się dobrze. Przenieśli się do średniej kondygnacji. Mama wciąż pracuje. Dzieci poszły do Akademii Codziennej. Wiedzą, że nie mogą zostać.

Front na mnie czeka. Wrócę, ale teraz muszę lecieć dalej. Tym, których udaje mi się odnaleźć w innych lokalizacjach, rozdaję lekarstwa i obiecuję, że będę z powrotem. Najchętniej zabrałbym ich wszystkich, ale nie mam takich możliwości. W nocy po cichu zabieram kilkanaścioro albeńskich dzieci i kobietę w ciąży; więcej się nie zmieści. Mam nadzieję, że tylko takich jak Áilon albeni nie przyjmują z powrotem.

Nawet jeśli opiekunowie są w stanie wykryć nas z lądu, antygrawitery należą do grubych ryb i latają, gdzie chcą.

*

Geadgi Albmi wita nas prześwitującym przez poranne mgły słońcem. Lądujemy w Álveris. Słyszać tylko pszczoły i szum fal.

Idę na tę samą polanę, na której siadywałem z Áilon, tę przy świątyni z odbitymi dłońmi dzieci i malowidłami bardów. Trawa jest wilgotna od rosy. Albeni idą za mną: najpierw niepewnie, a później coraz śmieiej. Ktoś się śmieje. Ktoś rzuca się w trawę i całuje ziemię. Dwoje z dzieci zaczyna

rozmawiać w tutejszym języku tak żywo, że nie rozróżniam słów. Rozchodzą się w poszukiwaniu swoich, a ja zostaję sam.

Wkrótce zapada ciemność. Widać tylko światło gwiazd i mojego ogniska.

Przez chwilę wydaje mi się, że w półmroku widzę Áilon. Mrugam, ale widmo nie znika. Podchodzi i siada obok mnie na trawie. Pachnie kwiatami, ale nie czuję papierosów.

– Ta woda jest spokojna, jakby nigdy nie spłynęła do niej krew – mówi po albeńsku, w álveryjskim dialekcie, śpiewnie, cicho i spokojnie. Ma na sobie prostą lnianą sukienkę, wyszywaną u dołu w skrzyżowane linie. – A oni – wodzi wzrokiem po lasach wokół – zasnęli. Wiesz dlaczego?

Kręcę przecząco głową.

– My potrafimy czekać – mówi. – Potrafimy trwać. Czas dla nas nie istnieje, tak jak dla tej wody. Dla niej błoto i krew, w które zmieniła się nasza ziemia, to jedność. Należą do niej. Zawsze do niej należały: do tej wody, do tej ziemi, do tego nieba. – Patrzy w górę, w gwiazdy. – Wy nie jesteście jednością z nami, bo sami miliony uderzeń serca temu porzuciliście harmonię wszechrzeczy. Kiedyś nie będzie tu śladu tego, co zrobiliście. Choćbyście przypłynęli tu jeszcze trzykrotnie, choćbyście przypłynęli stukrotnie, ta ziemia i jej dzieci będą spać w ukryciu, aż umrą ostatni z was. A na waszych prochach raz jeszcze zakwitną kwiaty.

– A jeśli was znajdą? – pytam. – Jeśli będzie kolejny Północny Wiatr?

– Nie znajdą nas.

Chcę jej dotknąć, coś powiedzieć, ale nie mam śmiałości nawet na nią patrzeć. Jest daleka, jak te gwiazdy. A jednak pamiętam ten dzień, kiedy płakała jak dziecko.

– Myślałem, że tamten człowiek cię zabił – mówię.

– Ona ci tak powiedziała? Nie – uśmiecha się. – Postrzelił cię w klatkę piersiową. Wtedy złapałam za twoją broń i też strzeliłam. W niego. Opiekowałam się tobą...

– Jak długo?

– Aż rana w klatce piersiowej się zagoiła, a ty zacząłeś wybudzać się ze śpiączki. Wtedy przyszła tamta i powiedziała, że zabierze cię do domu... Musisz zrozumieć... Ona jest z Solasvidar. Jest Wysłanniczką do Bloku Centralnego. Nie było dla ciebie innego wyjścia, aby wrócić.

– Kim są Wysłannicy? – pytam.

– Czasem myślę, że to oni zorganizowali Północny Wiatr. Przez wieki starali się ujarzmić ludzkość. Kiedyś wy, ludzie, uważaliście się za panów przestworzy. Tysiąclecia temu albeńscy Wysłannicy doprowadzili do wojny, po której do dziś obok Kharagan i Vinādēs pozostaje Pustynia

Wiecznego Nieurodzaju. Tam życie nigdy nie powróci. Ale teraz znów uczycie się latać. Znów uczyniliście ziemię sobie poddaną. Wysłannicy odurzają was, podtruwają, spiskują i przez to sami kończą tak, jak...

– Jak Áilon – mówię i przypominam sobie jej zioła i ten zapach, którego nie umiałem nazwać.

– Tak. Być może to, co się dzieje, to początek kolejnego końca. Ale dla nas to nie ma znaczenia. My możemy spać aż do nowego początku. Dla nas koniec świata równy jest z jego odrodzeniem.

Później siedzimy w ciszy. W końcu kładę się i zasypiam.

Wiem, że tym razem gdy otworzę oczy nie będzie przy mnie albenki o twarzy małej dziewczynki. Tym razem będę sam. Umyję twarz wodą ze strumienia i wsiądę do antygrawitera.

Wrócę do Bloku Centralnego. Nie dla albenów, ale dla ludzi. Nie mogę pozwolić, aby zostały po nas tylko prochy, kiedy albeni otworzą oczy.

Teraz rozumiem – to nie im trzeba zbawienia, tylko nam.

JUŻ NIEDŁUGO UKAZĄ SIĘ:

CYNOBROWE POLA

ALCHEMICZNE SEKRETY, DWORSKIE INTRYGI,
DZIKA NATURA I MIEJSKI BRUD

Samotna matka z bliźniami na ciele i duszy, głodna zemsty. Jednooki drwal udręczony osobliwą pamiątką po dziadku. Kochanka króla wprawiona w sporządzaniu trucizn. Niebieskoskóra gwiazda estrady o syrenim ogonie i wstrętnych zwyczajach.

W smogu między czarnymi wieżowcami i w lasach wśród strzelistych szczytów - plątanina mostów utrudnia każdej z postaci drogę do domu. Odnaleźć swoje miejsce pomagają szepty Wszechrzeczy, które prowadzą bohaterów ku nieuchronnemu końcowi znanego im świata.

WIELOWĄTKOWA POWIEŚĆ Z POGRANICZA
FANTASTYKI I SCIENCE FICTION, KTÓRA
PORYWA I WCIĄGA BEZ RESZTY!



MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOŚ



Urodzona w 1990 roku. Filozofka. Nałogowo uprawia urbex. Nagradzana w konkursach poetyckich oraz prozatorskich. W marcu 2018 roku zadebiutowała opowiadaniem *Wszystkie śmierci Apolinarego* w „Nowej Fantastyce”. Współtworzy portal fantastyka.pl jako Naz, sporadycznie publikuje artykuły publicystyczne („Nowa Fantastyka”, „Smokopolitan”) i naukowe, jest redaktorką w „Fantazmatach” i jurorką w „Pomieściach”, pomaga również redakcji kwartalnika „Silmaris”. Odpowiedzialna za konkurs Jestem legendą. W 2019 roku nakładem SQN Imaginatio ukaze się jej powieść – *Openminder*.

NIEMOŻLIWE

– Osobliwy z pana klient – oznajmiła techniczka. Skrywała twarz za holomaską upodabniającą ją do Kristen Stewart. Wydawało mi się, że to dziewczyna wampira z filmów, na podstawie których zrobiono remake w kinie DD3E, przytwarza mi holo do czaszki.

– Tak pani sądzi? – spytałem głupio; trudno było wydusić z siebie coś mądrzejszego, gdy kobieta rozdziawiała usta nad moją potylicą.

– No, takie holo na stałe, bez wypróbowania nieinwazyjnych soczewek? Odważne.

– Wiem wszystko o modelu stałym. – Położyłem nacisk na słowo „wszystko”, by dać do zrozumienia, że znajdę każdy mankament. Jak mogli tak drogie zabawki, mocowane do czaszki i łączone z mózgiem, dawać do instalacji byle trzpiotkom?

Poczułem zimne, rozległe ukłucie, jakby wbiła mi w łeb gruby sople lodu. Już miałem wrzasnąć na nią, ale wtedy okazało się, że stoi przede mną całkiem naga. Wydawało mi się, że piersiami wybiła mi dwa lima pod oczami.

– Co też pani?! – Sparalizowany impulsem nie mogłem się poruszyć, ona natomiast wcisnęła mi balony w twarz, jednocześnie majstrując przy głowie.

Poczułem ciepło i słodki zapach. Mimo że czułem antypatię do niej, nie mogłem powstrzymać się od błęgiego uśmiechu. Wtem szarpnęło moim ciałem, straciłem na moment wzrok, ale nim serce zdążyło wpaść w galop, wszystko ustało. Przede mną stała podstarzała techniczka bez holomaski, o trójkątnej twarzy i z kpiącym uśmiechem pod krzywym nosem.

– Odwróciłam pana uwagę od najgorszego i wypróbowałam sprzęt. Wszystko działa bez zarzutu. Życzę przyjemnego holożycia.

– Bardzo ciekawe metody – mruknąłem.

Zgarnąłem wszystkie pliki prorokiem – moim stałym złączem z siecią, zapiętym na nadgarstku jak zegarek – machnąłem nim ostatni podpis i opuściłem apartamentowiec Holo Life’u. Byłem lżejszy o dwanaście milionów złotych i cięższy o niecałe pół kilograma, przytwierdzone do mojej czaszki i przykryte dizajnerską obudową. Od tej chwili mogłem nałożyć na zasraną codzienność dowolny filtr. Drogę do pracy przebyć pieszo, by zamienić ją na ścieżkę przez skandynawskie góry. Papiery na biurku przeistoczyć w armię żołnierzy HOPE. A mordę znienawidzonego inwestora podmienić twarzą Carrie, tej sekslalki, która jako pierwsza

w historii zabiła właściciela.

Błądząc palcami po wypukłości na głowie, zachwycony nowymi możliwościami skierowałem kroki tam, gdzie planowałem udać się na „pierwszy raz” włączenia holo. Wyczułem małą ryseć nad uchem, ale miałem możliwość wymieniania obudowy za darmoszkę, więc nie było o co się wściekać. Bez przeszkód pomaszerowałem więc na aleje, by obejrzeć comiesięczny dwumarsz tematyczny.

Każdego siódmego dnia miesiąca lewica i prawica mogły urządzić sobie paradę. Drogę zamykano, każda opcja polityczna dostawała aleję do dyspozycji, a antagonistyczne obozy oddzielał od siebie tylko pas wymuskaney trawy. Brzmi to jak scenariusz końca świata albo chociaż solennej bitki, ale nic z tych rzeczy – w tym spartaczonym świecie, w którym każdy został zaszczipiony na agresję, owe marsze wyglądały jak sławetne pielgrzymki do Częstochowy.

Prorok zawibrował. Dzwoniła siostra. Odebrałem połączenie i wyświetliłem przed twarzą hologram z wizerunkiem Sonii, podczas gdy prorok pilnował, żebym nie wpadł na przechodniów i pokonywał pasy na zielonym.

– Hej, Maksiu!

– Stara, kiedy przestaniesz tak do mnie mówić...

– Nigdy, gówniarzu! Masz już holo?

Sonia szczyrzyła bielutkie zęby, jakby była naćpana, co zresztą mogło nie mijać się z prawdą. Burzę blond loków miała w kompletnym nieładzie. Podkrążone oczy jak zwykle złośliwie mrużyła. Zazwyczaj nosiła makijaż holograficzny, ale najwyraźniej nie uważała za konieczne stroić się przede mną.

– Owszem, mam – stwierdziłem takim samym tonem jak w dzieciństwie, gdy chwaliłem się nową zabawką.

– Ile trwało?

– Z minutkę. A ojciec straszyl, że to gorsze niż dwudziestowieczny dentysta i dłuższe od operacji sprzed pół wieku. – Prorok wyświetlił obok hologramu alert. – O, holo skończyło wgrywać oprogramowanie. Mogę zdjąć proroka!

– No to rozkoszuj się, młody, dwa tysiące sześćdziesiątym siódmym rokiem bez ciężaru na ręce. Wreszcie – rzuciła zjadliwie.

– Prorok nie jest staroświecki! Wszyscy wokół go mają.

– Mają też kojarzone małżeństwa, dobierane zawody i nieustannie aktywny dobrozmysł. Gdzie idziesz na pierwszy raz?

– Dwumarsz.

Sonia wyduła usta.

– Wy to tam macie dobrze w Warszawie. Cholerne marsze na świeżym powietrzu. Po krakowskim podziemi można chodzić tylko w butach na tych głupich, wytlumionych podeszwach.

– Zamieniłbym się z tobą i jeszcze za to dopłacił – odparłem, bębniąc palcami w pasek proroka. – Nudne marsze kontra życie pod skażoną strefą. Proszę cię.

– Młody, zapomniałeś już, że cię ojciec wysłał do Wawy za takie gadki? Mając holo na głowie, nadal podniecasz się skutkami trzeciej wojny światowej. Przecież teraz możesz sobie rozwalić całą stolicę albo budować domy ze światła.

Odwróciłem się gwałtownie, czując na karku cudzy wzrok. Ale każdy przechodzień miał łeb przesłonięty holokranem. Kiedy byłem mały, myślałem, że ludzie na ulicach nie posiadają twarzy. Spojrzałem ponownie na siostrę.

– Sonia, kończymy. Zabezpieczenie puściło, odpinam proroka.

– Maksio dorósł! Teraz będziesz Maksiomilia...

Wyłączyłem ją. Urządzenie, które traktowano jak własny organ i przedłużenie osobowości, zsunęło się z mojego przegubu. Poczulem się zupełnie nagi i rozejrzałem ukradkiem, jakbym oczekiwał wytykania palcami. Ale ulica była spokojna jak zawsze. Samochody parowe sunęły w przeciwnym kierunku, niż zmierzałem, ludzie zatopieni byli w rozszerzonej rzeczywistości wirtualnej. Nikt na mnie nie patrzył. Mógłbym faktycznie rozebrać się do rosołu i liczyć jedynie na zainteresowanie Żandarmerii Dobra Publicznego. Nieswój, czując pulsowanie krwi w miejscu, gdzie przymocowano holo, odpaliłem nowobogackie urządzenie, stare chowając do kieszeni.

– Witaj, Maksymilianie. Jestem Anima, twój nowy, rozbudowany system sieciowy autorstwa międzynarodowego technokolektywu Holo Life – rozległ się łagodny kobiecy głos w moim uchu. – Możesz wprowadzać komendy za pomocą ukrytego panelu holograficznego lub korzystając z komend głosowych. Zrozumiem najbardziej zawile instrukcje. Komendę konstrukcyjną musisz rozpocząć słowami „przysięgam uroczyście, że knuję coś niedobrego”. Kończysz zwrotem „koniec psot”. Wygenerowałam hasła na podstawie twoich literackich upodobań z dzieciństwa. Możesz je zmienić w ustawieniach. Mam też trzy tysiące gotowych szablonów. Muszę cię ostrzec, abyś przez najbliższe pół godziny nie angażował się w pełne wizualizacje, ponieważ funkcje bezpieczeństwa wciąż się ładują. Czy ustawić tryb niepełny?

– Oczywiście – stwierdziłem niecierpliwie, czując ucisk podniecenia w brzuchu, a nawet w lędźwiach.

Postanowiłem poeksperymentować przed dojściem na miejsce dwumarszu. Przejrzałem pobieżnie kilkadziesiąt symulacji w katalogu.

– Nałóż mi obraz po zniszczeniu Warszawy przez hitlerowców.

– Przyjęłam. Inicjuję.

Krajobraz w moich oczach zafalował i przez chwilę wyglądał, jakby rozpadł się na piksele, ale nim straciłem orientację, mój umysł przejęła symulacja. Zakrztusiłem się nieistniejącym pyłem. Organizm najwyraźniej zareagował odruchowo na widok, który się przede mną roztoczył. Stałem jak wryty, patrząc na brudne szkielety budynków, wozy pełne gruzu ciągnięte przez konie, zmęczonych przechodniów, w oczach których dostrzegałem jednocześnie rozpacz i zacięty upór. Ich spojrzenia wydawały się ostre, przenikliwe, a wyszczerzone ponad głowami ruiny sprawiały wrażenie bardziej rzeczywistych niż pstrokate wieżowce, które sto lat później zajęły ich miejsce.

Na trasę mojego marszu nałożona została siatka bezpieczeństwa, tak bym kontrolował, czy na nic nie włożę, póki system holo się nie ustabilizuje. Przeszedłem kilkaset metrów, robiąc nieustanne piruety, targany impulsywnymi pragnieniami. Może włączyć sobie walki z hitlerowcami? Albo nałożyć obraz krakowskiej bitwy mechów? Wymyślić własne potwory? A jednak zwyciężało we mnie pragnienie postapokaliptycznych wizji, ciszy i całkowitego wymazania elementu ludzkiego z krajobrazu. Mój psychoterapeuta być może nazwałby to buntem wobec „nowej komuny”, w której żyłem, wewnętrznym sprzeciwem wobec raju lewicowców: świata bez zła, gdzie prywatność była pojęciem nad wyraz względnym. Albo przeciwko permanentnej inwigilacji rodziny, której doświadczałem od czasów, gdy byłem berbeciem, do chwili obecnej. Nie obchodziły mnie jednak domniemane przyczyny moich zachcianek. Potrzeba ostatecznej izolacji spychała na dalszy plan wszelkie inne pomysły. Nawet symulacja nawałanki prawicy i lewicy przestała mnie kusić.

Otworzyłem katalog i szybko znalazłem konstrukty świata po różnego rodzaju zagładach. Wybrałem model, dezaktywowałem obecny obraz i zamieniłem na nowy, dopisując kilka własnych komend w panelu i podśpiewując pod nosem: „przysięgam uroczyście, że knuję coś niedobrego”.

Na warszawskie Śródmieście nałożyła się wizja przerażająca i fascynująca jednocześnie. Ruiny cywilizacji urosły, zagarnięte przez bujną roślinność. Niebo nabrało koloru podobnego do tego, jaki oglądali nad głowami mieszkańcy Krakowa – zgniłozielonego. Odpychający firmament tworzył przedziwny kontrast z ziemią, uwolnioną spod

przynoszącego chorobę i stagnację ludzkiego jarzma. Rośliny miały intensywne kolory, znacznie większe od znanych mi zwierzęta tłumnie pasły się na zarośniętych trawą ulicach. Zachwycony wykasowałem z obrazu siatkę bezpieczeństwa i wyłączyłem dźwięk. W pierwszej chwili ogłuszyły mnie świerszcze i ptaki. Chłonałem przez kilka minut tę dehumanizacyjną wizję, czując niezmierną satysfakcję z faktu, że jednocześnie tłuszcza ludzka przechodzi obok. Niewidzialna dla mnie. Wykasowana.

Aktywowałem nowe modyfikacje. Niebo rozjarzyło się od świetlistych budynków, którym nadałem kształty sułtańskich pałaców. Nadbudowałem rzeczywistość. Serce waliło mi tak, jakby próbowało wybić szaleńczą melodię na bębnie.

– Miasta ze światła – powiedziałem cicho, zupełnie urzeczony.

Dotarły do mnie dźwięki szamotaniny i końskie rzenie, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem, opuściłem wzrok i podszedłem nieco bliżej wierzgającego stada wyrosniętych koni. Rozrywały pomarańczowego rysia kłami stanowczo zbyt długimi jak na roślinożerców. Za moimi plecami rozległ się rozpaczliwy, ptasi krzyk. Siedząca na ułamanej latarni małpa wpychała sobie do gęby gołębia. Nieopodal stado wróbli rzuciło się na kruka, siedzącego na wraku beemki.

– Co się dzieje? – spytałem Animę.

– Nie wypowiedziałeś komendy kończącej. Projektuje twoja uwolniona przedświadomość.

– Bez komend głosowych?

– Owszem. Czy wyświetlić odpowiednie zapisy w instrukcji?

– Nie – odparłem, zafascynowany wizjami.

Zaraz po trzeciej wojnie światowej zdelegalizowano wiele dziedzin, w tym psychoanalizę, i zakazano lektury dzieł różnych myślicieli, na przykład Freuda. Żeby dostać się na terapię psychologiczną, potrzebne było rządowe skierowanie. Oczywiście wyłączone z użytku książki dalej stały sobie na półkach domów i bibliotek – Biblia, Nietzsche, poradniki ezoteryczne i tak dalej – bo nikt nie był w stanie po nie sięgnąć. Wewnętrzny szantażysta, zaszczepiona, sztuczna moralność, nie pozwalała wyciągnąć ręki. Ale kiedy osiągało się pewien poziom bogactwa, przekładającego się na wysokość podatków, ograniczenia przestawały obowiązywać. I tą oto drogą znalazłem się oko w oko ze swoim uwolnionym umysłem.

Przez skrzyżowanie ociążałym truchtem przebiegła dorodna krowa, wlokąc za ogon wilcze truchło. Poczułem się podobnie jak wtedy, gdy techniczka zaświeciła przede mną cudzymi cyckami. Jakby coś w moim

umyśle przekręcało schematy. Jakby mój mózg patrzył przez okulary podobne do tych pryzmatycznych, które odwracały obraz na różne sposoby.

– Dlaczego pochrzanilem porządek przyrody?

– Zapewne nienawidzisz systemu i rządu, dlatego ukazują ci się pokonane przez swoje ofiary drapieżniki – odparła uprzejmie Anima. – Pamiętaj, że moje zapisy trafiają do rejestru...

– Ojciec miał mnie wymazać z rejestru – zauważyłem, niespodziewanie czując igły strachu na czubku głowy.

– Jestem uzależniona od systemu głównego, Maksymilianie. Gdy wkraczasz w rozszerzoną rzeczywistość wirtualną, nie możesz być anonimowy.

– Są przecież sposoby i konta...

– Tak, ale nie urządzenia. Ale o tym, jak wiadomo, nie ma w reklamach mowy. Nic dziwnego, że nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

Z jednej z ulic wypadło stado wielkich łosi, o grzbietach pełnych ran, goniąc jakieś psowate, szare stworzenie, być może szakala. W mojej głowie podobnie goniły się myśli dotąd skarłate i uśpione.

– Zaraz! Zapomniałem, że podczas użytkowania holo mogę robić, co zechcę. Ta zaszra, moralna cenzura nie działa, prawda? Kurwa. Ja pierdołę. Nie działa! Czy ludzie na ulicy mnie słyszą?

– Przypominam, że jesteś zalogowany do systemu. W rzeczywistości pozawirtualnej po prostu idziesz.

– Ale ja teraz stoję.

– Maksymilianie, dlatego właśnie piloci mechów bojowych, których tak podziwiasz, logują się do systemu przypięci pasami do foteli pilotażowych. Tyle że oni wchodzą w samodzielne obszary wirtualu, a ty jedynie w podstawowe symulacje. Tobie wystarczy krótkie szkolenie i program bezpieczeństwa. Niestety możesz tego nie doczekać, ponieważ masz słabo rokującą moralność.

Najpierw zrobiło mi się zimno, potem dotarła do mnie świadomość sytuacji. Przecież program bezpieczeństwa jeszcze się nie wgrał, a ja zdjąłem siatkę z iluzji. Wyłączyłem nakładanie obrazu i wróciłem do realnego świata.

Stałem na pasach, na czerwonym świetle. Kilka samochodów mrugało na mnie intensywnie. Jakiś człowiek chwycił mój łokieć i z obojętną miną ściągnął mnie z ulicy. Miał szare oczy, przyprószone siwizną włosy i popielaty garnitur. Gdyby to była powojenna Warszawa, wtopiłby się w tło. Czuję się otumaniony, a masa ludzi wokół wydawała się nierzeczywista. Niektórzy spoglądali na mnie, ale człowiek, który wciąż

mnie trzymał, piorunował ich wzrokiem.

– Dobra, Szumacher, oddaj demo. – Koleś wystartował z łapami do mojego holo. Odskokczyłem i zrobiłem minę, jakby próbował dobrać mi się do przyrodzenia.

– Że co?

– Demo holo. Z twojej głowy. Naprawdę sądzisz, że dajemy właściwe urządzenie ot tak? Miałeś właśnie pierwszy test i oblałeś.

Przyłożył mi coś do ramienia i poczułem parzące igielki prądu. Ciało mi zwiotczało, a w tym czasie napastliwy elegancik złapał mój cenny nabytek i bezceremonialnie szarpnął, jakby wyciągał wtyczkę z kontaktu. Znowu na moment świat w moich oczach pociemniał.

– Jak to? – wymamrotałem zdrętwiałymi ustami, gdy obraz znów nabrał barw i ostrości. – No to czemu nie zatrzymaliście mnie w jakiejś sali testowej?

– Nie mogłeś wiedzieć, że to test. Zgłoś się na kolejny, kiedy popracujesz nad swoją moralnością.

– Nad...

Szary człowiek oddalił się szybko i zniknął w tłumie. Otumaniony i wkurzony wyciągnąłem z kieszeni proroka i niemrawo zapiąłem go na rękę. Po kilku sekundach urządzenie było gotowe do użytku. Usiadłem na krześle przy pstrokatej witrynie gier helmetycznych i zadzwoniłem do Sonii. Ledwo jej hologram pojawił się przede mną, a już szczyrzyła zęby.

– Tak szybko oblałeś?

– Czemu mi nie powiedziałaś, że to jakiś durny test?

– Bo nie dałoby się go przeprowadzić. Teraz dostaniesz kilka sesji z psychoterapeutą i znowu dadzą ci spróbować.

Czułem się jak dzieciak, któremu pokazano świąteczną zabawkę i zabrano, mówiąc: „jak będziesz grzeczny”.

– Czyli tak to wygląda? – mruknąłem. – Mogę odrzucić sztuczną moralność, o ile wyszkolę tę zwykłą?

– Oj, biedny Maksiu. Wyobrażał sobie, że pieniążki przyniosą mu bezkarność. Za takie myśli nigdy nie dostaniesz holo.

– Zapłaciłem za nie!

– Ojciec zapłacił. Nie będą ci paraliżować woli, jak hołocie wokół, jeśli odpowiednio ją ukształtujesz.

– To niesprawiedliwe!

– Tupnij jeszcze nóżką. System jest dobry, a ty jesteś zły. Udowodnij, że można zdjąć z ciebie chociaż na chwilkę w wirtualu decyzyjny paraliż, ten kaganiec dla kundli, a może, może kiedyś będziesz tak jak my chodzić wolny.

– Nie wiem, czy ta gra jest warta świeczki.

– Leszcz. Kończę niańczenie, Maksiu. Powiem tacie, jak ci poszło. – Zachichotała i rozłączyła się.

Tłum ludzi bez twarzy przepływał koło mnie jednostajnie, rzeka obywateli o skrępowanych umysłach i żądzach. Wydawali mi się skarłali i zniszczeni. Nie mieli pieniędzy ani wpływów, więc nikt im nie dawał wyboru. Jeszcze chwilę temu wyobrażałem sobie ten wybór jako możliwość przechodzenia dzięki holo ze świata martwoty, nieistnienia jednostkowych sumień, do iluzji przedwojennej rzeczywistości, gdy wolna wola istniała. Miałem nadzieję, że mogę być samodzielny chociaż w symulacji – naprawdę nie zależało mi na niczym więcej.

A może jednak?

Może marzyłem, aby sztuczna moralność nie dotyczyła mnie także w realu, skoro krowa wlokła za sobą wilka, a konie pożerały rysia? Może naprawdę jestem głupi, głupi jak każdy wokół mnie, tyle że urodziłem się pod bogatszą gwiazdą, i trzeba mnie trzymać za pysk, bo inaczej będę mordował, krzywdził i cholera wie, co jeszcze? Może ci zasrani twórcy dobrozmysłu mieli rację?

Dostałem wiadomość z terminem wizyty u psychologa. Chciałem zakląć, ale natychmiast zostałem ukarany dreszczem, który spelzł po moim kręgosłupie. Wolno mi się było rozpłakać, ale przecież jak to tak, płaczący facet? Wspomniałem więc chociaż, jak płakałem w dzieciństwie. Zwłaszcza moment, gdy byłem łebkiem, zaszczepiono mnie „impulsem dla dorosłych”, przekreślając możliwość nie tylko czynienia zła, ale choćby o nim pomyślenia.

Nie miałem już po co iść na dwumarsz – nie zdołałbym sobie wyobrazić nawalanki naturalnych wrogów zamienionych w bezwolne barany. Podniosłem się, zacisnąłem szczęki i poszedłem wcześniej do pracy. Z każdym uderzeniem pulsu, wyczuwalnym w miejscu po wszczepionym demo, moje resztki woli były naginane i dopasowywane do wzorca. Pragnienie, aby walczyć według tych chorych zasad, ścierało się przez chwilę z przemożną ochotą na bierny bunt. Mógłbym przecież nie brać udziału w pozornym wyzwoleniu. Nie dać sobą manipulować bardziej niż już miało to miejsce. Ale po prostu nie mogłem patrzeć na te barany wokół, a co dopiero być jednym z nich.

Wpisałem wizytę u psychologa w kalendarz. System pogratulował mi w krótkiej wiadomości i zadał swoje podstawowe pytanie porządkowe, na które dotychczas odpowiadałem „nie, po co” albo „nigdy, jest super”.

„Czy chciałbyś żyć poza naszym wspianiałym systemem, który uwolnił cię od zła i niebezpieczeństw?”

Odpisałem: „to niemożliwe”. Po chwili pierwszy raz otrzymałem całe dziesięć gwiazdek do mojego obywatelsko-społecznościowego profilu.

JUŻ NIEDŁUGO UKAŻE SIĘ:

OPENMINDER

DYSTOPIJNA WIZJA ŚWIATA PODZIELONEGO NA PÓŁ

2076 rok. Polska - zniszczona w wyniku wojny, a następnie odbudowana - zostaje przyłączona do bloku zachodniego. Obywatele Zachodu żyją bez religii, są stale podpięci do sieci i szczepieni przeciwko złu. Wschód uważają za miejsce przerażające, a jego mieszkańców za potrzebujących współczucia i wyzwolenia. Zadaniem Nikodema, który szkoli się na openmindera - wojownika umysłu - nie jest walka ze Wschodniakami, a ich nawracanie. Chłopak zostaje pilotem mecha, bierze udział w szalonych wirtualnych walkach i eksploruje skażone obszary dawnego Krakowa.

Powieść łączy kilka gatunków, w tym postapokalipsę, cyberpunk i społeczne science fiction. Bogactwo nawiązań i odniesień jest potęgą Openmindera, dzięki czemu fani Lema będą tak samo zadowoleni, jak miłośnicy Dicka, anime czy Obcego.

**W TYM ZADZIWIAJĄCYM ŚWIECIE PRZYSZŁOŚCI
KAŻDY CZYTELNIK ZNAJDZIE COŚ DLA SIEBIE!**



TOMASZ MARCHEWKA



Urodzony w Krakowie w 1987 roku. Jako dziecko zamiast strażakiem chciał zostać hakerem. Jest scenarzystą w studiu CD PROJEKT RED – pracował nad grą *Wiedźmin 3: Dziki Gon*, a także nad dodatkiem *Krew i Wino*, a obecnie nad *Cyberpunkiem 2077*. Miłośnik dobrej kawy, sztuk walki i kolekcjoner tuszu pod skórą. Jego debiutancka powieść *Wszyscy patrzyli, nikt nie widział* odniosła ogromny sukces. Jej kontynuacja jest zapowiedziana na 2019 rok.

OFF THE RECORD

W tle widać kolumny ustawionych jeden na drugim telewizorów. Zajmują całą ścianę; dynamiczna, stale zmieniająca się szachownica obrazów. Przed nimi siedzi mężczyzna.

– Hadouken? Taak. Znam go. Znam go jak nikt inny... – Drapie się z tyłu ogolonej przy samej skórze głowy. Podnosi wzrok i patrzy znad osuniętych na nos okularów, których szkła odbijają obraz telewizorów nastawionych na martwy kanał. – Ale powiedz mi, człowieku, dlaczego właściwie miałbym rozmawiać o nim z tobą?

*

Połączenie nawiązane. Streaming rozpocznie się za 10 sekund...

...3...

...2...

...1...

(Czołówka. Audio: technorockowy podkład muzyczny. Na obrazie mozaika przypominająca kalejdoskop. Pop-artowe twarze Człowieka Który Wie rozchodzą się na boki na wzór przekwitającego kwiatu lotosu. Pod koniec animacji pękają z głośnym POP!, a na ekranie pojawia się prowadzący).

Słuchajcie, głąby!

Wiem, że na mnie czekaliście. To ja, wasz karmiciel! Wasz dostawca i oprawca! Wasz przyjaciel i sąsiad. Wiem, po co tu przyszliście. Chcecie iskier z trącego o siebie chromu. Wizgu pękającej blachy. Zgrzytu zgniatanego metalu.

(Człowiek zawiesza głos. Kadr amerykański. Sylwetka na białym tle. Robi dwa kroki w bok, po czym strzela do publiczności z palców złożonych w pistolet).

I dostaniecie je! Człowiek Który Wie, najlepszy content-producer w tej części Euroazji, wam to obiecuje! W zamian musicie zrobić dla mnie tylko jedną rzecz. A właściwie nawet nie. W zamian jednej rzeczy musicie nie zrobić.

(Zbliżenie: Twarz Człowieka uśmiechającego się pobłaźliwie i cmokającego w powietrze. Dłoń uniesiona przed twarzą, wskazujący palec kiwa się z lewa na prawo w wyraźnym geście grożenia).

Nie.

Zmieniajcie.

Kanału.

Ale dosyć tego smutnego pierdzenia! Wiem, po co tu przyszliście, i wiem, że nie jest to moja nawijka. Przyszliście po krew, po łzy i po termonuklearne wybuchy. I dostaniecie je.

(Plan 3D. Pomiędzy Człowiekiem i widownią pojawiają się wystylizowane litery: MECH WARS. Cięcie.

Plan totalny – panorama. Przejazd kamery po zamkniętym sześcianie klatki o powierzchni boiska futbolowego. Podłoże areny to zachodzące na siebie płyty pomalowane czarną i żółtą farbą. Klatka jest odrapana, ale masywne pręty wykonano z włókna węglowego i pokryto uelastyczniającymi polimerami. W środku można by wysadzić bombę wodorową, a klatka dalej będzie stać.

Przebitki:

Kołyszące się łańcuchy. Metal cicho brzdęka w powietrzu.

Dziura w betonie. Wygląda, jakby zrobił ją spadający z nieba czołg, a potem ktoś nieudolnie próbował to załatać.

Sensorium: zapach benzyny i rozlanego oleju.

Audio: ryk turbiny z termojądrowego silnika).

Ziemia się trzęsie. Nadchodzą bestie.

(Podział ekranu na cztery kadry. Każdy z nich ukazuje inny róg klatki. Ciężkie płyty podłoża rozsuwają się, ukazując przepastne tunele pod klatką. Ryk narasta. W czterech częściach ekranu pojawiają się potężne, metalowe maszyny.

DUM.

DUM.

DUM.

DUM.

Cztery mechy lądują w czterech kątach klatki.

Publiczność szaleje. Człowiek uśmiecha się złowrogo).

No i są.

(Kadr z lewego górnego rogu rozszerza się na cały ekran. Okrąża potężnego robota o grubo ciosanej bryle).

Dobrze wiem, że nie muszę ich przedstawiać, ale z drugiej strony równie dobrze wiem, że właśnie na to czekacie. Jedziemy z tym!

(Napis stylizowany na runy gotyckie: ODYN).

Jednooki władca bogów. Ten, który przy chrześcijaństwie żelaza wyprowadzi swoich wojowników z Valhali. A pozostanie po nich tylko wytrawiona przez atom, jałowa ziemia. Odyn.

Swoją przepięknie obrzydliwą, kanciastą elegancję zawdzięcza

śmigłowcowi Apache, z którego wycięto kadłub i przekształcono go w tułów mecha. Do wzmacnianej kevlarem kabiny doczepiono parę kroczących odnóży, usuwając jednocześnie śmigło, wyrzutnie rakiet i karabiny. Dodano mu za to reaktor termojądrowy, który zasila tego potwora i pozwala mu przedłużyć skoki, a nawet na krótki czas unosić się w powietrzu. Nie zapominajcie też o jego łapach. W jednej z nich Odyn trzyma włócznie, do drugiej doczepiono blaster Ragnarök.

(Zbliżenie: Odyn rozkłada teleskopową włócznie i przesuwając ją po podłożu. Snopy iskier sypią się długą smugą, na chwilę zasłaniając obraz.

Cięcie.

Plan pełny. Kamera pokazuje drugiego z mechów.

Napis stylizowany na pociągnięcia pędzla do kaligrafii: Akira).

Podwójne ceramiczne napędy wirników, komputerowo sterowany system anti-lock i 200 koni mechanicznych w bebechach, a wszystko pod opływowym, krwistoczerwonym pancerzem wykonanym przez Mitsubishi. Japońscy projektanci zrezygnowali z klasycznych łap, zamiast tego używając giętkich żyroskopów. Dzięki temu Akira potrafi odwzorowywać ruchy prawdziwych samurajów, kiedy jednym ciosem przecina kabiny przeciwników na pół. Bo jak mówi kodeks Bushido, walkę na miecze zwykle wygrywa ten, kto stoi po stronie rękojeści. Czy jakoś tak.

(Zbliżenie: Fragment pancerza Akiry rozsuwa się z głośnym sykiem, ujawniając schowaną w boku mecha olbrzymią katana. Mech wyciąga ją, tym samym ruchem wykonując płynne cięcie. Na krótki moment zamiera w pozycji po ciosie, po czym chowa miecz z powrotem do ukrytej w pancerzu pochwy.

Cięcie. Plan pełny. W kadrze trzeci mech.

Nowoczesna, minimalistyczna czcionka: Lady T).

Czarna, pochłaniająca światło powłoka Anti-Matter® zapewnia maskowanie chroniące przed sondowaniem za pomocą radaru, uniemożliwia też stosowanie pocisków naprowadzanych na ciepło. To opływowe karbonowe ciało skrywa również silnik hybrydowy z ogniwnem Voight-Kampffa, a także unikalny system żyroskopów Origami®. Słowem, ma wszystko, co najlepsze w arsenale mechanicznego giganta. Jest to też jedyny mech od początku do końca stworzony w hangarze korporacji, a chyba nie trzeba wam tłumaczyć, co to oznacza...

(Przebitka. Zbliżenie: Twarz Człowieka Który Wie. Zamiast oczu pojawiają się znaki \$.

Cięcie.

Mech Lady T. Maskująca powłoka na krótką chwilę staje się

przezroczysta, kamuflaż bojowy upodabnia pancerz do otaczającego go hangaru. Po sekundzie wraca do matowego, czarnego koloru.

Cięcie.

Plan pełny. Ostatni z mechów.

Napis stylizowany na pixel art: Hadouken).

Przed wami lider tabeli i niekwestionowany czempion trzech ostatnich sezonów. Pieść Smoka, Błękitna Kula Ognia i Kopnięcie Huraganu.

Może i wygląda jak nieporadnie odlana, humanoidalna bryła z włókna węglowego, oblepiona krzykliwymi nadrukami niczym automat arcade z końca XX wieku. Może i nikt nie wie, na jakiej technologii został oparty. Chodzą plotki, że jest to autorski silnik plazmowy Gouken (剛拳), generujący nie tylko napęd, ale też energię wyzwalaną przy uderzeniach. Może i jego pilot nigdy nie pokazał twarzy, od zawsze odmawia wywiadów, i chociaż wielu próbowało, to nikt nigdy nie dowiedział się, kim jest poza kabiną mecha. Może to emerytowany oblatywacz wojskowy, a może wyjadacz gier komputerowych, noszący pingle wielkie niczym szklanki do whisky?

Pies to jebał, *pardon my French*.

(Dograć dźwięk cenzury, zanim materiał wyjdzie do innych stref czasowych).

Liczy się to, że w tym sezonie nie przegrał jeszcze żadnej walki. Ani w poprzednim. Ani dwa sezony temu.

Oto miłościwie nam panujący: HADOUKEN!

(Zbliżenie: Mech pozostaje w bezruchu. Odjazd kamery. Plan amerykański. Odjazd kamery. Plan pełny. Ruch mecha jest szybszy niż u pozostałych. Szybszy i bardziej precyzyjny. Płynny jak u człowieka. Humanoidalna sylwetka składa łapy w charakterystycznym geście ładowania energii. Nagle wystawia jedno kolano do przodu i wypuszcza nieistniejącą kulę ognia).

Hadouken.

*

Dzień wcześniej – Konferencja prasowa przed finałem Mech Wars.

Cztery krzesła zostały ustawione na podwyższeniu, a przed nimi światła, mikrofony i ludzkie morze kibiców oraz dziennikarzy. Cztery krzesła, ale tylko trzy postacie: Odyn, Akira i Lady T. Troje pretendentów do tytułu mistrza i jeden wielki nieobecny. Ten, który nigdy nie przychodzi. Ale

zawsze się pojawia.

Wokół areny zgromadziły się tysiące ludzi, a setki tysięcy podpięły się do infosfery i oglądały transmisję na żywo. Wszyscy czekali już tylko na niego.

Akira wywalił nogi na stół, kładąc buty zaraz obok ustawionej dla niego szklanki z wodą, i jak gdyby nigdy nic żarł żelki. Nie, żeby Haribo go sponsorowało, po prostu lubił żelki. Ten skurwiel, Hadouken, zawsze się spóźniał, a przy temperaturze panującej w hali siedzenie w czerwonej skórzanej kurtce wcale nie należało do przyjemnych. Ale ta kurtka była dla Akiry ważna. Była częścią jego gry.

Zerknął na Odyna i Lady T. Sięgnął do opakowania po kolejnego miśka.

Odyn się nudził. Zawsze zastanawiał się, po co Akira nosi te ła chy z wielką pastylką na plecach, ale Akira był Azjata, a oni lubili podobne teatrzyki. Wystarczyło zerknąć na pierwszy lepszy z japońskich teleturniejów. Odyn za to był normalny. Najnormalniejszy, jakiego można sobie tylko wyobrazić – wysoki blondyn w koszulce oblepionej logo wszystkich jego sponsorów. Nie musiał silić się na granie gwiazdy i śmieszyło go, że Akira i Hadouken to robią. Zresztą po tym jak z nimi skończy, obydwaj będą już tylko historią.

Lady T słuchała, chociaż nikt nie wiedział, że słucha. Wszczep słuchawkowy dyskretnie schowano jej w okolicach trąbki Eustachiusza, przez co korporacyjny briefing był niesłyszalny nawet dla kogoś siedzącego zaraz obok niej. Jedynie niewielka dioda pod lewą skronią wskazywała na to, że połączenie jest aktywne. Spojrzenie Lady T wbite było w tłum, ale koncentrowała się na informacjach wyświetlanych bezpośrednio na siatkówce oka. Przelatywały w lewym dolnym rogu jej pola widzenia.

Pseudonim: Hadouken.

Imię i nazwisko: nieznane.

Miejsce urodzenia: nieznane.

Wzorzec językowy sugeruje Europę Środkowo-Wschodnią (prawdopodobieństwo: 50% – Polska; 30% – Ukraina/Rosja; 10% – Czechy; 10% – inne).

Rekord 49-0-0.

Miejsce w rankingu MechWars: #1.

Trzykrotny mistrz ligi. Wybrany pilotem wszech czasów przez „Robotics Insider”.

Baza technologiczna: konstrukcja własna.

Mechanik prowadzący: Damian „Zszywka” Lerow.

Kluczowi sponsorzy: brak.

Mocne strony: błyskawiczny czas reakcji, nieprzewidywalny proces decyzyjny, pewność siebie.

Słabe strony: pewność siebie.

Informacje nieautoryzowane: podejrzewany o doping nootropowy; wielokrotnie testowany.

Profil mechanika:

Damian „Zszywka” Lerow. Dla najbliższych przyjaciół Szewczyk. Studiował biomechanikę i technologie informacyjne. Specjalizacje: sieci neuronowe, neuromechanika. Odrzucony z projektu badawczego uniwersytetu MIT. Oskarżony o zaniedbanie i defraudację środków. Problemy z koncentracją, nadpobudliwy, ADHD.

Informacje nieautoryzowane: powiązania z czarnymi klinikami z Panamy; operacje bez licencji, handel bionikami.

Szum na widowni wyrwał ją z przekazu. Odruchowo zerwała połączenie i obejrzała się za siebie.

Pojawił się. Jak zawsze – zamiast przyjść osobiście, emitował tylko holograficznego avatara.

Szum zamienił się w ryk.

– Panie i panowie! – Zza burzy oklasków i tupania krzyk announcera był ledwie słyszalny. – Broniący tytułu mistrza... HAAAADOOOUUKEEEEEEN!!!

Tłum oszalał.

Akira zmiął pustą torebkę po żelkach i bezceremonialnie rzucił ją na podłogę.

Avatar Hadoukena uniósł wysoko ręce, a potem zniknął i pojawił się siedzący na swoim miejscu. Wyglądał jak czarny obrys masywnego mężczyzny z włosami upiętymi w samurajskie chonmage i z płonącym znakiem 天 na plecach. Bez względu na kąt padania światła jego sylwetkę zawsze skrywał cień.

Ludzie w końcu ucichli. Announcer ponownie przedstawił zawodników. Przywitał fanów i dziennikarzy.

A potem się zaczęło. Pytania, pytania, pytania.

– Amanda z „War Reloaded”, pytanie do Odyna. Jesteś czwarty w rankingu. Jak się czujesz, będąc tym, którego jako pierwszego typuje się do odstrzału?

– Peter, „Mech Journal”, pytanie kieruję do Lady T. Ostatnio

przedłużyłaś kontrakt na kolejne dwa lata. Nie wydaje ci się, że jeżeli w tym roku nie wygracie, to skazałaś się nie na jeden, ale na dwa przegrane sezony?

Odpowiadali. Mniej lub bardziej chętnie, czasami korzystając z podpowiedzi strategów wizerunku kierujących ich zespołami, ale konferencja przebiegała gładko niczym jazda krążownikiem szos po amerykańskiej autostradzie. Aż do pierwszego wyboju.

– Jojo, pytam dla „Tokyo Mechanics”. Akira, wielokrotnie zarzucałeś Hadoukenowi doping. Ostatnie testy po raz kolejny pokazały, że jest czysty. Jak się do tego odniesiesz?

– Ja ci odpowiem – odezwał się Hadouken, przejmując kanał audio. – Zesra się. Tak jak zesrał się dziesiątki razy wcześniej.

Akira próbował przerwać, ale czempion mu na to nie pozwolił.

– Milcz – uciął. – Gdyby nie ja, nie byłoby was tutaj. Żadnego z was. Ani ciebie, ani skandynawskiego pięknego chłopca, ani cyberlali z sową na cyckach. Wiecie, czym jesteście? Planktonem.

Avatar Hadoukena zniknął i zaraz pojawił się za krzesłem w pozycji stojącej. Siedzący pośród tłumu dziennikarzy Człowiek Który Wie poczuł, że nadszedł właściwy moment. Wstał i zadał swoje pytanie.

– Nie sądzisz, mistrzu, że twoja blaza może cię kiedyś zgubić?

W zakrytej cieniu twarzy zapaliły się dwa purpurowe ogniki.

– Zniszczę ich. Jednego po drugim. Każdego, kto wejdzie ze mną na arenę, czeka ten sam los. Przegra. A ja po raz kolejny zapytam właścicieli Mech Wars: kto następny?

Odyn udawał, że nie ma go na sali. Lady T oglądała swoje paznokcie pomalowane na odcień matowego chromu. Akira za to wyglądał, jakby miał za chwilę zmutować w stworzenie zdolne zmieść Tokio z powierzchni ziemi.

– Spotkamy się, jutro – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – A ty zapłacisz za swój brak pokory. I za niewyparzoną gębę.

– Taak? Wszyscy potraficie tylko smutno pierdolić... Zły Hadouken, niedobry, pyskаты Hadouken...

Avatar zniknął. Pojawił się obok Akiry.

– Posłuchaj mnie uważnie, czerwony chłopcze, bo mam dla ciebie wiadomość. Jutro spotkamy się na arenie i kiedy spróbujesz mnie trafić, przetniesz jedynie powietrze, bo mnie już tam nie będzie. Najpierw odbiorę ci ruch. Zniszczę twoje rotory. Potem wyrwę ci tę katanę wykutą ze stali twoich przodków, nad którą spuszczasz się w każdym wywiadzie. A na koniec zetnę ci głowę. To będzie czyste zwycięstwo. Zapamiętaj moje słowa.

*

Pierwszy padł Odyn.

Ledwie wybił sygnał rozpoczęcia pierwszej rundy, mech Hadoukena wystrzelił w jego stronę, bijąc z silników błękitnawym blaskiem.

Odyn chciał przyjąć cios na osłony. Napiął wszystkie mięśnie, co parser haptyczny powinien przetłumaczyć na przeniesienie energii z silników do tarcz. Następnie z całej siły pociągnął za drążek sterowniczy, służący w jego mechu za wspomaganie sterowania. Był jednym z ostatnich, którzy korzystali ze starych sposobów kontroli. Większość zawodników już dawno zrezygnowała z uproszczonych interfejsów, przepisując sterowanie na język ruchów kończynami, napinanie mięśni, sterowanie głosem, a nawet myślą. On walczył hybrydowo. Chciał czuć pole walki. Wyciągnął się w kevlarowej wannie umieszczonej w kokpicie mecha i czekał na szarpnięcie.

Nigdy nie nadeszło. Hadouken przeleciał obok.

Odyn mrugnął, przywołując na siatkówkę obraz z kamer umieszczonych na wszystkich stronach mecha.

Kamera 1 – lewa strona: pusto.

Kamera 2 – przód: pusto.

Kamera 3 – prawa strona: pusto.

Migawka szybsza niż wysuwające się ostrze sprężynowego noża. I taki sam dźwięk. Sztt. Bzyk.

Kamera 4 – plecy: brak sygnału.

Czerwone powidoki zatańczyły mu przed oczami.

Sztt. Sztt.

Kamera 1 – lewa strona: brak sygnału.

Kamera 2 – prawa strona: brak sygnału.

Wszystko działo się tak szybko, że nawet nie widział, co go uderzyło.

Zabrał mu wzrok. Ten skurwiel zabrał mu wzrok!

Zaśmiał się w duchu. Teraz był prawdziwym Odynem. Mrugnął, przerzucając odbiór z powrotem na widok z kokpitu, przez swoje ostatnie, jedyne oko.

Wiedział, co stanie się dalej. Hadouken będzie atakował jego plecy. Wykorzysta, że jest wtedy niewidoczny. Odyn ugiął nogi. Ryk termojądrowego silnika szumiał mu w uszach. Z całej siły odbił się w tył.

Oprze się o ścianę areny. A potem złamie tego gnoja na pół.

Zanim nogi jego mecha oderwały się od ziemi, poczuł, że spada. Przechyliło go na jedną ze stron. Spróbował wyrównać, wykonał w powietrzu kilka gestów mających aktywować wirniki stabilizujące.

Upadł.

Hadouken dopadł do leżącego przeciwnika i wylądował na jego korpusie.

A potem spadła na niego Pięść Smoka.

*

Ciasny pokój, od podłogi do sufitu wypełniony sprzętem. Ogród zen, skomponowany ze śmieci i starej technologii. Podłoga jest kłębowiskiem wypalonych petów. Poczerniałe szaro-białe bibułki oprószyły ją jak opadające płatki przekwitających w Kioto kwiatów wiśni. Pod ścianami stoją kolumny poukładanych jeden na drugim ekranów CRT. Jest ich kilkanaście, wszystkie włączone, nastrojone na mozaikę bełkotu, nadają kanały informacyjne. Niektóre pokazują śnieżycę martwego kanału; jest to jedyne źródło stałego światła.

W kącie stoi biurko zawalone fragmentami układów scalonych, z dymiącą jeszcze lutownicą, klawiaturą i trzema ciekłokrystalicznymi ekranami. Obok nich ktoś zostawił kubek z niedopitą kawą. Na kubku nadrukowano Śmiejącego Się Człowieka. Przez ekrany przelewa się morze tekstu, kiedy komputer dokonuje diagnostyki jakiegoś sprzętu. Na oparciu wyłożonego siatką fotela powieszono hełm i rękawice podpięte do ginącego gdzieś pośród kabli deku.

Mężczyzna podchodzi do stojącego na środku pomieszczenia zagraconego stolika. Zrzuca z niego stosy wydruków i puste pudełko po pizzy. Stolik się chwieje; zamiast jednej z nóg ma podłożoną książkę. *Sztuka wojny* Sun Tzu jak widać znajduje zastosowanie na każdym polu bitwy.

Przysuwa sobie fotel, wcześniej zdejmując z niego sprzęt. Siada.

Ma na sobie poplamione bojówki i luźną wytartą bluzę z prostokątnym logiem NIN. Nerwowo pociera łysą głowę. Okrągłe okulary w drucianych oprawkach odbijają śnieżycę z telewizorów.

– Nagrywa się? – pyta. Widzi czerwoną diodę przy skroni rozmówcy. Kiwa głową. – No, to lecimy.

REC: ON.

(Setka. W tle widać kolumny ustawionych jeden na drugim telewizorów. Zajmują całą ścianę; dynamiczna, stale zmieniająca się szachownica obrazów. Na pierwszym planie siedzi mężczyzna.

Belka z podpisem: Damian „Zszywka” Lerow, Mechanik Hadoukena).

– Hadouken? Taak. Znam go. Znam go jak nikt inny... – Jeszcze raz drapie się z tyłu głowy. Podnosi wzrok i mierzy dziennikarza znad

osuniętych na nos okularów, które odbijają obraz telewizorów nastawionych na martwy kanał. – Ale powiedz mi, człowieku, dlaczego właściwie miałbym rozmawiać o nim z tobą?

(Poza kadrem: Człowiek wytrzymuje spojrzenie Zszywki. Podnosi dłoń do skroni i stuka dwukrotnie nad prawym okiem. Czerwona dioda nagrywania gaśnie, na jej miejscu pojawia się niebieska. Człowiek wyciąga z za ucha kabel z sygnałem wideo, podaje go Zszywce).

Zszywka odbiera kabel, odsuwa się na krześle i wpina go do jednego z telewizorów. Człowiek kiwa głową i bez słowa rozpoczyna przekaz.

(Obraz pozostaje poza kadrem).

Zszywka patrzy na odpalony przed nim film. Pozostaje prawie niewzruszony, a jego okulary odbijają obraz nagrania z hangaru Hadoukena. Jedynie mięśnie żuchwy zdradzają, że zaciska zęby. Może to złość, może bezradność, to ma się dopiero okazać. Powolnym gestem zdejmuje okulary. Chucha najpierw na jedną soczewkę, później na drugą i nie spiesząc się, przeciera je rąbkim bluzy. Jego ruchy są precyzyjne, a palce pewne, jak u operatora rozkładającego broń do czyszczenia. Na powrót zasłania oczy odbijającym ekrany szkłem.

– To o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

*

Druga walka trwała o wiele dłużej niż pierwsza. Losowanie wskazało, że naprzeciw siebie staną Akira i Lady T. Buntownik w czerwonej maszynie kontra wielka nadzieja korporacji. Wyszli na arenę, odpalili mechy i ruszyli sprawdzić, kto z nich jest lepszy. Chłopak wyjęty z japońskiej historii o motocyklowych gangach czy najhojniej sponsorowana dziewczyna na świecie.

Okazało się, że przekazywana pieczołowicie z pokolenia na pokolenie katana, ostatecznie przekuta do wzmacnianej grafenem, wbudowanej w mecha broni, przebija zarejestrowane znaki towarowe. I to przebija je dosłownie.

Po tym jak Akira zostawił za sobą powalonego mecha Lady T, Człowiek wypiął się z bezpośredniej transmisji. Reszta go nie interesowała. Teraz przez cały czas, aż do jutrzejszego wieczora, wszystkie streamy będą pokazywać przygotowania do finału. Pokażą, jak Akira trenuje – jak biega wokół Okinawy, tam gdzie powstało karate, jak medytuje i jak je niesyntetyczne żarcie z organicznego cateringu. Zapewne rybę z ryżem.

Bo żeby sterować mechem, trzeba było czegoś więcej niż szybkich

palców. Trzeba było ciała zdolnego wytrzymać przeciążenia rzędu kilkunastu g. Poza tym liczyła się też przepustowość systemu nerwowego, a stan komórek glejowych w dużym stopniu zależał od kondycji fizycznej człowieka. Podobnie z czasem reakcji, odpornością na zmęczenie i stres. Wszystkie one wymagały tytanowego zdrowia, którego każdy pilot potrzebował równie mocno jak odpowiedniego zaplecza technicznego.

Człowiek przywołał na siatkówkę tablicę wyników.

Półfinał 1

Hadouken x Odyn → Hadouken

Półfinał 2

Akira x Lady T → Akira

FINAŁ

Hadouken x Akira

Przewidywana oglądalność – 93 miliony widzów.

Infosfera uwielbiała Mech Wars. I kochała Hadoukena. Wszystkim się wydawało, że kiedy po raz kolejny zdobędzie tytuł, będzie to najgorętsza rzecz w całej sieci. Oczywiście gdyby przegrał, wtedy dopiero słupki ratingowe sięgnęłyby stratosfery.

Nie wiedzieli, że bez względu na to, czy Hadouken wygra, czy przegra, to za rogiem czai się znacznie grubszy news. I to taki, który Człowiek miał na wyłączność.

Mrugnął, zmieniając tablicę wyników w strukturę katalogów. Kiedy przeskakiwał pomiędzy kolejnymi poziomami systemu plików, jego palce zginały się i prostowały niczym odnóża pająka.

Odgrywane: Hadouken.hdstream.

Widok z góry, z kamery podwieszanej w niewidocznym miejscu, gdzieś w rogu pomieszczenia.

Przepastny, betonowy hangar, będący skrzyżowaniem garażu i warsztatu. Na środku stoi klatka z miejscem do podpięcia mecha, a pod nią zieje głęboka na półtora metra dziura dla mechanika, który będzie dokonywał przeglądu. Na ziemi są widoczne plamy z oleju, pod ścianami skrzynki z narzędziami i ciężki sprzęt do wyklepywania metalu.

W środku uwija się kilku ludzi. Jednym z nich jest Zszywka, który macha rękami, jakby stał na lotniskowcu i nadzorował lądowanie

odrzutowca.

Masywne drzwi od hangaru unoszą się, wpuszczając do środka snop światła. Do pomieszczenia wjeżdża mech Hadoukena i staje od razu pomiędzy czarnymi prętami. Z rogów klatki wysuwają się zabezpieczające chwytaki, unieruchamiają maszynę. Mech wypuszcza kłęby pary, kiedy silniki wydają z siebie ostatnie tchnienie. Metalowe płyty rozsuwają się, otwierając dostęp do kabiny pilota.

Nikt go nigdy nie widział. Aż do teraz.

Niespodziewanie do mecha podjeżdża toporny podnośnik. Zamiast chwytaka z przodu konstrukcji zwisa plątanina elastycznych pasków. Wyglądają jak szelki.

Bo to są szelki.

Uwijająca się wokół ekipa podchodzi do kokpitu. W uporządkowanym, wyćwiczonym rytmie przypinają szelki do siedzącego w środku pilota. Operator podnośnika zwalnia wajchę. Hadouken zostaje wyciągnięty z maszyny niczym bezradne dziecko. W jego sylwetce jest coś dziwnego. Jakaś dziwna sztywność, która układa ciało w nienaturalny sposób.

W końcu udaje się go posadzić obok mecha. Wprost do automatycznego wózka. Pilot niemal się nie porusza. Jego nogi są wiotkie, ręce przykurczone, a oczy patrzą nieobecny spojrzeniem.

STOP – odtwarzanie przerwane.

Człowiek oglądał ten film już któryś raz i za każdym razem czuł się tak, jakby trafił go pocisk przeciwpancerny. Nie wierzył w to, co widział.

Hadouken, najlepszy pilot, jaki kiedykolwiek usiadł za sterami mecha, był kaleką.

*

REC: ON.

(Setka: Zszywka).

Zszywka wyciąga z kieszeni zbitą białą bibułę nikotynowego peta ze sprasowanym tytoniem. Paznokciem podważa niewielką zaślepkę z boku szyi i wciska rulonik do tracheotomicznego podgrzewacza. Po chwili wydycha z płuc kłęby dymu.

– Byłem u niego w szpitalu, zaraz po tym jak to się stało. Ciec przy drzwiach nie chciał mnie wpuścić. Bo nie jestem rodziną. Dałem mu dychę i poszło. Jeżeli ktoś jest jego rodziną, to właśnie ja. Innej nigdy nie

miał.

Sztach, spięcie szyi. Dym. Dużo dymu.

– Wyobraź to sobie... Leży tam, człowieku, leży tam twój najlepszy kumpel. Najtwardszy gość, jakiego znałeś. On był, kurwa, niezabijalny. Leży tam i wiesz, że nie może ruszać nogami...

Zszywka kręci głową. Pociera czoło. Ekranowa śnieżycy odbija się od okularów.

– Wiedział. Przybił mi piątkę, tak jak zawsze, przybił ją swoją umięśnioną, wyżyłowaną łapą. Tą samą, którą nokoutował tych wszystkich pajaców, jednego po drugim. Pamiętam, jak byliśmy kiedyś w knajpie, gdzieś pomiędzy Projektami. Wiesz, tam o wpierdol łatwiej niż o paczkę fajek. Siedzimy, pijemy jakiś rosyjski browar, warzony chyba na oparach Czarnobyli. Nagle obok nas gość wstaje razem ze stołem grubym i masywnym jak karoseria czołgu. Wstaje i łamie go na pół. Na raz, jak zapalkę. Butelki sypią się na ziemię. Ktoś chwytą jedną w locie, od razu robi z niej tulipana. Klekocze rozkładany motylek. Jest prze-je-ba-ne! Wtedy on zrywa się z miejsca i leci na nich. Lewy, prawy, lewy. Cios, krok, cios. Paf, paf, paf. Kurwa, jak piorun. Klienci padają jak muchy rozplaszczone o ścianę, zostają po nich tylko trzy ciała z oczami patrzącymi do środka głowy. I to wszystko na naturalnym refleksie... Czyścioszek, bez podkręcaczy. Czaisz to?

Zaciąga się. Wypuszcza dym. Gdzieś za jego plecami jeden z ekranów nadaje telezakupy. Dwa tysiące eurojenów i podręczna wyciskarka do owoców będzie twoja.

– Dobre czasy. To były dobre czasy.

Zszywka milknie. Patrzy w rozplywającą się tytoniową chmurę, jakby zupełnie zapomniał, że cały czas jest nagrywany. Człowiek przywołuje go z powrotem do rzeczywistości.

– Jak to się stało? – pyta głos zza kadru. – Ten wypadek?

– Naczyniak w środku kręgu. Taka duża kulka z krwi tam, gdzie powinna być kość. Nie boli ani nic. Tylko siedzi tam, skurwieli, i czeka. Prawdopodobnie był tam od lat. Możesz pizgać żelazem, rozbijać głowy o ściany i nic ci nigdy nie będzie. A możesz zeskoczyć ze schodów, bo nie chce ci się schodzić, i koniec, po tobie. Matematyka chaosu w najczystszej formie. Pytałem go, jak to się stało. A on, że podniósł sztangę, jak zawsze. Jeszcze jedna seria, ostatnia tego dnia... Jeszcze jedna i do domu. I chrupnęło. To było tylko jedno pierdolone chrupnięcie. Sekunda, może nawet krócej. Jedno pierdolone chrupnięcie, które zmienia wypadkową całego twojego życia. Zabiera oddech, rozlewa się od pleców falą takiego bólu, który kolapsuje cię do środka, jak czarna dziura, tylko w kręgosłupie.

Mechanik wygląda, jakby się trochę uspokoił. Dym wciąż leci z jego ust, ale w znacznie bardziej miarowych, regularnych odstępach.

– I jak to było, kiedy do niego przyszedłeś? Trzymał się jakoś?

– Czy się trzymał, człowieku, co ty bzdurzysz! On właśnie stracił władzę w nogach! Ale... Ale wtedy w sumie jeszcze nawet jakoś szło. Powiedział tylko... Jak on to powiedział... „Szewczyk, mam porobione”. O, właśnie tak. Gorzej to było potem.

Zaciąga się, słycać piknięcie. Wyciąga peta, bezceremonialnie wyrzuca go na ziemię, po czym natychmiast odpala następnego. Piknięcie. Sztach.

– Co było potem? – pyta głos spoza kadru. Czerwona dioda nagrywania nie przestaje się świecić.

– On to przewidział, że tak się stanie. Powiedział mi na samym początku... „Dzisiaj jeszcze jestem tym samym typem co wczoraj, tylko nie mogę ruszać nogami”. Wtedy nie złapałem.

Zszywka milknie na chwilę. Wydycha dym. W końcu mówi dalej:

– Najgorsze było, jak wrócił do domu. Minął tydzień, minął miesiąc, pół roku. A on dalej w domu. Na łóżku, na kanapie, w tych samych czterech ścianach. Nie chciał wychodzić. Mówi mi w końcu: „Kurwa, Szewczyk, popatrz na mnie, popatrz, co się ze mną dzieje! Gdzie są, kurwa, moje ręce? Gdzie są, człowieku, moje nogi? To nie są moje nogi. To są nudle. Zamieniam się w rozgotowany pierdolony chiński makaron na wynos! Chcę się bić!”. On kochał się bić.

Zszywka ciągnie dym z papierosa, jakby bez niego miał się za chwilę udusić. Zakłada kaptur.

– Zniknął – mówi. – Niby był, ale jednak zniknął. Mój najlepszy kumpel udał się na jakąś pierdoloną pielgrzymkę do środka siebie. I za nic nie chciał stamtąd wrócić.

*

Klub bokserski „Włoski Ogier”.

To jedno z miejsc, nad którymi technologia nie ma władzy. Niewiele już ich zostało. Nieważne jednak, czy jest to Harlem lat osiemdziesiątych czy środkowa Europa dziewięćdziesiątych, czy Japonia XXI wieku, w tych kilku miejscach zawsze jest tak samo.

Wydawałoby się, że kluby bokserskie nie mają już prawa istnieć. Najpierw przyszła moda na sztuki walki, kiedy co drugi pener miał czarny pas w tym albo w tamtym. Potem wszyscy rzucili się na noże i pałki, jakby nie można było wyjść na miasto bez kawałka żelastwa za paskiem albo w rękawie. Wreszcie przyszedł moment, w którym każdy gówniarz

w bandanie na głowie trzymał za pazuchą kaliber zdolny uwalić rękę aż do łokcia. Jeszcze później można było sobie za tę rękę wstawić sztuczną, z wysuwanymi ostrzami albo pokrytą kevlarem i wzmacnianą siłownikami. Na sam koniec dało się po prostu wymienić sobie okablowanie, podkręcić system nerwowy i przyspieszyć reakcję.

To wszystko okazało się jednak bez znaczenia.

Nieważne, czy wpakujesz w siebie chrom, mefedron, czy nerwy z Korei. Nic nie zastąpi małego przysadzistego trenera z nieodłącznym petem w pysku, ciężkiego worka owiniętego taśmą izolacyjną i skakania na skakance. Od tytanowych stawów skokowych praca nóg się nie wyrobi. A tym bardziej, nie wyrobi się charakter.

REC: ON.

(Setka. W tle widać wyblakłe już plakaty z walk bokserskich. Spomiędzy nich wystają odrapane ściany, z których już dawno poodpadały całe płyty tynku. Słysząc odgłosy walki. Gdzieś w tle dwóch bokserów skacze po ringu. Na pierwszym planie stoi barczysty mężczyzna ze starannie przystrzyżonym wąsem.

Podpis na belce: „Mały Pablo”, trener bokserski).

– Nie sądziłem, że takie miejsca jeszcze istnieją – mówi Człowiek.

(Pytanie na rozluźnienie, do wycięcia przy ostatecznym montażu).

Mały Pablo parska rozbawiony. Krępy buchaj rozdymający nozdrza.

– Bo jesteś bez wyobraźni. Wydaje ci się, że wystarczy trochę żelaza i wybuchy.

(Odgłosy z offu: Cios przyjęty na rękawice, trzeszczenie desek ringu, gong na koniec rundy).

– Jakich ludzi interesuje dzisiaj boks? Broni nie trzeba nawet kupować, można ją po prostu wydrukować na drukarce.

– Nie wszyscy trenują, żeby zabijać ludzi. Czasami czyjś ojciec przychodził na salę i teraz sami chcą spróbować tego co on. A czasami to po prostu pasja. Niektórzy zwyczajnie lubią postukać w rękawice. To dżentelmeński sport.

(Z offu: Gong. Krzyki jednego z narożników: „Miętko na nogach! Głowa! Ruszaj, kurwa, głową! Jak będziesz ją trzymał w miejscu, to upierdoli ci ją razem z płucami!”).

– Tych dwóch w ringu nie wygląda mi na parę korposzczurów, która przyszła się wyluzować po robocie.

Bokser podkręca wąsa.

– Trafiają tutaj różni ludzie, ale wiesz, kogo widuję najczęściej? Dzieciaki. Dzieciaki, które zbłądziły w życiu. Są jak psy, które poszły za daleko i nie wiedzą, jak wywachać sobie drogę do domu. Wtedy trzeba im

trochę pomóc.

– I ty im pomagasz.

– Pomagam.

(Z offu: Odgłos zadawanych ciosów, rękawice uderzają o gardę. Tss. Tss. Tss.)

Poza kadrem: Człowiek przesuwa palcem po skroni. Obok czerwonej diody pojawia się zielona. Wyświetla w powietrzu hologram – twarz młodego chłopaka).

Trener kiwa głową.

– To był jeden z moich najlepszych zawodników. Nuklearny prawy prosty. Lekki na nogach, szybki. Motoryka nie jak u białego człowieka, i to bez dopalaczy. Wprawdzie miał swoje demony, jak to chłopak z problemami, ale był też chodzącym dowodem na to, że sala bokserska potrafi dać więcej niż byle scratcher ze skalpelem i wszczepami z Chin. Ona pozwoli ci wyhodować jaja.

Wzdycha ciężko. Po chwili wraca do tematu.

– Mógł zostać jednym z wielkich. Jak Ali, Tyson albo ten Japończyk, Kato...

(Z offu: Dudnienie upadającego ciała. Liczenie).

Mały Pablo milknie. Patrzy przed siebie, jakby zapomniał, że to wszystko telewizyjny wywiad.

– Co się z nim stało?

– Zniknął.

(Z offu: siedem, sześć, pięć...).

– Miał wypadek.

W oczach Małego Pabla pojawia się niebezpieczny błysk. Taki sam jak przy wybuchu termonuklearnym. Najpierw widać błysk, dopiero potem świat ogarnia pożoga.

– To nie miała być przypadkiem rozmowa o boksie?

– A nie jest?

(Z offu: „1... Koniec walki!”).

Pablo znowu podkręca węża.

– Powiem ci teraz dwie rzeczy, Człowieku Który Wie, czy jak tam na ciebie mówią, i posłuchaj mnie uważnie, bo nie będę powtarzał. Pierwsza jest taka, że zgodziłem się na ten wywiad, bo wisiałem twojemu wydawcy małą przysługę. No, może nie taką małą, biorąc pod uwagę, że wpuściłem cię do mojego klubu. Mieliśmy sobie miło pogawędzić o boksie. Gdybym jednak wiedział, że będziesz mnie pytał o tego chłopaka, to powiedziałbym staremu Berniemu, żeby walił się na ryj. A to jest mój kolega i bardzo go lubię.

Błysk. A potem pożoga.

– A ciebie, głupi pierdolcu, nie lubię. Jeżeli więc puścisz choćby słowo z tego, co powiedziałem ci wcześniej, znajdę cię i nakarmię twoimi własnymi jajami. I jeżeli myślisz, że pomoże ci którykolwiek z tych waszych podkręconych po same uszy cwaniaków w garniturach, których nazywacie ochroną korporacyjną, to jesteś w zajebistym błędzie. A teraz wypierdalaj, zanim wyrwę ten czerwony pierdolnik, który cały czas miga ci na skroni.

REC: OFF.

*

REC: ON.

(Setka: Zszywka).

– Przychodzisz tam, a on siedzi. Ogląda coś, wpięty do infosfery. Albo kretyńskie japońskie bajki, albo dokument o kolekcjonerach konch. To są takie muszle. Wyobrazasz to sobie? Gość siedzi i cały dzień ogląda materiał o facetach, którzy zbierają muszle.

Zszywka kręci głową. Nerwowo drapie się po szyi, po tym samym miejscu, w które przed chwilą wsuwał tytoniowe ruloniki.

– Albo tę parodię wiadomości, gdzie dziennikarzyna oszołom z zajebistą powagą oznajmia, że rządzą nami szpiedzy obcych potęg i że nic nie jest takie, na jakie wygląda. Na sam koniec zarzuca hiperłączem do ankiety, w której wystarczy złożyć osobistą kryptosygnaturę, żeby wysadzić tych gości z siodeł. A on siedzi i ogląda program za programem. Ogląda albo jest zły. Bardzo zły.

Mechanik w końcu przegrywa walkę, którą toczył ze sobą od dobrych paru minut. Sięga do kieszeni po kolejnego szluga; pakuje go do komory tracheotomicznej.

– Był sobą i jednocześnie nie był sobą. – Wydycha dym. – Głębokie, co? Zawsze miał krótki zapłon. Ciężko było go odpalić, ale jak już wcisnąłeś czerwony przycisk... Człowieku, ani się obejrzałeś, a już stałeś w leju po bombie. Wokół zostawały tylko zgliszcza. Taki charakter. Okazało się, że kręgosłup powcisnął mu wszystkie niewłaściwe przyciski. Te, których za cholere nie wolno było ruszać.

Wciąż siedzi w kapturze. Wypuszcza dym, a szkła jego okularów odbijają śnieżycę martwego kanału.

– Nigdy nie przepadał za ludźmi, ale teraz to znienawidził ich do reszty. Niby wciąż był tym samym gościem co zawsze, tylko przesuniętym na skali. Rozumiesz? Tak, jakbyś wziął jego wewnętrzne *pi* społeczności

i podniósł je do potęgi. Dostajesz wtedy niechęć rosnącą wykładniczo... Mniejsza o to.

Zaciąga się, ale jest spokojny. Jakby już dawno przetrwał sobie wszystko, o czym teraz opowiada.

– Skoro góra nie chciała przyjść do proroka... to ja przychodziłem do niego. Od tego są kumple. Od przychodzenia. Czasami po prostu siedzieliśmy obok siebie i oglądaliśmy ten szajs z infosfery. Gadaliśmy o sportach walki. Bo chociaż zaczynał od boksu, to trenował też inne rzeczy. Robił trochę zapasów, przepychał się z judokami, liznął klinczu z muay thai. Ale najbardziej kochał boks. Opowiadał mi często, że leży i wyobraża sobie, że znowu się bije. Przesuwa w myślach niewidoczne joysticki, które powinny poruszyć nogami i rękami, tylko że one nic nie poruszają. Jakby system nerwowy doskonale wiedział, co robić, tylko komendy nie przechodziły ostatecznego filtra... Rozmawialiśmy o tym akurat, jak zaczynał się pierwszy sezon Mech Wars. No i wpadłem na pewien pomysł...

Zszywka uśmiecha się. Ściąga kaptur i po raz pierwszy od początku tej rozmowy przestaje się wiercić i drapać.

– Znałem paru gości w Panamie. Byli dobrzy, naprawdę dobrzy. I wisieli mi zajebiście wielką przysługę.

Piknięcie. Wypalony papieros wyskakuje z boku szyi. Zszywka rzuca peta na ziemię. Nie bierze następnego.

– Polecieliśmy do nich. Bronił się, jak tylko mógł, ale ściemniłem, że lecimy na walkę bokserską. On zawsze powtarzał, że nikt nie ma w sobie tyle charakteru, ile te sukinsyny z Ameryki Środkowej. W pewnym sensie nawet nie skłamałem, w końcu przylecieliśmy na walkę bokserską. Na miejscu podpięliśmy go do maszyny i kazaliśmy mu się bić. W głowie. Ruszać tymi jego nieistniejącymi joystickami systemu nerwowego. Na początku podstawy. Lewy prosty, prawy prosty. Krok do przodu, krok do tyłu. Praca głowy. Kombinacje: lewy, prawy, zmyłka, prawy hak na tułów, lewy sierp w głowę. Klincz. Chwył zapaśniczy za plecami, obejście, suples. Przeprowadzka zapaśnicza, wjazd w nogi. Potem Japonia: o soto gari, uchi mata, seoi nage. Mawashi geri, mae geri... A na końcu Brazylia. Garda, półgarda, de la riva. Dodaliśmy nawet berimbolo. Nikt nigdy nie używa tego w prawdziwej walce, ale beka była okrutna, bo jego system nerwowy szalał. Zrobiliśmy z niego pierdoloną encyklopedię sztuk i sportów walki.

Jeden z ekranów za plecami Zszywki pokazuje wybuch bomby atomowej.

– Widziałeś kiedyś, jak zachowuje się narkoman na działce swojego

ulubionego proszku? Tę euforię, kiedy wciąga upragnioną ścieżkę? On miał to w oczach. A ja w tym czasie mapowałem jego system nerwowy. Cios po ciosie, rzut po rzucie zapisywałem wszystkie ścieżki, które zamiar przechodził w jego ciele, próbując stać się ruchem. W końcu mieliśmy kompletną mapę jego wewnętrznego okablowania. Przyszedł czas na chłopaków z Panamy.

Wyciąga następnego papierosa, ale tym razem robi to z przyjemnością. Cieszy się tą chwilą.

– Położyli go na stole i otwarli jak żabę. Dosłownie miał nerwy na wierzchu. Rozcięli, otworzyli... I trochę pokombinowali.

(Poza kadrem: Człowiek bierze głęboki wdech. Po raz pierwszy w trakcie trwania tej rozmowy wygląda, jakby ktoś niespodziewanie włożył mu palec do tyłka).

Zszywka parska chłodnym, bezwzględny śmiechem.

– Widzę, że zaczynasz rozumieć. Ale najlepsze dopiero przed tobą. Bo co z tego, że udało nam się zapisać synaptyczny słownik sztuk walki bardzo utalentowanego zawodnika? To mógłby zrobić każdy. Walka mechów nie polega na ruszaniu rękami i nogami, a w każdym razie nie tylko na tym. Dochodzą jeszcze silniki stabilizacyjne, kontrola tarcz, systemy chłodzenia, i tysiąc innych pierdoł. Jakby chodziło tylko o wykonywanie ciosów prostych, to mistrzami Mech Wars byłiby sportowcy, a nie piloci. W tym równaniu potrzebna jest jeszcze jedna zmienna. Parser haptyczny, zdolny przetłumaczyć to wszystko na ruchy robota. Nie to gównno, którego używa się do wspomagania, ale zupełnie nowa rzecz. Moje *magnum opus*.

Piknięcie. Ostatni wydech dymu leci wprost w kadr.

(Obraz na krótką chwilę traci ostrość).

– Jego system nerwowy operuje semantyką zaciśniętych pięści. On nie zmienia ustawień tarcz. On podnosi podwójną gardę i rusza głową przy linach. Wytracony z równowagi nie przestawia dysz stabilizujących. Dla niego to jest chugaeri. Za każdym razem, kiedy Hadouken wchodzi na arenę, nie siedzi za sterami mecha. On się bije.

*

Akira był dobry, naprawdę dobry.

Przez kilka lat, podczas których Hadouken wychodził na arenę Mech Wars, godnego siebie przeciwnika trafił dwa, może trzy razy. Raczej dwa. Akira był trzeci.

Hadouken zaczął jak zwykle. Szybko, ostro i bez ostrzeżenia.

Krok, krok, krok, wyskok, kolano w głowę.

Plazmowe silniki zawyły przeciągle. Ruszył z pełną prędkością w stronę Akiry. Spodziewał się, że trafi go w locie i wytrąci z równowagi.

Spudłował.

Krwistoczerwony mech złożył się w żyroskopowym uniku i przesunął się płynnie na bok.

Zwrot, podwójna garda.

Hadouken wyhamował i niemal w miejscu odwrócił się w stronę przeciwnika. Kontruderzenie Akiry rozeszło się po jego przedniej tarczy. Każdy inny mech już dawno krzyczałby szachownicą czerwonych kontroltek, kiedy kontra roztrzaskałaby środek jego kokpitu. Każdy, ale nie Hadouken, bo cała moc jego silników natychmiast znalazła się w generatorach osłon.

Przed oczami zatańczył mu skrót diagnostyczny.

Tarcza: 0%.

Podwójna garda, unik rotacyjny. Głowa, ruch głowy. Skrócenie dystansu. Low kick.

Tarcza padła i dopóki się nie naładuje, był wystawiony na strzał. Nie przejmował się tym. Ruszył do przodu, wyprowadzając kontrolne smagnięcie z plazmowego bicia przy prawej nodze. Trafił. Z czerwonego pancerza posypały się iskry.

Usłyszał pracę siłowników. Wspomaganie optyki ustawiło czerwony trójkąt na udzie Akiry, jednak i bez tej pomocy wiedział, że jego przeciwnik zaraz sięgnie po kataną. Nie mógł mu na to pozwolić.

Klinch. Zwarcie. Podebranie nogi, obalenie.

Uderzył prosto w miejsce, z którego miała wysunąć się katana. Poprawił drugi raz. Zmusił Akirę, żeby zatrzymał siłowniki i przeniósł energię do tarczy. Trzecie uderzenie odbiło się w pulsującym rozbłysku osłony. Dokładnie tak, jak przewidywał.

Ręka pod pachę. Soi nage z zejściem na kolana...

Nagle błysnęło, a czerwony mech odleciał do tyłu. Akira przerwał zwarcie, niemal przewracając Hadoukena na ziemię. Musiał mieć naprawdę niesamowite generatory pola.

Pad, uderzenie w podłogę. Kontrola, orientacja. Techniczne powstanie.

Odpalił dysze stabilizujące i utrzymał równowagę.

Moc silników plazmowych: 20%.

Oddech, oddech. Rozluźnij ręce, nie zabij ich brakiem tlenu.

Tarcza w trakcie regeneracji.

Akira był dobry, naprawdę dobry.

*

Jak to się dzieje, że ten skurwiel jest taki szybki?!

Akira rozumiał, jak ważne są szczegóły. Zanim stanął przeciwko niemu do walki, obejrzał wszystkie poprzednie starcia swojego przeciwnika i dobrze wiedział, czego się spodziewać. Wiedział, że powinien oczekiwać niemożliwego. Wiedział, że Hadouken kontrolował swojego mecha w sposób nieosiągalny dla nikogo innego; że był diabelsko szybki; że wydawał się myśleć wielowątkowo i podejmować po trzy-cztery decyzje na raz; że zawsze zdawał się być o krok przed innymi.

Wiedział to, a jednak nie spodziewał się tego, co spotkało go na arenie.

Hadouken jednocześnie wykonywał unik i przerzucał energię z silników do tarcz. Kontrolował ciosy w czasie, w którym jeszcze były wyprowadzane. Uderzał w tempo jak zawodowy bokser na ringu, z tą różnicą, że zawodowi bokserzy, żeby się poruszyć, nie muszą wysłać sygnału z konsoli ruchu do czterech silników. A co dopiero sterować w tym samym czasie energią z generatorów plazmowych.

Mieli za sobą dopiero jedną wymianę, ale Akira już wiedział, że jego szanse są marne.

Co nie znaczy, że zamierzał się poddać.

Przywołał na siatkówkę skan techniczny.

Zobaczył sylwetkę swojego mecha; kilka elementów świeciło się na czerwono. Zaraz obok pojawił się skrót diagnostyczny.

Tarcze: 70%.

Silniki: 20%.

Chłodzenie: 10%.

Uszkodzenia:

– *strzaskany siłownik boczny: brak możliwości zamknięcia komory z mieczem;*

– *strzaskany generator tarczy przedniej: rozrzedzenie osłony.*

I to wszystko po może dziesięciu sekundach walki.

Akira wiedział, że z każdą kolejną sekundą jego szanse będą maleć. Uznał, że ma tylko jedno wyjście.

Wyciągnął się wygodnie w kokpicie i korzystając z wszystkich dziesięciu palców, błyskawicznie wydał szereg komend. Jego mech osiadł niżej na amortyzowanych odnóżach, przyjmując bardziej aerodynamiczną pozycję. Jak samuraj, który za sekundę wyciągnie miecz i jednym ciosem zetnie przeciwnika.

Chwycił przypominającą kierownicę motoru manetkę kontrolną. Poderwał nadgarstek, a ceramiczne wirniki zawyły wściekle.

No chodź, skurwysynu. No chodź.

Wyrwał do przodu, zostawiając za sobą kolorową smugę pędu.

Hadouken stał w miejscu jak sparaliżowany.

Pierwsza sekunda.

Wciąż stał. Jak wmurowany.

Akira sięgnął po miecz. Wystarczyło, że o tym pomyślał, ręce sterowały pędem. Nie tylko Hadouken umiał robić kilka rzeczy na raz, Akira ćwiczył to godzinami.

Druga sekunda.

Miecz w rękach mecha, przy biodrze. Aerodynamiczna sylwetka pędzi do przodu.

Wciąż stoi.

Trzecia sekunda.

Ponad sto kilometrów na godzinę na liczniku. Zamach.

Czwarta sekunda.

Ścięcie.

Widział, co się dzieje. Nie wierzył.

Hadouken w jednej chwili tam był, a później zostało po nim tylko powietrze przecinane przez ostrze miecza.

Akira przechylił mecha na bok, rozpoczynając procedurę hamowania. Na granicy pola widzenia zapaliła się czerwona kontrolka.

Awaria: tylni rotor.

No. To. Grubo.

Poczuł, jak tylna część maszyny wyrywa się spod niego. Jak środek ciężkości przesuwają się tam, gdzie na pewno nie powinno go być.

Ręce opętańczo ścisnęły manetki, próbując utrzymać równowagę. Umysł biegał od tarcz do systemów równowagi, za wszelką cenę usiłując uratować mecha przed rozbiciem się o pędzącą ku niemu ścianę klatki.

Temperatura: 150°C.

Zalecane natychmiastowe chłodzenie.

Awaria: tylni rotor.

Równowaga utracona. Zalecana rekaliibracja.

Pewnie, kurwa, rekaliibracja.

Przewrócił się. Huknęło, zgrzytnęło, a potem sypnęło morzem iskier.

Natychmiast zaczął wstawać. A przynajmniej spróbował. Nawet nie wiedział, co go uderzyło.

Awaria: tylni rotor.

Awaria: przedni rotor.

Systemy ruchu: zniszczone.

W głowie usłyszał słowa Hadoukena.

„Najpierw odbiorę ci ruch”.

Nie musiał patrzeć. Dobrze wiedział, co będzie dalej.

„Potem wyrwę ci tę katanę wykutą ze stali twoich przodków, nad którą spuszczasz się w każdym wywiadzie. A na koniec zetnę ci głowę”.

*

REC: ON.

(Setka: Zszywka).

Zszywka wykrzywia usta w kpiącym uśmiechu. Wypuszcza z ust kółka dymu.

– Nikt nigdy go nie pokona. I to nie dlatego, że zrobiliśmy z niego maszynę do wygrywania Mech Wars. On był nią już wcześniej.

Wyciąga z szyi ostatniego peta i pstryka nim w kamerę.

(Stuk).

– Wygrywa nie dzięki nam, tylko dzięki tym wszystkim godzinom, które spędził w ringu, które przeskakał na skakance. Dzięki tym wszystkim bliznom, które zebrał, stojąc na bramkach w Projektach. Dzięki każdemu kozakowi, który próbował go wypatroszyć. My? My tylko daliśmy mu narzędzia.

Na tym Zszywka kończy. Rozkłada ręce i wzrusza ramionami pokazując, że z jego strony to już wszystko.

– To bardzo ładna historia – mówi zza kadru głos Człowieka. – Tylko nie do końca się klei.

Oczy mechanika przebijają spod odbijającej się od szkieł śnieżycy. Patrzy wyczekująco, przenikliwie.

– Wszystko byłoby pięknie i fajnie – kontynuuje Człowiek – gdyby nie to, że przez ostatnie dziesięć lat sporo się nauczyliśmy. Na przykład, jak naprawiać przerwany rdzeń kręgowy.

Zszywka kiwa głową.

– Hadouken mógłby dzisiaj chodzić, gdyby tylko chciał.

Milczy przez chwilę, a jego twarz nie zdradza żadnych emocji. Wygląda, jakby coś liczył, w końcu się odzywa.

– Tylko jest jeden detal: żeby tak się stało, trzeba byłoby go znowu otworzyć i odpiąć kable z jednych złączy, a przypiąć je do innych. Krótko mówiąc, nie byłby już w stanie pilotować mecha, a już na pewno nie na tym poziomie co teraz. Nigdy też nie stanąłby już na ringu. Trochę lat jednak minęło, a i złożony kręgosłup to nie nowy kręgosłup. Nie miałby szans, żeby być najlepszym. Podjął decyzję. Został królem.

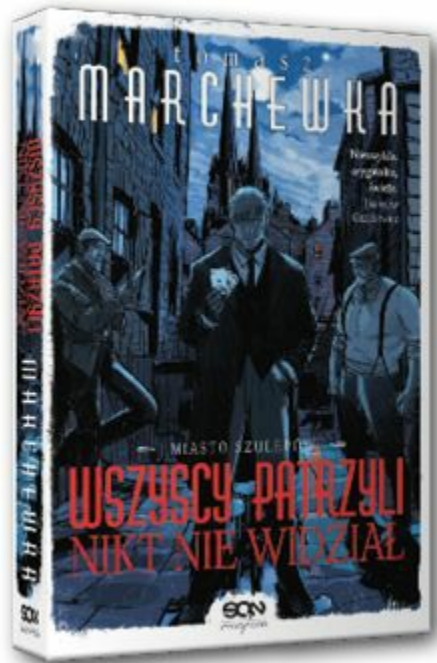
(Poza kadrem: Człowiek Który Wie siedzi nieruchomo. Patrzy na

Zszywkę. Milczy. Kiwa do siebie głową, a czerwona dioda na jego skroni świeci nieprzerwanie.

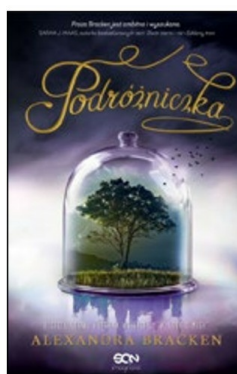
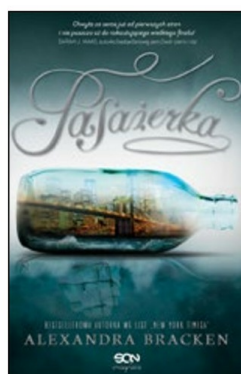
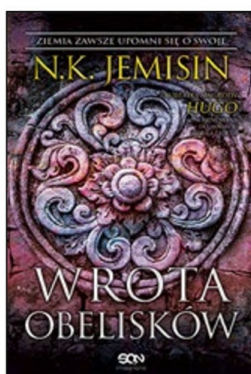
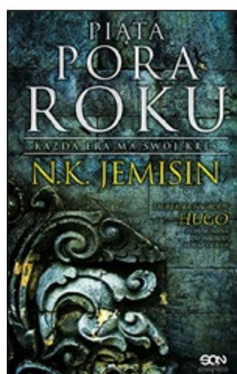
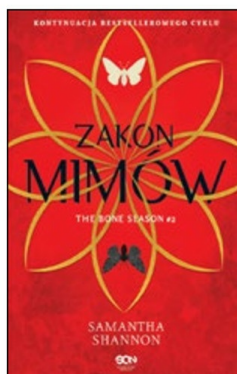
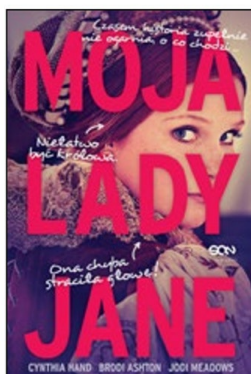
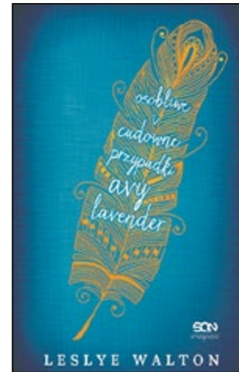
W końcu gaśnie).

REC: OFF.

KSIĄŻKA TOMASZA MARCHEWKI,
KTÓRA UKAZAŁA SIĘ W WYDAWNICTWIE SQN:



POLECAMY INNE KSIĄŻKI Z SERII SQN IMAGINATIO



Wydawnictwo to nie tylko instytucja, budynek, miejsce. Wydawnictwo to ludzie. Połączyło nas zamiłowanie do książek i marzenie o dzieleniu się z innymi prawdziwie wybitnymi tytułami. Wszyscy działamy z pasją i zaangażowaniem, ponieważ uważamy literaturę za warunek ciągłego istnienia kultury – warunek sine qua non.

www.wsqn.pl | www.labotiga.pl

